

NURIA MASOT

CIEŃ TEMPLARIUSZA

Tytuł oryginału: **La sombra del templario**

ROZDZIAŁ I

PODRÓŻ

Kwiecień 1265

Panie, stoję oto przed Bogiem, przed wami i przed innymi braćmi, prosząc w imię Boga i Najświętszej Panny, abyście mnie przyjęli do waszego zgromadzenia i dopuścili do udziału w dobrodziejstwach tego domu.

Reguła templariuszy

Bernard Guils był zatroskany i niespokojny, a taki stan ducha stanowił zwykle poważne ostrzeżenie. Podróż nastęczała wiele trudności, więcej, niż się spodziewał na początku, choć spodziewał się całkiem niemało. Jego wyczulony na niebezpieczeństwo instynkt słał sygnały alarmowe.

Przede wszystkim nie podobał mu się kapitan galery, na której pokładzie podróżowali, niejaki Antonio d'Amato, We-necjanin o chudej twarzy i ciemnych oczach drapieżnego ptaka, które ani na chwilę nie przestawały go obserwować. Mimo gwarancji otrzymanych od wielkiego mistrza przeszkadzała mu obecność tego człowieka. Dla kultywowania cnoty ufności czasy nastały nie najlepsze, a wrażenie, że ktoś go szpieguje, utrzymywało się, zbyt intensywne, aby pozwolić sobie na

nieostrożność. Bernard uśmiechnął się ironicznie: żeby szpieg narzekał, że ktoś go szpieguje!

Czuł się zmęczony, zmęczony i rozbity, zupełnie jakby chmura złych przeczuć zawisła mu nad głową. Całe życie poświęcił wojnie, od Wschodu po Zachód, i nawet jego ciało, z pustym oczodołem, masą blizn i źle zrosniętych kości, przypominało pole walki. Przez moment z absolutną precyzją ujrzał twarz młodego muzułmańskiego dziiryтника, który zranił go w oko, lecz nie pożył wystarczająco długo, aby móc nacieszyć się swoim dokonaniem. W zamieszaniu bitewnym Bernard nawet nie zauważył poniesionej straty, nie zorientował się, że od tej pory jego zdolność postrzegania zostanie uszczuplona o połowę. Poczciwy Jacques Bretończyk wywłókł go z pola bitwy, podczas gdy on sam, jak opętany, wciąż zadawał ciosy mieczem, obojętny na potworną ranę, obojętny niemal na wszystko. W domu zakonnym w Akce, gdzie się potem znalazł, nie tylko wyleczono mu martwy już oczodół, ale również ocalono od zatracenia duszę.

Jednakże w owym czasie był młody i silny, więc każdy ból szybko mijał. Teraz przeciwnie, zdawać się mogło, że cierpienie na dobre zagnieździło się w jego wnętrznościach, w szpiku kości, w żołądku, w samej głębi jego istoty, i nic nie wskazywało na to, że zamierza go opuścić. Próbował pocieszyć się myślą, że to już ostatnia misja, wieńcząca wiele lat najwierniejszej służby. Poprosił wielkiego mistrza o zgodę na takie rozwiązanie i otrzymał ją. Osiądzie zatem w jakiejś usztronnej, spokojnej komandorii, w pobliżu rodzinnych stron, będzie uprawiał ziemię i hodował konie. Lubił konie; zaufanie, jakie do nich żywił, nieporównanie przewyższało to, które pokładał w ludziach. Może nawet, przy odrobinie szczęścia, uda mu się spotkać kogoś z rodziny, oczywiście pod warunkiem, że ktokolwiek pozostał jeszcze przy życiu. Od trzydziestu lat nie miał o nich żadnych wieści.

Stanie się na powrót zwykłym, rozpoznawalnym dla innych templariuszem, odrzuci wreszcie maski i przebrania. Powróci do codziennych modłów pospołu z braćmi, do swojego habitu, z dala od intryg i wojen. Zbyt długo się tym zajmuję - pomyślał. - Od tak dawna obnoszę kolejne twarze, że w końcu zapominam swoją własną. Może po prostu nie potrafię już sobie przypomnieć, kim jestem naprawdę.

Odegnął te myśli. Odrywały go od pracy, a wiedział, że na to nie może sobie teraz pozwolić. Misja była nadzwyczaj ważna, wielki mistrz całkowicie na nim polegał. Należało dostarczyć do Barcelony pewną paczuszkę i przez całą drogę bronić jej choćby z narażeniem życia.

- To misja najwyższej wagi, bracie Bernardzie, misja, od której w gruncie rzeczy zależy samo istnienie zakonu templariuszy rzekł do niego wielki mistrz Thomas Berard.

- Ta paczka bezwzględnie musi dotrzeć do miejsca swego przeznaczenia na Zachodzie. Zawsze uważałem, że macie szczególne predyspozycje do wykonywania podobnych zadań i jesteście najlepsi, dzięki waszej pracy dysponujemy jedną z najskuteczniejszych siatek informacyjnych. Zakon nigdy się wam nie wypłaci z tego długu. To ostatnie zadanie, potem będziecie się mogli wycofać do komandorii, którą sami wskażecie. Potraktujcie tę możliwość jako nagrodę za tyle lat wiernej służby.

Tak, to jego ostatnia podróż w charakterze szpiega zakonu; wiedział, że może ufać słowom Thomasa Berarda. Bernard podziwiał wielkiego mistrza, uważał go za człowieka zacnego i uczciwego. Niemal na samym początku, przed dziewięcioma już laty, jedno spojrzenie wystarczyło, aby zdołali nawiązać głębokie porozumienie. Mistrzowi

Berardowi nie było wcale łatwo. Od chwili ustanowienia go wielkim mistrzem zakonu templariuszy w tysiąc dwieście pięćdziesiątym szóstym roku musiał się borykać z poważnymi problemami, a przede wszystkim z niemocą i rozpaczą na widok nieuniknionego upadku zamorskich królestw łacińskich. Patrzył, jak w beznadziejnej walce ginęli jego ludzie, opuszczeni przez zubożniały Zachód, przez papieża i królów, bardziej niż czymkolwiek innym zainteresowanych rozgrywkami o władzę.

Jerozolima, święte miasto okupione morzem krwi, przepadła wiele lat wcześniej, a chrześcijanie w Ziemi Świętej, skłóceniu między sobą, zdawali się zapominać, jakie cele zawiodły ich niegdyś tak daleko od domu.

Tak, złe czasy nastały - pomyślał Bernard z przygnębieniem. - Nikt ani nic nie może już chyba powstrzymać nadciągającej katastrofy. Zupełnie jakby samo piekło, wynurzywszy się ze swych głębin, przeniosło się na ziemię. Jego własna misja kosztowała już życie trzech osób. Zaniepokojony, raz po raz zadawał sobie pytanie, co powoduje, że w imię pacuszki, którą przewoził, ludzie gotowi są przelać tyle krwi w tak krótkim czasie. Jego krwi również, nie było się co łudzić.

Zabójstwo marynarza w porcie Limassol na Cyprze głęboko go zafrasowało. Ku wściekłości weneckiego kapitana połowa zakontraktowanych członków załogi odmówiła współpracy, utrzymując, że to znak, zapowiedź śmierci i nieszczęścia.

Przez wszystkie lata spędzone w służbie zakonu Bernard Guils ryzykował życie przy niezliczonych okazjach, nigdy wcześniej jednak nie

czuł zimnego oddechu śmierci z tak bliska. Czyżby śmieszne w gruncie rzeczy zabobony marynarzy z Limassol wpłynęły nań do tego stopnia?

Starzeję się - rozmyślał oparty o burtę na rufie statku, patrząc, jak powoli zostaje z tyłu wszystko, co znał, nawet wspomnienie pustyni z czasów, gdy był jeszcze młodym krzyżowcem. Ze wschodu na zachód, z kraju, gdzie rodzi się słońce, aż do miejsca, w którym umiera... Poczul na plecach zimny dreszcz: myśl o śmierci czaiła się dosłownie wszędzie, to stawało się powoli nie do wytrzymania. Zła wróżba, bardzo zła...

Odmówił krótką modlitwę, polecając się opiece Marii Panny, patronki zakonu. Już niedługo dotrze do Barcelony i pozbędzie się tej ważnej przesyłki, troskliwie przechowywanej tuż przy ciele, pod koszulą. Nieustannie czuł obecność paczuszki, dotyk zimnego i zawilgłego od potu safianu, kryjącego jej zawartość.

Tak, wkrótce dotrze do Barcelony, zakończy misję i rozpocznie nowe życie.

Abraham Bar Hija siedział na pokładzie, na zwoju grubych lin, wpatrując się w intensywnie błękitne niebo. Miał nadzieję, że nie czeka ich już żaden sztorm. Poprzedni, tydzień wcześniej, uderzył w statek z taką siłą, że Abraham nabrał głębokiego przekonania, iż jego przeznaczeniem jest umrzeć na morzu. Tak się jednak nie stało i galera szczęśliwie odparła ataki fal, wychodząc z morderczych zmaganiań niemal bez szwanku. Abraham podniósł rękę do piersi, ku żółto-czerwonemu krążkowi, do którego noszenia zmuszali go chrześcijanie, chcąc w ten sposób podkreślić jego żydowskie pochodzenie.

Złe czasy nadchodzą - powtórzył bezgłośnie. Myśl ta to warzyszyła mu nieustannie przez ostatnie lata, a kolejne wypadki potwierdzały ją dzień po dniu, nie pozostawiając cienia wątpliwości.

Wybrał się w podróż, aby pożegnać starego przyjaciela. Zdawał sobie sprawę, że więcej go już nie zobaczy, gdyż postępujące osłabienie nie pozwoli mu na podjęcie po raz wtóry podobnego wysiłku. Jako lekarz nawet nie próbował się łudzić, świadom, że choroba zaatakuje wkrótce ze zdwojoną siłą. Przeczuwał wszakże, iż problemy ze zdrowiem mogą się okazać niewartym wzmianki drobiazgiem w porównaniu do tych, których, kto wie, czy nie ściągnie mu niedługo na głowę sam fakt bycia Żydem.

Wyprawa do Palestyny, do Hajfy, gdzie przebywał Nah-manides, jeszcze bardziej zasmuciła duszę i myśli Abrahama. Niemal dwa lata minęły od chwili wygnania przyjaciela z rodzinnej ziemi, niemal dwa lata od tamtej okropnej katastrofy. Usiłował wówczas tłumaczyć Nah-manidesowi, jak wielkie niebezpieczeństwo pociąga za sobą jego postawa, naiwna ufność, którą zdawał się pokładać w królu, on jednak za nic nie chciał przyjąć do wiadomości ryzyka, na jakie się narażał.

W lipcu tysiąc dwieście sześćdziesiątego trzeciego roku Jakub I, król Katalonii i Aragonii, nakazał Nahmanidesowi, bardziej znanemu wśród chrześcijan jako Bonastruc z Porty, aby stanął się w Barcelonie celem przeprowadzenia dysputy z konwertytą zwanym Pau Cristia.

Szlachcie, a zwłaszcza klerowi, ogromnie się podobały tego typu przedstawienia, w czasie których rozważano i tłumaczono podstawowe prawdy wiary, w końcu nieodmiennie dowodząc wyższości religii chrześcijańskiej nad żydowską. Kościół potrafił docenić tę metodę pro-

pagandy, owocującą setkami mniej lub bardziej spontanicznych nawróceń. Niejednokrotnie bowiem to strach działał na niewiernych skuteczniej niż najlepsze argumenty. I oto nagle w pałacu hrabiów Barcelony wiekowy Nahmanides poprosił króla o prawo do nieskrępowanej wypowiedzi, a uzyskawszy zgodę, dwudziestego lipca przeprowadził żarliwą obronę wiary mojżeszowej. Tak żarliwą i przekonującą, że stała się dla niego wyrokiem. Nahmanides czuł się jednak bezpiecznie; nade wszystko pragnął wyjaśnić zasady swej religii i podzielić się swoją wiedzą, toteż kiedy poproszono go, aby przygotował pisemną wersję wystąpienia, nie zawahał się tego uczynić. A uczyniwszy, sam przygotował główny dowód oskarżenia o bluźnierstwo przeciw religii chrześcijańskiej, którego się rzekomo dopuścił.

Na nic się zdały ostrzeżenia Abrahama Bar Hii, przyjaciela i towarzysza z lat studiów, coraz bardziej przerażonego obrotem spraw.

Król pod naciskiem Kościoła skazał Nahmanidesa na dwa lata wygnania, a wszystkie jego pisma - na stos. Jednakże wrogowie nie zadowolili się tą karą, uznając ją za niewystarczającą. Bez zwłoki wystosowali więc do papieża pismo z prośbą o przykładową nauczkę, papież zaś - nie zwlekając z odpowiedzią - nakazał królowi zmianę wyroku na wygnanie już dożywotnie. W ten sposób wielki filozof musiał opuścić rodzinną Geronę, gniazdo swoich przodków, i udać się w długą podróż do Palestyny. Nigdy już nie miał dotknąć stopą ziemi, która była świadkiem jego narodzin.

Wspomnienia wywoływały w Abrahamie taką udrękę, że pragnął jedynie, aby pamięć o tamtych wypadkach się zatarła i aby wszystko okazało się złym snem, nierealnym koszmarem, który rozwieje się wraz z przebudzeniem.

Wstał z trudem i skierował się ku rufie statku. Odrobina wysiłku mogła przynieść pożytek zarówno jego ciału, jak i umysłowi. Szedł powoli, niepewnie, nienawykły do morskiego kołysania. W pobliżu dostrzegł zamyślonego Guilsa, który stał oparty o burłę, ze wzrokiem utkwionym w dal. Wydaje się zadumany jak i ja - stwierdził Abraham. - Guils... Tak, tak się chyba nazywa, Bernard Guils. Najemnik, po wracający do domu najemnik. Albo tak przynajmniej mówią... Bezgłośnie rozprawiając sam ze sobą, Abraham odpoczywał od zmartwień, rad, że jego umysł zaprzętnęły inne tematy, wdzięczny za chwilę wytchnienia od mrocznych i przygnębiających refleksji. Z zainteresowaniem przyjrzał się Guilsovi. Rzekomy najemnik był mężczyzną w sile wieku, wysokim i mimo pewnego wychudzenia mocno zbudowanym, z czarną przepaską zakrywającą lewy oczodół. Starzec przypomniał sobie, że właśnie Guils pomógł mu przy wchodzeniu na pokład, z delikatnością kłócącą się poniekąd z surowym spojrzeniem jedyne go oka. Nieco wcześniej Abraham, o którym wiadano, że jest lekarzem, poproszony został o udzielenie pomocy jednemu z członków załogi. Znalaziono nieszczęśnika za stertą czekających na załadunek worków z pszenicą. Kiedy Żyd zjawił się na miejscu, zastał tam już pochylonego nad ciałem Guilsa, który bez słowa wskazał mu ledwie widoczny, zaczerwieniony punktik na karku zmarłego. W milczeniu zmierzyli się wzrokiem i widząc po raz pierwszy w życiu, rozpoznali natychmiast.

Nie, Abraham nie wierzył, aby Guils miał być najemnikiem. Spotkał w życiu niejednego z tych osławionych zabijaków i wiedział, że nieznamy z pewnością nie należy do ich grona. Najemnik nie pozwoliłby nikomu ani na moment zapomnieć o swojej obecności, rozprawiałby bez przerwy o swych bohaterskich wyczynach, czasem prawdziwych, znacznie częściej wydumanych. Guils natomiast był mężczyzną małomównym. Bardziej przypominał zdyscyplinowanego, wiernie oddanego jakiegś nieznanego Abrahamowi sprawie wojownika. Wydawał

się przy tym zatroskany i przybity, co jednak nie przeszkadzało mu uważnie i bezustannie rozglądać się wokół, z dużą dyskrecją, bez ściągania na siebie uwagi towarzyszy podróży.

Stary Żyd odczuwał względem niego szczególne zainteresowanie. Z niezrozumiałych powodów Guils, jako jedyna osoba na statku, wzbudzał w nim zaufanie i poczucie bezpieczeństwa, co było o tyle niezwykle, że Abraham nie przejawiał zazwyczaj specjalnej skłonności do zawierania obcym: życie zdążyło go już nauczyć ostrożności i rozważli. W trakcie swoich badań nad rodzajem ludzkim stopniowo wykreślił pojęcie zaufania ze słownika wyrazów przydatnych. Może to przez intensywną aurę smutku, która go otacza - zastanawiał się teraz. - Głębokiego smutku, który wydaje się go przepęlniać.

Reszta współpasażerów, przeciwnie, stanowiła dla Abrahama źródło stałego niepokoju. Przede wszystkim martwili go niepomierne dwaj dominikanie, a zwłaszcza starszy z nich, który omijał Żyda szerokim łukiem. Wobec ich usilnych manewrów, aby unikać jego bliskości, a nawet widoku, duża galera zdawała się nagle kurczyć. Gdyby to od nich zależało, spoczywałby już zapewne na dnie, samotny wśród ogromu morza, i nie byłaby do tego potrzebna żadna burza. - Doprawdy wolałbym dziesięć sztormów niż ich towarzystwo - myślał Abraham, nie potrafiąc powstrzymać smutnego uśmiechu.

Statkiem kapitana d'Amato podróżował również pewien kataloński kupiec, niejaki Ricard Camposines, bez wytchnienia pilnujący ładunku, który złożono w czeluściach pod pokładem. Zresztą jego niespokojna krzątania niepokoiła Abrahama akurat najmniej; wręcz zabawnie było obserwować, jak Katalończyk raz po raz schodzi do ładowni, by po chwili wracać na górę i znowu zameczać weneckiego kapitana kolejnymi obawami... Kapitan, o, ten to zupełnie osobna historia - snuł swoje

rozważania starzec. - Zły człowiek... Ale w sumie czego się spodziewać po Wenecjaninie? Wenecjanie i Genujczycy nic, tylko czyhają, aby z największego choćby nieszczęścia wyciągnąć dla siebie korzyści. Natychmiast jednak zawstydził się tych myśli: miał przecież dobrych znajomych w Wenecji i Genui, a przy tym cóż innego, jeśli nie podobne przesady, zgubiło jego serdecznego przyjaciela Nahmanidesa i lada moment mogło zgubić także jego. Nie, w gruncie rzeczy kapitan nie podobał mu się sam w sobie, niezależnie od tego, skąd pochodził. Wszystko to wszakże przywołało z powrotem mroczne myśli. Abraham usiadł w kącie pokładu, bliżej rufy, niedaleko Bernarda Guilsa, wodząc dłonią po starej torbie wypełnionej medykamentami i lekarskimi przyrządami. Było w niej jednak coś jeszcze, coś, o czym nie mogli się dowiedzieć dwaj dominikanie, coś, co należało chronić i trzymać przez pewien czas w ukryciu. Być może przez długi czas.

Pod pokładem Ricard Camposines po raz setny sprawdzał liny mocujące cenny ładunek. Nie dowierzał tępakom z załogi, którzy nic sobie nie robili z jego niepokoju. Najwyraźniej nie zależało im specjalnie na tym, aby towar dotarł do celu nienaruszony.

Dla Camposinesa wszakże była to jedna z najważniejszych rzeczy w całym dotychczasowym życiu. Chcąc zapewnić swojej rodzinie spokój i szczęście, podjął ogromne ryzyko: włożył w to przedsięwzięcie całe dziedzictwo, do ostatniej monety, a co gorsza, zadłużył się u lichwiarzy, którzy tylko czekali jego przybycia, aby zażądać zwrotu należności. Ładunek, który wiózł teraz na statku, stanowił zatem o jego przyszłym losie.

Dla pewności pociągnął więc za kilka sznurów opasujących worki wypełnione barwnikami w najpiękniejszych kolorach tęczy. Dzięki nim już wkrótce biegle w swoim fachu farbiarze nadadzą tkaninom niezwy-

kłe, nieznane dotąd odcienie, a szaty i futra szlachty i mieszczan załsnia nową chromatyczną gamą.

Camposines od roku przebywał poza domem, podróżując po odległych krainach szlakiem najróżniejszych barw. Lubił swoją pracę, pozwalala bowiem poznawać rozmaite kraje i ludzi, otwierala serce i umysł. Na Zachodzie zbyt pochopne, zbyt okrutne wydaje się sądy - pomyślał kupiec, obserwując starego Żyda usadowionego na rufie statku.

Podróże nauczyły go odmiennego spojrzenia na bliźnich. Stykał się z wieloma ludźmi, czasem prostymi, często niespokojnymi o dobrobyt swojej rodziny, o zdrowie czy pracę... I, niezależnie od miejsca, bardzo do siebie podobnymi. Jakie więc znaczenie mogło mieć imię Boga, któremu każdy z nich oddawał cześć?

Pogładził dłonią pakunki, myśląc o żonie Elvirze i o jej szarych oczach podobnych jesiennym wodom głębokiego jeziora. Kochał ją od dnia, kiedy spotkali się po raz pierwszy na jednym z niezliczonych jarmarków, które wówczas odwiedzał. Kochał jej siłę i pogodę, z jaką potrafiła stawić czoło życiu. Przypomnił sobie jej głos, jej śmiech. Jednakże w ostatnich latach nieczęsto nadarzały się powody do radości: choroba córeczki pogrążyła w smutku całą rodzinę.

To był właśnie jeden z głównych celów jego niekończącej się podróży: zdobycie pieniędzy potrzebnych na opłacenie któregoś z najlepszych lekarzy.

Rok minął od dnia, gdy Ricard Camposines przyrzekł, że jego rodzina nigdy więcej nie zazna niedostatku; więc lepiej niech nikt spośród tej

przeklętej załogi nie próbuje mu przeszkadzać w dotrzymaniu przysięgi. Na samo wspomnienie powodów swojej wyprawy Camposines poczuł nowy przyływ sił.

Powrócił na pokład, ignorując prześmiewcze spojrzenia weneckiego kapitana. Nie podobał mu się ten typ o oczach sępa padlinożercy czyhającego na moment najsposobniejszy do ataku. Camposines zbliżył się do miejsca, gdzie odpoczywał stary Żyd, i uprzejmie go pozdrowił. Zdążył zauważyć zachowanie dwóch dominikanów: ich obsesję, aby unikać lekarza, jakby był wcieleniem najgorszej zarazy. Zawahał się. Mimo wszystko sam lękał się nadmiernej poufałości z Abrahamem w obawie, by dwaj braciszkwowie nie zapamiętali za dobrze, że przyjaźnie gawędzi z Żydem lub choćby zbyt blisko do niego zbliża. Wyglądali na zdolnych do wszystkiego, nawet do oskarżenia go o kunszachty z niewiernymi tylko dlatego, że powie staruszkowi dzień dobry. A przecież miał jedynie ochotę nawiązać z nim błałą i zapewne wręcz powierzchowną konwersację na temat ostatniego sztormu lub podzielić się spostrzeżeniem, jaką ciemnobłękitną i błyszczącą barwę przybiera morze o tej godzinie i jak wspaniale byłoby móc pofarbować materię na taki właśnie kolor.

Powstrzymał się jednak i minął starca, nie przystając. Poczul niepokój sumienia, choć nie zrobił nic złego, usłuchawszy głosu rozsądku, który doradzał ostrożność, tym bardziej że wyprawa dobiegała już końca i nie należało wystawiać na ryzyko efektów tak wielkiego wysiłku wyłącznie dla rozmowy ze starym Żydem, pogrążonym w dodatku we własnych myślach.

Camposines przeciągnął się, chcąc rozprostować zdrętwiałe ciało, i głęboko odetchnął przejrzystym, nieskażonym morskim powietrzem, które wypełniło jego płuca i dodało mu energii. Postanowił odbyć swój

codzienny spacer po pokładzie, aby nie pozwolić zapomnieć nogom, do czego zostały stworzone.

Na rufie dostrzegł wspartego o burtę Bernarda Guilsa, który zdawał się ze smutkiem żegnać pozostające w tyle krajobrazy, całkowicie obojętny na to wszystko, co się powoli zbliżało. Dominikanie stali na dziobie, oddaleni od starego Żyda tak bardzo, jak to tylko było na statku fizycznie możliwe, odmawiając swoje modlitwy ze wzrokiem czujnie utkwionym w nieprzyjacielu. Camposines przyglądał się przez chwilę ruchowi ich warg, szepczących litanie, podczas gdy umysły i spojrzenia braci, dalekie od modłów, koncentrowały się raczej na świecie zewnętrznym. Ujrzał także Arnauda d'Auberta, który opowiadał stojącemu obok kapitanowi jedną z niezliczonych historii, powtarzanych niezmiennie każdemu, kto zechciał słuchać o jego heroicznym wyczynie. Ten mi wygląda na najemnika - pomyślał Camposines - w przeciwieństwie do Guilsa, który z jakichś względów chce za takiego uchodzić. Pozory zawsze mylą.

Uznawszy przechadzkę za zakończoną, zawrócił do ładowni. Nie zamierzał dopuścić, żeby którykolwiek z pakunków uległ uszkodzeniu albo żeby choć gram cennego ładunku zmarnował się na tej przeklętej krypie. Mowy nie ma; jeśli tylko od niego będzie to zależeć, nic podobnego się nie stanie.

Kapitan Antonio d'Amato bez zainteresowania słuchał opowieści Arnauda d'Auberta. Nie wierzył ani jednemu jego słowu, powątpiewał nawet w to, że gaduła mógłby być Prowansalczykiem. Stykał się i pracował ze zbyt wieloma Prowansalczykami, zbyt wielu również zabił, aby dać się nabrać temu szarlatanowi. Głuchy na potoki słów, z uwagą obserwował rozmówcę. D'Aubert był średniego wzrostu, bardzo szczupły, ale pod jego koszulą dało się dostrzec czujnie napięte mięśnie. W

jasnych szaroniebieskich oczach pojawiały się czasem okrutne błyski. No i jeszcze to utykanie, pozostająca zawsze nieco z tyłu lewa noga. D'Aubert utrzymywał, że wciąż odczuwa skutki odniesionej niegdyś na wojnie rany od muzułmańskiej strzały, która przed laty przeszła mu udo. D'Amato powątpiewał jednak w prawdziwość tej historii, nie wierzył nawet w samo kalectwo. Zauważył, że d'Aubert niekiedy całkowicie przestaje utykać, że zdarza mu się zrywać z miejsca z żywością u chromych niespotykaną. Wenecjaninowi nie przychodził do głowy żaden powód, dla którego człowiek zdrowy miałby udawać kalekę, ale też nie zamierzał się nad tym zastanawiać. Uważał w każdym razie, że za podobnymi sztuczkami nie mogło się kryć nic dobrego.

Kapitan miał wielką ochotę dotrzeć już do portu i pozbyć się wreszcie pasażerów, którzy wsiedli na Cyprze. W ogóle niechętnie przyjmował na pokład podróżnych, chyba że wiązały się z tym odp wiednie korzyści. A spełnienie jego oczekiwań wymagało pękatej kiesy. Toteż zaskoczyło go, że tak wielu było chętnych do wykładania znaczących sum bez słowa protestu czy choćby prób targu. Zdziwiający przypadek - rozmyślał. - I w dodatku wszyscy w tym samym kierunku: do Barcelony... Żegluga i przewozem parał się od dawna, nigdy wszelako nie spotkał aż tylu podróżnych tak zupełnie nieliczących się z kosztami.

W porcie w Limassol najwięcej trafiało się pielgrzymów zmierzających do Ziemi Świętej, choć mniej niż dawniej, a to z powodu trwających na Morzu Śródziemnym działań wojennych. Port na Cyprze stał się schronieniem dla kupców, a także dla wielonarodowego tłumu pozabawionych celu rozbitków, od których wszędzie aż się roiło. Lukratywny interes, jakim dla Wenecjan były przez wiele lat krucjaty przechodził ciężkie chwile, a otwarta wojna między republikami włoskimi również nie poprawiała sytuacji. W tych warunkach jeden jedyny napotkany na

morzu genueński statek mógł się dla Antonia d'Amato okazać groźniejszy niż cała flota egipska.

Żaden władca chrześcijański nie kwapił się do ratowania Ziemi Świętej, większość interesów bowiem koncentrowała się w owym czasie na Zachodzie, gdzie wszyscy czekali na śmierć Fryderyka, ostatniego z Hohenstaufów, ostrząc sobie zęby i szable na myśl o pozostałościach rzymsko-niemieckiego cesarstwa. - Sępy walczą o każdy kawałek ścierwa- myślał d'Amato. - Niedługo zaczną się pożerać nawzajem i to właśnie będzie doskonała okazja dla mnie. W żadnym razie nie mógł się uskarżać: handlowa wojna z Genuą przyniosła mu znaczne zyski i wszystko wskazywało na to, że owo źródło nieprędko się wyczerpie. D'Amato nie znosił Genueńczyków, podobnie zresztą jak Pizańczyków. W gruncie rzeczy nie znosił prawie nikogo.

- Zbyt wielu pasażerów - wymamrotał do siebie, niezadowolony.

Jego umysł powrócił do punktu wyjścia. Do Barcelony było już jednak bardzo niedaleko, a zboczenie z trasy wiodącej pierwotnie prosto do Wenecji okazało się wielce korzystne. D'Amato przypomniał sobie przepiękne klejnoty, które w ramach zapłaty za przewóz wręczył mu stary Żyd. Gdy dotrze do domu, będzie z nich umiał zrobić właściwy użytek: otrzyma za nie od jubilera równowartość sześciu wypraw podobnych do tej. Strasznie się musiało spieszyć temu Żydowi albo może jest tak bogaty, że wydanie podobnej sumy przechodzi u niego niezauważone. Tak czy owak, motywy działania pasażerów nigdy nie należały do najpoważniejszych zmartwień kapitana Antonia d'Amato.

Na dziobie tymczasem modlitwy nie były w stanie ukoić duszy brata Berenguera de Palmerola. Wyprawa do kraju barbarzyńców, którzy

samych siebie śmieli określać mianem chrześcijan, okazała się jednym wielkim koszmarem. Nie należało się godzić na tę misję, nigdy, pod żadnym pozorem. Jednak ambicja wzięła górę, ponieważ brat Berenguer ufał, że zadanie tego rodzaju pozwoli mu zabłysnąć w oczach przełożonych, którzy przekonają się wreszcie o jego wrodzonym męstwie i zbyt długo niedocenianej w klasztornej murach inteligencji.

Znajomość arabskiego i hebrajskiego, z którą początkowo wiązał nadzieje na błyskotliwą karierę, skazała go na zamknięcie w bibliotekach, przykutego do pióra nad czekającymi na przetłumaczenie nudnymi tekstami, których nikt nigdy nie miał przeczytać. Czuł się rozczarowany i wściekły wobec obojętności zwierzchników, którzy nie potrafili docenić jego talentów kaznodziejskich i nieodmiennie odrzucali jego wciąż ponawiane prośby o wysłanie na tereny misyjne.

Jednakże przed dwoma laty, kiedy przeor wezwał go do siebie, aby zlecić mu pewną delikatną misję, brat Berenguer na krótko uwierzył, że jego czas w końcu nadszedł. Miał się udać na dwór wielkiego chana Mongołów i skontaktować z żyjącymi tam chrześcijanami. Wprawdzie zaskoczyła go nieco wiadomość, że wśród podobnych dzikusów mogą się trafić bracia w wierze, ale wedle słów przeora chodziło o chrześcijańską sektę, zwaną nestorianami, do której należała sama matka chana, a także jego pierwsza żona. Jako że Mongołowie zniszczyli w owym czasie główne ośrodki niewiernych, zdobywając Bagdad, Aleppo i Damaszek, nadszedł stosowny moment do podjęcia owej podróży i nawiązania stosunków z tamtejszym władcą. Przeor oczekiwał wyczerpującego sprawozdania z zastanej na miejscu sytuacji.

Mimo swego wieku brat Berenguer ruszył na wyprawę z żołnierską wprost wiarą i królewską ambicją. Wszelkie trudy osładzała mu myśl o tym, że niebawem stanie się powszechnie podziwianą osobistością,

ponieważ plemiona mongolskie ulegną sile jego natchnionych słów, a wtedy nawet sam papież zwróci się do niego o pomoc. Całkiem też możliwe, że uda mu się dojść do najwyższych szczytów we własnym zakonie; wszak dominikanie byli zgromadzeniem kaznodziejskim, a on, po tylu Jatach, miał właśnie dowieść swego niezaprzecznego w tym względzie talentu.

Wszystko to jednak pozostało w sferze mrzonek, a kolorowy sen już wkrótce zamienił się w najgorszy koszmar. Wielki chan od samego początku odmawiał przyjęcia wysłannika, z istic oślim uporem odsyłając go do swego brata Hulagu-chana. Nic nie mogło skłonić mongolskiego władcy do przypisania wizycie brata Berenguera odpowiedniej wagi, nawet kiedy stary dominikanin przysiągł w przypiływie rozpacz, że przysłała go sam papież. W równie niewielkim stopniu wstrząsnęła wielkim chanem wizja ekskomuniki.

Na posłuchanie u Hulagu, zaprzątniętego wówczas bez reszty zawarciem przymierza z Bizancjum, kazano bratu Berenguerowi czekać aż rok, a kiedy wreszcie doszło do upragnionej audiencji, żarliwe słowa kaznodziei, zamiast przewidzianego piorunującego efektu, wywołały uprzejmą obojętność i radę, aby skontaktował się raczej z pierwszą żoną chana, Dokuz Chatum.

Zwyczaj tej sekty chrześcijan od siedmiu boleści, ich ignorancja, rozwiązłość duchownych, barbarzyńskie ceremonie i tolerancja wobec wszelkich herezji i błędów wstrząsnęły bratem Berenguerem do głębi. Nie zwlekał więc z napisaniem zajadłego raportu. Podkreślił w nim z całą mocą, iż najlepszym, co mogłoby spotkać tych dzikusów, byłby bez wątpienia ognisty deszcz, który w mgnieniu oka starłby ich z powierzchni ziemi, jako że dla podobnych grzeszników nie ma żadnej nadziei zbawienia. Biorąc pod uwagę powyższe okoliczności, zakon

powinien był raczej oszczędzić sobie i jemu trudów tak dalekiej podróży.

Całkowite unicestwienie - rozmyślał, podczas gdy jego usta odmiały modlitwę. - Oto jedyna możliwa odpowiedź.

Jeśli on, ze swoim niezaprzeczalnym talentem, nie potrafił uświadomić Mongołom ogromu błędu, w którym żyli, nie mogło się to powieść nikomu, co do tego brat Bcrenguer żywił absolutną pewność. Był ogromnie zawiedziony i wściekły: ci przekłęci nestorianic, obrażający swoimi pogańskimi obrzędami świętą liturgię rzymską, stanęli na drodze jego kariery. Nie czekał nawet na odpowiedź z zakonu, tym bardziej że mogła iść miesiącami, a on nie zamierzał pozostać na tej grzesznej ziemi ani chwili dłużej. Jego wyjazd do złudzenia przypominał ucieczkę.

Brakowało więc jeszcze tylko tego, żeby musiał dzielić i tak niewielką przestrzeń pokładu z jakimś odrażającym Żydem! Brat Berenguer znalazł sobie w ten sposób idealnego kozła ofiarnego. Niemal nie zauważał pozostałych pasażerów, od samego początku koncentrując całą swą uwagę na czcigodnym skądinąd starcu, który w jego oczach uosabiał jednakże wszystkie obmierzłe występki i herezje, z jakimi zetknął się u Mongołów. Zresztą Mongołowie czy Żydzi, brat Berenguer doprawdy nie widział wielkiej różnicy.

Dla jego towarzysza, brata Pere de Tever, postawa ta od pierwszej chwili stanowiła ogromny problem. Nieustępliwość i fanatyzm brata Berenguera nie pomagały zbyt w podróży. Brat Pere był jednak tylko zwykłym pomocnikiem, co w rzeczywistości, zważywszy na podeszłe lata Berenguera, sprowadzało się bardziej do roli pielęgniarki

niż sekretarza. Młody wiek brata de Tever potęgował jego ciekawość i ekscytację daleką wyprawą, toteż chłopiec czuł się w Mongolii znakomicie. Zaskoczyła go niezwykła tolerancja panująca na tamtejszym dworze, a obecność wielu oczekujących audiencji poselstw z odległych krajów pozwoliła mu zapoznać się z egzotycznymi obyczajami rozmaitych ludów. Spędzał na tym zajęciu długie godziny. Szczególnie fascynowała go religia wielkiego chana, szamanizm, z wiarą w istnienie jedyne Boga, którego można wszakże wielbić pod wieloma różnymi postaciami. Zdumiony obserwował, jak Hulagu uczestniczy w różnorodnych uroczystościach - buddyjskich, chrześcijańskich, muzułmańskich - okazując zawsze taki sam szacunek jak w trakcie obrządków swojej własnej religii.

Ani słowem nie zdradził się z tym wszystkim przed bratem Berenguerem, który od początku odmawiał dostrzegania jakichkolwiek pozytywnych stron kraju, w którym się znaleźli, i nieubłaganie krytykował jedzenie, ubiory, a nawet tradycyjną mongolską gościnność. Sama Dokuz Chatum, pierwsza małżonka chana, choć oczywiście wysłuchała go grzecznie, wydawała się niemile zaskoczona gwałtownością jego wypowiedzi i nigdy już nie udzieliła wysłannikom posłuchania, mimo błagań młodszego i furii starszego, który pozostawał ślepy i głuchy na wszystko, co w jakikolwiek sposób nie przystawało do jego przekonań.

Mongołowie wprawili brata Berenguera w stan najwyższego rozdrażnienia i frustracji głównie tym, że nie przywiązując najmniejszej wagi do jego słów, traktowali go jednocześnie z ogromną uprzejmością. I to właśnie było najgorsze dla nieprzejednanego starca; grzeczność barbarzyńców uważał za doświadczenie stokroć straszniejsze od tortur i męczeństwa.

Brat Pere de Tever przeciwnie, uważał, że nie zdarzyło się w jego krótkim życiu nic równie wspaniałego. Jako młodszy syn szlachcica z prowincji oddany został dominikanom w wieku lat dziesięciu i dorastał w klasztornych murach, przekonany, że nie czeka go już żadna zmiana. Od najmłodszych lat wykazywał niezwykły talent do nauki, zwłaszcza języków: łaciny, greckiego, arabskiego i hebrajskiego. Uwielbiał klasztorne biblioteki, tłumaczenie starych zapomnianych ksiąg i przez dłuższy czas z tym właśnie wiązał swoją przyszłość. Odkąd skończył szesnaście lat, zakon wysyłał go do kolejnych klasztorów z zadaniem skopiowania jakiegoś pergaminu, przetłumaczenia tekstu lub po prostu ustalenia liczby ksiąg będących w posiadaniu danej biblioteki. Lubił tę pracę, bardzo ją lubił.

Kiedy więc przeor nakazał mu uczestnictwo w dalekiej podróży, w duszy brata Pere zapanował niepokój i zamęt. O życiu wiedział tylko to, co precyzowała ścisła zakonna reguła, a straszliwych niebezpieczeństw czyhających poza murami mógł się jedynie domyślać z niewyraźnych napomknien starszych braci. Jednakże wszelkie wątpliwości młodego mnicha rozwiały się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w chwili, gdy w Marsylii stanął na pokładzie statku zmierzającego w nieznane. Walka z żywiołem, morskie powietrze rozpierające płuca nieznaną dotąd energią, niezmierzone przestrzenie mórz i stepów - wszystko to uzmysłowiło chłopcu ciasnotę świata, z którego pochodził. Z każdym kolejnym krokiem rzeczywistość nabierała nowych wymiarów, a umysł wzbogacał się nieustannie wobec feerii barw, nowych zwyczajów i języków.

A zatem gdy brat Berenguer zamykał się w kręgu własnych zatechłych przekonań, brat Pere de Tever powoli odkrywał, że świat nie kończy się w przykościelnym ogródku.

Bez słowa komentarza, bardzo starannie napisał podyktowany mu przez zwierzchnika list: wykaligrafował długą listę doznanych przezeń krzywd i zniewag, zachowując swoje zdanie dla siebie. Wiedział, że każda próba przekonywania brata Berenguera będzie stratą czasu, a jakakolwiek dyskusja może się okazać w najwyższym stopniu ryzykowna. Nie - postanowił. - Dużo lepiej zaczekać na stosowniejszą okazję, zawsze zdążę przedstawić swój punkt widzenia, kiedy mnie o to zapytają. Nie miał wątpliwości, że nie uniknie szczegółowej spowiedzi, że jego przełożeni nie omieszkają sprawdzić, czy podróż wpłynęła na jego przekonania i czy kontakt ze światem zewnętrznym zaowocował jakimiś niebezpiecznymi zmianami. Należało działać niezwykle przeźornie i rozważnie. Brat Pere tak się zagłębił? w rozmyśleniach, że jego usta przestały szeptać modlitwę. Będzie musiał przedstawić swoje zdanie tak sprytnie, aby uniknąć oskarżenia o wywrotowe pomysły.

Arnaud d'Aubert patrzył, jak kapitan d'Amato oddala się z drwiącym wyrazem twarzy. Udało mu się naprzykrzać Wenecjaninowi przez całe pół godziny, co było wystarczającym powodem do satysfakcji: nieźnośny arogant tyle zarobi na tym rejsie, że doprawdy powinien choć trochę pocierpieć. D'Aubert bezgranicznie pogardzał Wenecjanami za nieumiarkowane przywiązanie do idei zysku. Nic nie przyspieszało ich ruchów tak skutecznie, jak porządna kiesa wypchana złotem; w ciasnych kupieckich mózdkach na żadną inną myśl po prostu nie starczało już miejsca. O mały włos wybuchnąłby śmiechem: ten zadufany w sobie kretyn d'Amato nawet go bawił, a podróż była wystarczająco długa i nudna, żeby korzystać z każdej nadarzającej się okazji do rozrywki. Toteż d'Aubert korzystał. Przed kilkoma dniami podszedł na przykład do starego Żyda, aby poufnym tonem poinformować go, że słyszał pogłoski o rozruchach w dzielnicy żydowskiej w Barcelonie. Ale się staruch przestraszył! Z paniką wymalowaną na twarzy wyglądał naprawdę zabawnie.

D'Aubert pomacał lewą nogę, próbując uśmierzyć ból, który promieniował ku górze aż do krzyża. Ten przeklęty Krzyżak w Akce całkiem nieźle trafił, pozostawiając swoją twarz na zawsze wyrytą w pamięci Arnauda. Muzułmańska strzała czy bójka w tawernie, kogóż to do diabła obchodzi? - rozmyślał d'Aubert w milczeniu. Wspomnienie Krzyżaka nieodmiennie wprawiało go w zły humor, bo nawet obraz delikatnych krągłości młodziutkiej Arabki, o którą poszło, nie pomagał stłumić bólu, po latach tak samo ostrego i przeszywającego jak tamten sztylet. Może to znak, że znowu nadchodzi sztorm - rozważał d'Aubert niechętnie. - Zawsze mnie wtedy boli... Już tak blisko do celu, jeszcze tylko tego brakuje, żeby nas teraz zatopiło. Wyjątkowo niemile uczucie, coś jak wstrętny smak zepsutego jedzenia, podeszło mu do gardła. Potrzebował rozrywki. Wstał i zaczął się rozglądać w poszukiwaniu nowej ofiary. Załoga zdawała się bardziej ruchliwa i zabiegana niż zazwyczaj, a morze zmieniło kolor: intensywny błękit powoli ustępował ołowianej szarości. D'Aubert chwycił się lin i ruszył w kierunku dziobu. Chwilę wcześniej dostrzegł na rufie Guilsa, który nie wydał mu się pożądaną kompanią. Z nim nie było żartów.

We wzroku rzekomego najemnika czaiło się trudne do określenia niebezpieczeństwo, takie samo jak w oczach tamtego Krzyżaka z tawerny, które utkwiły w pamięci d'Auberta równie głęboko, jak w jego udzie ostrze sztyletu.

Zaczął padać drobny i bardzo zimny deszcz, więc d'Aubert skierował się ku ładowni. No tak, tam oczywiście natknie się na katalońskiego kupca pilnującego swoich towarów, sprawdzającego każdą linkę, każdy woreczek... Zapowiadała się zatem świetna zabawa. Wpadłszy znie-nacka na jednego z marynarzy, d'Aubert głośno zaklął pod wpływem bólu, który przeszył mu plecy i nagłym błyskiem eksplodował w mózgu. Pchany pierwszym impulsem odwrócił się i chciał wymierzyć

winowajcy solidnego kopniaka, ale zatrzymał się w pół ruchu, sparaliżowany ironicznym spojrzeniem, które zdawało się go wyzywać, prowokować do tym ostrzejszej reakcji. No, proszę, daj mi powód, a z przyjemnością cię zabiję - mówiły oczy dziwnego nieznajomego. D'Aubert odskoczył jak oparzony, wzdrygając się mimowolnie, i pełen zdumienia zrozumiał w jednej chwili, że patrzą na niego oczy mordercy. Cofnął się powoli, krok za krokiem, ani na moment nie tracąc z pola widzenia wciąż uśmiechającego się nieprzyjemnie typa, aż dotarł na sam dziób, tak daleko, jak to tylko było możliwe. Jakoś mu nagle przeszła ochota do zabawy.

ROZDZIAŁ II

BARCELONA

Miły i szlachetny bracie, mężowie, którzy z wami mówili, zadali już stosowne pytania, wszelako cokolwiek na nie odpowiedzieliście, uczyniliście to próżnymi a ulotnymi słowy i z powodu spraw, które zatailiście, mogłoby na nas spaść nieszczęście. Oto więc święte słowa Pana naszego, abyście w rzeczach, o które teraz pytać będziemy, odpowiedzieli prawdę, jeśli bowiem skłamiecie, popelnicie krzywoprzysięstwo i możecie z tego powodu utracić dom, przed czym niech Bóg was ustrzeże.

Kiedy Barcelona ukazała się w zasięgu wzroku, kapitan d'Amato odetchnął z ulgą. Ostatnie dni były prawdziwym koszmarem: przeklęty dominikanin bez przerwy zatruwał mu życie, żądając, aby starego Żyda zamknięto w ładowni, kupiec Camposines nie ustawał w skargach na warunki transportu, a jednooki najemnik od dwóch dni nie podnosił się z pryczy. D'Amato zaczynał powątpiewać, czy rzeczywiście zrobił tak dobry interes, jak mu się wcześniej wydawało, i niczego już bardziej nie

pragnął, niż pozbyć się całej tej bandy i ruszyć wreszcie prosto do Wenecji.

Barcelona rozrastała się od pewnego czasu na wszystkie strony, także potężne rzymskie mury, które chroniły miasto od wieków, okazywały się powoli niewystarczające, aby pomieścić zamieszkującą je ludzką rzeszę. Tendencja do wykorzystywania najmniejszych nawet przestrzeni zamieniła stare miasto w labirynt wąskich i ciemnych uliczek. Brak miejsca zmuszał do budowania domów przyklejonych do obwarowań, toteż między obronnymi wieżami, po obu stronach starych murów, budynki wyrastały niczym grzyby po deszczu.

Władca Katalonii i Aragonii Jakub I wznosił właśnie nowy pas fortyfikacji, aby pozwolić nieco odetchnąć coraz liczniejszym mieszkańcom. Budowę rozpoczęto w okolicach niedawno powstałej dzielnicy Sant Pere de les Puelles i kontynuowano w kierunku kościoła Santa Ana, a następnie ku morzu, wzdłuż linii wyznaczonej przez potok Ramblas. Ten stary strumień, przez długie lata określany łacińskim słowem arenno, potem zaś znaczącym to samo arabskim terminem ramia, stanowił zachodnią granicę miasta.

Wokół świątyni Santa Maria de les Arenes, w miejscu, nad którym pół wieku później górować już miała imponująca bryła kościoła Santa Maria del Mar, gwałtownie rozrastała się dzielnica portowa, zamieszkała przez armatorów, kupców i marynarzy. Plac przed kościołem wypełnił się warsztatami i straganami, a przy kolejnych, coraz dalej wdzierających się ulicach osiadali skupieni w cechach liczni rzemieślnicy, dzięki którym kwitł wyrób szpad, sztyletów i przedmiotów ze srebra.

Dzielnica ta, Vila Nova del Mar, sąsiadowała z największym w obrębie starych murów targiem Portal Major, gdzie zaczynała się Via

Francisca - jeden z najważniejszych prowadzących z Barcelony szlaków, wytyczony wzdłuż znaczącego niegdyś traktu z czasów rzymskich. Pozostałością po osadnictwie rzymskim były też zarysy cardus i decamanus, układające się w ogromny krzyż w samym sercu miasta.

Tak wielkiemu i nieustannie rozwijającemu się ośrodkowi, w dodatku jednej z morskich i handlowych potęg na Morzu Śródziemnym, brakowało wszakże portu z prawdziwego zdarzenia. Stary port, leżący u stóp wzgórza Montjuic, już od dłuższego czasu nie nadawał się do użytku, a to z powodu zamulenia oraz okresowego podnoszenia się poziomu wody. Nie było tam nic poza szeroką plażą, chronioną jedynie przez kilka wysepek i ławic piasku. Z braku możliwości podphwaiańa do brzegu wielkie statki handlowe musiały rzucać kotwicę w pewnym oddaleniu, zdając się w ten sposób na łaskę właścicieli łódek, specjalizujących się w przewożeniu na ląd zarówno towarów, jak i ludzi. Sytuacja ta sprzyjała rozwojowi niektórych zawodów, dostarczając zajęcia większości mężczyzn wmieście. Skorzystali na niej przede wszystkim zajmujący się załadunkiem i rozładunkiem tragarze oraz ci, którzy strowali łodziami przewożącymi pasażerów i pakunki. Najlepszy interes robili jednak właściciele owych łodzi, mający zazwyczaj do dyspozycji niemałą liczbę niewolników, co przynosiło im znaczący dochód.

Barcelona, wielka morska potęga, skutecznie rywalizująca z Wenecją, Pizą i Genuą, posiadająca doki, w których budowano ogromne statki, na odpowiedni dla siebie port miała jeszcze czekać niemal dwa stulecia. Rozprzestrzeniające się daleko poza stare granice miasto zamieszkiwała już ponadtrzydziestotysięczna rzesza ludzi.

Do uszu Bernarda Guilsa dotarły pokrzykiwania marynarzy oznajmiających przybycie do celu. Spróbował podnieść się z barłogu, na którym spędził kilka ostatnich dni, rozbity, miotany torsjami, ukryty przed wzrokiem pozostałych pasażerów i załogi tak, aby nikt nie mógł

być świadkiem jego słabości. Zawodziło go nawet jedyne oko, zupełnie jakby w jakiś tajemniczy sposób przesłonił je delikatny tiulowy welon. Bernard czuł, jak skręcają się jego wnętrzności, wywołując ostry ból, który stawał się chwilami nie do zniesienia.

Boże - pomyślał - daj mi siłę, abym zdołał dotrzeć do portu. Potem zrób ze mną, co tylko zechcesz, ale pozwól mi stanąć na ziemi.

Zdawał sobie sprawę, że tym razem nie są to zwykłe mdłości. W czasie swoich licznych podróży dość się nasłuchał o chorobie morskiej, która przemieniała najsilniejszych mężów w bezbronne i niezdolne do najmniejszego wysiłku niemowlęta. Ale nie, tym razem chodziło niestety o coś innego, gorszego. Dużo gorszego.

Zmusił się do wstania. Powłócząc nogami, z ustami zaciśniętymi z wysiłku w prostą linijkę, zdołał postąpić kilka kroków. Usiłował opanować torsję i ból rozpalonym żelazem szarpiący mu trzewia. Strwożony dotknął paczuszki, którą trzymał pod koszulą, sprawdzając, czy wciąż tam jest, cała mokra od potu obficie wydzielanego przez jego ciało.

Nie można było dłużej zaprzeczać faktom. Umierał. Żadne nowe życie nie otworzy się przed nim po opuszczeniu statku, już nigdy się nie dowie, jaki los spotkał jego rodzinę, rodzonych braci, wielki dom na wsi, w którym przyszedł na świat. Wszystkie marzenia rozwiały się w jednej chwili jak dym. Prześladowcy w końcu go dopadli, a on uświadomił to sobie zbyt późno. Przed śmiercią czekało go jeszcze tylko jedno: nadludzki wysiłek, aby po raz ostatni zdobyć się na jasny i szybki przegląd sytuacji.

Nie mogąc złapać oddechu, zacisnął powieki, ale jego umysł nie był w stanie skoncentrować się na niczym poza świetlistym i niezwykle wyraźnym obrazem Alby, przepięknej arabskiej klaczy, która towarzy-

szyla mu przez długie lata w wielu trudach i triumfach. Przypomnił sobie, jak patrzyła, śmiertelnie raniona, najłagodniejszym na świecie spojrzeniem... I znów poczuł ten sam ból jak wówczas, kiedy dobijał ją, chcąc jej oszczędzić cierpienia. Tak samo jak wtedy łzy napłynęły mu do oczu. Alba zaś stała tam, z grzywą rozwianą na wietrze, i najwyraźniej go rozpoznawała. Na co czekasz, Bernardzie? Jestem tutaj, brakuje mi ciebie - zdawała się mówić, spoglądając łagodnie jak zawsze.

Pełznąć niczym pijak zagubiony wśród chorobliwych widziadeł, wy dostał się na pokład. Odetchnął świeżym powietrzem, by odzyskać opuszczające go siły, i ujrzał ponad sobą niewyraźny zarys twarzy. Stary Żyd pochyłał się nad nim z wyrazem zatroskania w oczach. - Guils, Guils, Guils... Chorzyście chyba, potrzebujecie pomocy.

Kiedy Abraham, pomagając mu wstać, objął go za plecy, Bernard przekonał się, że starzec zachował jeszcze немало siły w ramionach. Pomyślał, że Opatrzność podsuwa mu oto niespodziewaną i zarazem nieco dziwną drogę ratunku.

- Musicie mi pomóc dostać się na ląd, przyjacielu, to absolutnie konieczne... Na ląd... - słowa ledwie wydobywały się z jego ust, niewyraźne i sprawiające ból. Nie widział innego wyjścia, musiał zaufać Abrahamowi.

- Pomogę wam, Guils, możecie być pewni.

- Sądzę, że mnie otruto, Abrahamie, zostało mi niewiele czasu, pomóżcie mi tylko zejść na ziemię. Starzec zostawił Guilsa na rufie i pospieszył na poszukiwanie wody, a powróciwszy, bez zwłoki sięgnął do swej torby i rozpuścił w płynie trochę złocistego proszku.

- Wypijcie, Guils, to uśmierzy ból i pozwoli wam dotrzeć na ląd. Po-
tem zabiorę was do siebie. Jestem lekarzem, wydobrzejecie.

Bernard Guils pił lekarstwo powoli. Musiał się zastanowić; jedyne,
czego pragnął, to pomyśleć przez chwilę z pełną jasnością. Ramieniem
kurczowo przyciskał do siebie cenną paczuszkę, jakby cała jego energia
skupiła się w tym geście obrony. Usłyszał, jak ktoś z załogi oznajmia
przybycie łodzi mającej przewieźć pasażerów na brzeg. Z pomocą Ab-
rahama zdołał się częściowo podźwignąć.

-Odwagi, Guils, wesprzyjcie się na mnie, dacie radę... - Starzec
trzymał go mocno, zmuszając do postąpienia kilku kroków.

Guils czuł, że jego nogi są zdrętwiałe, martwe, ale szedł dalej, w
stronę sterburty, gdzie utworzyła się już kolejka oczekujących na łódź.
Stojący na jej czele brat Berenguer de Palmerola obserwował
zbliżającego się z trudem Guilsa, którego stary Żyd właściwie włókł
przez pokład.

- Pijani żołdacy i żydowscy heretycy - stwierdził dominikanin bez
cienia współczucia. - Czegóż się można spodziewać po takim wyklętym
przez Boga pomioście? To haniebne, że zmusza się mnie do
podróżowania w towarzystwie tego bydła. Powinienem napisać do sa-
mego króla, aby zechciał na przyszłość zapobiec podobnie oburzającym
wypadkom.

Brat Pere de Tever nie zwracał na niego uwagi i ani przez chwilę nie
wierzył w rzekome pijaństwo najemnika, nie był przecież głupi. Ten
człowiek wyglądał na chorego, bardzo chorego. Kiedy dwaj przygar-
bieni mężczyźni wreszcie się do nich dowlekli, brat Pere bez namysłu
zaferował Abrahamowi pomoc, co wywołało wściekłe i zgorszone
spojrzenie ze strony brata Berenguera. Młody zakonnik miał już jednak
zdecydowanie dosyć postępowania zwierzchnika i jego destrukcyjnego

szалу. W ciągu ostatnich dni ślepa zajadłość, którą jego brat w wierze przejawiał względem starego Żyda, skłoniła młodzieńca do refleksji. Zaprzysiął sobie wówczas, że nigdy, pod żadnym pozorem, nie upodobni się do brata Berenguera.

Zniesienie Guilsa do łodzi okazało się przedsięwzięciem niełatwym i wymagającym współpracy pasażerów, załogi oraz samego przewoźnika. Pomagał nawet Camposines, zapominając na moment o swym kosztownym ładunku. Kiedy łódź powoli kierowała się ku brzegowi, wsparty o Abrahama Bernard Guils stracił przytomność. Siedzącego na dziobie d'Auberta zalała na ten widok fala złośliwej satysfakcji. Też mi najemnik - zaśmiał się w duchu. - Niby taki dumny i nieprzystępny, a teraz spił się jak świnia i pozwala się obmacywać jakiemuś Żydowi. Tak, to wyglądało naprawdę zabawnie. Nieszczęście Guilsa radowało d'Auberta i wydatnie wpływało na poprawę jego nastroju. Nie mówiąc już o tym, że odpowiednio ubarwione mogło zaowocować znakomitą opowieścią dla kompanów z tawerny. Tak, dajmy na to on, d'Aubert, i Guils stają do pojedynku mającego dowieść, kto ma mocniejszą głowę: kubek za kubkiem, d'Aubert godny i spokojny, bez wahania wychylający kolejne porcje, Guils zaś złożony po trzecim kielichu, bełkoczący i w dygotkach... Doprawdy zachwycające.

Trudności powtórzyły się po przybiciu do brzegu, tym razem przy wynoszeniu nieprzytomnego z łodzi: Guils nie odzyskał bowiem przytomności, a jego wysoki wzrost utrudniał przedsięwzięcie, w które zaangażowali się teraz również wszyscy ci, którzy dotąd powstrzymywali się od spieszenia na pomoc. Wszyscy z wyjątkiem brata Berenguera, który nie oglądając się nawet na swego młodego sekretarza, z zaskakującą w jego wieku zwinnością wyskoczył z łodzi. Bernarda ułożono na piasku, gdzie leżał bez ruchu, całkowicie bezbronny i zdany na łaskę siedzącego przy nim Abrahama.

Starzec spoglądał na umierającego ze współczuciem i troską, od czasu do czasu rozglądając się za kimś, kto czekałby na jego przybycie. Nalegania chorego, aby koniecznie pomóc mu się dostać na ląd, pozwalały wszak przypuszczać, że znajdą tu kogoś, kto się nim zajmie. Jednakże pośród mrowiącego się w porcie tłumu, typowego dla dni, w których do portu zawijał statek, Abraham nie zauważył nikogo takiego. A więc dobrze - pomyślał. - Trzeba zabrać biedaka w lepsze miejsce. Może nie wszystko stracone, może da się jeszcze ocalić mu życie. Nie wiedział wprawdzie, jaką trucizną posłużono się w tym wypadku, ale mógł chociaż spróbować znaleźć antidotum, które jakimś cudem przywróciłoby Guilsowi życie. W każdym razie nie należało sobie robić zbyt wielkich nadziei, jad przeżerał organizm Guilsa od wielu dni, przez cały czas, kiedy człowiek len leżał na swej pryczy na statku i powoli umierał w najgłębszej samotności i bez słowa skargi.

Już na samym początku podróży Abraham zdecydował, że lubi Guilsa, że odczuwa względem tego nieznanego przecież mężczyzny szczególną sympatię. Coś mu mówiło, że to dobry człowiek, i nie zamierzał go teraz zostawiać na łasce losu. Jednakże, aby zanieść chorego do siebie, zdecydowanie potrzebował pomocy, zadanie to przerastało bowiem w sposób oczywisty jego wątłe siły. Ponownie rozejrzał się wokół, tym razem w poszukiwaniu jakiegokolwiek przyjaznej twarzy, która zdradzałaby zdolność do odczuwania litości nad nieszczęśliwym, i ujrzał, że zbliża się ku nim ten zabawny kupiec Ricard Camposines.

- Nie powinien był z tym czekać do ostatniego dnia – rzekł Katalończyk z nutą zawodu w głosie. - Nigdy bym go o to nie podejrzewał, w czasie podróży ani razu nie widziałem go pijanego. Zły moment wybrał sobie na słabostki

Abraham przyglądał mu się z uwagą. Nie przypuszczał, aby Camposines zechciał spuścić z oka swój drogocenny towar tylko po to, by pomóc nieznanemu, zwłaszcza w por- , cie, miejscu, gdzie należało wszystkiego pilnować szczególnie starannie. Zastanawiał się przez chwilę, nie było jednak czasu na dogłębne rozważania.

- Widzicie, przyjacielu... - zaczął ostrożnie. - To nie tak, ten człowiek wcale nie nadużył alkoholu. Jest chory i potrzebuje pomocy.

- Chory? Przecież wydawał się silny jak byk... Jesteście pewni?

- Absolutnie - przytaknął Abraham. - Jest bardzo chory. Otruto go i muszę jak najspieszniej przenieść go do siebie, aby sprawdzić, czy da się jeszcze cokolwiek zrobić. Nie ma czasu do stracenia, w przeciwnym razie umrze. Potrzebuję pomocy, przyjacielu.

Przeżona mina kupca świadczyła o tym, że słowa starego Żyda wywarły na nim silne wrażenie. Tam gdzie w grę wchodziła trucizna, zaczynało pachnieć spiskiem i podejrzanymi konszachtami, a Camposines nie chciał kłopotów. Cała ta sprawa mogła zaszkodzić jego przedsięwzięciu i to właśnie w chwili, kiedy udało mu się w końcu dotrzeć do domu. Z drugiej jednak strony zarówno Guils, jak i Abraham wyglądali na porządnych ludzi, no i skoro nawet ten starzec potrafił się zdobyć na tyle bezinteresownego, chwytającego za serce współczucia... Camposinesa zalała fala wstydu, zmieszanego z nagłym poczuciem własnej podłości. Stał wpatrzony w scenę malującą się przed jego oczami: wysoki i silny najemnik, nieprzytomny teraz i zaskakująco kruchy, bezwładnie leżał na piasku pod opieką starca, w którego oczach błyszczała wewnętrzna moc. Kupiec pomyślał zniechęca, że jest nędznikiem pozbawionym odwagi, którą w przeciwieństwie do niego posiadali ci dwaj tak różni, a tak zarazem do siebie podobni ludzie.

- Pomogę wam, Abrahamie, chociaż nie dam rady zrobić tego osobiście. Jeden z moich tragarzy zanieś Guilsa tam, gdzie każecie. Mam nadzieję, że chociaż w ten sposób na coś się przydam.

- Nic lepszego nie możecie zrobić, przyjacielu. Mam nadzieję, że będzie mi dane odwdzięczyć się wam za tę ogromną przysługę. Jestem lekarzem i od tej pory bez względu na okoliczności pozostaję do waszej dyspozycji.

- Słowa te zapadły Camposinesowi głęboko w pamięć. Lekarz! Ten Żyd był lekarzem, a Żydzi cieszyli się wszak w tym zawodzie zasłużoną sławą. Nie na darmo korzystali z ich usług królowie i szlachetnie urodzeni. Oto nadzwyczajny zbieg okoliczności, lekcja, z której należało wyciągnąć wnioski: podróżował przecież z tym człowiekiem przez wiele dni i zastraszony obecnością dominikanów nie odezwał się do niego niemal słowem. Powikłane są ścieżki, którymi prowadzisz nas, Panie, choć za wszelką cenę próbujemy je wyprostować.

Nie zwlekając dłużej, Camposines pobiegł na poszukiwanie człowieka, który kierował rozładunkiem jego towaru, nie mniej starannie niż on sam sprawdzając każdy pakunek opuszczający czeluście ładowni. Znalazłszy go, polecił odesłać jednego z tragarzy do specjalnego zadania, które, oczywiście, miało zostać stosownie wynagrodzone.

Obserwował, jak odchodzili. Tragarz niósł Guilsa na plecach niczym niezbyt ciężki worek, podążający zaś obok Abraham wskazywał drogę, dźwigając swą niewielką torbę. Camposines ujrzał, jak, niemal niewidoczni w tłumie, kierują się w lewo, jakby szukali najkrótszej drogi do cali, żydowskiej dzielnicy w Barcelonie. Nie ruszył się z miejsca, póki nie znikli mu z oczu.

Stosując się do papieskiego rozporządzenia, skupieni w miastach Żydzi zamieszkiwali osobne dzielnice, w Katalonii określane mianem

cali. W ich obrębie mogli prowadzić życie zgodne ze swymi zwyczajami, mieli synagogę, która pełniła także rolę miejsca spotkań i szkoły, koszerną rzeźnię, a także piekarnię, łaźnię i wszystko, czego tylko potrzebowali.

Jako bezpośredni poddani królewscy nie zależeli od kaprysów szlachty, byli jednak zobowiązani do bezwarunkowego spełniania wszystkich żądań władcy. Jemu płacili wszelkie podatki, w zamian za co mogli liczyć na stałą, choć kosztowną opiekę: do podatków należało bowiem dodać także nieustanne pożyczki udzielane koronie, której bez przerwy brakowało pieniędzy. Społeczność żydowska potrafiła się wszakże tak zorganizować, aby skutecznie stawić czoło nawet nieprzewidzianym wydatkom; dlatego jedną z najważniejszych funkcji cali było utrzymywanie stanu ciągłej gotowości, który zapobiegał przykrym niespodziankom ze strony królewskiego poborcy. Król natomiast zapewniał dzielnicy żydowskiej i jej mieszkańcom ochronę przed ekscesami szlachetnie urodzonych i nagłymi rozruchami wśród ludu.

W tysiąc dwieście piętnastym roku Sobór Laterański IV nakazał przedstawicielom wyznania mojżeszowego noszenie oznaczeń odróżniających ich od chrześcijan. Decyzję tę wyjaśniano potrzebą zapobiegania przypadkom, w których oskarżony o przekroczenie dozwolonych między żydami i chrześcijanami stosunków tłumaczył się niewiedzą. W Katalonii uchwała soboru przełożyła się w praktyce na konieczność przyszywania do ubrań okrągłych kawałków żółto-czerwonego materiału, które mężczyźni nosili na piersiach, a kobiety przyczepiały do nakryć głowy. Małżeństwa między przedstawicielami różnych wyznań były jak naj-surowiej zabronione.

Abraham chciał jak najprędzej dotrzeć w bezpieczne zacisze swej dzielnicy. Kierując się ku dwóm okrągłym wieżom Portal de Regomir, nie zagłębił się w labirynt staromiejskich uliczek, tylko podążył ze-

wnętrzną stroną rzymskich murów aż do Castell Nou, który strzegł południowych krańców Barcelony i stanowił zarazem bramę wejściową do tutejszego cali.

Żyd rozmyślał o kłopotach, których próba ratowania Guilsa bez wątpienia przysporzyć mu miała zarówno wśród chrześcijan, jak i w ramach własnej społeczności, niby ognia wystrzegającej się jakichkolwiek konfliktów z prawem. Podjął już jednak decyzję, a jako lekarz nie mógł się stosować do sztucznych podziałów, niezależnie od tego, czy były one natury rasowej, czy wyznaniowej. Dla chorego liczy się jedynie jego choroba oraz to, czy znajdzie się obok ktoś zdolny ulżyć mu w cierpieniu. Jeśli więc to, co robił, miało pociągnąć za sobą przykre konsekwencje, Abraham zamierzał pomyśleć o tym później, kiedy już pomoże Guilswi. Nie potrafił się wszakże uwolnić od niepokoju i wzburzenia: gdyby bowiem Guils umarł u niego w domu, należałoby wyjaśnić, co robi ciało chrześcijanina w samym środku dzielnicy żydowskiej, a wyjaśnić podobną rzecz byłoby niełatwo.

Idąc, a właściwie biegnąc za tragarzem, zmusił się do odegnania tych czarnych wizji. Powinien częściej brać przykład ze swego przyjaciela Nahmanidesa: on nie zawahałby się ani przez moment i działałby zgodnie z własnym sumieniem, a nie pod wpływem strachu.

Znalazłszy się przed Castellnou, tragarz stanął jak wryty. Nie zamierzał uczynić ani kroku dalej, co to, to nie, ani tym bardziej zagłębiać się w dzielnicę żydowską. Zadanie może i było specjalne, ale gdyby go uprzedzono, że chodzi o szwendanie się po sali, nie zgodziłby się za żadną cenę. Wcześniej nie wnikał w szczegóły, aby nie rozdrażnić chlebobdawcy, teraz wszelako uznał swoją pracę za zakończoną, o czym nie omieszkał natychmiast powiadomić starego Żyda.

Abraham nie wdawał się w dyskusję, ponieważ w tej właśnie chwili dostrzegł swojego przyjaciela i sąsiada Mosze, właściciela rzeźni. Przywołał go dyskretnie i poprosił o pomoc.

To tylko kilka metrów, Mosze, sam nie dam rady. Pomóż mi, błagam.

- To wprost niesłychane, Abrahamie. Znikasz na rok z górą i nie raczysz wysłać choćby nędznego świstka z wiadomością, że masz się dobrze, że wracasz... Zresztą czy ja wiem, mógłbyś napisać cokolwiek! A jak się już nagle pojawiaasz, to z dogorywającym chrześcijaninem na plecach. Zupełnie zwariowałeś!

Rzeźnik wyglądał na rozdrażnionego. Cenił swego starego przyjaciela, winien był mu wdzięczność za liczne przysługi, ale Abraham kazał sobie za nie płacić w sposób doprawdy szczególny, choć czasy przecież nastąpiły takie, że należało unikać wystawiania się na jakiegokolwiek niepotrzebne ryzyko. Zgodził się więc niechętnie, każdym ruchem podkreślając swój całkowity sprzeciw i próbując nakłonić Abrahama

do zarzucenia szalonych planów za pomocą wszystkich argumentów, jakie tylko przyszły mu do głowy. A było ich niemało.

- Masz absolutną rację - odparł Abraham, resztką sił podtrzymując Guilsa, - Zgadzam się z każdym twoim słowem. Ale ten człowiek zachorował, Mosze, a ja jestem lekarzem. Cierpienie nie liczy się z wyznaniem czy rasą, zrozum.

We dwóch zataszczyli Guilsa na pierwsze piętro domu Abrahama, do sypialni. Mosze się zasapał, wyglądało jednak na to, że skoro tylko odzyska oddech, natychmiast powróci do przerwanych wywodów. Nie zostało mu to wszakże dane. Należało czym prędzej przystąpić do dzia-

łania, toteż Abraham, podziękowawszy za pomoc, bez zwłoki pożegnał przyjaciela.

- Wdzięczny ci jestem z całego serca, Mosze, ale nie chcę cię w to mieszać jeszcze bardziej. Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie. Rozebrawszy dygotającego wskutek gorączki Guilsa, okrył go stannem, a potem przeszedł do pokoiku, który służył za laboratorium i gabinet. Tu, w otoczeniu leczniczych ziół i rozmaitych mikstur, zawsze przygotowywał swe medykamenty. Intensywny i znajomy zapach uspokajał go, ale teraz sytuacja wymagała pośpiechu, zwłaszcza że nie wiedząc, jaką truciznę podano choremu, musiał się opierać wyłącznie na obserwacji objawów. Trzeba było spróbować ogólnego antidotum, skutecznego przy wielu rodzajach jądów; brak czasu uniemożliwił bardziej szczegółowe analizy. Abraham przystąpił więc do pracy, w przerwach zaglądając do chorego, już to aby zmienić mu obniżające gorączkę okłady z czarnego bzu, już to aby zmusić go do przełknięcia kilku łyków wody.

Uzyskawszy odpowiednie proporcje naparu, powoli - kropla za kroplą - napił nim Guilsa. Musiał bardzo uważać: wprawdzie jedna trucizna często zabija drugą, ale niekiedy potrafi też przy okazji dobić pacjenta, dlatego nie mógł sobie pozwolić na żaden błąd, na najdrobniejszą choćby niedokładność.

Abraham usiadł na niskim stołku tuż przy łożu, wsłuchując się w oddech chorego. Dwie godziny później odniósł wrażenie, że stan Guilsa się poprawia. Wychudła, poszarzała twarz zaczęła nabierać życia i kolorów, konwulsyjne łapanie powietrza ustąpiło miejsca rytmicznemu oddechowi. Lekarz doznał ulgi, ale mimo dobrze rokujących objawów nie popadał jeszcze w pochopną radość: lata doświadczenia podpowiadały mu, że trucizny często działają w sposób zdradziecki i nieprzewidywany. W niektórych wypadkach poprawa stanu pacjenta

stanowiła jedynie zapowiedź śmierci. Pozostawało się zatem modlić i mieć nadzieję. Nic więcej nie mógł zrobić.

Odsunął stółek i przyciągnął do łóżka ulubiony fotel. Mebel ten, równie stary i wymęczony jak on sam, przez długie lata idealnie dostosował się do kształtu jego ciała. Starzec czuł się wyczerpany, gorączkowa aktywność ostatnich godzin zaowocowała zmęczeniem tak ogromnym, że nie miał nawet siły, by sięgnąć po własne lekarstwa. Pomyślał, że zdąży je wziąć później. Na razie musi odpocząć.

Ocknął się w popłochu. Piękny, śnieżnobiały koń arabskiej krwi spoglądał na niego z wyzwaniem, jego grzywa powiewała w podmuchach wiatru, wzniesione przednie nogi niecierpliwie młóciły powietrze. Podobne do rozpaczliwego, błagalnego krzyku rżenie przeszło mózg Abrahama. Nie mogąc znieść przenikliwego dźwięku, wciąż jeszcze na wpół świadomy, starzec zatkał uszy rękami. Potrzebował kilku sekund, by pojąć, że to tylko majaki. Najwyraźniej usnął tak głęboko, że jego dusza, opuściwszy ciało, odbyła podróż w odległe i nieznane krainy, skąd ktoś przesyłał mu teraz niemożliwą do zrozumienia wiadomość. Ktoś lub coś.

Abraham siłą woli odegnał resztki senności i spojrzał na swojego pacjenta. Bernard zdawał się pogrążony w łagodnym śnie, jego twarz wy pogodziła się, wolna od śladu trosk i lęków. Oddychał normalnie, chrapliwy świst wydobywający się wcześniej z jego płuc ustąpił, pierś podnosiła się i opadała miarowo. Abraham uspokoił się nieco: może jeszcze zdoła ocalić to życie, może zastosowane środki przyniosą rezultat, a zdobyte z takim trudem umiejętności tym razem na coś się przydadzą. Był już taki stary, tyle przeżył, lecz wciąż nie wyzbył się poczucia bezsily wobec śmierci. Przypomniiał sobie czasy młodości, lata studiów, pierwszy widziany z bliska zgon, który tak nim wstrząsnął, że o mały włos porzuciłby naukę, zrezygnował ze wszyst-

kich planów i wrócił do domu pomagać ojcu w zakładzie jubilerskim. Nie zrobił tego jednak, a ojciec, rozczarowany, że syn nie chce kontynuować rodzinnej tradycji, nigdy mu nie wybaczył.

Nie była to wszakże odpowiednia chwila do snucia bezproduktywnych rozważań i popuszczania cugli pamięci, która ulatując swobodnie, każe nam zapominać o rzeczywistych cierpieniach. Biały koń i wspomnienie ojca mogły tylko przeszkadzać w czekającej Abrahama pracy. Wszelako... jakież ciekawe są tajemnice ludzkiego umysłu, jak zadziwiające ich związki ze światem realnym! Już wiele lat wcześniej Abraham doszedł do wniosku, iż rzeczywistość nie istnieje. A przynajmniej nie ta, o której mówi się w synagogach i chrześcijańskich świątyniach. Przekonanie to kosztowało go wiele przykrości ze strony współwyznawców.

- Ta filozofia... - mruknął do siebie, uśmiechając się lekko. Nie, to zdecydowanie nie był moment sprzyjający podobnym refleksjom.

Pozwolił Guilsowi spać dalej. Chory wyglądał na spokojnego, ale Abraham nie miał pewności, czy się w ogóle obudzi. Być może jedyne, co mógł dla niego uczynić, to zapewnić mu łagodną, bezbolesną śmierć. Przegnał te myśli, nie potrafił wszakże zapomnieć o białym koniu, który niecierpliwie, z wyzwaniem w oczach, usiłował mu przekazać niezrozumiałą wiadomość.

Przygotował gorącą zupę. Jeśli Guils się obudzi, pożywny bulion na ziołach dobrze zrobi im obu, dwóm chorym, których różniła jedynie możliwość odwleczenia wyroku. Przeszedł się po domu. W czasie podróży nie tęsknił za niczym prócz swoich studiów nad geometrią, swego laboratorium, zastawionych medykamentami półek... Nic się tu nie zmieniło. Szwagierka zadbała, aby podczas jego nieobecności pośród tych czterech ścian nadal panował porządek, aby wszystko wyglądało, jakby nigdy stąd nie wyjeżdżał, i aby duch jego dawno zmarłej

żony Rebeki nie opuścił domu, wciąż się krzątając i wprowadzając ład w życie Abrahama.

Już miał się na powrót pogрузić we wspomnieniach, które najwyraźniej nie zamierzały zostawić go dziś w spokoju, kiedy usłyszał krzyk Guilsa. Natychmiast wrócił do rzeczywistości i pobiegł do sypialni, gdzie zastał Bernarda zlanego zimnym potem, z posiniałą, zmienioną twarzą.

- Guillem! Guillem! Guillem! - wołał chory rwącym się głosem.

- To ja, Abraham, przyjacielu, wasz towarzysz podróży. Uspokójcie się, proszę, jesteście w moim domu, bezpieczni, nie ma powodów do niepokoju... - Starzec podtrzymywał Bernarda, ocierając mu pot.

- Abraham Bar Hija - Guils wymówił pełną wersję imienia gospodarza głosem silnym i wyraźnym, nagle całkowicie przytomny. - Abrahamie, przyjacielu, mam bardzo mało czasu. Ukryjcie paczuszkę, którą chowałem pod koszulą, to niezwykle ważne. Nie pozwólcie, by dostała się w niepowołane ręce. Przysięgnijcie, że spełnicie moją prośbę.

- Powinniście odpocząć, Bernardzie. Niczym się nie trapiecie i próbujcie wracać do zdrowia.

Usiłując go uspokoić, Abraham nie zdradził mu, że pośród ubrań nie znalazł żadnej paczuski. Guils najprawdopodobniej majaczył wskutek gorączki i nie warto go było jeszcze bardziej trwożyć.

- Musicie uprzedzić zakon Świątyni, Abrahamie, powiadomcie templariuszy o moim przybyciu, o mojej śmierci... Oni będą wiedzieli, co zrobić, nie pozwolą, by za udzieloną mi pomoc spotkały was nieprzyjemności, oni... Powiadomcie ich niezwłocznie i przekażcie paczuszkę Guillemowi, on na mnie czeka... Bernard Guils zwinął się z

bólu, jego twarz ponownie przybrała barwę popiołu, a oddech stał się świszczący. Abraham stwierdził ze smutkiem, że wszystkie wysiłki poszły na marne i nie udało się powstrzymać spustoszeń czynionych przez truciznę w organizmie chorego. Znowu podał mu odrobinę antidotum, tym razem już tylko po to, aby nieco uśmierzyć jego cierpienie. Wiedział, że zbliża się koniec.

-Abrahamie, trzeba uprzedzić Guillem... Cień wyjdzie z ciemności, niech Guillem trzyma się z dala od ciemności!

Bernard Guils opadł na poduszki, niespokojny i całkowicie pogrążony w swoich majaczeniach. Spragniony i wyczerpany długą przeprawą przez pustynię dojeżdżał oto do Jordanu. I zobaczył ją nagle, stała tam, czekając nań, jak gdyby od niepamiętnych czasów nie robiła nic innego. Biała niby płaszcz okrywający jego ramiona, z grzywą rozwianą na wietrze, w geście powitania wysoko podniosła przednie kopyta. Jego Alba, najpiękniejsza... Czekwała na niego od tak dawna... Zbliżył się do niej, przemawiając cichutko, i łagodnie pogłaskał ją po grzywie. W końcu, ująwszy wodze, wskoczył na siodło. Nic już nie wiązało go z przeszłością, po drugiej stronie rzeki otworzy się przed nim nowe życie. Nie oglądając się nawet, z uśmiechem przekroczył Jordan.

Abraham patrzył, jak na twarzy Bernarda rozlewa się wyraz ogromnego spokoju, uwolnione od bólu ciało zdawało się rozluźniać, ustawały przedśmiertne drgawki, a wraz z nimi - życie. Zamykając jedyne oko zmarłego i przykrywając jego twarz prześcieradłem, lekarz poczuł przyływ głębokiego smutku. Znieruchomiały, zaczął odmawiać kadysz za chrześcijanina, którego nie potrafił ocalić.

Z zadumy wyrwało go stukanie do drzwi. Nie miał pojęcia, ile czasu spędził u boku Guilsa. Dźwignął się powoli, jakby ciążyło mu własne

ciało, i nagle dziwnie spokojny podszedł do drzwi, za którymi stał skruszony Mosze.

- Abrahamie, wybacz mi to, co mówiłem wcześniej, nie miałem prawa oceniać cię równie surowo, naprawdę przepraszam... - Na jego twarzy malował się taki żal, że lekarz, rozbrojony skrupułami przyjaciela, pozwolił mu wejść do środka.

- Śmiało, stary raptusie, właśnie miałem po ciebie iść.

- Jak się ma twój pacjent? Pomogłeś mu? Potrzebujesz czegoś? - Mosze sam już nie wiedział, jak wyrazić swą skrucę.

- Niedawno umarł. Niewiele mogłem zrobić... trucizna, którą mu podano, okazała się zbyt silna - odparł Abraham, zapraszając gościa do niewielkiego pomieszczenia służącego za jadalnię.

- Trucizna! - wykrzyknął Mosze.

Abraham opowiedział mu więc całą historię, niczego nie tając, pragnął bowiem podzielić się z kimś strapieniem, a któż nadawał się do tego lepiej niż przyjaciel. Mimo pewnej, niewielkiej zresztą, różnicy wieku, wychowywali się razem od dziecka i zawsze byli najwierniejszymi druhami. Mosze, wzorem swojego ojca, wyznawał konserwatywne poglądy: wybrał zawód zgodny z rodzinną tradycją i ożenił się z dziewczyną wybraną przez starszych, choć, o czym Abraham doskonale wiedział, kochał z wzajemnością siostrę przyjaciela, Miriam. Żadne z nich nie zdobyło się jednak na walkę z przeciwnościami, czego złe skutki nie dały długo na siebie czekać. Żona Moszego okazała się kobietą despotyczną i pyszną, nieustannie pomiatającą swym mężem, a ukochana siostra Abrahama poślubiła surowego rabina, który szybko starł z jej twarzy nawet cień uśmiechu. Przyzwyczajony do porządku i codziennej rutyny Mosze przeżył wstrząs, słuchając opowieści lekarza.

Od dzieciństwa podziwiał mądrość Abrahama i zawsze radowały go jego szacunek i zaufanie.

- Niech Bóg nas ma w opiece, Abrahamie! W ładną histo-2ię się uplatałeś! I jeszcze ten nieboszczyk w twoim domu! Co my teraz zrobimy?

Abraham uśmiechnął się, słysząc liczbę mnogą, która świadczyła o tym, że Mosze, głęboko zatroskany o bezpieczeństwo przyjaciela, zaangażował się już całkowicie w przebieg wydarzeń.

- Ty wrócisz do domu, nic nikomu nie mówiąc. Jeśli cię o mnie zapytają, powiesz, że pojechałem odwiedzić pacjenta i że nie wiesz, kiedy wrócę.

- Ale, Abrahamie, ludzie pewnie myślą, że jeszcze nie wróciłeś z Palestyny, więc...

- Nie, Mosze - przerwał mu Abraham. - Bardzo możliwe, że ktoś mnie zauważył na ulicy. Wiesz, jak szybko rozchodzą się u nas wieści: myślisz, że nikt cię nie dostrzegł, a potem się okazuje, że jesteś głównym tematem rozmów w synagodze. Dlatego w miarę możliwości lepiej nie odbiegać od prawdy. Ja tymczasem zrobię to, o co prosił przed śmiercią Guils: pójdę do templariuszy i wszystko im opowiem.

- Masz rację, tak będzie najlepiej - przyznał Mosze. - Całe szczęście, że to ich sprawa. Ale do kogo właściwie zamierzasz się zwrócić? Nie możesz przecież wparadować tam ze słowami: „Jeden z waszych leży u mnie w domu martwy”.

- Nie martw się, mam wśród nich starego druha, człowieka godnego zaufania. Chciałbym cię jednak jeszcze o coś prosić: uważaj na wszystko i zorientuj się, czy ktoś wie o moim powrocie. A, i porozmawiaj z moją szwagierką. Możesz jej powiedzieć, że już wróciłem, ale obowią-

zek kazał mi znowu wyjechać. Nie wdawaj się w szczegóły, bo łatwiej cię wtedy przyłapie na kłamstwie.

Abraham pożegnał przyjaciela, udzielając mu ostatnich wskazówek. Potem udał się do sypialni, gdzie nakryty prześcieradłem, obojętny już na bóle i smutki tego świata Guils odbywał właśnie podróż, której nikt nie mógł z nim dzielić. Starzec ponownie przeszukał jego ubrania, starannie zbadał każdy centymetr materiału, ze szczególną uwagą przyglądając się szwom i zawartości kieszeni, nie znalazł wszakże nic interesującego. Możliwe oczywiście, że historia o paczusce była wytworem mającego pod wpływem trucizny umysłu, coś jednak Abrahamowi mówiło, że to nieprawda. Samo morderstwo zdawało się przeczyć takiej hipotezie, do zabicia człowieka potrzeba bowiem zazwyczaj powodu, a istnienie tajemniczego zawiniątka wiele by w tym względzie wyjaśniało.

Pośród szat Guilsa nie odkrył jednak nic niezwykłego. Usiadł przy zmarłym i wysilił pamięć. Zamknąwszy oczy, ujrzał Bernarda, jak stoi na rufie statku, z prawą ręką przyciśniętą do boku. Przypomniawszy sobie jego energiczne spacerowanie z dziobu na rufę i z powrotem oraz często powtarzający się ruch lewej dłoni, która wędrowała ku piersi, wyraźnie sprawdzając, czy coś ważnego wciąż znajduje się na swoim miejscu. Tak, z całą pewnością Guils przewoził jakąś wartościową dla siebie rzecz. W czasie podróży Abraham doszedł wszakże do wniosku, że małomówny nieznajomy niepokoi się po prostu o bezpieczeństwo swojej sakiewki, co nie mogło dziwić nikogo, kto posiadał choć odrobinę doświadczenia: spotykani na morzu obcy ludzie nierzadko okazywali się skłonni do kradzieży.

Ktoś zatem okradł Guilsa, wykorzystując jego niemoc albo, co gorsza, aby móc to uczynić, sam wywołał chorobę. Okazji nie brakowało, od chwili opuszczenia statku kręciło się wokół nieprzytomnego wiele

osób. W umyśle Abrahama powoli zarysowywał się obraz sytuacji. Umierając, Guils wzywał jakiegoś Guillega i prosił, aby go o czymś uprzedzić. Nie dodał jednak żadnych szczegółów, a samo imię, dość popularne, nie mogło naprowadzić na właściwy trop. Należało przy tym zachować daleko idącą ostrożność; niepohamowany lęk Bernarda wyraźnie bowiem dowodził, że sprawa, dla której zmarły poświęcił życie, zalicza się do poważnych i niebezpiecznych. Abrahamowi, który gorąco pragnął spełnić ostatnią wolę Guilsa, bezsprzecznie brakowało informacji. Zastanowiwszy się przez moment, podjął decyzję. Wziął pelerynę i wyszedł z domu.

Zapadał zmrok. Abraham musiał się spieszyć, ponieważ zamknięcie bramy Castell Nou oznaczało uwięzienie do następnego poranka. Dzięki Bogu siedziba zakonu znajdowała się niedaleko, niecałe pięć minut drogi od jego domu. Starzec nie natknął się na nikogo znajomego: o tej porze ludzie zwykli raczej siedzieć u siebie, a strażę nocną zapewne korzystały jeszcze z ostatnich chwil wolności w tawernach.

Umysł Abrahama nie przestawał gorączkowo pracować. Guillem?... Tak miał na imię zwierzchnik barcelońskiej komandorii, Guillem de Pontons, ale czy naprawdę o niego chodziło Guilsowi? Trzeba będzie improwizować.

Z barcelońskimi templariuszami łączyły Abrahama bardzo dobre stosunki. Jako że wzywany do chorego nigdy nie odmawiał przysługi, traktowano go zawsze z szacunkiem i sympatią. Pewną rolę odgrywały też w owych przyjacielskich układach pożyczki, nader często zaciągane przez zakon u mieszkańców żydowskiej dzielnicy, co przynosiło korzyści obu stronom i sprzyjało ubijaniu doskonałych interesów.

Abraham przystanął gwałtownie, na moment przerywając swe rozmyślenia. Odnosił niemiłe wrażenie, że ktoś go śledzi, wśród zapadają-

cej ciemności nie udało mu się jednak dojrzeć nie poza gęstniejącymi cieniami. Przysiągłby wszakże bez wahania, że kiedy się odwracał, za jego plecami mignął brzeg płaszcza, który w tej samej chwili zniknął w jakimś ciemnym zaułku niczym ponury twór wyobraźni. Wszędzie panowała zupełna, niezakłócona żadnym znajomym dźwiękiem cisza.

Starzec przyspieszył kroku, szczerzej otulając swe chude ciało peleryną. Chociaż nie było wcale zimno, poczuł zniecka przebiegający mu po plecach dreszcz. To ze strachu - pomyślał. Uświadomił sobie nagle, że bardzo się boi i że za stary jest na tego typu przygody. Odetchnął z ulgą dopiero wtedy, gdy w mroku przed sobą rozpoznał potężne kształty klasztornych wież. Tutaj będą wiedzieli, co robić i w jaki sposób działać.

Na pobliskim murze zarysował się dziwny cień, którego obecności w tym miejscu nie tłumaczyło żadne światło. Wyglądał jak jedna z plam na kamieniach od stuleci chłostanych deszczem. Kiedy Abraham zniknął w bramie domu zakonnego, cień rozplynał się, jakby zdmuchnięty delikatnym powiewem.

ROZDZIAŁ III

GUILLEM DE MONTCLAR

Po pierwsze zapytamy, czy macie żonę lub narzeczoną, która prawem Świętego Kościoła mogłaby domagać się waszego powrotu. Albowiem gdybyście skłamali i zdarzyłoby się, że nazajutrz lub później przybyłaby ona do nas i potrafiła wykazać, że należycie do niej, i prawem Świętego Kościoła zażądałaby waszego powrotu, odarto by was z

plaszcza, zakuto w żelazo i przeznaczono do pracy pospołu z niewolnikami. A ukarawszy was przykładnie, oddano by was owej kobiecie i utracilibyście dom na zawsze. Pytamy przeto, czy macie żonę lub narzeczoną?

Podniósł się z kamiennej ławki i znowu podszedł do okienka. Dokładnie sześć kroków pomnożonych przez dwadzieścia razy, kiedy przebywał tę odległość, dawało w rezultacie sto dwadzieścia kroków. Ponownie rzucił okiem na zewnątrz. Zatrzymał wzrok na wieży klasztoru Sant Pere de les Puelles, zwanej Torre dels Ocells. Wokół ogromnego zespołu klasztorowego powstała stopniowo cała dzielnica. Dalej rozciągały się ziemie uprawne i wznosiły liczne młyny skupione wzdłuż strumienia Rec Condal.

Należący do templariuszy młyn, w którym się obecnie znajdował, po wielekroć służył za punkt spotkań z Guilsem: był bowiem jednym z miejsc, gdzie Bernard najbardziej lubił omawiać delikatne sprawy.

- Sam pomyśl, chłopcze, komu przyszłoby do głowy, że dwóch obmierzłych szpiegów takich jak my może się spotykać w starym młynie? Poza tym ponieważ to własność zakonu, wszystko zostanie w rodzinie i nikt nam nie będzie przeszkadzał. Ktoś najwyżej pomyśli, że należymy do biegłych w prawie wybrańców i upodobaliśmy sobie to ustronie, by omawiać kolejny proces o ziemię z siostrzyczkami z Sant Pere - zadrwił kiedyś Guils, widząc zaskoczenie na jego twarzy, gdy po raz pierwszy się tu umówili. Mimo wszystko pomysł okazał się niezły, przyznał Guillem. W młynie było cicho i pusto, jeśli oczywiście nie liczyć kilku opiekujących się nim templariuszy, którzy od czasu do czasu rzucali młodzieńcowi badawcze spojrzenia. Guillem de Montclar był głęboko zaniepokojony spóźnieniem swojego zwierzchnika. Guils zawsze zjawiał się punktualnie i Guillem przypominał sobie teraz jego wskazówki dotyczące podobnie awaryjnych sytuacji.

-Piętnastominutowa zwłoka to wystarczający powód do poważnego niepokoju, pół godziny oznacza alarm i konieczność przygotowania się do ucieczki. Wbij sobie tę zasadę do głowy, chłopcze, bo możliwe, że kiedyś ocali ci życie - powtarzał Bernard z naciskiem i śmiertelną powagą w głosie.

Minęły już wszakże cztery godziny, a Guillem nadał nie ruszał się z miejsca, stercząc w okienku, niezdolny pogodzić się z myślą, że być może naprawdę stało się coś złego.

Pomyślał o Bernardzie Guilsie. Pracował z nim od pięciu lat, uważał za nauczyciela, więcej, za mistrza, i jeśli umiał cokolwiek, to tylko dzięki niemu. Bernard niejako zastępował mu ojca, którego chłopiec nigdy nie poznał albo po prostu nie pamiętał, zamordowano go bowiem, kiedy Guillem liczył sobie zaledwie dziesięć lat. Matka schroniła się wówczas pod opiekę templariuszy z Barbara, miejscowości, skąd wywodziła się rodzina Montclarów. Berenguer de

Montclar, ojciec Guillega, należał do lokalnej szlachty i zawsze wiernie służył zakonowi, toteż po jego śmierci bracia zajęli się wykształceniem i przyszłością małego Guillega. Stopniowo stali się jedyną jego rodziną. Kiedy skończył czternaście lat, wyjaśnił dziwny wypadek, który niepokoił jego przełożonych, a nauczyciele stwierdzili, że jest niezwykle bystry, wręcz, jak utrzymywał jego główny opiekun, obdarzony szóstym zmysłem. Nie zwlekano więc z oddaniem go na naukę Guilsowi.

Nieobecność Bernarda z każdą chwilą stawała się coraz bardziej nie do zniesienia, wywołując w duszy Guillega zamęt, który uniemożliwiał jakiegokolwiek działanie. Guils, Guils, Guils, gdzie się do diabła podzie-
wasz? - rozmyślał młodzieniec gorączkowo, powoli ulegając panice. To niemożliwe, żeby przytrafiło mu się coś złego, nie jemu! Bernard umiał

sobie poradzić ze wszystkim, był najbardziej pomysłową i inteligentną osobą, jaką zdarzyło się Guillemowi w jego krótkim życiu spotkać. Jednakże wszelkie próby, aby w logiczny i racjonalny sposób wytłumaczyć coraz większe spóźnienie mistrza, kończyły się fiaskiem.

Niewiele ponad miesiąc wcześniej Guillem otrzymał od Guilsa wskazówki przywiezione przez tunezyjskiego emisariusza. Przebywał wówczas w Barba, dokąd Bernard zwykł go wysyłać dla zaczerpnięcia oddechu. „Sięgaj do korzeni - mawiał - zawsze sięgaj do korzeni, aby nie zapomnieć, kim jesteś”. Zaszifrowana wiadomość nie zawierała zbyt wiele: tylko niezbędne minimum, jak zazwyczaj. Chodziło o przesyłkę ogromnej wagi, szczególnie istotną dla najwyższych władz zakonu. Guils podawał datę spodziewanego przybycia swej galery, oczywiście pod warunkiem, że ta nie zatonie ani nie zatrzymają jej sztormy lub piraci. Dlatego Guillem już od tygodnia wałęsał się po Barcelonie, zwłaszcza w okolicach portu, wsłuchując się zarówno w plotki, jak i w bardziej wiarygodne doniesienia o mających wpłynąć do portu statkach. Wiedział, że Bernard wybrał wenecką galere, w przekonaniu, że Wenecjan nie interesuje nic poza własną korzyścią, dzięki czemu na widok wypchanej kiesy przestają zadawać zbędne pytania. Teraz zaś wiedział coś jeszcze, coś, o czym wolałby się nigdy nie dowiedzieć: Bernard Guils nie zjawi się w starym młynie, bo zdarzyło się coś strasznego i w związku z tym należy się stąd natychmiast ruszyć. Cóż, że zaledwie przed kilkoma godzinami obserwował zamęt, jaki przybycie weneckiego statku wywołało na nabrzeżach wśród tragarzy, przewoźników, lichwiarzy i kupców. Korzystając z tego, że nikt nie zainteresował się roztargnionym i ewidentnie niedoświadczonym młodzieńcem, który na pierwszy rzut oka przypominał kupieckiego synalka, Guillem zastosował się do nauk Guilsa i bacznie rozejrzał. Zadowolony stwierdził, że nie ma powodów do niepokoju i wszystko najwyraźniej jest w porządku. Dlatego, idąc za kolejnymi wskazówkami

mi mistrza, jeszcze zanim łodzie popłynęły po pasażerów nowo przybyłego statku, pospieszył na miejsce spotkania, gdzie czekał do tej pory, choć spóźnienie Guilsa dowodziło niezbicie, że powody do niepokoju z pewnością są i nic nie jest w porządku.

Wyszedł z młyna i głęboko odetchnął. Chwila nie sprzyjała zbyt długim rozmyślaniom, więc szybkim krokiem, nie biegnąc jednak, aby nie ściągać na siebie uwagi, ponownie ruszył w kierunku portu.

Należało zacząć od początku i powstrzymując się od nieprzemyślanych posunięć, wykonać to, czego Bernard uczył go przez ostatnie lata. Działanie nie osłabiło wszakże intensywnego poczucia samotności i pustki, które zalewało go ogromną falą. Może jego przyjaciel podróżował na jakiejś innej galerze? Czy możliwe, aby nieprzewidziane kłopoty zmusiły go do zmiany planów?

Na barcelońskim targu, zwanym Valfondec, wciąż wrzało. Pochodzące od arabskiego słowa alfondak określenie oznaczało oberżę, ale miejsce to było czymś znacznie więcej. Budynek, a raczej zespół budynków rozmieszczonych wokół wielkiego centralnego patio, spełniał najróżniejsze funkcje: tutaj urzędowali handlowi przedstawiciele królestw zamorskich, tutaj mieściły się składy towarów oraz gospoda, tu wreszcie można było znaleźć wszystko, co potrzebne do życia, czyli łaźnie, piekarnie, sklepy, tawerny, a nawet kaplicę. W tym punkcie zbiegały się nici wprawiające w ruch handel i żeglugę.

Rój ludzi mówiących najrozmaitszymi językami natychmiast otoczył zdenerwowanego Guillemę, który musiał się usunąć, aby przepuścić sporą grupę zmierzających bez wątpienia do najbliższej tawerny marynarzy. W końcu udało mu się przedrzeć do stołu, przy którym urzędnicy zakonni kontrolowali przesyłki odprawiane do Ziemi Świętej. Brat Dalmau, mężczyzna w średnim wieku, skarbnik odpowie-

działny za wszelkie zawierane w tym miejscu transakcje, uśmiechnął się na powitanie. Długa broda i czerwony krzyż na tle białego płaszcza wyraziście potwierdzały jego przynależność do zakonu, co zdecydowanie odróżniało go od Guillem'a, któremu ze względu na specyficzny charakter wykonywanej pracy wolno było uchodzić za kogokolwiek, byle nie za templariusza.

Brat Dalmau wciąż się uśmiechał. Znał Guillem'a od dawna, jeszcze z czasów, kiedy przyszły uczeń Guilsa dorastał spokojnie w komandorii w Barbara.

- Proszę, proszę, brat Guillem! Przez całe ostatnie trzy lata nie pokazaliście się tutaj tyle razy, co dzisiaj od rana. Cóż za radość, że tak często odwiedzacie starego urzędnika.

- Witajcie, bracie Dalmau. Potrzebuję nieco informacji.

- Informacji? - powtórzył brat Dalmau. - Odnoszę wrażenie, że jeśli chodzi o was, „nieco informacji” może się okazać terminem dość pojemnym.

- Macie słuszość, ale wszystko jedno... "W każdym razie potrzebuję pomocy. Dziś rano, kręcąc się tutaj, widziałem rzucającą kotwicę wenecką galerę. Czy dostrzeżliście coś interesującego w związku z jej przybyciem?

Brat Dalmau przyjrzał się Guillemowi z uwagą: w spojrzeniu chłopca czaiło się coś więcej niż tylko niepokój. Może strach - pomyślał skarbnik.

- Nie mylicie się, wenecki statek istotnie przybił dziś rano. Jego kapitan to, jak sędzę, niejaki d'Amato. Miał na pokładzie pasażerów: zauważyłem dwóch dominikanów, jednego Żyda, znajomego kupca o

nazwisku Camposines... Jeden z podróżnych wydawał się chory, a może pijany, nie wiem. Straszne było zamieszanie przy wyciąganiu go z łodzi. Wyglądał na nieprzytomnego.

- Bracie Dalmau... - Guillemowi nagle zabrakło powietrza. - Wyteżcie pamięć, błagam... Znając wasze zdolności, wiem, że potraficie sobie przypomnieć o wiele więcej.

- Jesteś zmartwiony, chłopcze, wyraźnie coś cię trapi, więc może lepiej przejdź od razu do rzeczy i zapytaj mnie bezpośrednio o to, co cię interesuje.

- Interesuje mnie wszystko, co tylko pamiętacie o którymkolwiek z tych pasażerów, interesuje mnie każdy, kto opuścił ten statek.

Guillem próbował opanować niecierpliwość i strach; wcale nie miał ochoty słuchać tych wieści. - Muszę się uspokoić i zamiast snuć bezpodstawne przypuszczenia, dokładnie sprawdzić, co się tylko da - przekonywał sam siebie.

- Dobrze, postaram się spełnić waszą prośbę. Pomyślmy. Pierwsza łódź przyplęnęła pełna, jakby podróżni bardzo się spieszyli z opuszczeniem statku. Jak już mówiłem, wysiedli z niej dwaj dominikanie, jeden posunięty w latach, a drugi młody, mniej więcej wasz rówieśnik. Starszy był wyraźnie wściekły i natychmiast odszedł, nie czekając nawet na swego towarzysza. Oprócz nich był tam jeszcze pewien mężczyzna w średnim wieku, który lekko kulał. Ten został na plaży i nic przestawał węszyć. Był też stary Żyd: to on taszczył owego nieprzytomnego człowieka, o którym mówiłem. No i dwóch, może trzech członków załogi. Poza tym kupiec Camposines i kapitan. Łódź należała do przewoźnika nazwiskiem Romeu, wiem to, bo czasem korzystamy z jego usług, ale kierował nią jakiś nowy, zupełnie młody chłopak.

- A ten chory? Zwróciliście na niego uwagę? Zauważyliście, jak wyglądał? - Guillem czuł łomotanie w skroniach. Od załamania dzielił go jeden krok.

- Był w średnim wieku. - Głos brata Dalmau spoważniał nagle, co jednak umknęło uwadze jego rozmówcy.

- Nic więcej? W średnim wieku i to wszystko?

- Wysoki, mocno zbudowany, musieli go wyciągać z łodzi w kilku. I jednooki. Na drugim oku miał ciemną opaskę. To tyle, co mogę wam o nim powiedzieć.

Guillem odniósł wrażenie, że świat właśnie się zawalił, i to wprost na jego głowę. Zniechęca poczuł na ramionach olbrzymi ciężar, który przyginał go do ziemi i uniemożliwiał oddychanie. Daremnie próbował nad sobą zapanować i nie okazać emocji; mimo ogromnych wysiłków nie udało mu się ukryć rozpaczy.

- Usiądźcie, Guillemie - powiedział Dalmau, obejmując go ramieniem i prowadząc ku własnemu krzesłu. - Tamten mężczyzna wydawał się bardzo niezdrów, ale nie znam przyczyn jego choroby ani nie wiem, czy była poważna. Zaopiekował się nim ów stary Żyd, który podtrzymał go w łodzi. Potem przyszedł Camposines i po krótkiej rozmowie kazał jednemu ze swoich tragarzy pomóc przy przenoszeniu chorego. Kiedy odchodzili, ten biedny starzec ledwo powłóczył nogami ze zmęczenia. A teraz wyjaw mi, chłopcze, co cię tak bardzo trapi. Wiem, że praca, którą wykonujesz, wymaga dyskrecji, ale może potrafię ci jakoś pomóc.

W głowie Guillega de Montclar, młodego szpiega zakonu templariuszy, świat wirował w zawrotnym tempie, a rzeczywistość docierała doń powoli i nie bez przeszkód. Samotność, wcześniej podobna

wszystkim innym zwykłym uczuciom, stała się nagle namacalna niczym gęsta oblepiająca substancja, której już nigdy nie uda się zmyć. Należało jednak działać, odnaleźć Guilsa niezależnie od tego, czy wciąż żył, czy zgodnie ze wszelkimi dostępnymi przesłankami wyruszył właśnie w ostatnią, nieodwołalnie samotną podróż.

- Wdzięczny wam jestem za wsparcie, bracie Dalmau...

- Choć głos Guillem'a nadal brzmiał słabo i niepewnie, młodzieniec z wolna opanowywał wzruszenie. Nikt go nie przygotował na podobny cios i trudno było natychmiast przystosować się do sytuacji, którą rządziły całkowicie nieznane prawa. Role odwróciły się: tym razem to Bernard, gdziekolwiek się teraz znajdował, potrzebował pomocy swego ucznia, w ten szczególny sposób wrywając go do odpowiedzi i sprawdzając umiejętności, które kształtował w nim całymi latami. Życie Guillem'a miało odtąd ulec zupełnej zmianie, zaczynał się nowy etap. Guils już go nie ochroni ani nie wesprze. Guillem bał się więc: pozbawiony opieki mistrza zwątpił nagle w swoje możliwości. Musiał odnaleźć Bernarda za wszelką cenę.

- Wdzięczny wam jestem za wsparcie, bracie Dalmau -powtórzył machinalnie, dostrzegając zatroskane spojrzenie skarbnika. - Ale macie słuszość, moja praca wymaga dyskrecji. Powiedzcie mi tylko, czy znacie tego Żyda, o którym wspominaliście?

- Znam go doskonale, mój chłopcze, to stary przyjaciel naszego zakonu. Nazywa się Abraham Bar Hija i jest jednym z najlepszych lekarzy w tym mieście, o czym miałem się okazję przekonać osobiście, ponieważ wielokrotnie mnie leczył. Bardzo się przyjaźnił z bratem Arnau, naszym zielarzem, a w kwestii rozmaitych roślinek i maści nie mają przed sobą tajemnic. Znam też dobrze Camposinesa, tego kupca, to porządny człowiek. Proszę was, bracie, abyście pamiętali, że zawsze możecie na mnie liczyć.

Guillem spojrział na brata Dalmau z wdzięcznością. Nie chciał go jednak narażać na niepotrzebne troski. Poza tym zwierając się mu ze swoich kłopotów, prawdopodobnie ściągnąby na jego głowę niebezpieczeństwo. Przypomniał sobie jedno z lakonicznych powiedzeń Guilsa: „Im mniej ludzi zna twój problem, tym mniej masz trupów na sumieniu”. Tak, to była bez wątpienia mroczna strona jego zawodu; pod żadnym pozorem nie należało się z nikim dzielić problemami, chociaż w chwilach takich jak ta okazywało się to szczególnie trudne.

Pożegnał skarbnika, raz jeszcze dziękując za pomoc i próbując go uspokoić pieiwszymi lepszymi słowami, jakie przyszły mu do głowy. Należało natychmiast odszukać Abrahama Bar Hiję, należało czym prędzej odnaleźć Guilsa.

Opuszczając w pośpiechu port, rozmyślał nad następnym posunięciem. Czy powinien wstąpić do domu zakonnego i porozmawiać z bratem zielarzem, czy może lepiej pobiec od razu do dzielnicy żydowskiej i rozpytać się o starego lekarza? Na pewno każdy potrafi wskazać jego dom, to bez wątpienia znana tam postać. Guillem zatrzymał się, z trudem łapiąc oddech. Wyglądało na to, że przede wszystkim powinien odzyskać kontrolę nad nerwami. Gdyby Bernard Guils stanął teraz obok, z pewnością nie kryłby rozczarowania nierozważnym zachowaniem swego ucznia. Guillem opanował się wysiłkiem woli. Zamknął oczy i oddychał głęboko: nie myślał o niczym i czekał, aż jego umysł wypełni biel, rozprasająca mroki jasność.

Zdziwiona bezruchem nieznajomego kobieta, która przechodziła obok - taszcząc ciężki wór - przystanęła i patrząc nań z niepokojem, zapytała, czy dobrze się czuje i czy mogłaby mu jakoś pomóc. Odpowiedział uprzejmie, że wszystko w porządku, że miał tylko lekkie zawroty głowy, które jednak już ustępują. Kobieta odeszła niezbyt przekonana, od czasu do czasu oglądając się do tyłu. Guillem stał jeszcze

przez chwilę nieruchomo w tym samym miejscu. Zanim zdecydowanie ruszył przed siebie, rysy jego twarzy stwardniały, odzwierciedlając zmianę, która najwyraźniej zaszła też w jego duszy: chłopiec, którym był jeszcze przed godziną, przestał istnieć.

Gdy dotarł do dzielnicy żydowskiej, popołudnie zaczynało właśnie przechodzić w zmierzch. Dopiero teraz zrozumiał, ile czasu zmarnotał, czekając w młynie. W przyszłości należało się wystrzegać podobnych błędów. Mijając na ulicy mężczyznę w średnim wieku, zatrzymał go pytaniem o dom starego lekarza.

- To tutaj, na Gran Sinagoga, tuż za rogiem. Ale obawiam się, że nie zastaniecie Abrahama. Wiele miesięcy temu wyjechał do Palestyny i słuch o nim zaginął. Kto wie, co mu się mogło przytrafić, to człowiek stary, schorowany, a podróż niebezpieczna...

Guillem skierował się we wskazane miejsce i w pobliżu koszernej rzeźni zobaczył przyzwoity piętrowy budynek. Zastukał do drzwi i czekał, do jego uszu nie docierał jednak żaden dźwięk ze środka. Dom wyglądał na pusty. Odczekawszy jeszcze trochę, Guillem zastukał ponownie. Bez skutku. Dobrze więc - zdecydował. - Zaczniemy w takim razie od brata zielarza. Odwracając się, dostrzegł po lewej stronie jakiś cień, który wyraźnie próbował się ukryć w zaułku nieopodal. Ktoś obserwował dom Abrahama Bar Hii. A może śledzono jego, Guillema? Zaniepokojony pomyślał, że od samego rana nie robi nic innego, tylko lekceważy wszelkie możliwe zasady bezpieczeństwa. Gdyby ktoś zamierzał go zamordować, mógłby to już uczynić ze sto razy, przesadnie się nawet nie wysiłając.

- Jestem skończonym półgłówkiem - mruknął. - Bernard osobiście zabiłby mnie za głupotę. Muszę zacząć działać z głową!

Po kolei zatem: jeśli ktoś go śledził, przekonanie się o tym było kwestią chwili, jeśli zaś pilnowano domu starego lekarza, należało o tym po prostu pamiętać. Zły na samego siebie Guillem ruszył w kierunku domu zakonnego, tym razem bacząc na wszystko dokoła.

Wielki klasztor templariuszy wznosił się w południowo-zachodniej części Barcelony, tuż obok rzymskich obwarowań i wież zwanych d'en Gallifa. W rzeczywistości dom macierzysty znajdował się kawałek za miastem, w Palau-Solita: tam od wielu lat mieścił się ośrodek administracyjny. Jednakże stopniowo, ze względów praktycznych, a zwłaszcza dlatego, że większość interesów zakonu koncentrowała się w mieście, najważniejszą rolę zaczął odgrywać klasztor w Barcelonie.

Zaraz po przybyciu na miejsce Guillem zapytał o brata Arnau, zieleńca; w odpowiedzi wskazano mu grupę zabudowań leżących na uboczu i przylegających bezpośrednio do ogrodu. Stanąwszy przed drzwiami, Guillem zapukał i usłyszał głos zapraszający go do środka.

Znalazł się w dużej i jasno oświetlonej komnacie, zastawionej książkami i flakonami o tajemniczej zawartości oraz wypełnionej intensywnym zapachem przypraw i leczniczych ziół. Przypatrywało mu się z ciekawością dwóch starców. Jeden z nich, odziany w płaszcz templariusza, siedział w chybotliwym fotelu i pił jakiś dymiący napój. Jego błękitne oczka dziwnie nie pasowały do długiej siwej brody i ogorzałej twarzy o ostrych rysach. Drugi był z pewnością Żydem: peleryna z kapturem i przyszyty na piersi żółto-czerwony znak nie pozostawiała w tym względzie cienia wątpliwości. On także trzymał w dłoni czarę. Sprawiał wrażenie niezwykle kruchego, być może z powodu skrajnego wychudzenia i bladej cery.

Choć starcy bardzo się od siebie różnili, Guillemowi przyszło na myśl, że stoi przed dwoma braćmi, których zdawała się łączyć niewidzialna nić pokrewieństwa.

- Śmiało, młodzieńcze, śmiało. Co was tutaj sprowadza? - głos templariusza brzmiał ciepło i łagodnie. - Wejdźcie i usiądźcie, oczywiście pod warunkiem, że znajdziecie cokolwiek, co nada się do siedzenia. Któregoś dnia powinienem tu wreszcie posprzątać. W czym mogliby wam pomóc tacy starcy jak my? Ach, byłbym zapomniiał, oto mój serdeczny przyjaciel Abraham Bar Hija.

- Toż ja właśnie jego szukam, bracie Arnau! - wykrzyknął Guillem, obrzucając starego Żyda uważnym spojrzeniem. Spokój lekarza pozwalał jeszcze żywić jakąś nadzieję. Może Guilsowi nie stało się nic złego, może nawet odpoczywa gdzieś w pobliżu...

- Szukacie mnie, młodzieńcze? Źle się czujecie, niezdrowiście?

- Nie, nie. Nie chodzi o mnie, tylko o przyjaciela, z którym miałem się spotkać dziś rano. W porcie powiedziano mi, że wyglądał na bardzo chorego i że to wy się nim zaopiekowaliście. Chciałbym wiedzieć, gdzie go znaję.

Starcy popatrzyli po sobie bez słowa, widocznie poruszeni słowami stojącego przed nimi chłopca. Abraham usiłował zachować na twarzy spokój, którego nie czuł w sercu. W oczach młodzieńca dostrzegł dziwnie znajomy smutek. Po chwili uświadomił sobie, kogo mu przypomina: Guillem ze swoją energią i siłą wyglądał jak o trzydzieści lat młodsza kopia Bernarda Guilsa. Gdyby nie fakt, że Bernard był templariuszem, można by pomyśleć, że miał syna.

- Na imię macie Guillem? - spytał łagodnie Abraham.

- Zaiste. Nazywam się Guillem de Montclar.

-Zjawiłem się tutaj, u brata Arnau, właśnie z powodu waszego przyjaciela... - Starzec bez powodzenia starał się znaleźć odpowiednie słowa do przekazania smutnej wiadomości. W zawodzie lekarza nawet teraz, po tylu latach, dwie rzeczy doskwierały mu najbardziej: niemoc w obliczu śmierci i konieczność zawiadamiania o niej bliskich zmarłemu ludzi.

- Błagam was, Abrahamie, powiedzcie mi, gdzie jest Guils?

Obaj starcy zastygli w upartym milczeniu, szukając słów, które rozpierchły się nagle w popłochu, jakby nawet one nie chciały uczestniczyć w przekazywaniu tragicznych wieści. Panująca w pokoju cisza wzmogła trwającą od wielu godzin udrękę Guillem'a, potwierdzając jego najgorsze przeczucia.

- Guillemie, wasz przyjaciel Bernard Guils umarł dziś rano w domu Abrahama - odezwał się w końcu brat Arnau.

Chociaż Guillem spodziewał się tych słów i przygotował na ich przyjęcie, wypowiedziane na głos spadły na niego niby uderzenie obuchem. Usiłował powstrzymać podchodzący do gardła płacz, ale łzy i tak popłynęły mu po policzkach. Nieruchomy pośrodku komnaty, ze ściągniętą twarzą i oddechem wstrzymanym, aby nie krzyczeć, wyglądał jak uosobienie rozpacz. Abraham i brat Arnau, choć poruszeni tym widokiem, zachowywali milczenie, wiedząc doskonale, że należy pozwolić, aby młodzieniec sam oswoił i opanował swój ból. Wiek i doświadczenie podpowiadały im obu, że chcąc uszanować cudze cierpienie, nie wolno go zakłócać łatwymi i pozbawionymi sensu słowami. Trzeba czekać, aż w ciszy odnajdzie swe miejsce.

Czekali więc. Siedzieli bez ruchu i bez słowa, każdy zatopiony we wspomnieniu pierwszej w życiu głęboko przeżytej śmierci. Abraham myślał o swoim ojcu, który umarł wkrótce po ukończeniu przezeń stu-

diów medycznych. „Nic nie możesz dla mnie zrobić, odejdz” powiedział, nieprzejednany i dumny nawet na łożu śmierci. Nie wybaczył synowi i już nigdy nie miał tego uczynić. Abraham jednak nie odszedł, został przy jego boku, do końca próbując coś zdziałać dzięki zdobytej wiedzy. Bezskutecznie.

Brat Arnau błędził tymczasem myślą po palestyńskiej pustyni, gdzie niegdyś umarł mu na rękach rodzony brat, przed chłodem śmierci otulony jedynie w biały zakonny płaszcz. Był jeszcze niemal dzieckiem, dzieckiem, któremu nie pozwolono dorosnąć. „Nie zostawiaj mnie samego, Arnau - szeptał - nie zostawiaj mnie samego”

Siedzieli tak we trzech, niczym pograżone w nieuniknionej samotności nieme posągi. Obaj starcy coraz bardziej zagłębiali się w labirynty dawnych win, gdy ciszę przerwał w końcu najmłodszy, z właściwym młodości zdecydowaniem wyrwijając ich ze szponów pamięci i odganiając cienie, które nieodmiennie dopadają starych ludzi w chwilach zadumy.

- Co się właściwie wydarzyło, Abrahamie?

-Bernard został na statku otruty - odparł Żyd. - Przez ostatnie dni podróży nie wstawał z pryczy pod pokładem, nie mógł jeść. Poza tym odrzucał każdą pomoc, choć usiłowałem go przekonać, żeby zmienił zdanie. Odniosłem wrażenie, że w pewnym sensie życzył sobie śmierci. Kiedy przyplłynęły łodzie z portu, nie mógł już ustać na nogach, ale bardzo pragnął znaleźć się na lądzie. W czasie krótkiej przeprawy na brzeg stracił przytomność, a ponieważ nie udało mi się go ocucić, nieprzytomnego zabrałem do domu, z nadzieją, że zdołam go jeszcze uratować. Nie potrafiłem jednak, trucizna zbyt głęboko przeżarła jego organizm, jej działanie okazało się nie do powstrzymania. Guils i tak wytrzymał bardzo długo, był nadzwyczaj silny. Człowiek, który go otrul, musiał już chyba zwątpić w powodzenie swoich zamiarów, widząc, że

dni mijają, a Bernard nie umiera. Może ten ktoś do tej pory nie zdaje sobie sprawy, że osiągnął cel.

- Ale wy, Abrahamie, uczyniliście wszystko, co było w waszej mocy
- przerwał mu Arnau, pojmując, ile ta opowieść kosztuje przyjaciela.

- Zrobiłem tylko to, co umiałem, Arnau... a sądząc po skutkach, nie umiałem wystarczająco dużo.

- Abrahamie, czy Bernard coś powiedział? Może przekazał wam jakąś rzecz, którą miał przy sobie? - Guillem powoli odzyskiwał równowagę. Misja nie była jeszcze zakończona, czekało go mnóstwo pracy.

- Wzywał was kilkakrotnie, a potem poprosił mnie, żebym ukrył coś, co podobno było schowane w jego ubraniu. Niczego jednak nie znalazłem, choć przejrzałem wszystko, sztuka po sztuce. Nie miałem zresztą pojęcia, jakich rozmiarów jest to, o czym mówił. Ale w ubraniach nie było niczego.

- A podczas podróży zwróciliście może uwagę, czy Bernard ukrywał coś przy sobie albo gdziekolwiek indziej?

-Z ruchu jego rąk wywnioskowałem, że chował coś pod ubraniem. Przyciskał ramię do boku, wyraźnie strzegąc czegoś, co mógł trzymać na piersi albo pod pachą. Pamiętam, że co rusz unosił dłoń, jakby sprawdzał, czy to coś, cokolwiek to było, wciąż jest na swoim miejscu. W końcu jednak doszedłem do wniosku, że to zwykła ostrożność; członkowie załogi na takich statkach nie należą do osób szczególnie godnych zaufania. Podobnie jak spora część pasażerów. Nie wiem, czy rozumiecie, o jakim typie ludzi mówię... Niektórzy wyglądają, jakby ich dopiero co wypuszczono z najciemniejszych kazamatów.

Pomyślałem więc, o ile pamiętam, że Guils, jak każdy, boi się o swoją sakiewkę, i nie przywiązywałem do tej kwestii zbyt dużej wagi.

- A po opuszczeniu statku? - Guillem zaczynał coś podejrzewać.

Abraham zastanawiał się przez chwilę, próbując przypomnieć sobie wszystko ze szczegółami.

- Potrzebowałem pomocy, aby znieść go do łodzi, a potem na plażę. Tamtym osłom się zdawało, że Bernard jest pijany, i przez całą drogę na brzeg pozwalali sobie na grubiańskie żarty. Prawie musiałem błagać, żeby mi pomogli.

- Zastanówmy się. Kto wam pomagał przy znoszeniu go do łodzi? Kto zbliżał się do niego w czasie przeprawy na brzeg? - Guillem, w wytężonej pracy upatrując jedyne ratunku przed rozpaczą, prowadził starca przez ciemne zakamarki jego pamięci. „Powinieneś zaczynać od początku - powtarzał Guils - cierpliwie, nie tracąc nad sobą panowania i unikając wszelkich przypuszczeń, choćby wydawały ci się nie do podważenia. Zawsze trzymaj się faktów. To nie jest praca dla filozofów, chłopcze, tylko dla rzemieślników”.

- Dobrze, młodzieńcze, spróbuję przypomnieć sobie wszystko po kolei i niczego nie pomieszać. A zatem kiedy znosiliśmy Guilsa do łodzi, pomagał mi młodszy z dwóch dominikanów... A także dwaj członkowie załogi, jeden z nich bardzo silny i równie nieokrzesany. Przyłączyli się też d'Aubert i Camposines. Natomiast drugi dominikanin odmówił współdziałania, wymyślając nam nieustannie od pijaków i Żydów. Co więcej, w łodzi usadowił się tak, żeby zachować od nas jak największą odległość. Po przybyciu na plażę pomagali mi chyba ci sami ludzie oraz kilku czekających tam tragarzy. W trakcie samej przeprawy nikt się do nas nie zbliżał. Ja podtrzymałem waszego przyjaciela, a reszta przyglądała się nam z daleka, jak trędotatym.

- Kradzież miała więc miejsce najprawdopodobniej w czasie znośnienia Guilsa do łodzi albo już na plaży - wtrącił brat Arnau. - W każdym razie podczas największego zamieszania, ponieważ w przeciwnym wypadku ktoś mógłby coś zauważyć. Jeszcze nieco wysiłku, Abrahamie, może przypomnicie sobie jakiś istotny szczegół.

- D'Aubert! - wykrzyknął nagle wzburzony Abraham. -D'Aubert został sam na sam z Guilesem, kiedy ja szukałem pomocy. Poszedłem porozmawiać z Camposinsem, a kiedy wróciłem, dAuberta już nie było, choć przecież błagałem go, żeby posiedział chwilkę przy chorym. Wprawdzie od-daliłem się jedynie na kilka kroków, ale Guils był nieprzytomny i zupełnie bezbronny.

- D'Aubert? Kto to? - zapytał Guillem.

- Podawał się za najemnika i nie da się zaprzeczyć, że robił wszystko, aby za niego uchodzić. Rozumiecie: nie przestawał opowiadać o swoich wyczynach, w większości tak niedorzecznych, że nikt mu nie wierzył.

- Myślicie, że coś ukrywał?

-Wielce możliwe - odparł zamyślony Abraham. - Jedyne, co mogę wam o nim powiedzieć, to to, że wyglądał podejrzanie. Za wszelką cenę próbował udowodnić coś, o czego udowadnianie nikt go nie prosił. Nie podobał mi się. Przykro mi, ale przestałem się nim interesować już po kilku dniach.

- Abrahamie, czy w czasie podróży zdarzyło się cokolwiek, co zwróciło waszą uwagę? - dociekał Guillem.

- Straszliwy sztorm, który o mały włos kosztowałby nas wszystkich życie - odrzekł natychmiast starzec. - Byłem przekonany, że Najwyższy

postanowił powołać mnie w końcu przed swoje oblicze... Wiercie mi, nigdy nie przeżyłem niczego podobnego.

Abraham zamilkł na to wspomnienie. W miarę możliwości nie zamierzał więcej postawić stopy na żadnym statku. Zupełnie nagle przysłała mu do głowy nowa myśl.

- W Limassol, jeszcze zanim wsiedliśmy na galerę, dokonano zabójstwa.

- Zabójstwa! - wykrzyknęli chórem Guillem i brat Arnau, zdumieni do ostatecznych granic.

- Abrahamie, mój przyjacielu, mogłeś od tego zacząć - zauważył zielarz.

Umysł Guillema pracował gorączkowo.

- Znacie wiarygodne szczegóły, Abrahamie, czy doszły was o tym jedynie plotki?

- Wraz z Guilesem mieliśmy okazję obserwować wszystko z bliska. Kapitan dAmato, wiedząc, że jestem lekarzem, poprosił mnie o ustalenie przyczyny śmierci marynarza, którego zwłoki znaleziono tamtego poranka. Kiedy zjawiliśmy się na miejscu, Guils już badał ciało. D'Amato obawiał się jakiejś zakaźnej choroby. Początkowo nie dostrześliśmy żadnych śladów przemocy, ale wkrótce Guils pokazał mi niemal niezauważalny ślad u nasady karku. Uznaliśmy, że ktoś potraktował nieszczęśnika bardzo cienkim i prawie niepozostawiającym śladu sztyletem. Guils prosił, abym nikomu o tym nie wspominał, i tak też zrobiłem. Właściwie nie wiem dlaczego; zupełnie go nie znałem, lecz jako jedyny na statku wzbudzał moje zaufanie. Kiedy kapitan

zapytał o przyczynę zgonu, skłamałem i powiedziałem mu, że prawdopodobnie chodziło o serce.

- Abrahamie... Czy szukano kogoś na miejsce zabitego? Czy ktoś go zastąpił? - Guillem ostrożnie drażył temat.

- Niemal natychmiast. Mieliśmy właśnie wypływać, więc kapitan się wściekł, ponieważ już wcześniej brakowało załogi i po tej stracie cała podróż wisiała na włosku. Przyjął pierwszego, który się zgłosił.

- Przypominasz sobie cokolwiek, co dotyczyłoby tego nowego marynarza?

- O tak, oczywiście! Między innymi to on pomógł mi przy przewożeniu Guilsa na ląd. Zachował się niezwykle uprzejmie i sam, nieproszony, zaproponował pomoc.

Brat Arnau i Guillem spojrzeli po sobie z niepokojem.

-Abrahamie, mój przyjacielu, pamiętasz może, jak wyglądał ten mężczyzna, jaką miał twarz? - brat Arnau zadał to pytanie spokojnie i bez nacisku, nie chciał bowiem przerazić starca nad miarę.

- Był w średnim wieku, niższy od Guilsa. Zwykły, przeciętny człowiek.

- Zwykły? Przeciętny? A cóż to do wszystkich diabłów znaczy?! - Guillem znowu zaczynał się niecierpliwić.

- Bracie Montclar - nie po raz pierwszy podczas tej rozmowy wtrącił się zielarz, posyłając młodzieńcowi ostrzegawcze spojrzenie. ~ Abraham miał zapewne na myśli fakt, że mężczyzna ów naieży do ludzi, którzy nie odznaczają się niczym szczególnym. Anonimowe twarze,

nierzucające się w oczy sylwetki, wielu jest takich, prawda, Abrahamie?

Brat Arnau cierpiał pospołu z przyjacielem. Wiedział o trawiącej go chorobie i dostrzegał na jego twarzy oznaki zmęczenia, które potęgowało się wraz z każdym pytaniem Guillem. Zbyt wiele emocji jak dla steranego serca. Zbyt długo trwał ten dzień. Guillem również zauważył wyczerpanie Abrahama i postanowił zrezygnować z dalszych dociekań. Znajdą jeszcze czas, aby rozwiązać pozostałe wątpliwości. Chcąc jednak uniknąć przykrych niespodzianek, należało zachować niezbędną ostrożność.

- Abrahamie - odezwał się z powagą w głosie - nie powinniście wracać teraz do siebie. Narazilibyście się na niebezpieczeństwo. Komuś może się wydawać, że wiecie więcej, niż trzeba. Nie chcę, żebyście ryzykowali życie, starczy umarłych jak na jeden dzień.

- Całkowicie się zgadzam - oznajmił brat zielarz. - Abraham zostanie tutaj ze mną tak długo, jak będzie to konieczne. W całym mieście nie ma bezpieczniejszego miejsca, nikt nie ośmieli się wejść do zakonnego domu.

- A co z Guilsem? - cicho zapytał Żyd.

- Trzeba po niego iść i zapewnić mu godny pochówek. Żeby choć po jego śmierci wszyscy dowiedzieli się o tym, co z powodu wykonywanej pracy musiał taić za życia: że był wspaniałym templariuszem i niezastąpionym bratem - odparł z mocą Arnau.

Guillem przytaknął w milczeniu. Doskonale wiedział, jakiego pogrzebu życzyłby sobie jego mistrz.

- Bernard zawsze chciał spocząć w Ziemi Świętej, na pustyni w Judei, obok Alby, swojej najlepszej arabskiej klaczy. Żywił względem niej szczególne uczucia i przysięgał, że ten koń okazuje mu więcej serca niż większość ludzi, jakich w życiu spotkał.

Abraham drgnął tak silnie, że aż się zachwiał na krześle. Dwaj templariusze spojrzeli na niego ze zdumieniem i niepokojem. Arnau sądził nawet, że to kolejny z objawów choroby przyjaciela. Starzec opowiedział im więc sen, który miał przy łożu umierającego Guilsa, sen o przepięknym, białym jak śnieg wierzchowcu z rozwianą na wietrze grzywą, którego niecierpliwe, przejmujące rzenie tak gwałtownie go wtedy zbudziło.

Guillem był wstrząśnięty. W oczach brata Arnau wyczytał to samo. W końcu zielarz odezwał się pierwszy:

- Być może miejsce, gdzie pochowamy brata Guilsa, nie ma aż takiego znaczenia. Ze snu Abrahama zdaje się wynikać, że Bernard już jest tam, gdzie pragnął się znaleźć, że jego dusza powróciła na pustynię, którą tak kochał i na której przez całe lata oczekiwała go Alba. Teraz znowu są razem, już na zawsze nierozłączni.

- Macie rację, Arnau. Jestem przekonany, że Guils podarował mi swój własny sen i że uczynił to w ramach podziękii za pomoc. Jednocześnie, Guillemie, przesłał ci w ten sposób wiadomość, że jest mu dobrze i że nie należy się o niego martwić, tym bardziej że ma w swojej długiej podróży towarzystwo.

Starcy pokiwali w milczeniu głowami, patrząc na siebie z wyrazem głębokiego zrozumienia w oczach. Świat zdawał się utkany z niezrozumiałych i zadziwiających zdarzeń, i oto stali się właśnie mimowolnymi świadkami jednego z takich cudów. Wiedzieli zaś dosko-

nale, że cud z samej swojej istoty nie wymaga zrozumienia, a jedynie kontemplacji.

Guillem de Montclar spoglądaj na nich z serdeczną wdzięcznością. Dzięki mm dostąpił jedynej możliwej w jego sytuacji pociechy, ukojenia, które płynie z nadziei. Nie lekceważąc owego snu, przeciwnie, nadając mu niespodziewaną wagę, potrafili go odczytać jako pełną znaczeń wiadomość od Bernarda. Guillem poczuł, jak wielki spokój niczym balsam spływa na jego poranioną duszę. I nagle zrozumiał, jak powinien dalej postępować; pożegnawszy więc przyjaciół, opuścił komnatę.

Nad miastem zapadała noc i fasadę domu zakonnego oświetlały wielkie pochodnie. Poza ich kręgiem rozciągała się ciemność, w którą Guillem zanurzył się bez wahania.

ROZDZIAŁ IV

CIEŃ

Czy należeliście do innego zakonu i złożyliście śluby lub przyrzeczenie? Albowiem gdyby tak było i wasz zakon upomniałby się o was, odarto by was z płaszcza i zwrócono owemu zakonowi, wcześniej wszakże ukarano by was przykładnie i utracilibyście dom na zawsze.

Dotarcie do domu Abrahama Bar Hii zajęło Guillemowi de Montclar niewiele czasu. Tym razem jednak zastosował wszelkie możliwe środki

ostrożności i upewnił się, że nikt go nie śledzi ani nie pilnuje domostwa lekarza. Wyszperawszy w kieszeni otrzymany od starca klucz, otworzył drzwi. Powitał go intensywny aromat leczniczych ziół, wypierany już wszakże powoli przez odmienny zapach, który zaczynał się rozprzestrzeniać po całym domu i którego nie dało się pomylić z żadnym innym: zapach śmierci.

Chcąc trochę rozproszyć panujące wokół ciemności, Guillem zapalił kaganek, zgodnie ze wskazówkami Abrahama odszukany w pobliżu drzwi. I natychmiast zrozumiał, że ktoś go uprzedził. Dom był wywrócony do góry nogami, przetrząśnięty nawet w najmniejszych zakamarkach. Nieliczne meble połamano, a flakony z medykamentami rozbito na tysiące szklanych okruchów, które w mdłym świetle rzucały na ściany masę widmowych, ruchliwych refleksów.

Dotarłszy do sypialni, Guillem znalazł ciało Guilsa leżące w poprzek łóżka, pośród pierza i słomy. Ktoś rozpruł materac, pozbawiając go całkowicie pierwotnej formy, a stojący w kącie fotel Abrahama zmienił w bezkształtną stertę drewna i skóry. Przerażony Guillem przyglądał się przez chwilę staremu przyjacielowi. Zmarły leżał na brzuchu, z twarzą przytuloną do resztek materaca i obróconą tak, że widać było jego jedyne, zamknięte teraz oko. Zdawał się spać, obojętny na poczynione wokół spustoszenie. Wyglądał żałośnie i bezbrinnie. Czując płynące po twarzy lzy, młody templariusz osunął się na krawędź zniszczonego łoża i w końcu wybuchnął długo wstrzymywanym płaczem. „Guils, mój mistrzu, znalazłem cię, zbyt późno, ale znalazłem. Zawsze, od pierwszego dnia, uprzedzałeś mnie, że ta chwila nastąpi, nigdy ci jednak nie wierzyłem w przekonaniu, że jesteś wieczny, że jesteś nieśmiertelny, że nikomu nie uda się ciebie pokonać. Co ja teraz zrobię, Bernardzie?!”. Ostatnie słowa, przez nikogo nieusłyszane i w sposób oczywisty pozostawione bez odpowiedzi, rozbrzmiały w całym domu niczym przepęlniony wściekłością i beziłą jęk. Guillem owi jednak

wydało się nagle, że słyszy śmiech Guilsa. „No, dalej, chłopcze, rusz się wreszcie, bo wyglądasz jak worek gówna w oborze!”. Potężny głos huczał w uszach młodzieńca, wykpiwając niemiłosiernie jego powolne i niezdarne poczynania, jałowe dywagacje i szloch-y godne jedynie niemowlęcia. „To nie filozofia, niedojdo, jak chcesz filozofować, wracaj do Barbara i schowaj się w murach klasztoru. Ocknij się, Guillemie, to walka na śmierć i życie! Pamiętaj, że chodzi o twoją cenną skórę, a nie o tanią metafizykę”.

Bernard miał jak zawsze rację. Guillem podniósł jedno z porzuconych na podłodze prześcieradeł, nakrył nim ciało mistrza i rozpoczął metodyczną pracę. Piędź po piędzi przeszukał cały dom, a także ubrania Guilsa i same zwłoki, nie natknął się jednak na nic, co mogłoby mu się do czegokolwiek przydać. Wyjrzał przed dom, aby zbadać sytuację, ale nie zaalarmował go żaden dziwny ruch. Wszystko zdawało się tchnąć spokojem.

Poszedł więc do ogródka na tyłach budynku, gdzie, według słów Abrahama, miał się znajdować stary wózek. Wrócił do domu i chcąc ochronić przyjaciela przed wzrokiem ciekawskich, ubrał go na tyle, na ile wymagało tego poczucie przyzwoitości, po czym nie bez trudu ułożył ciało na wózku. Potężna postura Guilsa nie ułatwiała zadania. Na widok tak poniżających dla mistrza warunków transportu Guillemem wstrząsnęła kolejna fala łkań. Miał wielką ochotę zasłonić zmarłego kocem, porzucił ten plan, zamierzał bowiem sprawiać wrażenie, że właśnie odwozi do domu spitego kompana. Zważywszy na sytuację i późną porę, nie należało zbytnio przebierać w środkach, zwłaszcza że kró-'. lewscy strażnicy z Castell Nou, niechętni niespodziankom zakłócającym rutynę, akurat względem pijackich ekscesów okazywali się najczęściej zdumiewająco wyrozumiali.

Raz jeszcze wyjrzał na zewnątrz i zlustrował okolicę. Nikt nie powinien zauważyć jego obecności w tym domu. Zgasił kaganek, odstawił go na miejsce i pchnął wózek z ciałem ku uchylonym drzwiom. Znalazłszy się na ulicy, ruszył biegiem, przerażony ogłuszającym skrzypieniem kół. Pędził, kryjąc się w najgęstszym cieniu pod ścianami i nie oglądając za siebie, niczym oszalały ze strachu koń z klapkami na oczach.

W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że śmieje się jak szalony. Oto Guillem de Montclar, rycerz Świątyni - choć patrząc nań teraz, nikt by tego nie odgadł - gna ulicą, jakby go ścigało stado najzacieklejszych demonów, i pcha przed sobą hałaśliwy wózek z trupem najlepszego przyjaciela, który na domiar złego wygląda niczym ostatni obszarpaniec.

Czujny i skupiony brat Arnau czekał w bramie zakonnego domu. Nie potrzebował jednak hasła ani znaku rozpoznawczego, ponieważ trudno było nie usłyszeć przeraźliwego skrzypienia zardzewiałego żelastwa pędzącego na icu na szyję w samym środku nocnej ciszy. Za plecami zielarza stało czterech uzbrojonych braci, gotowych natychmiast rozwiązać każdy nieprzewidziany problem. Żaden nie pozwolił sobie na pytania, mimo zdumienia, jakie odmalowało się na ich twarzach, gdy przejmowali z rąk Guillem'a rozklekotany wózek z trupem Guilsa. Oparłszy się o zamkniętą na pół bramę, młody templariusz z trudem łapał powietrze, na zmianę wstrząsany atakami konwulsyjnego płaczu i śmiechu, zupełnie jakby jego doprowadzony do ostateczności organizm potrzebował obu tych krańcowych reakcji naraz, by odzyskać utraconą równowagę.

Brat Arnau patrzył na niego z milczącym współczuciem.

- Musisz odpocząć, chłopcze, odsapnij choć trochę.

Guillem podniósł na mówiącego oczy, próbując odzyskać oddech i uspokoić gwałtowne bicie serca, które rozsadzało mu pierś. To uporczywe i zarazem puste spojrzenie zaniepokoiło zielarza.

- Wszystko w porządku, Guillemie?

- Na naszym przeklętym świecie nic nie jest w porządku, bracie. Ktoś mnie uprzedził. Wszystko powywracane do góry nogami, zupełnie jakby pod nieobecność Abrahama w jego domu szalał huragan. Obawiam się, że nasz przyjaciel jeszcze bardzo długo nie będzie mógł wrócić do siebie. Jeśli ma przeżyć, potrzebuje ścisłej opieki zakonu.

- A właśnie... Abraham chce z wami rozmawiać. Coś sobie przypomniał i twierdzi, że to ważne.

Przyszedłszy nieco do siebie, Guillem skierował się do komnat zajmowanych przez zielarza, który tak się zaniepokoił jego stanem, że nieodstępował go na krok. Zastali Abrahama pochylonego z uwagą nad jakimiś pergaminami. Widząc Guillema całego i zdrowego, starzecura-dował się ogromnie, zaraz jednak ponownie się zafrasował na wieść o ostatnich wypadkach. Myśl, że ktoś zakłócił intymność jego domostwa, była mu bardzo niemiła.

- Kochany chłopcze, co powinienem teraz zrobić? Ten dom to jedyne, co posiadam, ale nie chciałbym swoim powrotem niepotrzebnie narażać współwyznawców. I bez tego mają wystarczająco dużo kłopotów.

Brat Arnau, świadom, jakie niebezpieczeństwa zawisły nad społecznością żydowską, przytaknął słowom Abrahama I ująwszy starca pod ramię, starał się go uspokoić.

- Przemyślałem to, mój przyjacielu, i uważam, że najlepiej, abyście na jakiś czas zniknęli z miasta. Za kilka dni oddział naszych rycerzy

rusza w kierunku Rosellón, do komandorii w Mas-Deu. Przyłączymy się do nich i wkrótce będziemy daleko.

- Arnau, mój drogi... - Oddanie zielarza wyraźnie wzruszyło Abrahama. - Wy wcale nie musicie udawać się w tę podróż. Nie możecie zaniedbywać swoich obowiązków, poza tym nie chciałbym was więcej narażać; wystarczy, jeśli jeden z nas jest już w niebezpieczeństwie.

Guillem postanowił się wtrącić, wchodząc w słowo gotującemu się właśnie do dłuższej przemowy bratu Arnau.

- Nie ulega wątpliwości, że powinniście wyjechać we dwóch, obaj zbyt dużo wiecie. W przeciwnym razie przysporzycie mi kłopotów, bo trudno będzie wam zagwarantować należyłą ochronę. Mówię teraz zupełnie poważnie: ta sprawa wygląda na prawdziwie niebezpieczną. Zresztą śmierć Guilsa jest najlepszym tego dowodem.

- Koniec dyskusji, Abrahamie, chłopiec ma całkowitą rację. A teraz powiedzcie mu wreszcie, co sobie przypomniaлиście i co was tak trapi.

- Dobrze, spróbuję wyrażać się ściśle. Bo widzicie, młodzieńcze, nie mam pojęcia, czy moja opowieść wyda się wam w jakimkolwiek stopniu sensowna, nie wiem nawet, czy wszystko to nie było jedynie gorączkowym majakiem biednego Guilsa.

Chodzi o to, że odzyskawszy tuż przed śmiercią przytomność, Gwls zawołał was po imieniu, a rozpoznając mnie, poprosił, abym się skontaktował z zakonem Świątyni. Zapewniał, że wy się wszystkim zajmiecie. A później... - A później co?! - niemal krzyknął Guillem, ściągając na siebie pełne nagany spojrzenie zielarza.

- Później kazał mi was ostrzec przed jakimś cieniem - szybko i jakby ze wstydem odparł Abraham.

- Cieniem? - zapytali jednocześnie brat Arnau i Guillem.

- Tak. Dokładnie tak. Przed cieniem. Przed cieniem, który wyjdzie z ciemności. Guils powiedział mi o tym tuż przed śmiercią.

Wszyscy trzej zamilkli, zatopieni we własnych myślach, usiłując nadać jakikolwiek sens ostatnim słowom Bernarda. Cień? Cień wychodzący z ciemności? Rzecz to w sumie oczywista - dumiał brat Arnau. - Żaden szanujący się cień nie postępuje inaczej, obowiązkowo musi się wyłonić z ciemności... Dziwactwa jakieś.

Guillem nie mógł się otrząsnąć ze zdziwienia. Co do diabła Bernard chciał przez to powiedzieć? Jaką wiadomość przekazać? Bo najwyraźniej chodziło o ostrzeżenie, ale przed czym? Słowo „cień” nie należało do używanego przez nich tajnego szyfru. Cień i ciemność? Co to wszystko miało znaczyć?

Abraham szukał w pamięci szczegółów: może coś pominął, jakiś drobiazg, który pomógłby wyjaśnić zagadkę. Wszystko jednak działo się tak szybko... Ciągle nie potrafił do końca uwierzyć w prawdziwość zdarzeń i nieustannie odnosił wrażenie, że to tylko zły sen, okrutny koszmar, z którego się za chwilę obudzi we własnym domu, w ulubionym fotelu. Ale nie miał już przecież domu, do którego mógłby wrócić... Musiał uciekać niby pospolity złoczyńca. Strach zagnieździł

się w jego duszy na dobre i nic nie wskazywało na to, aby zamierzał go opuścić, wprost przeciwnie, z każdą minutą rósł coraz bardziej.

- Dobrze, wezmą to pod uwagę - odezwał się w końcu z wahaniem Guillem. - Chociaż nie jestem w stanie wyjaśnić znaczenia słów Bernarda, jeszcze się nad nimi zastanowię i postaram się zachować ostrożność. Teraz jednak pora odpocząć, Abrahamie. Dobre i kilka godzin. Wszystkich nas wyczerpały ostatnie wydarzenia, a w takim stanie ciężko się myśli.

- Przyznaję, że jak dla mnie było tego zbyt wiele - rzekł starzec, którego zmęczona twarz zaświadczała o prawdziwości słów. - Jutro wstanie nowy dzień, w głowach nam się rozjaśni. Wyznam, że trudno by mi było wytrzymać choćby chwilę dłużej... Moje zdrowie nieco szwankuje.

Brat Arnau zgodził się z przyjacielem, sam bowiem czuł się przygnieciony ciężarem przeżyć. Zaraz wszystkim się zajmie. Zanim wyszedł na poszukiwanie czegoś do zjedzenia, zaznaczył, że wciąż pamięta o lekarstwach, które powinien wziąć Abraham.

- O Panie, lekarstwa! - mruknął starzec. - Zupełnie wypadło mi z głowy, że muszę je brać. Chyba nawet zapomniałem o chorobie. Bardzo żałuję, że nie mogłem zrobić dla waszego przyjaciela nic więcej, Guillemie.

- Zrobiliście, co w ludzkiej mocy, Abrahamie, nie pozwalając, aby umarł sam, porzucony gdzieś na plaży jak nikomu niepotrzebny worek. To bardzo ważne. Ale musicie teraz o siebie bardziej dbać. Nie wiedziałem, że jesteście chorzy, w przeciwnym razie nie zameczałbym was tak długo pytaniami. Mam nadzieję, że mi wybaczycie.

- Nie ma nic do wybaczenia, chłopcze, ze zdrowiem tak już bywa w moim wieku. Cieszę się, że się na cokolwiek przydałem. A gdyby po-

moc takiego starego Żyda jak ja była wam jeszcze kiedyś potrzebna, nie wahajcie się zamęczać mnie dalej.

Serdecznie pożegnawszy starego lekarza, Guillem wyszedł z komnaty i wolnym krokiem ruszył w kierunku wielkiego patio z herbami. Tu biło serce klasztoru. Potrzebował świeżego powietrza i samotności, aby się zastanowić i zebrać myśli. Wszystko się poplątało, a on nie potrafił nawet do końca opanować emocji. Trzeba wreszcie zaprowadzić porządek, umieścić na właściwych miejscach poszczególne elementy układanki, odrzucić to, co zbędne, jednym słowem, trzymać się faktów, z których najważniejszym była niewątpliwie śmierć Bernarda Guilsa. Dlaczego zginął? Ktoś chciał dostać w swoje ręce przewożoną przez niego paczuszkę. Guillem nie znajdował innego wyjaśnienia. Ów ktoś wiedział, że z takim asem jak Guils nie pójdzie mu łatwo, dlatego musiał uciec się do morderstwa. To jednak dowodziło, że go znał, wiedział, z kim ma do czynienia. Ale trucizna na statku, gdzie niemal wszyscy jedzą to samo, gdzie uwadze Bernarda nie mogło umknąć najmniejsze odstępstwo od codziennej rutyny? W takich warunkach podanie trucizny bez wzbudzenia podejrzeń zakrawa na niepodobieństwo. W dodatku Bernard należał przecież do ludzi szczególnie nieufnych i przezornych, a w ciągu wielu lat służby zdobył ogromne doświadczenie. Co się więc stało?

I kiedy dokonano kradzieży? Ustalenie pory pozwoliłoby wskazać podejrzanych, wszystkich, którzy znajdowali się wtedy obok Guilsa i mieli możliwość wykradzenia tajemniczej paczuski. Trzeba zacząć od początku - pomyślał Guillem. - Odszukać tych, którzy zbliżali się do Bernarda, wysłuchać ich wersji. Ktoś przecież musiał coś zauważyć, jakiś głupi drobiazg, który wbrew pozorom może się okazać decydujący.

Postanowił rozpocząć śledztwo następnego poranka. Wcześniej należało się wyspać i odpocząć od uporczywych myśli i ciągle tych samych pytań, na które nieodmiennie brakowało odpowiedzi. Nagle zapragnął wstąpić do zakonnej kaplicy, zaraz jednak porzucił ten zamiar. Na nic się nie zda wydłużanie w nieskończoność tego i tak długiego dnia, poza tym stanowczo lepiej przespać się w łóżku niż w kościelnej ławce. Nie, modły trzeba odłożyć na jutro, kiedy wróci przytomność umysłu i sprężystość ciała. Jeśli twoje życie zależy od modlitwy, to się módl; najczęściej jednak zależy od ciebie, a wtedy lepiej zapomnij o różańcu i zwyczajnie rusz tyłek, chłopcze. Zasada numer dwa tysiące pięćset trzydzieści z niewyczerpanej księgi wskazówek Bernarda Guilsa - pomyślał Guillem ze smutnym uśmiechem.

- Niech to szlag, Bernardzie, czy już zawsze będę to słyszał?

Następnego ranka, pokrzepiony snem i smacznym śniadaniem zjedzonym w klasztornej kuchni, Guillem de Montclar ruszył dziarsko w kierunku dzielnicy portowej. Przed wyjściem zapytał o brata Dalmau, templariusza odpowiedzialnego za transakcje handlowe zawierane przez zakon w porcie, i dowiedział się, że wyszedł on z klasztoru kilka godzin wcześniej i niewątpliwie znajduje się już przy swoim stole w hali targowej.

Dzień wstał szary, nad miastem wisały ciężkie czarne chmury zwiastujące deszcz. Guillem wciągnął do płuc przesiąknięte zimną wilgocią powietrze i przyspieszył kroku, obmyślając jednocześnie plan dnia. Groźba ulewy w żadnym stopniu nie wpłynęła na panujący w dzielnicy portowej ruch, który powoli osiągał najwyższe natężenie. Tłumy ludzi sunęły we wszystkich kierunkach. Guillemowi przyszło do głowy, że to idealne miejsce dla kogoś, kto chciałby pozostać niezauważony; dostrzegłszy jednak przenikliwe oczy brata Dalmau wpatrujące się w

niego mimo dzielącej ich odległości, natychmiast zmienił zdanie. Nic nie umykało uwadze tego człowieka obdarzonego niezwykle zdolnością do wyłuskiwania z ciżby interesujących go rzeczy. Guillem zbliżył się powoli, uśmiechając się w duchu na myśl o sokolim oku brata skarbnika.

- Dzień dobry, bracie Dalmau, wcześniej zaczęliście.

- Dzień dobry, bracie Guillemie. Każdy ma swoją porę: jedni wstają o świcie, inni wołają o zmierzchu ganiać ze skrzy -piącymi wózkami...

- Szybko się rozchodzą nowiny w zakonie.

- Sami chyba doskonale wiecie, że zakon ceni sobie prędką a rzetelną informację, bracie, i to upodobanie udziela się zapewne poszczególnym jego członkom. Ostatnimi czasy nudziliśmy się ździebko... Choć prawdę mówiąc, lepsza nuda od takich wieści. Ale ja tu gadu-gadu, a wy się pewnie spieszycie. Czym mogę wam służyć?

- Chciałbym, abyście mi doradzili, gdzie najszybciej spotkam niejakiego Camposinesa, tego kupca, o którym onegdaj opowiadaliście.

- Camposinesa? Już mówię, choć wątpię, by akurat on potrafił wam jakoś specjalnie pomóc. Problemem wszystkich kupców, który zresztą oni sami poczytują sobie za zaletę, jest to, że z rzadka tylko dostrzegają cokolwiek poza swoim towarem, a o ile się nie mylę, barwniki raczej was nie interesują.

- Bracie Dalmau - uśmiechnął się Guillem - od czegoś trzeba przecież zacząć, a w mojej sytuacji nie należy lekceważyć żadnego tropu.

- Czyżby było aż tak źle? - Dalmau przyglądał się bacznie młodemu templariuszowi, usiłując przypisać go do którejś ze znanych sobie ludzkich kategorii. - Więc słuchaj, chłopcze: wczoraj, kiedy łódź przybiła do brzegu, a Guilsa ułożono na piasku, zwróciłem uwagę na jeden dość dziwny drobiazg, który może się chyba okazać przydatny.

-Czyli?

- W czasie gdy Abraham rozmawiał z Camposinesem, zobaczyłem, że człowiek, który pilnował Guilsa, odchodzi. Wtedy do chorego zbliżył się jeden z marynarzy, jakby z nagłą zainteresowany jego stanem. Nie wykazał się jednak przeszukał. Miał niezwykle zręczne dłonie, najwyraźniej wprawione w tego typu zadaniach. Nie to było wszakże najdziwniejsze...

- Wystawicie moją cierpliwość na ciężką próbę, bracie Dalmau... - Przeciągająca się relacja zaczynała Guillema denerwować.

- Spokojnie, chłopcze. Przeszukawszy Guilsa, typ, o którym mówię, zerwał się na równe nogi, niechybnie wielce zaskoczony i wściekły. Rozejrzał się wokół, rzucił okiem na Bernarda i kiedy się upewnił, że nikt nie patrzy, wymierzył mu brutalnego kopniaka. Dzięki Bogu, że Guils nic nie poczuł. A tamten mężczyzna natychmiast ruszył w kierunku dzielnicy Santa Maria, ku Riberze. Co wy na to?

To, co właśnie usłyszał, zdumiało Guillema. Nic z tego wszystkiego nie pojmował. Widząc jego zagubienie, brat skarbnik mówił dalej:

- Posłuchajcie... Wydaje mi się, że nasz dziwny marynarz czegoś szukał i był przekonany, że Guils to ma. Kiedy niczego nie znalazł, zdziwił się i zezłościł tak bardzo, że wyładował swój gniew na umierającym, nie zważając nawet na fakt, że ktoś to może jednak zauważyć. Co więcej, dowiedziałem się, że dziś rano zniknął, wystawiając do wia-

tru kapitana d'Amato. Wenecjanin łązi posepny jak chmura gradowa i na gwałt szuka zmiennika, bo chce się stąd jak najszybciej zwinąć. Nie uważacie, że to interesujące?

Guillem zastanawiał się nad odpowiedzią. Powoli zaczynał rozumieć.

- Czyli rzeczy, której szukał tamten marynarz, nie ukradziono Guillemowi na plaży, tylko wcześniej. Nic wam nie umknie, bracie Dalmau; ciekawe, dlaczego zakon nie przeznaczył was raczej do pracy takiej jak moja.

Dalmau wybuchnął śmiechem. Zdecydowanie lubił tego chłopca.

- Pewnie dlatego, że mój talent służy teraz nie mniej słusznej sprawie, przyjacielu. Sami wiecie, że bez pieniędzy ani rusz.

Wesołość skarbnika okazała się zaraźliwa. Śmiali się jeszcze długą chwilę na wspomnienie niepoehlebnej opinii, która przypisywała zakonowi nadmierne przywiązanie do dóbr materialnych.

- Żartujecie w taki sam szczególny sposób, jak ktoś, kogo dobrze znałem.

- Oczywiście, przecież i ja spędziłem z Guilsem niemało czasu, ba, wiele z moich żartów właśnie jemu zawdzięczam. O, wesoło bywało w Palestynie. Walczyło się razem i razem śmiało. Kiedy ujrzałem, w jakim stanie wynoszą go z łodzi, o mały włos rzuciłbym się pomagać... Nie zrobiłem tego jednak. Zdemaskowałbym go tylko, a to bardzo by mu się nie podobało. Jedyne dlatego nie ruszyłem się z miejsca i stałem tu, sparaliżowany i bezsilny, patrząc na zabiegi Abrahama. Ale natychmiast wysłałem do klasztoru pilną wiadomość o tym, co zaszło.

- Nie wiedziałem, że Guils miał tak dobrych przyjaciół w zakonie. Ale rozumiem wasze postępowanie. Zresztą i tak nic byście nie poradzi-
li, nikt nie mógł już nic poradzić.

- Ale mogłem przy nim być, Guillemie, mogłem nie pozwolić, żeby umierał w samotności. Mogłem zatłuc na śmierć odrażającego typa, który go kopnął, albo zmusić potwora, żeby się chociaż wytłumaczył. Patrzcie, ile rzeczy mogłem zrobić, a nie zrobiłem. Sami widzicie, Guillemie, że ja się przynajmniej mogę komuś zwierzyć w kłopotcie, a wam i Guilsowi nawet tego nie wolno, tym się głównie różnią nasze zajęcia. Straszna samotność przypada w udziale ludziom waszej profesji.

Młody templariusz przytaknął. Skarbnik zakonu niezwykle trafnie opisał jego pracę jednym jedynym słowem. Bez Bernarda poczucie samotności stawało się nie do zniesienia i Guillem dopiero teraz pojął, co naprawdę oznaczała dla niego śmierć przyjaciela, dopiero teraz odczuł w całej pełni czający się gdzieś w głębi duszy okropny strach.

- Powinieneś odnaleźć kapitana d'Amato, chłopcze. Nie wiem, czy typ, o którym rozmawialiśmy, to zabójca Guilsa, ale zdecydowanie bardziej nadaje się na podejrzanego niż Camposines.

- A gdzie najłatwiej spotkać kapitana?

- Na twoim miejscu obszedłbym portowe tawerny. Z pewnością w którejs siedzi i pije na umór. Albo szuka nowego marynarza. Albo i jedno, i drugie.

Guillem podziękował za cenną pomoc, Dalmau zaś obiecał mieć na wszystko baczenie i nadstawiać uszu na wszelkie interesujące plotki. Odszedłszy już kawałek, młodzieniec raptownie zawrócił.

- Bracie Dalmau, czy słowo „cień” coś wam mówi?

Na widok zaskakującej reakcji skarbnika natychmiast pożałował swego pytania. Brat Dalmau zeszytywniał, wyprostowany jak struna, a jego przyjazna zwykle twarz stężała w grymasie strachu i gniewu.

- Posłuchajcie, Guillemie, to niebezpieczne pytanie i powinniście uważać, komu je zadajecie. Nie czas obecnie na pogawędki, ale muszę wiedzieć, gdzie i w jakich okolicznościach usłyszeliście to słowo. Spotkamy się dziś wieczorem w domu zakonnym, u brata Arnau. Wtedy porozmawiamy. A na razie idźcie odszukać kapitana dAmato i dowieďte się jak najwięcej o tamtym marynarzu.

Ostatnie zdania w niczym nie przypominały typowych pożegnalnych uwag, zabrzmiały raczej jak rozkaz, co zdumiało Guillemu niepomierzenie. Brat Dalmau wciąż miał na twarzy ten dziwny wyraz hamowanej wściekłości, jak gdyby coś zmaćliło i wydobyło na powierzchnię jakiś gęsty osad spoczywający dotąd w głębinach jego duszy. Guillem wciąż zadawał sobie pytanie, co wywołało aż taką reakcję zakonnego skarbnika. O czym dowie się nadchodzącej nocy? Bardziej niż kiedykolwiek potrzebował wskazówek Bernarda, jego doświadczenia i pewności siebie. Bez niego czuł się całkowicie zagubiony. Odegnął te myśli, wzmagające jedynie strach, że nie potrafi stanąć na wysokości zadania. Na rewelacje brata Dalmau, niezależnie od ich treści, należało jeszcze poczekać. A tymczasem pracy nie brakowało.

Poszukiwania Wenecjanina rozpoczął od portowych tawern i odnalazł kapitana już w szóstej z nich. D'Amato siedział przy stole z nieszczęśliwie przyjaznym wyrazem twarzy, trzymając przed sobą dzban wina. Guillem zbliżył się bez wahania.

- Pozwolicie, kapitanie, postawić sobie kolejjkę? - Usiadł, nie czekając na odpowiedź.

- A co? Pracy szukacie? Bo jak nie, to uprzedzam, że nie zamierzam tracić z wami czasu - ostrzegł marynarz głosem zachrypłym od pochłanianego w nieumiarkowanych ilościach taniego wina.

Guillem położył na stole skórzaną sakiewkę i uśmiechnął się.

- No dobra, pracy nie szukacie, to jasne. Ale coś interesuje was na tyle, że ten sączek ma szansę skończyć w moich rękach, nieprawdaż? - Wenecjanin nie odrywał wzroku od niewielkiego woreczka, oceniając jego ewentualny ciężar i zastanawiając się, jaki rodzaj monet może zawierać oraz jakie wrażenie jego dotyk pozostawiłby na dłoni.

- Chodzi o garść informacji, nic więcej - odparł Guillem.

- Informacje mają swoją wagę, ale dopóki nie przeważą ciężaru sakiewki, możecie na mnie liczyć. - D'Amato zażądał następnej kolejki, z zaciekawieniem obserwując rozmówcę. - Pozwólcie, niech zgadnę... Na pewno interesuje was jeden z moich pasażerów, ten, który dotarł na plażę wpółmartwy. Chyba się nie pomyliłem? To był wasz ojciec?

- Pomyliliście się, kapitanie, mój ojciec nie żyje od tak dawna, że nawet nie pamiętam jego twarzy. I nic nie wiem ani nie chcę wiedzieć o żadnym chorym na plaży. Interesowałoby mnie natomiast wszystko, co macie do powiedzenia o jednym z członków waszej załogi, tym, który wszedł na pokład, kiedy staliście na kotwicy w porcie Limassol.

- Oby go ziemia pochłonęła, suchego syna, pomiot diabelski! - ryknął d'Amato w nagłym przypiływie furii. Jego twarz pociemniała o kilka tonów, przechodząc od umiarkowanej czerwieni do intensywnego szkarłatu. - Zniknął, wystawił mnie do wiatru, przez niego tkwię teraz jak kulek w tym zatraconym mieście! Jak mogłem mu w ogóle zaufać?! Od razu poznałem, co z niego za indywiduum, o, to męć jakich mało. Co jeszcze zmalował?

Guillem dobrze przemyślał odpowiedź, nie chcąc, aby We-necjanin w jakikolwiek sposób powiązał tę sprawę z Guil-sem.

- Na Cyprze okpił pewnego kupca, po czym uciekł. Wynajęto mnie, żebym sprowadził go z powrotem, bez względu na środki. Sami wiecie, jak porywczy bywają ci cypryjscy handlarze. Nie wiem za wiele i nie wnikam w szczegóły, ale zdaje się, że w całą sprawę zamieszana jest również córka owego kupca.

- Znaczy się, przeklęty oszust wykorzystał mój statek do ucieczki z Limassol. Nie dziw, że tak się spieszył z wyjazdem. A kto wie, czy nie ma na sumieniu i zabójstwa... Ostatecznie marynarza, którego zastąpił, znaleziono martwego. Ktoś go zamordował.

- Zamordował? - Twarz Guillega nie wyrażała niczego poza umiarkowanym zainteresowaniem.

- Przecież mówię. Jeden z moich pasażerów, żydowski lekarz, stwierdził, że to było serce, ale gdzie, mowy nie ma! Szubrawiec miał żelazne zdrowie. Poza tym Guils, ten najemnik, co to potem zdychał tu na plaży, też obejrzał trupa i dziwnie patrzył, oj dziwnie. Niezła mi się banda trafiła, nie ma co, tylko takich mętów mi jeszcze brakowało! - A ów oszust? Mieliście z nim jakieś kłopoty w czasie podróży? ~ Guillem badał teren bez pośpiechu, nadmierna ciekawość mogła bowiem wzbudzić w kapitanie podejrzenia.

- Kłopoty? Przyjacielu, on nic innego nie robił przez cały rejs, tylko wywoływał burdy! Pętał się zawsze tam, gdzie nie powinien, a nic gorszego przytrafić się na statku nie może. Nie miał pojęcia o najprostszych węzłach, no, zwyczajnie się do niczego nie nadawał. Sam doszedłem do wniosku, że zaciągnął się na moją galerę z jakichś nieciekawych powodów. - Co macie na myśli?

dAmato nachylił się bliżej, jakby miał do przekazania jakiś sekret. Guillem poczuł silny odór wina. - Zauważyłem, że nie spuszcza z oka jednego z moich pasażerów, tego Guilsa, o którym już wam wspominałem.

Zaniedbywał wszystkie obowiązki, byle tylko się koło niego kręcić pod dowolnym pretekstem. W końcu jednak zdał sobie chyba sprawę, że na niego uw^ażam i że mnie nie oszuka, bo usiłował kryć swoje zainteresowanie. Ale nie z Antoniem dAmato takie sztuczki, przyjacielu, nie jestem głupi. Miałem wrażenie, że chce go okraść, ale sami powiedzcie, co, u diabła, można ukraść obdartemu najemnikowi?

- Nie mam zielonego pojęcia - odpowiedział Guillem, osuszając swój dzban do dna i zamawiając jeszcze jedną kolejkę. Zorientował się, że napitek rozwiązuje Wenecjani-nowi język. - Tak czy siak, kapitanie, jak na złodzieja zachowywał się trochę dziwnie.

- Dajcie spokój, przyjacielu, nie bądźcie naiwni, taki był z niego złodziej jak ze mnie Genuńczyk. Czy okpił waszego chlebobawcę, nie wiem, ale na moim statku wyraźnie czegoś szukał i dam sobie rękę uciąć, że knuł coś brzydkiego.

Przyszło mi nawet do głowy, że miał coś wspólnego z chorobą, a może wręcz i ze śmiercią tego najemnika Guilsa!

- Kolejne zabójstwo! Wydaje mi się wszakże, iż nic nie mówiliście o śmierci tego człowieka, wspominaliście, że był chory, lecz żywy.

- Niektórzy gadali, że się upił, klnę się jednak, że to nieprawda. To był dziwny człowiek, ale na pewno nie opój. Bardzo chorował. Gdybyście widzieli jego twarz, kiedy go znosili na plażę, sami byście przyznali, że wyglądał już jak trup.

D'Amato przeżegnał się trzykrotnie, aby odegnać złe moce, i dalej konspiracyjnie szeptał;

- Opowiem wam o czymś, boście mi przypadli do gustu, przyjacielu. Któregoś dnia w trakcie podróży zdybałem psiego syna na rozdzielaniu racji wody, a to akurat nie należało do jego zadań. Kiedy zauważył, że go obserwuję, wyleciał z kuchni jak oparzony. Z początku myślałem, że swoim zwyczajem próbował się wymigać od własnych znacznie cięższych obowiązków, tyle że później... Od kiedy Guils poważnie zachorował, nie mogłem się uwolnić od myśli o tamtym dniu.

- Ale po co miałyby coś takiego robić? - zapytał Guillem.

- Ba, zapewne dla odpowiednio dużej ilości złota, mój przyjacielu - wyjaśnił Wenecjanin, jak zawsze przekonany o nieodpartej mocy kruszcu. - Bo z jakiegoż innego powodu? To był naprawdę koszmarny rejs, kłopoty z załogą, kłopoty z pasażerami... A właśnie, teraz sobie przypominam, że mieliśmy też na pokładzie drobnego złodziejaszka, prawdziwego zawodowca, niejakiemu d'Auberta. Ten to ani na chwilę nie wyjmował rąk z cudzych kieszeni. Na własne oczy widziałem, jak zręcznie oskubał jednego z dominikanów. Braciszek się nawet nie zorientował. Szybciuteńko, bez hałasu, a jakże, tuż przed końcem podróży, i po sprawie, sakiewka zmieniła właściciela.

Guillem uparł się, żeby zapłacić za następną kolejkę, choć wiedział już wszystko, na czym mu zależało. Wyciągnawszy od kapitana istotne informacje, posiedział z nim jeszcze trochę, słuchając wyrzekań na marynarzy, podróżnych, Pi-zańczyków i Genuńczyków. Kiedy d'Amato rozprawiał, w umyśle młodego templariusza zrodził się pewien pomysł. Żegnając się, zapytał o d'Auberta.

- Wiecie, dokąd poszedł?

- Zemknął jak zając, jeszcze nim zabrano Guilsa. Wcześniej kręcił się po plaży, węsząc niby szpicel. Szukał pewnie kolejnej okazji do zarobku. Nie zdziwiłbym się, gdyby okradł nawet umierającego. Zawsze to z nieprzytomnym łatwiej... Banda przeklętych tchórzyl

Guillem wyszedł z tawerny. Poszczególne elementy układanki zaczynały do siebie pasować. Przyszło mu na myśl, że kto wie, czy Guilsa nie okradł d'Aubert, nim uciekł z plaży. Wystarczyło skorzystać z chwili, kiedy Abraham rozmawiał z Camposinesem. Ale i wcześniej okazji nie brakowało. Jeśli d'Aubert jeszcze na statku potrafił oskubać zakonnika, tym bardziej mógł spróbować szczęścia z człowiekiem ciężko chorym. A potem zjawił się ten drugi i ku swemu zaskoczeniu nie znalazł tego, czego się spodziewał i w imię czego gotów był zabić. Dlatego Guillem nie wątpił, że jeśli d'Aubert ukradł tajemniczą rzecz przewożoną przez Guilsa, jego życiu zagrażało teraz śmiertelne niebezpieczeństwo. Należało go więc odnaleźć, wcześniej, niż uczyni to zabójca Bernarda. Rozmyślenia te uzmysłowiły Guillemowi, że zna już sposób na opanowanie, a nawet ostateczne zwalczenie strachu, doznał bowiem nieznanego dotąd pragnienia, aby odszukać mordercę Guilsa i zabić go własnymi rękami. To obce do tej pory uczucie potężniało, mając mu odtąd towarzyszyć przez bardzo długi czas.

Ponownie obszedł wszystkie tawerny w dzielnicy portowej, tym razem w poszukiwaniu d'Auberta, którego jednak nie znalazł. Wracając, zauważył wszakże grupę ludzi wyglądających na kupców i pograżonych w ożywionej rozmowie, postanowił więc wykorzystać zbieg okoliczności, który zdawała się mu podsuwać sama Opatrzność. Brat Dalmau mógł mieć rację, twierdząc, że Camposines nie udzieli mu żadnych interesujących informacji, ale mimo wszystko warto było o niego popytać. Dlatego bez dalszych wahań Guillem skierował się w stronę dysku-tantów.

-Dzień dobry - powiedział. - Szukam Ricarda Camposinesa. Chciałbym w miarę możliwości zamienić z nim kilka słów. Nie zabiorę zbyt dużo czasu.

Camposines postąpił krok w jego kierunku, zaintrygowany i zarazem przestraszony. Obawiał się, że ma oto do czynienia z przedstawicielem jednego ze swych wierzycieli, który chce otrzymać należną mu część zysku jeszcze przed upływem ustalonego terminu.

- Camposines to ja. Przypuszczam, że przychodzicie w sprawie pożyczki. Nim jednak oddam pieniądze, muszę zamknąć transakcję, a jestem w Barcelonie zaledwie od wczoraj i...

- Nie, nie przysyła mi żaden wierzyciel, możecie być spokojni. Jestem przyjacielem Abrahama Bar Hii i Bernarda Guilsa, waszych towarzyszy podróży, i chciałbym wam jedynie zadać kilka pytań, nic ponadto. Jeśli nie macie teraz czasu, przyjdę później, kiedy znajdziecie dla mnie chwilę.

- Boże święty! - wykrzyknął naprawdę już przerażony kupiec. - Urzędnicy królewscy! Przysięgam, że nic nie wiem.

Trochę trwało, zanim Guillem zdołał uspokoić swego rozmówcę, który zupełnie tracił głowę na myśl o czymkolwiek, co mogłoby zniweczyć rezultat jego długotrwałych wysiłków. Młodzieniec tłumaczył cierpliwie, że jako przyjaciel Guilsa usiłuje jedynie wyjaśnić, co się właściwie stało, i że w żaden sposób nie zamierza nikomu szkodzić. Powtarzając swoje zapewnienia, zaprowadził Camposinesa do oberży

przy targu i widząc, że kupiec zaczyna nabierać doń zaufania, zaprosił go na wino. - A tak przy okazji, jak się ma wasz druh? - spytał Katalończyk.

- Umarł wczoraj w domu Abrahama, mój przyjacielu. - Guillem spoglądał na niego z sympatią i niepokojem, zastanawiając się, jak zareaguje.

Camposines zaczął drzeć, zupełnie jakby lodowaty powiew wtargnął z nienacka przez drzwi oberży. Wychylił swój kubek jednym haustem.

- Boże święty, Boże święty, tego się właśnie obawiałem! Kiedy wynosiliśmy go z łodzi, wyglądał doprawdy kiepsko. Ale zrobiłem, co w mojej mocy, nie mogłem przecież zostawić towaru, ja...

- Nie lękajcie się, proszę, nikt was o nic nie oskarża. Uczyniliście to, co uznaliście za słuszne, pomogliście Abrahamowi, a dla Guilsa i tak było już za późno.

- Naprawdę tak sądzicie? - Na zasmuconej twarzy kupca malowały się wątpliwości.

Guillemowi zrobiło się go żal.

- Zachowaliście się tak, jak należało, bez dwóch zdań. Abraham jest wam bardzo wdzięczny za pomoc. Chciałem z wami porozmawiać tylko dlatego, że być może potraficie powiedzieć mi coś interesującego o jednym ze współtowarzyszy podróży.

Camposines zamrugął ze zdziwienia oczami. Obawiał się do tej pory, że siedzący przed nim młodzieniec zamierza mu wystawić rachunek za tchórzostwo. Sam bowiem uważał wgłębi duszy, że zostawiając starego skłopotanego Żyda na łasce losu, zachował się jak ostatni tchórz.

- O kim?

- Chodzi o niejakiego d'Auberta. Dowiedziałem się, że okradł któregoś z płynących z wami zakonników, możliwe więc, że to samo zrobił z chorym Guilsem.

- D'Aubert okradł dominikanina! - Przelotny uśmiech rozjaśnił twarz kupca. - Musicie mi wybaczyć, młodzieńcze, ale jeden z tych mnichów zachowywał się wyjątkowo niemiło, a teraz wyobraziłem sobie, jaką musiał mieć minę po odkryciu straty. Ale w sumie można się było tego spodziewać. D'Aubert to niezłe ziółko, mam nadzieję, że już nigdy nie spotkam tego typa na swojej drodze. Wyobrażacie sobie, że kilkakrotnie przyłapałem go na tym, jak się kręcił wokół moich towarów w ładowni? Szczerze mówiąc, nie spuszczałem go z oka przez całą podróż, bo nie wzbudził mojego zaufania.

- Widzieliście go potem gdzieś w porcie?

- Co za zbieg okoliczności, młody człowieku! Kiedy nadeszliście, właśnie o nim rozmawialiśmy.

- Mówcie dalej, przyjacielu, słucham z uwagą.

- No więc podobno ten cały d'Aubert szwendał się od rana po targu, szukając kogoś, kto znałby język grecki. Nie uważacie, że to dziwne? Ciemny analfabeta zaczyna nagle szukać tłumacza z greki. Na pewno coś knuje, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa coś wyjątkowo pasudnego.

Całkowicie już spokojny Camposines wdał się zaraz potem w opowieść o swojej trudnej i najeżonej przeciwnościami podróży po odległych krainach w poszukiwaniu egzotycznych barwników. Guillem wysłuchał go z zainteresowaniem i zaczął się zbierać do odejścia.

Pożegnali się niczym dobrzy przyjaciele. Kupiec zaoferował swoją pomoc we wszystkim, w czym tylko mógł się okazać pożyteczny; nalegał, by poważnie traktować jego propozycję, i raz jeszcze zapewnił, że bardzo mu przykro z powodu śmierci Guilsa.

Guillem ruszył z powrotem do domu zakonnego. Padający przez cały dzień drobny deszczyk przemoczył go do suchej nitki, musiał się przebrać i coś zjeść. Zgromadził już wystarczająco dużo informacji: teraz należało je uporządkować i każdemu elementowi przypisać właściwe miejsce. Zastanawiał się nad słowami Camposinesa. Tłumacz z greki? Do czego złodziejasek w rodzaju d'Auberta potrzebował kogoś takiego? Istniała możliwość, że wśród ukradzionych dominikaninowi rzeczy znajdował się list ~ albo dokumenty - po grecku. Ale po co rzucać się natychmiast na poszukiwania tłumacza, w dodatku w sposób tak niedyskretny? A może miało to coś wspólnego z Guilsem? Cóż takiego on, do diabła, wiozł? Nikt nie zdradził Guillemowi natury tej przesyłki, wszyscy podkreślali jedynie jej wagę.

Sprawa komplikowała się z każdą chwilą i umysł młodego templariusza pracował na najwyższych obrotach, by natrafić na jakąkolwiek nić wiodącą ku rozwiązaniu zagadki. Jednakże niezwykle trudne okazywało się nawet zwyczajne uporządkowanie zdobytych informacji, które, zamiast pomagać, zdawały się wręcz wszystko zaciemniać. Osoby i fakty układały się w poplątany wzór, który w miarę patrzenia stawał się coraz bardziej zawiły.

No dobrze - pomyślał Guillem. - Brat Dalmau spotka się ze mną tej nocy i być może wytłumaczy mi znaczenie słów Bernarda. Kto wie, czy nie tu kryje się wyjaśnienie tajemnicy. Pewnie chodzi o jakiś sekretny szyfr, którego po prostu nie znam. Tyle że jeśli Guils chciał mi przesłać ostrzeżenie o niebezpieczeństwie, to dlaczego nie użył klucza, którego sam mnie nauczył? Bernardzie, mistrzu, jak mogłeś mnie opuścić w

samym środku niezmiernego labiryntu? Ci wszyscy złodzieje, tłumacze z greki, cienie... Nie jestem na to gotów, jeszcze nie. Czuł się zmęczony i zniechęcony. Bez Guilsa jego praca traciła cały sens i rację bytu.

ROZDZIAŁ V

BRAT DALMAU

*Czy u jakiegokolwiek człowieka na ziemi zaciągnęliście dług, którego nie potraficie spłacić sami ani przy pomocy przyjaciół, bez wsparcia ze strony domu? Albowiem odarto by was z płaszcza, wydano wierzy-
cielowi, a dom nie ponosiłby odpowiedzialności za ów dług.*

Wieść o śmierci Bernarda Guilsa obiegła już cały dom zakonny w Barcelonie, a przygotowania do pogrzebu nabierały rozpędu. Zdarzenie to wywołało pośród braci niepokój. Nikt nie znał dokładnej przyczyny zgonu Guilsa, a szerzące się plotki jedynie przydawały sprawie tajemniczości. Wielu templariuszy, zwłaszcza najmłodszych, zadawało sobie pytanie, co zmarły robił w domu Żyda, w dodatku bez płaszcza czy innych świadectw przynależności do zakonu. Bernard był dla nich chodzącą legendą, bohaterem wstawionym heroicznymi czynami w Ziemi Świętej, nieprzejednanym obrońcą Akki. Nieliczni mieli okazję poznać go osobiście, ale nikt nie potrafił określić, czym się właściwie zajmował. Z dnia na dzień snuto coraz śmielsze przypuszczenia, coraz

częściej słyszało się tu i ówdzie wypowiedane szeptem słowo „szpieg”, choć brakowało w tym względzie jakichkolwiek dowodów.

Te same wątpliwości wzbudzał młody Guillem, towarzysz Guilsa. Nieodmiennie ubrany w świeckie szaty i ogolony, nigdy nie uczestniczył w obrzędach liturgicznych, mógł za to wedle własnego upodobania wychodzić z domu zakonnego i do niego wracać. Ponieważ jednak w przeciwieństwie do Bernarda nie wyróżniał się heroiczną przeszłością, uważano powszechnie, że jest bratem służebnym albo jednym z gromady zakonnych giermków. Szybko przyjęło się określenie „ten od Guilsa”. Tak zaszufadkowany, przestał dla wielu istnieć. Sprzyjało to zresztą wykonywanej przez niego pracy, ale lekceważenie współbraci bardzo go drażniło. „Jeśli marzysz o białym płaszczu, chłopcze, lepiej zapomnij o tej profesji” - powtarzał Bernard przy niezliczonych okazjach, zwłaszcza kiedy dostrzegał w oczach swego ucznia szczególny błysk na widok oddziałów templariuszy w idealnym szyku zmierzających ku dalekiemu miejscu przeznaczenia.

Przyzwyczajony do swej niecodziennej pozycji w zakonie Guillem bardzo się więc zdziwił, gdy jeden z braci, wciąż dziarski mimo podeszłego wieku, zbliżył się do niego z kondolencjami z powodu śmierci Guilsa. Poruszony jego szczerym smutkiem młodzieniec poczuł głęboką wdzięczność, że ktoś wreszcie traktuje go jak równego sobie, nie zważając na jego świecki wygląd.

Nie mógł jednak tracić czasu na rozpamiętywanie tego łagodzącego podrażnioną dumę zdarzenia, ponieważ czekało go spotkanie z bratem Dalmau. Miał nadzieję, że dzięki niemu wyjaśni się wreszcie, dlaczego zakonny skarbnik tak dziwnie zareagował na słowo „cień”. Guillem przypomniał sobie wyraz jego twarzy i błysk furii w spojrzeniu. Zaintrygowany zastanawiał się nieustannie, co mogło do tego stopnia rozgniewać spokojnego na pozór człowieka.

Zmierzając do komnat zielarza, po raz kolejny porządkował w myśli ostatnie wypadki. Należy bezwzględnie ustalić, co przewoził Guils i czego z takim poświęceniem strzegł. Guillem ani przez moment nie wątpił, że wyjaśnienie tej zagadki pomoże mu się zorientować, o co w ogóle chodzi.

Jeśli ów przedmiot stał się już przyczyną przelewu krwi, trzeba się dowiedzieć, komu mogło zależeć na jego zniknięciu, kto krył się za zbrodnią i czerpał z niej korzyści. Po nitce do kłębka... Ale co, do wszystkich diabłów, wiózł ze sobą Guils? I kogo o to zapytać? Guillem z wolna zaczynał pojmować, że niemal nic nie wie o swoim zmarłym przyjacielu. Czyim rozkazom podlegał? Kto był jego bezpośrednim zwierzchnikiem? Guillem nie miał o tym nawet bladego pojęcia. Ograniczał się do wypełniania poleceń mistrza, ale czyje polecenia wypełniał z kolei Bernard? Guillem nie potrafił nic na ten temat powiedzieć. Prawie nigdy nie musieli się tłumaczyć ze swoich poczynań spotykanym w trakcie wykonywania misji komandorom. Pełna współpraca i żadnych pytań, jak gdyby wszyscy rozumieli, że i tak nie doczekają się odpowiedzi. Do kogo się więc zwrócić w trudnej chwili, z kim rozmawiać, a z kim lepiej nie?

Po śmierci Guilsa zdezorientowany Guillem zdał sobie sprawę z tego, że nie ma żadnych kontaktów ani pomysłu, w którą stronę się skierować. Odkrycie, że nie potrafi odpowiedzieć na żadne z cisnących się mu do głowy pytań, wstrząsnęło nim do głębi, pociągając za sobą wrażenie, że zaraz się udusi zalewany falami bezsilności i furii.

- Niech to szlag, Bernardzie, niby taki byłeś przewidujący, a jednak zapomniałeś o najważniejszym: nie przygotowałeś mnie na swoje odejście! - Guillem bezwiednie odezwał się na głos, strasząc przechodzącego obok nowicjusza.

Kiedy dotarł do pomieszczeń zajmowanych przez zielarza, zdumiała go panująca tam cisza. Brat Arnau, usadowiony za niewielkim stołem, który służył mu za całe laboratorium, pochylał się nad moździerzem, bez reszty skupiony na rozcieraniu jakiejś mieszanki. Guillem zauważył też wyciągniętego na łożu Abrahama, którego ciało w takiej pozycji zdawało się jeszcze bardziej wydłużone. Starzec leżał z zamkniętymi oczami. Na odgłos otwieranych drzwi brat Arnau odwrócił się.

- Złe wieści, chłopcze. Nie będziemy mogli wyjechać. Abraham nie czuje się najlepiej.

- Jest chory?

- Jest i był już wtedy, gdy wyruszał w tę przeklętą podróż. Uparł się, wbrew moim błaganiom, i teraz ponosi konsekwencje. To doskonały lekarz, ale jest najgorszym z pacjentów. - Arnau znowu pochylił się nad moździerzem.

- Jak szybko zdoła wrócić do sił? Nie może tu zostać to nieostrożne. Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że jego życiu grozi niebezpieczeństwo.

- To nic nowego, groziło i przed całą tą awanturą bracie Giullemie. Ale uspokójcie się, wyzdrowieje. Zaklinam się jednak, że tym razem nigdzie się nie ruszy bez mojego zwołenia. A, właśnie! Dalmau czeka na was w Sali kapitulnej. Wyglądał na zdenerwowanego. Czy dzieje się coś o czym powinienem usłyszeć, chłopcze?

- Jak tylko się czegoś dowiem, natychmiast was o tym powiadomę. - Guillem spojrział na zielarza z sympatią i poklepał go po plecach, wyszedł z komnaty. Zmartwiło go, że Abraham choruje i nie może wyjechać. Nie wiedział do jakiego stopnia zakon potrafi go chronić, a od

śmierci Guilsa sprawy komplikowały się w sposób zupełnie nie kontrolowany.

Wysiłkiem woli odegnał mroczne myśli, z których nie wynikało nic poza potwornym bólem głowy. Brat Dalmau już czekał, należało się więc się spieszyć i przygotować umysł na przyjęcie tego, co miał do powiedzenia.

Abraham z trudem powracał do rzeczywistości, co skłoniło go do przypuszczenia, że poczciwy Arnau z pewnością dosypał do zupy czegoś na uspokojenie. aby uśmierzyć bóle jego ciała i duszy. Przed chwilą poprzez mgłę nieświadomości dotarły doń szepty zielarza i głos młodego Giullemma, i to właśnie wydobyło go na powierzchnię snu.

Był zmęczony i słaby. Choroba postępowała krok za krokiem, niespiesznie, lecz nieubłaganie. Pomyślał o swoim starym przyjacielu Nahmanidesie i o zobowiązaniu, którego się podjął. Nahmanides polegał na nim i Abraham zaczynał się obawiać, że zawiedzie jego oczekiwania, że nie starczy mu sił, aby doprowadzić dzieło do końca. Musiał więc zaufać bratu Arnau. Przerażała go sama myśl o tym, że manuskrypt Nahmanidesa mógłby wpaść w niepowołane ręce. Ta przepiękna księga nie mogła przemienić się w popiół.

- Arnau, Arnau! - głos Abrahama brzmiał słabo, niemal jak szept.

- Jestem tutaj, drogi Abrahamie, tuż przy was... - Zaniepokojony Arnau zjawił się bez zwłoki. - Nie powinniście się niczym niepokoić, odpoczywajcie. Już i tak za bardzo nadwreżyliście swoje siły. A nie mówiłem, że wasz stan nie pozwala na żadną podróż? Szczególnie tak trudną i...

- Muszę z wami natychmiast porozmawiać, Arnau - uciał starzec, usiłując podnieść się na łóżku.

- W naszym wieku słowo „natychmiast” przestaje istnieć, macie odpoczywać i mało mówić.

- Arnau, nie bądźcie uparci i pomóżcie mi wstać, mówię wam przecież, że musimy porozmawiać - głos Abrahama nabrał siły, a nawet pojawiła się w nim nutka rozdrażnienia czy wręcz gniewu, co niemało zaskoczyło zielarza.

- Już dobrze, dobrze! - odparł zatem, podkładając pod plecy chorego kilka poduszek. - Nie przeczę, że bywam niekiedy dość uparty, Abrahamie, ale Bóg mi świadkiem, że bijecie mnie w tym względzie na głowę. Co za charakter! Wy po prostu nie umiecie chorować.

- Zamilknijcie i słuchajcie uważnie - po raz kolejny ostro przerwał mu Abraham - a przekonacie się, że zajmująca mnie kwestia nie cierpi zwłoki. Nie mówiłem wam o tym wcześniej tylko z obawy, aby nie przysporzyć kłopotów.

A wierzcie mi, że sprawa ta może przysporzyć wam kłopotów bez liku.

- Przerażacie mnie, mój przyjacielu, co mało komu **się** udaje. Myślałem, że darzycie mnie zaufaniem i że dzielące nas różnice nie umniejszają naszej przyjaźni.

- Przykro mi, Arnau, ale to nie ma nic wspólnego z zaufaniem, ale wyłącznie ze strachem - mruknął Abraham, patrząc zielarzowi prosto w oczy. - Wiecie, że jestem chory, chory i zmęczony... Niewiele mi czasu zostało. Śmierć nie odstępuje mojego boku, uciążliwa, choć niewidoczna. Nie mogę ryzykować, że umrę, nie przekazawszy wam ostatniego życzenia jednego z moich starych przyjaciół.

- A więc znowu kochany Bonastruc z Porty! Który dla ciebie, rzecz jasna, na zawsze pozostanie Nahmanidesem - wtrącił Arnau, spoglądając na Abrahama z ironią.

- Jak zgadliście?

- Stary z was Żyd, a głupi i uparty - westchnął zielarz z rezygnacją. - Niezależnie od nieprawdopodobnych historii, którymi próbowaliście tłumaczyć swoją wyprawę do Palestyny, od razu wiedziałem, że chcecie po prostu pożegnać przyjaciela. Tym bardziej że, zważywszy na wasz stan, powód podróży musiał być naprawdę istotny. Pojąłem to natychmiast i nie taję, że zabołał mnie wasz brak zaufania do mojej skromnej osoby. Wiecie przecież, jak bardzo cenilem Bonastruca i jak niesprawiedliwe wydaje mi się wszystko, co mu uczyniono. Obraziłem się na was, nie ukrywam, ale rychło zacząłem się modlić o wasz szczęśliwy powrót. Do mojego Boga i, na wszelki wypadek, do waszego też.

Abraham przyglądał się staremu templariuszowi z głęboką sympatią. Arnau miał rację; pielęgnowali swą niezwykłą przyjaźń latami, a odmienność religii nie tylko im w tym nie przeszkadzała, lecz wręcz przeciwnie, pozwalała wzbogacać się wzajemnie, dzielić wiedzę i umiejętności.

- Macie całkowitą rację, Arnau, jestem starym, głupim i zmęczonym Żydem. Do tego śmiertelnie przerażonym. Po raz pierwszy w życiu boję się śmierci, czuję wokół siebie olbrzymią pustkę, żyję bez przyszłości, bez nadziei, ze świadomością, że na nic mi się nie przydadzą wszelkie studia i doświadczenie.

- Typowe... Wszyscy przez to przechodzimy, ale wy, górując wiedzą nad innymi, więcej też oczekujecie od siebie i świata - stwierdził zielarz, którego oczy rzucały ironiczne błyski. - W każdym razie, jeśli trapi was to, że umrzecie już teraz, zaraz, możecie spać spokojnie. Któregoś

dnia to bez wątpienia nastąpi, ale jeszcze nie w tej chwili. Powoli wracacie do zwykłego stanu. Za kilka dni poczujecie się dużo lepiej i od razu opuszczą was posępne myśli. Znam się na swoim fachu i wiem, co mówię.

- Posłucham więc wreszcie waszych rad i zacznę o siebie dbać, ale teraz musimy porozmawiać o czymś niezwykle dla mnie ważnym. Tak jak podejrzewaliście, wybrałem się do Palestyny, aby zobaczyć Nahmanidesa, a także po to, aby spełnić pewne jego życzenie. Sami wiecie, jak smutny los spotkał wszystkie jego dzieła... Spłonęły na stosie, ale ja... No dobrze, chyba lepiej, żebyście sami zobaczyli. Przyniescie moja torbę. Błagam Boga, by nie skończyło się to dla was jakąś katastrofą.

Guillem kilkakrotnie zapukał do drzwi sali kapitulnej. Usłyszawszy zaproszenie, wszedł do środka i znalazł się w wyjątkowo pięknej komnacie. Część jej ścian pokrywały boazerie ze szlachetnych gatunków drewna, a z ogromnego, wyrzeźbionego w marmurze i piaskowcu kominika padał blask.

- Wejdźcie, Guillemie. Przypuszczam, że brat Arnau powiadomił już was o tym, że Abraham nie czuje się wystarczająco dobrze, aby móc się wybrać w zaplanowaną podróż.

Dalmau opierał się o kominiek, spoglądając na wchodzącego z sympatią. Guillemowi wydał się teraz wyższy i młodszy, jak gdyby stoi, za którym co dzień oficjalnie zasiadał, dodawał mu lat. Jego jasnoszare oczy, choć mocno podkrążone, patrzyły jednak pogodnie. Tym, co zadziwiało u niego najbardziej, była niesłychana, aż nieproporcjonalna w stosunku do pokaźnego wzrostu chudość.

- Wyglądacie na zaskoczonego - ponownie odezwał się Daimau. - Wielu ludzi sądzi, że istnieję jedynie jako przedłużenie mojego stołu, kiedy więc wstaję, na niejednym robię spore wrażenie. Guilsa niezwykle to bawiło: powtarzał, że stałem się chodzącym wekslem... I zaczynam wierzyć, że nie bardzo się mylił.

- Nie wiedziałem, że tak dobrze znaliście Bernarda.

-Nie mogłeś tego wiedzieć, chłopcze. Jako młodzi ludzie wybraliśmy się do Ziemi Świętej i razem wstąpiliśmy do zakonu. Przez kilka lat wspólnie wykonywaliśmy pracę, którą wy wykonujecie teraz, pracę trudną, anonimową i niebezpieczną. Później nasze drogi się rozeszły, ale przyjaźń przetrwała.

Guillem słuchał z uwagą. Szpiegowska przeszłość brata Dalmau nie zaskoczyła go zanadto; niejednokrotnie podziwiał jego nadzwyczajny zmysł obserwacji i wyczulony węch wytrawnego tropiciela.

- Wymyśliliście sobie doskonałą maskę - powiedział, nie spuszczać z rozmówcy oczu.

- A, macie na myśli tę starą teorię Guilsa... Że trzeba maskować się w taki sposób, aby przebranie stało się naszą drugą skórą. - Dalmau roześmiał się hałaśliwie, zarażając swą wesołością także Guillema. - Wspaniały pomysł, bez wątpienia, ale nie wszyscy mieliśmy taką zdolność jak Bernard do zastosowania go w praktyce. Zapewniam was, że ta kwestia wywołała między nami wiele sporów, głównie dlatego, że ja, aby wtopić się w tłum, musiałem się bardzo wysilać, a moje nieporadne próby śmieszyły Guilsa do łez. Stąd ten żart o wekslu. Bernard utrzymywał, że w końcu udało mi się pojąć filozofię „maski”, jako że nie dodając nic do swojej osobowości, zamieniłem się w najbardziej przekonującego urzędnika w całym porcie.

Popatrzyli po sobie z uśmiechem, stojąc w kręgu ciepła bijącego od kominka i wspominając niezwykle poczucie humoru zmarłego.

- No dobrze, Guillemie, starczy... Mamy kilka spraw do omówienia.

Na twarzy brata Dalmau znów zagościła powaga. Gestem nakazawszy Guillemowi, aby szedł za nim, skierował się ku jednej z pokrytych boazerią ścian. Guillem zwrócił uwagę na przepiękną różę zakonu, wyciętą w drewnie z niesłychaną precyzją. Przyjrzał się też innym rzeźbionym symbolom zdobiącym salę, zadając sobie pytanie, czy na każdej ze ścian komnaty ich porządek jest taki sam. Brat Dalmau uruchomił jakiś niewidoczny dla niego mechanizm i część ściany niemal bezgłośnie odsunęła się na bok. Guillem, idąc w jego ślady, wszedł do ciemnej niszy, skąd wykutymi w skale schodami zaczął schodzić w dół, początkowo nie bez trudu, schylony, nieustannie wyczuwając plecami kamienne sklepienie. Wydawało mu się, że idą tak bez końca. Szczególnie niemiłe wrażenie robiła na nim ciasnota korytarzyka. Nie po raz pierwszy znajdował się w podobnym miejscu. Przypomniawszy sobie przejścia na zamku w Monzón, prawdziwy podziemny labirynt, w którym pod kierunkiem Guilsa ćwiczył swój zmysł orientacji. Bez światła, sam, zagubiony w mrocznych tunelach. „Umiesz wystarczająco dużo, aby się stąd wydostać, chłopcze. Im szybciej ci się to uda, tym szybciej coś zjesz”. Przy pierwszej próbie spędził tam trzy dni - bez jedzenia, kurczowo zaciskając dłonie na niewielkiej buteleczce z wodą, która skończyła się bardzo prędko - aż do chwili, gdy Bernard wreszcie go odnalazł, załamanego i wyczerpanego. Za drugim razem potrzebował dwudziestu czterech godzin, ale doczekał się od Bernarda pełnego dumy spojrzenia, które okazało się lepszą nagrodą niż obfity posiłek i dzban dobrego wina. Nigdy jednak nie zdołał się przyzwyczaić do intensywnego, wilgotnego, przywodzącego na myśl pusty grób zapachu, który zdawały się wydzielać same kamienie. Guils nazywał takie miejsca skrytkami: w zależności od potrzeby służyły bowiem do potajemnych

spotkań lub do ułatwiania ucieczki. „I żeby się schować, chłopcze, jak królik w czasie polowania”.

W końcu znaleźli się w naturalnej jaskini. Po jednej stronie piętrzyły się wielkie skalne bloki, potrzaskane kolumny ze zdobnymi kapitelami. Obok pochylała piękną głowę ogromna, bezręka bogini Kybele, z wyżyn boskiego majestatu patrząc niewzruszenie na ludzki ból. Guillem pomyślał przelotnie o dawnych imperiach, przekonanych o swej wiecznotrwałej potędze, a przecież tak w gruncie rzeczy kruchych. Może to pamięć, w istocie, była strażniczką nieśmiertelności.

W jednej ze ścian groty ziały czernią wejścia do kilku korytarzy. Skądś dobiegał szmer wody. Przeszedłszy jeszcze kawałek, dwaj templariusze znaleźli się w dużej sali, wyposażonej w stół i parę krzeseł. Brat Dalmau usiadł, zapraszając Guillema, aby zrobił to samo.

- A teraz, Guillemie, kiedy mamy wreszcie nieco spokoju, muszę wiedzieć, gdzie, od kogo i w jakich okolicznościach usłyszeliście o Cieniu. Rozumiem, że moja prośba wydaje się wam pewnie zaskakująca. Nie orientujecie się, kim jestem, nie znacie mnie za dobrze, nie wiecie nawet, czy można mi ufać. Błagam jednak, abyście uczynili to, o co proszę.

Guillem wahał się przez chwilę. Jego sytuacja nie wyglądała zbyt wesoło, nie wiedział, do kogo się zwrócić ani zgodnie z czyimi wskazówkami postępować. Nie wątpił, że za śmiercią Guilsa kryje się coś znacznie poważniejszego niż zwykle morderstwo dla zysku, poza tym jednak czuł się zagubiony. Potrzebował kogoś, komu mógłby zaufać, a Dalmau nie wydawał się najgorszą w tym względzie osobą. Kto wie, może będzie potrafił mu pomóc.

- Jeśli wam powiem, narażę wasze życie na niebezpieczeństwo.

- Podejmijmy to ryzyko - cierpliwie odrzekł Dalmau. Guillem zaczął mówić. Początkowo ostrożnie, dobierając

słowa, później zaś tak, jak gdyby nieprzewyciężona potrzeba wyrzucenia z siebie tej absurdalnej historii przerwała wszelkie tamy. Dalmau słuchał, nie chcąc przerywać toku opowiadania, pozwalając młodemu człowiekowi rozwodzić się do woli nad swoim przywiązaniem do Bernarda i nad zagubieniem, jakie bez niego odczuwał. Skończywszy, wyczerpany Guillem spuścił głowę. Nie miał właściwie pojęcia o własnej pracy ani tym bardziej o okolicznościach śmierci Guilsa, a więc pięć lat u boku mistrza na nic się nie zdało. Brat Dalmau wydawał się rozumieć stan ducha Guillema, zupełnie jakby słyszał ów wewnętrzny głos, który nie przestawał nękać młodzieńca.

- Sądzicie, że Bernard nie miał do was wystarczająco dużo zaufania i to was rani. Myślę jednak, że się mylicie, Guillemie. Guils nie spodziewał się po prostu takiego obrotu . spraw, zresztą trudno się go było spodziewać. Możliwe, że przez cały ten czas usiłował was chronić, przygotowywać, owszem, ale jednocześnie odsuwając od was wszelkie konsekwencje waszej profesji. Być może chciał wam dać czas na podjęcie decyzji.

- Ale wy wiecie, o co mu chodziło, wiecie, co oznacza słowo „cień”.
- Guillem uparcie chwycił się jedyne go znanego sobie tropu. Nie miał ochoty myśleć o Bernardzie ani o tym, dlaczego mistrz utrzymywał go w tak głębokiej ignorancji.

- Tak, wiem, i to, co wiem, wcale mi się nie podoba. Śmierć Bernarda chyba o czymś świadczy.

- Dlatego wybraliście to miejsce? I otaczacie nasze spotkanie taką tajemnicą?

- Nie, chłopcze - odparł Dalmau stanowczo. - Nie chodzi mi o nasze bezpieczeństwo, tylko o bezpieczeństwo innych. Nikt, kto wie o Cieniu, nie żyje zbyt długo. Byłoby więc nieroztropnie, a wręcz głupio, narażać kogośkolwiek z naszych braci, nie uważasz? Przyszliśmy tutaj, aby uniknąć kolejnych niepotrzebnych śmierci.

Brat Dalmau utkwij w młodzieńcu przeciągłe, taksujące spojrzenie, potem zaś mówił dalej:

- Ta historia dotyczy szpiegów, chłopcze, i dzieje się w całkiem odrębnym, nierealnym świecie. Sam wiesz, że twój zawód nie istnieje, bo nie ma szpiegów ani w zakonach, ani w Rzymie, nie ma ich na królewskich dworach ani u braci szpitalników, ani u Krzyżaków. Szpiegów nie ma i świat może spać spokojnie.

Guillem uśmiechnął się, słysząc brzmiającą w tych słowach ironię, wiedział jednak, że to prawda. Istnienia szpiegów nikt nie dopuszczał do świadomości, ale jednocześnie ich liczba alarmująco rosła, tak na dworach, jak i w zakonach.

- Cień to człowiek, którego w swoim czasie wiele z nami łączyło. Z Guilsem, ze mną i z zakonem. Nazywał się dArles, Robert dArles. A przynajmniej takie imię nam podał. Był uroczym młodzieńcem, gruntnie wykształconym, z dużym talentem do języków. Szybko wspinał się po kolejnych szczeblach kariery, aż dotarł do stanowisk określanych jako „specjalne”, gdzie zetknął się z Guilsem i ze mną...

Dalmau zamilkł na chwilę, oddychając głęboko, jak po dużym wysiłku.

- Przez parę lat spokojnie razem pracowaliśmy. Tworzyliśmy dobry zespół. Kłopoty zaczęły się dopiero w tysiąc dwieście pięćdziesiątym pierwszym roku. Nieco wcześniej stwierdziliśmy poważne przecieki informacji, kilku braci umarło w dziwnych okolicznościach. Niepokoiło nas to niezmiernie, a czasy były trudne... Egipska krucjata Ludwika zakończyła się katastrofą, za co drogo płaciła cała Ziemia Święta.

- Krucjata Ludwika, króla Francji?

- Tego samego, który po klęsce pod DamieUą schronił się w Akce. Rzezi można było zresztą uniknąć. My nalegaliśmy, aby skoncentrować się na odzyskaniu Jerozolimy, a wyprawę do Egiptu odłożyć na stosowniejszą porę. Daremnie.

- Francuzom bardziej wtedy zależało na umocnieniu swej władzy na Zachodzie, bracie Dalmau, podobnie jak papieżowi. Po śmierci Fryderyka rozpadające się cesarstwo stanowiło łakomy kąsek, po który nie sięgnąć byłoby marnotrawstwem.

- Tak, macie rację, łakomy kąsek... Co się zresztą, mimo upływu lat, niewiele zmieniło - mruknął Dalmau z wyrazem niesmaku na twarzy. - Syria i Egipt prowadziły wówczas wojnę i nie da się ukryć, że w interesie zakonu leżało zwycięstwo tej pierwszej. Przysporzyło nam to mnóstwa kłopotów. Syria poniosła właśnie dotkliwą klęskę i zaproponowała królowi Francji miasto Jerozolimę w zamian za zawarcie zbrojnego przymierza przeciwko Egiptowi. Była to kusząca propozycja, zwłaszcza po Damietcie. Ludwik mógł w ten sposób oczyścić splamiony porażką honor i stać się, zgodnie ze swym największym marzeniem, bohaterem chrześcijańskiego świata. Jednakże w realizacji tej zachwycającej wizji przeszkadzały mu tysiące chrześcijańskich jeńców cierpiących w egipskich kazamatach. Kwestia była drażliwa, ponieważ wpływowe rodziny

uwięzionych naciskały na króla, przypominając, że układy z Syryjczykami mogą się zakończyć wymordowaniem jeńców przez Egipcjan.

- Czy nie wtedy właśnie wybuchł skandal z wielkim mistrzem Vichiers? - wtrącił Guillem.

- Doskonało się orientujecie. W trakcie całego tego zamieszania ktoś podszeptał Ludwikowi, że zakon pertraktuje z Syryjczykami. Jak widzicie, przecieki stawały się coraz poważniejsze, a wszystkie nasze starania, aby nakryć zdrajcę, ciągle kończyły się fiaskiem. Trudno nam było uwierzyć, że to ktoś z naszych, że wyhodowaliśmy węża na własnej piersi.

- A jak zareagował król ?

- Ludwik wściekł się na zakon. Nie mógł pojąć, że ktoś śmiał ruszyć palcem bez jego boskiego przyzwolenia. Po-stanowił upokorzyć nas w sposób zupełnie bezprecedensowy. Ówczesny wielki mistrz Vichiers zachował się wówczas haniebnie, jego imię zasługuje na wymazanie z naszych annałów.

- Ale co ma z tym wszystkim wspólnego Cień? - Guillem zaczynał tracić zarówno wątek, jak i cierpliwość.

- Cień był owym poszukiwanym przez nas zdrajcą, chłopcze. Tym, który przekazywał nasze tajemnice Francuzom i papieżowi. Mój przydługi wstęp miał służyć temu, abyście zdali sobie sprawę z doniosłości jego zdrady.

- O ile sobie przypominam, Ludwikowi nie udało się porozumieć ani z Syryjczykami, ani z Egipcjanami.

- To prawda, nic nie osiągnął, nie dostał ani Jerozolimy, ani jeńców, a to z oczywistych względów nie złagodziło jego gniewu na zakon. Słyszeliście o jego obsesji na punkcie relikwii?

Zbity z tropu nagłą zmianą tematu, Guillem pokręcił przecząco głową.

- Bo widzicie, Ludwikowi się chyba zdawało, że każda relikwia to skrawek nieba, a zatem im więcej ich zgromadzi, tym więcej nieba będzie miał do własnej dyspozycji. Posiadał najbardziej niewiarygodną kolekcję w historii, mój przyjacielu, a tyle o niej mówiono, że do tej pory doskonale pamiętam, co zawierała: koronę cierniową i kawałek najświętszego krzyża, kupione w Konstantynopolu za ogromne pieniądze; świętą włócznię, święte gwoździe i nie mniej świętą gąbkę...

- Świętą gąbkę? - szepnął osłupiały Guillem.

- Przenajświętsze szaty, strzép świętego całunu, strzép płótna, który Maria Magdalena podała Zbawicielowi - ciągnął niezrażony Dalmau - fiolkę z mlekiem Najświętszej Dziewicy i drugą, wypełnioną krwią Chrystusa... Zresztą kiedy skończyły się pomysły z Nowego Testamentu, Ludwik bez wahania sięgnął po Stary. W tym okresie bizantyńscy, weneccy i genueńscy kupcy błyskawicznie nabijali kabzy. Nie było dnia, żeby nie odkryto gdzieś jakiejś nowej relikwii. Nie mam pojęcia, jak skarb francuski wytrzymał podobnie rabunkową gospodarkę. No tak, ale mówię o tym wszystkim dlatego, chłopcze, że interesująca nas teraz historia właśnie od relikwii się zaczyna i na relikwiiach kończy, nawet jeśli ciężko ci w to uwierzyć.

- Musicie mi wybaczyć, bracie Dalmau, ale faktycznie nie wid2 Tc () T

- Nic w tym dziwnego, Guillemie. Wciąż wprawia mnie w podziw zawikłana i niebywała afera, w którą d'Arles wplątał nas tylko po to, aby ratować własną skórę. Kiedy bowiem udało nam się wreszcie trafić na ślad wiodący bezpośrednio do zdrajcy, d'Arles przybył do nas zniecka z wieścią, że pojawiła się znowu autentyczna relikwia i nasi przełożeni uznali jej odszukanie za sprawę najwyższej wagi. Chodziło o to, żeby odnalazszy tę relikwię, ofiarować ją królowi Francji i w ten sposób ułagodzić jego gniew na zakon.

- I uwierzyliście w coś podobnego?

- Tak i nie... Ufaliśmy słowom d'Arlesa, nie wierzyliśmy natomiast w autentyczność owej relikwii. Od dwóch miesięcy przebywaliśmy na pustyni, całkowicie odcięci od świata, kontaktując się jedynie z naszymi arabskimi informatorami. Nie skłamię, mówiąc, że byliśmy wyczerpani. Ale udało nam się w końcu poczynić postępy w dochodzeniu i wpasć na trop zdrajcy. I wtedy to zjawił się d'Arles z tym obłąkańczym pomysłem. - A czego właściwie mieliście szukać? Sandała, który zsunął się ze stopy Zbawiciela, czy może pozostałych z Ostatniej Wieczery skórek chleba?

- O nie, mój przyjacielu! Tym razem chodziło o płaszcz Marii Panny. D'Arles przysięgał, że jego plan spotkał się z aprobatą zwierzchników i że powinniśmy czym prędzej ruszać na poszukiwania, aby nie wystawiać na próbę cierpliwości będącego w posiadaniu relikwii kupca. Twierdził, że powierzono tę misję właśnie nam, aby uniknąć dalszych przecieków. Odbyliśmy więc pospieszną naradę. Na tym etapie, na którym się znajdowaliśmy, nie można było przerażać naszego śledztwa, a ponadto nam wszystkim istotniejsza wydawała się sprawa zdrajcy. Postanowiliśmy zatem powierzyć ją Jacques'owi Bretończykowi w nadziei, że wkrótce znów do niego dołączymy. Guils się wściekał, krzycząc, że chyba zupełnie zwariowaliśmy i że on nie

zamierza nawet palcem ruszyć, dopóki nie otrzyma od mistrza oficjalnego potwierdzenia tego chorego zadania. Przebywaliśmy jednak bardzo daleko od Akki, a d'Arles świetnie odegrał swoją rolę.

- No i ciągle nie znaleźcie imienia zdrajcy...

- Otóż i to. Jacques Bretończyk poznał je dwa dni później, ale nas tymczasem złapano i osadzono w syryjskim lochu. D'Arles zmykał już wtedy do Francji, zamierzając wkraść się w łaski króla Ludwika.

- Ale co się właściwie stało?

- Kiedy dotarliśmy w pobliże ustalonego miejsca, d'Arles oświadczył, że pojedzie przodem, aby jak najprędzej spotkać się z tym człowiekiem od płaszcza, podczas gdy my mieliśmy dać nieco wytchnienia wierzchowcom. Tyle że nie było żadnego kupca ani żadnego płaszcza: d'Arles nas sprzedał. Zostaliśmy zaatakowani i uwięzieni: Guils, mój brat Gilbert i ja. Przez dwa lata siedzieliśmy w lochu, mój brat nie wytrzymał warunków i umarł, a i nas spotkałby zapewne ten sam los, gdyby nie Jacques Bretończyk. Odnalazł nas, dosłownie wykopał spod ziemi, a potem wyjaśnił, co się stało.

- A d'Arles?

- A d'Arles stanął przed obliczem króla Francji z jakąś brudną szmatą w ręku, zaklinając się, że to płaszcz Marii Dziewicy. Twierdził, że zakon ukrywał tę relikwię ze względu na jej cudowną moc zwalczania chorób i że on, d'Arles, osobiście nalegał, aby bezzwłocznie podarować ją Ludwikowi, czego mu jednak przez lata zakazywano. Zapewniał, że jego lojalność względem króla w końcu przeważyła, i błagał o opiekę przed okrutną zemstą ze strony zakonu, a jednocześnie o daleko posuniętą dyskrecję. Ponieważ, jak opowiadał, mimo licznych cierpień doznaných od templariuszy cenił odwagę i uczciwość wielu spośród braci i

nie chciał ich swoim czynem obrazić. Dlatego poprosił króla, aby ten o wyniku jego działań nie informował nikogo poza samym wielkim mistrzem. Ludwik był oczywiście wniebowzięty, zachwycił go i owa brudna szmata, i sam d'Arles, a już najbardziej wizja dania przykładnej nauuczki mistrzowi Berardowi. Tyle że przy okazji umarł mój brat, a ja i Guils spędziliśmy dwa lata w kazamatach, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Później jednak mogliście d'Arlesa zdemaskować.

- Próbowaliśmy, podobnie jak mistrz Thomas Berard, ale Ludwik o niczym nie chciał słyszeć. „Francja nie ma ani nie potrzebuje szpiegów”, tak brzmiało oficjalne stanowisko. Król nie dopuszczał do świadomości ani winy d'Arlesa, ani fałszywości rzekomej relikwii. Już wam mówiłem, że był wniebowzięty. Jeśli zaś idzie o d'Arlesa, jak zapewne słusznie przypuszczacie, wyrobił sobie pozycję na dworze i wkrótce stał się prawą ręką Karola d'Anjou, młodszego brata Ludwika. Mistrz Berard sądził, że d'Arles pracował dla Francuzów już dużo wcześniej, i całkiem niewykluczone, że to prawda.

- Karol d'Anjou! Człowiek niezwykle ambitny... - zauważył Guillem, głęboko zdumiony usłyszana historią.

- Mało powiedziane, chłopcze. To człowiek bez skrupułów, dysponujący doskonałą siatką szpiegowską z d'Arlesem na czele. Ci dwaj dobrali się w korcu maku, nie cofną się przed niczym, nawet przed władzą papieża, tym bardziej że ten aktualnie je im z ręki.

- Przypominam sobie pewne wersy, których nie tak dawno nauczył mnie Guils. - Guillem szukał w pamięci. - Napisał je chyba jeden z naszych braci.

Szafuje papież odpustami, u Karola i Francuzów szukając wsparcia przeciw Lombardczykom, i naszym kosztem zaspokaja swą wielką

chciwość, rozdaje odpusty i znak krzyża templariuszy w zamian za nędzne srebrniki.

I każdego, kto przedłoży nad wyprawę do Ziemi Świętej wojnę w Lombardii, poprze ten niebieski wysłannik, sprzedają bowiem księża Boga i odpusty za brzęczącą monetę.

- Te słowa brata Ricauta Bonomela, chłopcze, znakomicie wyjaśniają obecną sytuację. - Dalmau spuścił oczy, przygnębiony. - Karola d'Anjou nic już teraz nie zatrzyma, udało mu się skłonić papieża do poparcia i sfinansowania jego zamierzeń na Sycylii, a także do pomocy w unicestwieniu całej rodziny cesarza Fryderyka, dynastii Hohenstaufów. Jego ambicje sięgają jednak dalej, aż do Konstantynopola, na tereny dawnego Wschodniego Cesarstwa. Ziemię Świętą pozostawiono własnemu losowi, ponieważ papież swoimi ludźmi i funduszami wspiera Karola w wojnie, która toczy się w samym sercu chrześcijańskiego Zachodu. Zie czasy nastały dla nas, templariuszy, Guillemie.

- A dlaczego Cień? Skąd takie imię? - zapytał młodzieniec z nagłą ciekawością.

- Z powodu sposobu, w jaki zabija. D'Arles stał się z upływem lat niedościgłe zręcznym mordercą, karzącym ramieniem Karola d'Anjou. Przewisko nadali mu Genuńczycy, ponieważ nigdy nie zostawia żadnych śladów. Swego czasu opowiadano nawet, że jedyne, co pozostaje po nim na miejscu zbrodni, to niedostrzalny szmer rozplywającego się cienia. Tylko nieliczni wiedzą, jak wygląda. Żyje pod skrzydłami Karola d'Anjou i uchodzi za legendę pośród szpiegów.

- Ale wy wiecie, kim naprawdę jest - stwierdził Guillem.

- Tak, ale coraz nas mniej. Guils, Jacques i ja krwią przypieczętowaliśmy niegdyś pewne przymierze: przysięgliśmy, że odzujemy d'Ar-

lesa i go zabijemy. Bernard opuścił nas jednak w połowie drogi, więc zostaliśmy już tylko Jacques i ja.

- Możecie liczyć jeszcze na mnie, bracie Dalmau, ja zajmę miejsce opuszczone przez Guilsa.

- Nie, Guillemie, was czeka inne zadanie. Musicie odszukać to, co skradziono Bernardowi. Na d'Arlesa polujemy od lat. Nie powinniście się do tego mieszać. To sprawa czysto osobista, która nie ma nic wspólnego ani z wami, ani z zakonem... A od Cienia trzymajcie się z daleka - przykazał brat Dalmau stanowczo, bez śladu wahania.

- Ale możliwe przecież, że to on zabił Guilsa, a jeśli tak było, to dlaczego Bernard go nie rozpoznał?

- Rozpoznał, tyle że zbyt późno. Wszak w ostatnich słowach ostrzegł nas przed nim. Niewykluczone, że d'Arles zmienił się przez te wszystkie lata albo może znalazł idealną „maskę”, która pomogła mu oszukać Guilsa, sam nie wiem. Może Bernard był mniej czujny, zmęczony...-Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiemy, ale w tej chwili nie ma to znaczenia.

- Jeśli Cień szuka tego, co wiozł ze sobą Bernard, to może to coś interesuje również Karola d'Anjou? Jak myślicie, bracie Dalmau?

Dalmau zagłębił się tymczasem we własnych myślach, ze spojnieniem utkwionym gdzieś w mroku. Potrzebował kilku sekund na odpowiedź.

- Co do tego akurat nie ma wątpliwości, chłopcze.

- A więc muszę wiedzieć, o co chodzi. Co przewoził Guils? Komu miał to doręczyć? Kto był jego zwierzchnikiem, czyich rozkazów słuchał? - pytania jedno za drugim cisnęły się Guillemowi na usta.

Brat Dalmau popatrzył na niego z troską. Nie wiedział, w jakim stopniu stojący przed nim młodzieniec przygotowany jest do uczynienia decydującego kroku. Bernard chronił go do samego końca, odwlekał decyzję, która, raz podjęta, na zawsze miała odmienić życie Guillema, tak jak niegdyś odmieniła życie ich wszystkich. Dalmau ciągle się wahał, chociaż okoliczności zdawały się nieuchronnie popychać młodego templariusza ku cienkiej granicy, spoza której nie było odwrotu. Czuł, że trzeba to jeszcze przemyśleć; może istnieje lepsze wyjście z sytuacji, poczeka więc, a kto wie, czy Bernard, gdziekolwiek się teraz znajduje, nie ześle mu jakiejś wskazówki.

- Odnajdźcie d'Auberta, bo bardzo możliwe, że to on okradł Guilsa. A trop tłumacza z greki to świetny punkt wyjścia. Skupcie się na zgromadzeniu jak najdokładniejszych informacji o kradzieży i nie troszczcie się o nic innego.

- Czy mam rozumieć, że teraz wy będziecie moim bezpośrednim zwierzchnikiem, bracie Dalmau?

- Jeśli ma was to uspokoić, możecie przyjąć taką wersję, Guillemie.

Młodzieniec spoglądał na niego z ciekawością, przekonany, że brat Dalmau dzieli się z nim tylko częścią swojej wiedzy. Nie nalegał jednak. Rozumiał, że niczego nie wskóra; wystarczająco długo pracował z Guilsem, aby przyjąć do wiadomości, że pewne odpowiedzi po prostu nie istnieją. Poza tym chciał jak najszybciej odetchnąć świeżym powietrzem, podziemia za bardzo go przygnębiały, a panująca w nich ciemność zaczynała mu doskwierać wręcz fizycznie. Dalmau najwyraźniej wyczuł jego nastrój, gdyż wstał, dając do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca.

Guillem wypadł na wielkie centralne patio, oddychając tak gwałtownie, jak gdyby zbyt długo trzymał głowę zanurzoną w kadzi z wodą. Oparł się o cembrowinę wykopanej na środku studni i wbił wzrok w panującą w jej wnętrzu ciemną pustkę. Widział statek, a na nim pogrążonego w rozmyślaniach Guilsa, który sięgał po czarę z wodą, nie zwracając uwagi na podającego mu ją człowieka. O czym mógł wtedy myśleć? Guillem patrzył, jak mistrz podnosi naczynie do ust i pije w roztargnieniu, nie przeczuwając, że te łyki będą jednymi z ostatnich w jego życiu; obserwował, jak dotyka koszuli, aby przekonać się po raz kolejny, że „to” wciąż jest na swoim miejscu. Guillem przypomniał sobie nagle postać, która kryła się w zaułku nieopodal domu Abrahama. Czyżby to był Cień? Kto wie, czy przez moment nie oddychali tym samym powietrzem.

A brat Dalmau z całą pewnością wiedział więcej, niż mówił. Ale i tego, co wyjawiał, było dosyć jak na jeden raz: cienie i relikwie, zdrady i morderstwa... Święta gąbka! Kto w ogóle wierzył w podobne brednie? Cóż, król Francji, żeby nie szukać daleko. Na rany Chrystusa, ależ galimatias! Guillem natychmiast pożałował bluźnierstwa i przez krótką chwilę zapragnął znaleźć się w bezpiecznej kaplicy, pośród braci, jak oni podporządkowany rutynie modłów, z dala od wszelkich niespodzianek i lęków.

- Abrahamie, toż to prawdziwe чудо... - Brat Arnau gładził stronicę manuskryptu delikatnie, niemal z uwielbieniem.

- Całkowicie się z wami zgadzam, ta księga to rzeczywiście prawdziwe чудо. Już sam tytuł, Skarb życia, zaświadcza o jej zawartości. Musimy zadbać, aby nie wpadła w niepowołane ręce, przyjacielu, schować ją w bezpiecznym miejscu i uchronić od stosu.

Abraham mówił z ożywieniem, a na jego policzkach wykwitły gorączkowe rumieńce. Przesuwał palcem po brzegach kolejnych kart, po ozdobnych wersach rękopisu pod-trzymywanego z czcią przez zielarza. Z ust obu przyjaciół co chwila wyrwały się słowa zachwytu.

- Możecie być pewni, Abrahamie, że żaden płomień nawet nie liźnie tych stron. Jeśli chcecie, jestem gotów za to ręczyć własnym życiem. Znajdziemy kryjówkę tak pewną, że tym wspaniałościom nic nigdy nie zagrozi.

- Dziękuję, przyjacielu, nie zdajecie sobie sprawy, jak bardzo mi pomagacie. Wasza siła równoważy moją słabość.

- Nie upadajcie na duchu, Abrahamie, już wkrótce odzyskacie siły. Musimy wiele przemyśleć i jeszcze więcej zrobić. - Brat Arnau ścisnął dłoń przyjaciela w swoich rękach, jakby próbował w niego tchnąć odrobinę ciepła i energii.

Przeraziło ich nagłe pukanie do drzwi. Na twarzy Abrahama odmalowała się panika. Zielarz zerwał się na równe nogi i ukrył manuskrypt w leżącej obok lekarskiej torbie, gestem nakazując towarzyszowi milczenie. Jeśli do tej pory nikt nie wpadł na to, żeby zajrzeć do tej torby, dlaczego tym razem miałyby się stać inaczej? - pomyślał.

- Już idę, już otwieram, chwileczkę - zawołał, zmierzając w kierunku drzwi i uspokajająco uśmiechając się do Abrahama.

Do komnaty wszedł Guillem, zaskoczony zarówno faktem, że zastał drzwi zamknięte, jak i dziwnym wyrazem na obliczach przyjaciół.

- Co się dzieje? Zobaczyliście ducha? Mało ostatnio śpię i na pewno nie wyglądam najlepiej, nie przypuszczałem jednak, że robię aż tak fatalne wrażenie.

- Nie, nie, chłopcze, nie o to chodzi! Po prostu pospaliśmy się jak su-
sły, więc wasze pukanie trochę nas wystraszyło - odparł brat Arnau,
śmiejąc się nerwowo.

Guillem obrzucił ich niedowierzającym spojrzeniem. Brat Arnau
wyraźnie nie potrafił kłamać, Abraham zaś, mimo wysiłków, nie zdołał
jeszcze opanować paniki wypisanej na twarzy. Przyklejony do ust zie-
larza sztuczny uśmiech wciąż nie znajdował odbicia w jego oczach.
Guillem był pewien, że starcy usiłują coś ukryć, udał jednak, że otrzy-
mane właśnie wyjaśnienie całkowicie go przekonało.

- Rozumiem. Dużo lepiej wyglądacie, Abrahamie. Cieszy mnie to,
tym bardziej że potrzebuję waszej pomocy.

- Liczcie na nią śmiało. Zrobię, co tylko w mojej mocy...

- Dłonie lekarza ciągle lekko drżały.

- Znakomicie. Szukam tłumacza z greki - zwięźle przedstawił swoją
sprawę Guillem.

- Tłumacza z greki? - powtórzył zaskoczony brat Arnau.

- No to nie musicie szukać daleko, obaj z Abrahamem znamy ten ję-
zyk.

- Wielkie dzięki, ja również. Nie w tym rzecz, moi drodzy. Otóż
chodzi o takiego tłumacza, do którego w razie potrzeby zwróciłby się
nawet złodziej, o kogoś bez skrupułów, ale z pewną wiedzą, kto za kil-
ka sztuk złota potrafiłby dochować tajemnicy. Dostrzegając zdumienie
przyjaciół, Guillem opowiedział im o swoich najnowszych odkryciach.

-Trop wydaje się dobry - zgodził się Abraham. - To, co ukrywał Guils, musiało być niewielkich rozmiarów, może jakiś rękopis albo dokumenty po grecku.

-Nie zapominajmy o papierach skradzionych dominikaninowi - rozmyślał na głos Arnau. -Tak czy owak, złodziej chce przetłumaczyć jakiś grecki tekst, aby sprawdzić, czy przedstawia on dla niego jakąś wartość.

- I aby ewentualnie cisnąć go do morza, jeśli okaże się bezużyteczny - podsunął Guillem. - Ponieważ jednak rzecz została skradziona, d'Aubert bez wątpienia zwróci się do kogoś, kto go nie wyda w ręce prawa. Rozumiecie teraz, kogo szukam? - Leviego Lichwiarza ~ rzeki bez wahania Abraham. Guillem popatrzył na niego pytająco, a brat Arnau zadumał się nad propozycją i po chwili z aprobatą pokiwał głową.

- Cóż za przenikliwość, Abrahamie, nie wpadłbym na to. Ale rzeczywiście, Levi spełnia wszystkie wymienione przez Guillema warunki i dla d'Auberta nada się idealnie. Macza palce w każdej brudnej aferze w naszym mieście, czerpiąc z tego pokaźne zyski, i żyje w doskonałych stosunkach ze wszystkimi najgorszymi mętami. Jego reputacja przyprawiłaby o gęsią skórkę każdego dobrego chrześcijanina... i każdego dobrego żyda rzecz jasna, też.

Rozbawiony zmieszaniem zielarza Abraham skwitował ostatnie słowa wybuchem śmiechu.

- Levi to szumowina jakich mało, chłopcze - stwierdził uspokajając się powoli - ale trzeba przyznać, że sprytu mu nie brakuje, skoro potrafi się utrzymać przy życiu, choć zna tylu opryszków i tyle ponurych sekretów. Musicie z nim bardzo uważać, Guillemie, to szczywany lis, nie da się łatwo wyprowadzić w pole.

- Nie zapominajmy wszelako, że ma pewną słabość - zauważył Arnau, porozumiewawczo patrząc na Abrahama. - Otóż jego inteligencję zdecydowanie przyćmiewa próżność. Levi uważa się za człowieka wybitnego.

Obu starców ogarnęła tak hałaśliwa wesołość, że zdumiony Guillem obawiał się przez chwilę, iż z nagłą postradali rozum.

-Wybaczcie, młodzieńcze - wykrztusił Żyd - ale Levi przysparza nam zawsze wiele radości, mimo że nieodmiennie zachowujemy względem niego bezpieczny dystans. Zrozumiecie nasze zachowanie natychmiast, jak go tylko zobaczycie.

- Chodzi o sposób, w jaki się ubiera - dorzucił Arnau, ciągle nie mogąc się opanować.

- Wnioskuje, że nie będę miał problemu z jego rozpoznaniem, moi drodzy. Cieszy mnie niezmiernie wasz znakomity humor. No i mam nadzieję, że następnym razem uda mi się nie przerwać waszego spokojnego snu tak brutalnie jak dzisiaj.

Guillem od razu pożałował niewczesnej ironii, od której nie umiał się powstrzymać. Śmiech jego przyjaciół umilkł bowiem momentalnie, a w spojrzeniu Abrahama znowu pojawił się lęk. Młodzieniec opuścił komnatę zielarza z głębokim poczuciem winy i żalu, że niebacznie zepsuł radosną chwilę.

-Podejrzewa nas, przyjacielu, ten chłopiec nas podejrzewa - szepnął Abraham, jak tylko za Guillemem zamknęły się drzwi.

-Nic dziwnego, skoro powitaliśmy go, jakby był co najmniej diabłem wcielonym. Na miłość boską! Po czymś takim musi przeczuwać, że coś przed nim taimy.

- I słusznie. Udawanie wychodzi nam beznadziejnie.

-W każdym razie nie powinniśmy się tym przesadnie niepokoić, Abrahamie. To dobry chłopiec. Miałem wręcz ochotę zwierzyć mu się z naszego kłopotu, i bez tego jednak nie brakuje mu zmartwień. Musimy sobie poradzić sami. Poprosimy go o pomoc dopiero wówczas, gdy zabraknie nam sił. Guillem zasługuje na całkowite zaufanie, ale, na wszystkie świętości, Abrahamie, nie jesteśmy przecież jeszcze tacy starzy!

- Zgadzam się co do Guillema, co do reszty wszakże... Jesteśmy starzy, Arnau, stare z nas osły, oto jak wygląda prawda.

-Raduje mnie głęboko, że po dwudziestu latach przyjaźni postanowiłeś w końcu zwracać się do mnie nieco bardziej poufale, choć oczywiście mogłeś wybrać inne określenie, a nie od razu starego osła. Teraz jednak pora odpocząć, stary osle, bo mi tu zaraz padniesz z emocji.

Arnau ułożył przyjaciela na łóżku i troskliwie okrył. Potem usiadł przy jego boku, na straży, jak za dawnych dobrych czasów, i w zamyśleniu gładził niewielki szyćlet ukryty w fałdach zakonnej szaty. Mimo podeszłego wieku nie zapomniał, jak go używać. Jego ruchy straciły może na szybkości, ale na pewno nie na precyzji. Będzie zwarty i gotowy.

ROZDZIAŁ VI

LEI LICHWIARZ

Czy jesteście zdrowi na ciele i wolni od wszelkiej jawnej choroby? Albowiem gdyby wykazano, iż cierpieliście na jakowąś, nie stawszy się pierwszej naszym bratem, moglibyście utracić dom, przed czym niech Bóg was ustrzeże.

Guillem de Montclar opuścił klasztorne mury i ruszył w kierunku dzielnicy Santa Maria del Mar. Zdawać się mogło, że kolejne wydarzenia uparcie i nieodwołalnie popychają go w tę samą stronę.

Ciągle wracam do punktu wyjścia - pomyślał - zupełnie jakbym dreptał wewnątrz okręgu, z którego nie potrafię się wyrwać. Odnosił wrażenie, że tkwi w pułapce, kręcąc się nieodmiennie wokół jednej osi: Guils, Guils i zawsze Guils.

Tym razem zrezygnował z prostej drogi wiodącej ku morzu i skierował swe kroki na północ. Szedł pochylony i zadumany. Zastanawiał się intensywnie, jak najskuteczniej podejść starego lichwiarza, wykorzystując jego słabostki. Wspominał rady bardziej doświadczonych przyjaciół:

„Zauważysz go natychmiast - zapewniali. - Obwieszony jedwabiami i masą świecidełek wygląda jak puszący się paw wśród stada kóz. Jest stary i wysuszony jak zbyt długo leżąca na słońcu śliwka. Ma oczy

padlinożercy, którymi wypatruje nowych ofiar, strzegąc jednocześnie swej sakwy. Nie ma mowy o pomyłce, chłopcze, Levi to uosobienie dziwactwa".

Guillem bacznie rozglądał się wokół. Od kiedy dowiedział się więcej o Cieniu, nie zamierzał zaniedbywać środków ostrożności. Jego oczy, tylko z pozoru nieuważne, rejestrowały wszystkich mijanych przechodniów i każdy metr ulicy. Zbliżało się południe i słoneczne światło powoli zalewało wąskie uliczki, które w końcu doprowadziły Guillem do części miasta zajmowanej przez rzemieślników specjalizujących się w obróbce srebra. Z okolicznych warsztatów, których właściciele przez cały boży dzień nie wypuszczali z dłoni małych metalowych młotków, dobiegały przenikliwe rytmiczne dźwięki. Młody templariusz zwolnił raptownie, jak gdyby zainteresowała go nagle praca czeladnika, ze znużeniem polerującego kandelabr. Nie zauważył jednak żadnej zmiany w dookolnym rytmie, wszystko było więc chyba w najlepszym porządku.

W miarę jak zbliżał się do placu, gdzie tradycyjnie zasiadali lichwiarze, jego twarz ulegała poważnym zmianom, przybierając wyraz roztargnienia i naiwności, krok zaś stawał się coraz bardziej niepewny i z lekka chwiejny, jakby młodzieniec nie do końca wiedział, dokąd właściwie chce iść. Na zalanym słońcem placu ukazał się więc zupełnie inny człowiek, młodszy i bardziej niezdecydowany, ze zmartwioną twarzą i rękami, które nieustannie szarpały za poły płaszcza, jak gdyby ich właściciel nie potrafił zachować spokoju.

Od razu spostrzegł tego, kogo szukał, i natychmiast zrozumiał, że Abraham i Arnau nie przesadzali. Stojący za swoim stołem kilka metrów dalej, przyodziany w najdelikatniejsze jedwabie i obwieszony świecidełkami, z brodą starannie przyciętą w kształt trójkąta, Levi rzeczywiście wyglądał jak puszący się bez opamiętania paw. Rozmawiał właśnie z jakimś nieszczęśnikiem, który słuchał go najwyraźniej bez

większego przekonania. Coraz bardziej przygarbiony Guillem podszedł bliżej, rozglądając się na wszystkie strony, jakby zgubił drogę.

- Ależ to bardzo wysoki procent, Levi - mówił klient błagalnym tonem. - Nie mogę sobie pozwolić na takie ryzyko. Poza tym mój przyjaciel Bertrand, armator, twierdzi, że oferowany przez was procent zwykł się po powrocie z rejsu w cudowny sposób podwajać. Wiecie chyba, że to niezgodne z prawem. Napytacie sobie kiedyś biedy.

- Oj, oj, oj, mój przyjacielu! Próbujecie mi grozić, nieładnie - zamruczał Levi niczym zadowolony kot, udając zgorzenie podobnie niegodnymi insynuacjami. - Poprosiliście mnie o dość szczególną przysługę. Takich przysług, o ile mi wiadomo, nasze prawo nie przewiduje, a zatem ośmielę się zauważyć, że sami wchodzicie z nim w konflikt. Nie chcecie komplikacji i oczekujecie, że ja wezmę wszystko na siebie, a to nieładnie, bardzo nieładnie... W przeciwieństwie do was doskonale się orientuję, ile mnie mogą kosztować ewentualne kłopoty, jakie na siebie biorę. Zanadto bojaźliwi jesteście, a nie zapominajcie, że tchórze zawsze płacą drożej. Zresztą jak się wam coś nie podoba, to jazda gdzie indziej, bo tylko tracę z wami czas.

- Ależ z was łajdak, Levi. Przyjaciel uprzedzał mnie, że chwytnie się rozmaitych sztuczek, aby naciągać naiwnych, ale nie ze mną takie numery.

- Drzę ze strachu na samą myśl o tym, co możecie mi zrobić, szlachetny panie! Doprawdy, nie wiem, czy się po-dźwignę po takim wstrząsie. Niechże mi ktoś pomoże!

- Levi gestykulował i wykrzykiwał falsetem, kpiąc ze stojącego przed nim nieszczęśnika, który patrzył nań z mieszaniną zdumienia i odrazy, by po chwili, nie odzywając się więcej ani słowem, odwrócić się na pięcie i pospiesznie odejść.

Levi pożegnał rozczarowanego klienta prostackim gestem, uśmiechając się od ucha do ucha i wydając głębokie westchnienie, które przekształciło się w piskliwy i nieprzyjemny śmiech. Cóż to za ulgo pozbyć się wreszcie podobnego głupca! Przez takich jak on marnotrawi jedynie swój cenny czas. Przekłete strachajły, ograniczone, pozbawione ambicji barany.' Dureń straci wszystko w mgnieniu oka i sam będzie sobie winien, co do tego Levi nie miał najmniejszych wątpliwości. Martwiło go tylko, że sam nie skorzysta na jego ruinie. Świat aż się roił od nieudaczników, gotowych swymi niepowodzeniami nabijać kabzę sprytniejszym od siebie.

Spojrzenie Leviego zatrzymało się z nagłym zainteresowaniem na głupawo wyglądającym młodziku, który szwendał się niezdecydowanie w pobliżu, z przerażeniem wymalowanym na twarzy. To dopiero okazja, niewinna owieczka w tarapatach! Z wyglądu syn bogatego kupca, niedoświadczony, najwyraźniej z niezłymi grzeszkami na sumieniu, w oczach Leviego przypominał kurę znoszącą złote jajka. Lichwiarz uśmiechnął się więc, usiłując zarazem promieniować szlachetną godnością, co z przyczyn oczywistych udało mu się jedynie częściowo.

- Dzień dobry, młodzieńcze - odezwał się zza swego stołu.
- Och... dzień dobry! - odparł Guillem, wczuwając się w rolę.
- Zbliżcie się, śmiało. Może mógłbym wam w czymś pomóc?
- Przyznam, że nie wiem. Przyszedłem się porozglądać, mój ojciec jest kupcem i życzy sobie, abym zapoznał się z tutejszą atmosferą, ale...
- Doskonały pomysł, młodzieńcze, to najlepszy sposób, aby się czegoś nauczyć, zdecydowanie najlepszy.

Był zachwycony nadarzącą się okazją: oto dojrzały do zerwania owoc, który on, Levi, potrafił rozpoznać na pierwszy rzut oka. Chłopiec

drży ze strachu przed rodzicem, obawiając się mu przyznać do jakiegoś grubszego błędu. Już on znał tych surowych, nieustraszonych kupców, gotowych na ryzyko i najgorsze przygody, ale niezdolnych przyznać, że ich synowie to nic niewarte miernoty, do niczego się nienadający, wychowani w puchach głupcy.

-Nie jesteście tutejsi, mój miody przyjacielu. Mam nosa do akcentów i chociaż wysławiacie się bardzo poprawnie, wyczuwam w waszej mowie cudzoziemską nutę. Prowansalczyk? Ale nie, już raczej marsylczyk, czy się mylę?

- Niewiarygodne! Zazwyczaj nikt tego nie zauważa. - Guillem patrzył na swego rozmówcę oczami jak dwa spodki, z najszczerzym podziwem. - Jesteście bardzo inteligentni, mistrzu...

- Levi, mistrzu Levi - uzupełnił lichwiarz, olśniony doskonałymi manierami młodego człowieka. Jego klienci dostarczali mu wprawdzie ogromnych dochodów, najczęściej jednak zachowywali się ordynarnie, zdradzając jak najgorsze wychowanie. - Nie chciałbym się okazać wścibski, młodzieńcze, zdajecie się wszakże zatroskani, jakby dręczył was poważny kłopot - kontynuował, powoli rozsnuwając swą pajęczą sieć.

- Macie rację, mistrzu Levi, mam poważny kłopot i bardzo mało doświadczenia. Nie wiem nawet, do kogo się zwrócić. Popełniłem drobny błąd, który chciałbym naprawić, zanim wieść o nim dotrze do uszu mojego ojca.

- Lichwiarz aż zatarł ręce: wprost pękał z dumy na myśl o swej nieprzeciętnej inteligencji. Nie istniał na świecie człowiek zdolny go okpić. Ze zdumiewającym wyczuciem w lot chwycił wszelkie subtelności, a ten głupi młodzik był tego najlepszym dowodem. Levi sam nie mógł się nadziwić własnej przenikliwości.

- Przypuszczam, że chodzi o pieniądze, mój młody przyjacielu. .. -
Sieć należało zarzucać ostrożnie, aby nie przerazić ofiary przed czasem.

- Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, mistrzu Levi. Mógłbym
naprawić swój błąd, gdybym odszukał szubrawca, który mnie nabrał.

- A może po prostu zwierzcie mi się z waszego kłopotu. Jeśli tylko
zdołam, z pewnością wam pomogę. - Bo widzicie, dziś rano rozładowy-
waliśmy partię cennego jedwabiu. Obarczono mnie odpowiedzialnością
za to, żeby rozładunek przebiegł bez zakłóceń. Wszystko szło dosko-
nałe, lecz pod koniec, zupełnie nie wiem dlaczego, zostały dwie bele
materiału. Jakiś mężczyzna w średnim wieku, trochę kulawy, jak pa-
miętam, podszedł do mnie i powiedział, że przysłano go po te zapo-
mniane bele. Prosił, abym pozwolił mu je zabrać do składu, i przepra-
szał za zaistniałą sytuację. Zapewniam was, że nie wyglądał podejrz-
nie, ale kiedy dotarłem do składu i policzyłem bele, okazało się, że
dwóch brakuje. Od tamtej chwili nie robię nic innego, tylko biegam po
dzielnicy w poszukiwaniu złodzieja. Jestem w rozpacz, mistrzu Levi,
nie mogę się pokazać w domu, zanim wszystkiego nie naprawię.

Levi spoglądał na niego z udawanym współczuciem, starannie
ukrywając pogardę. Ten głupiec dał się nabrać na najstarszą sztuczkę
świata. Wprost ciężko było uwierzyć, że istnieją ludzie tak ograniczeni.

- Oczywiście mogę wam pomóc, ale moje usługi nie są, rzecz jasna,
darmowe.

- Ależ naturalnie, mistrzu Levi! - Nagła nadzieja rozjaśniła twarz za-
chwyconego Guillemu. - Zapłacę, zapłacę, ile tylko chcecie, nie jestem
przecież żebrakiem. Praca przynosi mi znaczne zyski, a pobyt w Genui
okazał się tak owocny, że ojciec nie poskąpił mi grosza.

Słyszając to, Levi z zadowolenia aż zmrużył oczy, które przypominały teraz ciemne szparki. W jego języku słowo Genua należało do wyrazów magicznych, bezpośrednio przetłumaczalnych na błyszczący kruszec. Kilka lat wcześniej bogata włoska republika wypuściła bowiem nową monetę zwaną genovino: ważący trzy i pół grama prawdziwy klejnot z najczystszej, najdoskonalszej złota.

- Jak już zapewne wspominałem, moje ceny nie należą do niskich, młodzieńcze. Nie chciałbym, abyście pomyśleli, że was oszukuję, ale sami przyznacie, że doświadczenie i dobre rady warte są zapłaty w najprawdziwszym złocie. Spytajcie, kogo chcecie, a każdy wam powie, że jestem najbardziej szanowanym i godnym zaufania człowiekiem w tej dzielnicy.

Guillem bez wahania sięgnął po sakiewkę, jakby pragnął rozwiązać swe rodzinne problemy bez względu na koszty. W jego palcach, tuż przed spiczasto przyciętą brodą Leviego, złościście błysnął genovino, na którego widok lichwiarz nie potrafił powściągnąć chciwości. Moneta kusila nieodparcie, choć z drugiej strony wszystko to mogło się źle skończyć. Pewnej osobie bez wątpienia nie spodoba się fakt, że Levi wie o niektórych sprawach... Ale kto właściwie miałby powiadomić o tym tę osobę? Genoińno nadal tkwił w palcach młodzieńca, hipnotyzując swym blaskiem. Warto zaryzykować - pomyślał Levi. Jest wszak wystarczająco sprytny, aby opanować sytuację i nie dać się przyłapać.

- Wasz ojciec niewątpliwie zachęcałby was do większej hojności - rzekł, rozważając po cichu ewentualne zagrożenia.

- To doskonała cena jak za zwykłą informację, mistrzu Levi. Nie bierzcie mnie za głupca, nie żądam, abyście od razu zabijali tego złodziejzka, chcę tylko, abyście pomogli mi go odszukać.

Coś w głosie młodzieńca zaalarmowało nagle lichwiarza, połykujący genovino wciąż przeszkadzał mu jednak w zebraniu myśli. Nie należało się zbyt długo zastanawiać; Levi wiedział, że cena jest wysmienita. Nikt się przecież nigdy nie dowie o tej nieprzewidzianej transakcji.

- Wasze życzenia są dla mnie rozkazem. Znacie oberżę Pod Błękitnym Delfinem, na obrzeżach tej dzielnicy?

- Nie znam, ale na pewno odzyskam ją bez trudu.

- Tam znajdziecie waszego kulawca, młodzieńcze. - Levi sięgał już po monetę, lecz dłoń Guillemusa błyskawicznie się zamknęła. Na twarzy lichwiarza odmalowało się niezadowolenie.

- A skąd mam wiedzieć, że istotnie mówicie o człowieku, którego szukam? Skąd wy sami to wiecie z taką pewnością?

Levi chmurzył się coraz bardziej, a w jego spojrzeniu pojawiła się nieufność. Zachowanie młodzieńca przestawało mu się podobać. - Wy tłumaczę to jak najprościej, abyście pojęli bez trudu - odparł zarozumiale. - Osobnik, o którego wam chodzi, przyszedł do mnie z pytaniem, czy znam jakiegoś tłumacza z greki. Poczuję się dotknięty. Jestem zamożnym, znanym w całym mieście człowiekiem interesu, sam zresztą władam językiem greckim, na moje usługi wszakże mogą sobie pozwolić tylko niektórzy, a tamten nie wyglądał, jakby miał się zaliczać do grona owych wybrańców. Zaklinał się jednak, że dysponuje odpowiednią sumką i aby to udowodnić, opowiedział mi, że sprzedał właśnie dwie beły najszlachetniejszego jedwabiu, dzięki czemu jego sakiewka jest pełna. Ponieważ mnie nie przekonał, poradziłem mu jedynie, aby popytał w tej zakazanej norze, o której już wam wspominałem. To wszystko. Obawiam się, że jedwabiu raczej nie odzyskacie, ale jeśli się pospieszycie, macie jeszcze szansę odzyskać pieniądze.

-A powiedzcie, Levi - rzekł Guillem, podczas gdy podobna szponom dłoń lichwiarza chwytala monetę - po co zwyczajnemu złodziejaskowi tłumacz z greki? Nie nabieracie mnie aby? To by nie było uczciwe.

-Nie wiem, po co mu on, ani nie chcę wiedzieć, młodzieńcze. Koniec targów. Jak coś nie tak, to idźcie się zwierzyć tatusiowi. Może on się okaże bardziej pomocny. Levi dostał już to, czego chciał. By zadowolnić przyglupiego gołowąsa, wymieszał odrobinę prawdy i sporo wymysłów, a teraz nie zamierzał ukrywać swojej względem niego pogardy choćby minuty dłużej ani narażać się na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Życzył sobie tylko, aby ten dureń zszedł mu wreszcie z oczu.

Przygnębiony Guillem czym prędzej się oddalił, całą swą posturą dając do zrozumienia, że poczuł się znieważony i oszukany. Był pewien, że usatysfakcjonuje w ten sposób Leviego, pozwalając mu się radować z oskubania kolejnej ofiary niezwykle tanim kosztem. Nie odszedł jednak daleko; na sprawdzenie uzyskanych wiadomości miał dużo czasu. Zawróciwszy na placyk, znalazł miejsce, z którego mógł spokojnie obserwować lichwiarza, samemu pozostając niezauważonym. Levi powiedział tylko część prawdy i Guillem miał nadzieję, że druga część objawi się sama. Przy odrobinie szczęścia nie potrwa to nawet zbyt długo. Z tą myślą oparł się o mur i czekał.

- Zawsze możemy zaufać Guillemowi, bracie Dalmau.

- Zaiste, panie, ale lepiej z tym poczekać. Mówiąc mu całą prawdę, złożymy na jego barkach ogromną odpowiedzialność, a na to chyba nieco za wcześnie. Chłopiec jest jeszcze ciągle zagubiony po śmierci Guilsa. W tych warunkach mógłby podjąć pochopną decyzję, a przecież wiecie równie dobrze jak ja, że ta kwestia wymaga głębokiego namysłu. Wszak to już na zawsze, panie, potem nie ma odwrotu...

- Czy mam rozumieć, że gdybyście mogli, zrezygnowalibyście, bracie Dalmau? Żałujecie swojej przysięgi?

- Nie o mnie tu idzie, panie. Poświęciłem swoje życie temu, co sam dobrowolnie wybrałem, i nigdy w niczym nie uchybiłem przysiędze.

- Nawet biorąc pod uwagę d'Arlesa?

- W tej kwestii byłem wobec was szczery i wy sami, panie, obiecaliście się nic mieszać, kiedy nadejdzie pora. Nigdy nie wypierałem się swoich uczuć i jeszcze zanim zacząłem wam służyć, wiedzieliście o pakcie krwi wiążącym mnie z moimi towarzyszami. Guils też wam o tym mówił.

- Tak, macie rację, bracie Dalmau. Sądzę jednak, że młody de Montclar jest już przygotowany. Guils dobrze wykonał swoje zadanie, chociaż zbytnio chronił tego chłopca, co zresztą tłumaczy obecny jego stan: Guillem po prostu nie wie, komu podlega po śmierci brata Bernarda. Jest zagubiony, dezorientowany. Nie ma pojęcia, do kogo się zwrócić, komu zaufać, nic przewodnia wymknęła mu się z rąk. Zgodzicie się chyba ze mną, że musi to być dla niego bardzo nieprzyjemne?

- Całkowicie, panie, i właśnie dlatego dałem mu do zrozumienia, że chwilowo ja będę jego zwierzchnikiem, ja zadbam, aby odnalazł utraconą nić przewodnią - Dalmau mówił z pełnym przekonaniem. Chciał, aby Guillem mógł zdecydować sam, bez nacisków. Wiedział, że decyzja, którą podejmie, przesądzi o całym jego życiu, w pewnym znaczeniu usunie go na zawsze sprzed oczu świata.

- Co się właściwie stało z Bernardem Guilsem, bracie Dalmau? Jak to możliwe, że ktoś go tak bardzo zaskoczył?

- Myślę, że był wyczerpany, wyniszczony latami walki. To niełatwa praca, panie, wiecie o tym.

- No dobrze, bracie Dalmau, zło już się stało. Ale ciągle jeszcze nie wiemy, w jaki sposób wyszło na jaw, co ze sobą wiozł. Bernard należał do ludzi szczególnie ostrożnych i bardzo wątpię, aby popełnił w tym względzie jakikolwiek błąd. Oczywiście pewne osoby z kręgów zbliżonych do Kościoła zdawały sobie sprawę z naszych wykopalisk w świątyni jerozolimskiej. Od tamtej pory patrzymy sobie wzajemnie na ręce. Karol d'Anjou chce podporządkować swojej woli papieża, a przesyłka Guilsa to jadowita strzała wymierzona w samo serce Rzymu. Mamy wielu podejrzanych, bracie, wszyscy oni z równą siłą pragnęliby położyć rękę na naszej zdobyczy.

- Na Rzym trzeba niezwykle uważać, panie. Do Barcelony przybyła właśnie grupa papieskich szpiegów, nie spuszczają nas z oka. A jeśli dodamy do nich ludzi Karola... Cóż, sytuacja komplikuje się coraz bardziej.

- Dlatego martwię się o młodego Guillema, bracie. Jest w samym środku gniazda szerszeni i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Pozwólcie, że się nim zajmę, panie. Jacques i ja zadbamy o niego, a kiedy nadejdzie stosowna chwila, powiemy mu wszystko, co powinien wiedzieć. Wtedy sam podejmie decyzję.

- Mam do was zaufanie. Wiem, że przyjaźń, jaką darzyliście brata Guilsa, czyni z was najlepszych opiekunów Guillema.

- Całkowicie się z wami zgadzam, panie.

- Doskonale, bracie Dalmau. A teraz pora, abyście mi przedstawili wasz plan. Jak rozdzieliliście zadania i jaki będzie następny krok?

- Guillem szuka złodzieja, niejakiego d'Auberta. To zwykły rzezi-mieszek niemający nic wspólnego z polityką. Pech, panie... Gdyby Gu-ils nie był tak bardzo chory, nikt nigdy...

- Gdyby ten złodziejaszek go nie okradł, nasza przesyłka znajdowa-łaby się już w rękach d'Arlesa, bracie, a wtedy sytuacja skomplikowała-by się jeszcze bardziej. Została nam jedna jedyna szansa i mam nadzie-ję, że będziecie potrafili ją wykorzystać.

Dalmau w milczeniu skinął głową. Trudno było polemizować z niezaprzeczalnymi faktami. Po chwili przystąpił do szczegółowego omówienia podjętych działań.

Levi - sądząc po wyrazie jego twarzy - pogrążony był w raczej nie-miłych refleksjach. Rozbieganym, czujnym wzrokiem lustrował otoc-zenie. Coś go wyraźnie trapiło, nie dając ani chwili spokoju. Przeszedł-szy się kiika razy nerwowo wzdłuż stołu, podjął chyba jakąś decyzję, bo zebrał manatki i opuścił placyk.

Guillem szedł za nim w bezpiecznej odległości, na tyle daleko, aby nie zdradzić swego zamiaru nawet spostrzegawczym oczom. Po trzech godzinach bezruchu cieszył się z odmiany. W czasie długiego czekania boleśnie zdrętwiały mu nogi, plecy zaś omal nie przyrosły do ściany, o którą się opierał. Przemierzali teraz labirynt wąskich uliczek, mijając coraz mroczniejsze zaułki, co Guillemowi przywodziło na myśl po-wolne zstępowanie do piekieł. Bruk i mury pokryte tu były odchodami, a pod ścianami piętrzyły się stosy odpadków najróżniejszej provenien-cji, toteż wkrótce powonienie młodego templariusza zaczął drażnić wszechobecny smród.

Levi niezmordowanie dążył naprzód, ani na moment nie zwalnając tempa, aż w końcu Guillem zorientował się, że krążą w kółko. Ucieszyło go to ogromnie, ponieważ ostrożność zachowywana przez

lichwiarza wskazywała wyraźnie, iż półukryta dotąd prawda miała się wkrótce objawić w całej okazałości. Co jakiś czas mijali pijaków, którzy chwiejnym krokiem zmierzali ku kolejnej oberży, raz po raz szukając oparcia w zaskakująco stabilnych murach. Guillem wzmógł czujność. Zdawał sobie sprawę, że część opryszków zwykła udawać otumanionych trunkiem, aby, korzystając z efektu zaskoczenia, móc w sprzyjających okolicznościach zniemacka zaatakować. W takich razach oszołomiona ofiara rzadko reagowała z wystarczającą szybkością. Guillem zatrzymał się nagle, obserwując Leviego, który właśnie, rzuciwszy za siebie szybkie spojrzenie, przystanął przed jakąś hrama.

Młodzieniec odczekał kilka minut, przyglądając się fasadzie domu, w którym zniknął lichwiarz. Budynek był prawie całkiem zrujnowany i zdawał się grozić zawaleniem w każdym momencie. Ciekawe miejsce na spotkanie.

Drzwi wejściowe wyglądały na zupełnie przegniłe i nie dawały się nawet zamknąć. Chcąc wślizgnąć się do środka, wystarczyło je pchnąć, najlepiej leciutko i delikatnie, aby uniknąć skrzypienia obluźwanych zawiasów. Guillem potrzebował dobrej chwili, by przyzwyczać oczy do panującego wewnątrz mroku i rozpoznać otaczające go kształty. Znajdował się w rozległym pomieszczeniu, które, choć opuszczone z pewnością już dawno, zachowało jeszcze zapach trzymanyh w nim niegdyś zwierząt. Po podłodze wały się kawałki drewna i pozostałości po stojących tu dawniej zagrodach, wysuszone odchody i potłuczone naczynia. Guillem przesuwiał się ostrożnie, usiłując nie wywołać najmniejszego hałasu, który mógłby zdradzić jego obecność. W głębi natknął się na dość dobrze zachowane kamienne schody i ruszył nimi na górę, uważnie badając każdy stopień i nie ufając chwiejnej balustradzie, której dotknięcie groziło w jego wyobrażeniu zawaleniem się całego budynku. Gdy dobrnął do pierwszego podestu, zwrócił uwagę na zaskakującą w tym miejscu czystość. Ktoś zamiótł nagromadzone przez

lata zwały kurzu i na świeżo umytej posadzce wyraźnie rysowały się ślady butów lichwiarza, będące jedyną wskazówką, że dom nie jest pusty. Mała lampka, napełniona oliwą i przygotowana do użycia, czekała na wystającym ze ściany gzymisie. Guillem ruszył dalej, nie zaniehbując środków ostrożności: wstrzymał oddech i napiął mięśnie. Doszedł wreszcie do wąskiego korytarza z trojgiem drzwi. Wszystkie były zamknięte. Za ostatnimi usłyszał stłumione głosy, otworzył więc te, które miał najbliżej, i znalazł się w skromnej sypialni, wysprzątanej i gotowej na przyjęcie gościa. Nie brakowało w niej nawet dzbana świeżej wody. Wycofał się z powrotem na korytarz i cicho zamknął za sobą drzwi, po czym zaczął się dalej wspinać po schodach, które od tego miejsca zwęzwały się, pogrążone w całkowitej już ciemności. Dotarł w końcu na maleńkie poddasze, służące niegdyś za gołębnik, i stwierdził, że głosy ze znajdującego się poniżej pokoju dobiegają do jego kryjówki z całą wyrazistością. Nie powodując najmniejszego nawet skrzypnięcia podłogi, przytulił się do ściany klitki i zastygł w bezruchu.

- Jesteś przeklętym oszustem, Levi, tylko tracę przez ciebie czas.

Do starego gołębnika docierał głos pozbawiony wyrazu, zimny, o barwie stali.

- Jesteście wobec mnie niesprawiedliwi, panie, sami rozkazaliście, abym uprzedzał was o wszystkim, co mogłoby mieć jakikolwiek związek z d'Aubertem, nawet o najdrobniejszych rzeczach. Zrobiłem, jak kazaliście... - Z głosu Lewiego znikła chełpliwa nuta, doskonale znana jego klientom, a zamiast niej pojawił się przenikliwy, aż wibrujący od lęku falset.

- Po prostu świetnie. Powiadasz zatem, że pewien głupawy młodzik pytał cię o d'Auberta, którego szukał w związku z jakimś zaszranym

jedwabiem. Wspaniale! Cały d'Aubert. Co do chłopaka, był to niewątpliwie kolejny durny dzieciak, jeden z tych, co aż się proszą, żeby ich okpić. Czy umknął mi jakiś wyjątkowo ważki szcegół, Levi?

Guillem zarejestrował sobie w pamięci głos mówiącego; jego beznamiętność i chłód zrobiły na nim ogromne wrażenie.

- Ale to nie koniec. Bo co robi nasz inteligentny, znany w całym mieście oszust? Pomyka niczym przestraszony zając, żeby co rychlej poinformować swego pana o wstrząsających zdarzeniach popołudnia, nie zastanawiając się ani przez chwilę, czy go aby nie śledzą albo już od dobrych kilku dni nie obserwują. Porachunki między złodziejaskami wiadomością dnia! Jesteś głupcem, Levi, a twojej głupocie dorównuje jedynie twoja chciwość.

- Nikt mnie nie śledził! Krążyłem i krążyłem, dokładnie tak, jak mnie uczyliście. Przez godzinę kręciłem się w kółko, upewniając się, że nikt mi nie depcze po piętach. Bardzo uważałem. A do mojego stolika podchodził tylko ten młody dureń, żaden templariusz ani w ogóle nikt podejrzany nie zadawał mi dziwnych pytań. Przysięgam!

- Patrzcie, patrzcie... Taki niedowiarek, a sypie mi tu przysięgami jak z rękawa. Twoimi słowami nic tylko buty sobie wycierać, przekłety kłamco.

- Mówię prawdę, nikt z zakonu nie...

- Czyli zapewniasz, że żaden templariusz nie zawitał na placyk lichwiarzy - głos stawał się coraz bardziej metaliczny, przybierając barwę, zdawałoby się, nieosiągalną dla ludzkiego gardła. - Kiedy mówisz, że nie widziałeś templariuszy, masz na myśli, jak przypuszczam, że nie widziałeś żadnego białego płaszcza. Cóż za niezrównany talent do obserwacji!

Żadnych białych płaszczy, panie, i nikogo, kto by pytał o d'Auberta... Tak było. Wydaje mi się jednak, że wpadłem na pewien trop.

Guillem pożałował przez chwilę napuszonego lichwiarza, który grając w niezwykle niebezpieczną grę, na domiar złego nie znał jej zasad. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zawierana właśnie transakcja miała mu przynieść same straty, straty być może nie do odrobienia. Levi jednak wciąż trwał w przekonaniu o swojej niebywałej zdolności do oszustw, nie zwracając uwagi na coraz silniej dającą o sobie znać rzeczywistość ani na metaliczną nutę w głosie swego rozmówcy. Grał na granicy ryzyka, bez żadnego asa w rękawie, zapominając, że w jego zawodzie zawsze wróży to jak najgorzej.

- Na trop d'Auberta? - spytał głos kpiąco. - Płonę z niecierpliwości, Levi, po tylu dniach posuchy wreszcie zdołałeś mnie zaskoczyć.

Jego ton nie wskazywał jednak na zaskoczenie. - Doszły mnie słuchy, panie, że d'Aubert może się ukrywać w pewnej oberży o bardzo złej sławie, w dzielnicy portowej, niedaleko...

- Czyżby w oberży twojego przyjaciela Santosa? Cóż za zbieg okoliczności! - przerwał głos pogardliwie.

- Santos nie jest moim przyjacielem - bronił się Levi.- Raz czy dwa zdarzyło nam się współpracować, lecz to człowiek niegodzien zaufania.

- Ależ oczywiście! Ty nie masz przyjaciół, stary sknero, każdy prędzej zaufałby skorpionowi na pustyni niż takiej szumowinie jak ty. W dodatku obawiam się, że nawet kłamać nie umiesz. Od samego początku wiedziałeś, gdzie szukać d'Auberta, najpierw jednak sam chciałeś z niego wyciągnąć, co się da. Czyż nie tak, Levf?

-To nieprawda, nigdy bym was nie okłamał!

- Oczywiście, że tak, mój przyjacielu, okłamałbyś własną matkę, gdyby gwarantowało to choćby nędzny zysk. Wiedziałeś od samego początku, tacy jak ty i d'Aubert zawsze się skumają... Dobrze się znać: przecież przybiegł do ciebie w te pędy, ledwie stopę postawił na lądzie... Prawdą jest, że nie masz zielonego pojęcia, gdzie się zaszyl ten stary Żyd, ale co do d'Auberta... Osobiście go tam ukryłeś, czekając, że a nuż coś ci skapnie. Oszukałeś mnie, Levi, a uprzedzałem cię o konsekwencjach.

- To nieprawda, przysięgam na wszystkie świętości! Nie znam d'Auberta! Pracowałem dla was uczciwie, nie okłamałbym was, nigdy bym się nie ośmielił, panie!

- Do diabła, Levi, raz chociaż powiedz prawdę. Uprzedzam, że grasz o życie.

Groźba zabrzmiała jak świst stali; nieznajomy na dole nie musiał nawet podnosić głosu, aby powietrze w całym domu stężało. Levi szlochał, skowytał niczym zranione zwierzę, a echo jego spazmatycznego oddechu zdawało się pełzać po ścianach jakby w beznadziejnej próbie ucieczki. Gra dobiegała końca i lichwiarz zaczynał pojmować, że ta akurat transakcja nie przyniesie mu zysków.

- No więc macie rację. Znałem d'Auberta, ale niezbyt dobrze. Przyśzedł do mnie zaraz po opuszczeniu statku, szukał bezpiecznego schronienia i obiecywał duże pieniądze. Mówił, że kroi się coś większego.

- Co znaczy: „większego”, Levi?

- Nie wiem! Nie chciał mi niczego wyjaśnić, powtarzał, że musi jeszcze sprawdzić kilka rzeczy. Prosił tylko, żebym go skontaktował z jakimś tłumaczem z greki. Tylko tyle!

- I zrobiłeś, jak prosił? Poleciałeś mu kogoś?

- Nie, nikogo, przysięgam! Powiedziałem mu, że w tej oberży, o której wam już mówiłem, dopyta się o wszystko, o co zechce. Nic więcej!

- Nie przeszkadza mi, że jesteś kłamcą, Levi. Wszyscy kłamią, i to bez przerwy. Doprowadza mnie jednak do szału, że próbujesz okłamać właśnie mnie i w dodatku zdaje ci się, że zdołasz. I to akurat nie podoba mi się zupełnie, śmierdzący szczurze. Dlatego postanowiłem zrezygnować z twoich usług. Nie będą mi już dłużej potrzebne. To nic osobistego, sam rozumiesz, interesy, a ty, obawiam się, źle tym razem zainwestowałeś.

Guillem usłyszał zduszony szloch, błaganie o litość i jeżące włosy na głowie wołania o pomoc. Lichwiarz płakał, wył i mamrocząc nieskładne prośby, czołgał się po podłodze, a przynajmniej tak sądzić można było po dobiegających z dołu dźwiękach. Aby odmienić niekorzystny przebieg swej ostatniej transakcji, próbował nawet wykorzystać złotego genovino. Nie znał jednak prawdziwej natury Cienia, bo tylko do niego, Guillem nie wątpił o tym ani przez moment, mógł należeć ów metaliczny głos. Levi wiedział, że nic go już nie uratuje, ponieważ jego oprawcy obce jest uczucie litości.

Do gołębnika dotarł urwany, cichy, podobny do szmeru dźwięk, którego Guillem nie potrafił zidentyfikować. Potem w całym domu zapanała na powrót śmiertelna, spowijająca wszystko cisza, w której obliczu zdawało się, że wypowiedane tu niedawno słowa w rzeczywistości nigdy nie padły. Guillem nawet nie drgnął, stał przyklejony do ściany, napięty jak struna, wsłuchując się uważnie w każdy szelest, każdy odgłos, dzięki któremu mógłby ocenić, co robi mężczyzna na dole. Nikt nie jest w stanie rozplynać się w powietrzu - pomyślał.

Oczekiwanie wydłużało się w nieskończoność, w zdrętwiałych wskutek bezruchu nogach odczuwał się ból. Wtedy do uszu Guillega

dobiegł wyraźny odgłos zamykanych drzwi. Nie mącąc jeszcze absolutnej ciszy, młodzieniec rozluźnił mięśnie i zamierzał właśnie normalnie odetchnąć i zmienić pozycję nóg, gdy nagle wyraźnie usłyszał głos, który zatrzymał go, zanim zdążył się poruszyć. „Cicho!”. Oparty o brudną od ptasich odchodów ścianę, wstrząśnięty, Guillem potrzebował dobrej chwili, aby zrozumieć, że rozkaz ten dobiegł wprost z jego własnej pamięci. Guilsowe rady i uwagi na temat papieskich szpiegów powróciły w porę, być może ratując mu życie.

„Oni są niby węże, chłopcze, niby najgorsze gadziny. Wykorzystują najmłodsze sztuczki, jakie tylko potrafisz sobie wyobrazić, pełzają po ścianach, aby wstrzyknąć ci swój jad, kiedy myślisz, że już ich nie ma. Dlatego, mój drogi panie de Montclar, musisz działać, jak gdyby wciąż się gdzieś czaili, musisz przypisać tym diabłom wcielonym boski dar wszechobecności i zdolność do przybierania kolejnych postaci”. Przy takich okazjach Guils śmiał się sam z siebie: nienawiść, którą odczuwał względem papieskich szpiegów, sprawiała bowiem, że zło rzeczył jak opętany. „Znasz sztuczkę z drzwiami? Więc słuchaj uważnie, chłopcze. Ty szpiegujesz ich, podczas gdy oni szpiegują kogoś innego. Jesteś przekonany, że nie wiedzą o twojej obecności. Słuchasz mnie, szczeniaku? Dobrze. Więc w pewnym momencie, nie wiedząc dokładnie, gdzie się przyczaili, usłyszysz trzask zamykanych drzwi i odetchniesz z ulgą, myśląc, że te rzymskie hieny wreszcie zeszyły ci z oczu. Wtedy się poruszysz. I umrzesz kilka chwil później. Dlaczego? Już ci przecież mówiłem, ośle! Bo oni nie odchodzą, tylko stoją jak wrośnięci w ziemię, stoją całą wieczność, czekając, aż drgniesz i tym samym zdradzisz swoją kryjówkę. Jedyłą twoją szansą jest mieć jeszcze więcej czasu niż oni, cierpliwie czekać i modlić się, aby w końcu dopadł ich pośpiech, aby musieli pilnie wykończyć jakiegoś innego podobnego tobie nieszczęśnika”.

Tak, właśnie to wspomnienie powstrzymało go, kiedy zamierzał ściągnąć na siebie nieuchronną śmierć. Ale żyję - pomyślał, koncentrując się na utrzymaniu ciała w bezruchu i próbując zapomnieć o bólu w ścierpiętych członkach. Oddychał całkiem bezgłośnie i przyłgnąwszy do ściany, niemal stopił się z nią w jedno. Wciąż wracał wspomnieniami do Guilsa i jego „antypapieskich ćwiczeń”, jak z całkowitym brakiem szacunku nazywał je mistrz, każąc mu zastygać w najbardziej niedorzecznych pozach. „Zrób coś dla mnie, chłopcze: zapomnij, że coś takiego jak czas w ogóle istnieje”. I tak spędzał długie godziny, wisząc na drzewie, klęcząc w konfesjonale, siedząc, stojąc, leżąc na brzuchu albo na plecach... Boże, jak wówczas przeklinał Bernarda za te tortury! „Przeklinaj, panie de Montclar, ale raczej po cichu. I nie patrz na mnie jak baran prowadzony na rzeź”.

Drzwi zamknęły się znowu, lecz Guillem nadal się nie ruszał. Powietrze wokół zdawało się krzepnąć, uwięzione w warstwach gromadzącego się tu od lat kurzu. Otóż to, udało się, jestem wszechobecny, mam wiele postaci i nieskończenie dużo czasu, zostanę tutaj i tutaj za kilka lat umrę.... Usłyszał oddalające się kroki, nie zwrócił na nie jednak uwagi, zamierzał przecież pozostać w tym miejscu do końca świata, na zawsze przemieniony w kłębek kurzu. Kiedy się wreszcie poruszył, nie miał pojęcia, ile minęło czasu, ale zupełnie go to nie obchodziło. Czuł się lekki i rześki. Zszedł piętro niżej i natknął się na oszusta Leviego, który leżał w wielkiej kałuży kiwi z oczami wciąż otwartymi ze zdumienia, że tak, a nie inaczej zakończyła się ta ostatnia transakcja. Na jego szyi odznaczało się precyzyjne cięcie. Kiedy Guillem schylił się, aby go dotknąć, głowa nieszczęśnika, oddzielając się nagle od reszty ciała, potoczyła się na drugi koniec pomieszczenia. Przyglądając się temu żalostnemu obrazkowi, Guillem zauważył coś dziwnego. Odzienie lichwiarza było nienaruszone, fałdy jego długiej jedwabnej tuniki oraz płaszcz ułożyły się w sposób doskonale harmonijny, a naszyjniki,

mimo braku głowy, wciąż spoczywały na swoim miejscu. Ktoś zadbał o każdy szczegół. Guillem znalazł swojego genovino i schował go z powrotem do sakiewki: pożyczka opłaciła się, choć nie było od kogo zażądać odsetek. Nie dotknąwszy niczego więcej, młodzieniec opuścił dom. Wymknął się równie ostrożnie, jak wszedł, nie zauważając przy tym nikogo.

Przypadkowe spotkanie z Cieniem wywoływało w nim skrajne i sprzeczne uczucia. Z jednej strony był dumny ze swoich ryzykownych poczynań, choć omal nie skończył jak Levi, pukający już zapewne do bram piekła. Tylko co go właściwie ostrzegło? Własne wspomnienia czy Guils w roli opiekuna zza grobu? Z drugiej zaś strony wciąż słyszał tamten głos, którego barwa wryła mu się w pamięć, budząc strach i respekt. Dalmau się nie mylił, Robert d'Arles to człowiek dziwny i niebezpieczny. Guillem musiał bardzo uważać, jeśli zamierzał jeszcze przez jakiś czas pozostać przy życiu.

Przystanął. Od chwili opuszczenia zrujnowanego domiszcza gnał nieświadomie przed siebie, jak ścigany przez stado demonów, a przecież należało pomyśleć co dalej. Zapadał zmierzch. Najwyraźniej stan letargu, w jaki popadł w gołębniku, trwał dłużej, niż przypuszczał. Zrobiło się późno. Ale właściwie późno na co? Na pewno nie na wizytę Pod Błękitnym Delfinem. Poza tym, jeśli miał raz jeszcze tego dnia spotkać się z Cieniem, wołał, aby stało się to w miejscu publicznym, wśród ludzi. Najpierw jednak trzeba zaczerpnąć powietrza, zastanowić się, jaką maskę przywdziać na tę okazję. Głupkowaty młodzik odpadał. Tak, przemyśli to w drodze do oberży. A co ze złodziejaszkiem d'Aubertem? Ciężko wiedział o jego kryjówce jeszcze przed rozmową z Levim, wydawało się więc prawdopodobne, że Guillem ubiegnie. Czy należało o tym powiadomić brata Dalmau? Guillem chciał jednak odszukać d'Auberta żywego, wypytać go i odzyskać rzecz zrabowaną Bernardowi, a tymczasem każda chwila poświęcona na jałowe

rozważania i wątpliwości była podarunkiem dla Cienia. Porzucając zatem refleksje, pospiesznie ruszył w kierunku oberży. Dręczyło go tylko jedno pytanie: czy Cień mógł wyczuć jego obecność w zrujnowanym domu? „Darles jest człowiekiem z krwi i kości - zapewniał brat Dalmau - wszystko inne to legenda, o której rozpowszechnienie sam się zatroszczył. Jest tak samo śmiertelny jak my obaj”. Ale Guillem nie dałby sobie za to uciąć ręki, nie widział go wprawdzie, lecz odniósł wrażenie, że na własne uszy słyszał szmer rozplywającego się cienia.

ROZDZIAŁ VII

POD BŁĘKITNYM DELFINEM

Czy obiecaliście lub daliście pieniądze bądź cokolwiek innego mężowi świeckiemu albo rycerzowi Świątyni, albo komukolwiek, aby pomógł wam wstąpić do tego zakonu? Albowiem dopuścilibyście się przez to symonii, dla której nie masz usprawiedliwienia, i jeśli zdarzyłoby się wam uczynić w ten sposób, utracilibyście przyjaźń domu.

Oberża Pod Błękitnym Delfinem znajdowała się przy końcu ślepej uliczki, na obrzeżach dzielnicy Ribera. Levi nie przesadził, opisując złą sławę tego lokalu; jego usytuowanie i rodzaj odwiedzającej go klienteli nie pozwalały na najmniejszą w tym względzie wątpliwość. Wśród gości przeważały najgorsze barcelońskie szumowiny, ale nie brakowało i marynarzy. Nie był to wszakże, wbrew opinii niektórych, burdel, tylko miejsce, gdzie oddawano się rozrywkom i bezkarnie prowadzono interesy na granicy, a nierzadko i poza granicami prawa. Władze, uważając prostytutkę za zło konieczne, które pozwala uniknąć znacznie poważniejszych problemów, tolerowały istnienie domów rozpusty pod wa-

runkiem, że nie wymykały się one spod kontroli królewskich i miejskich urzędników. Dlatego zabraniano prostytutkom wykonywania ich ciężkiej pracy poza przeznaczonymi do tego celu lokalami, co w praktyce skazywało nieszczęsne kobiety na uwięzienie w czterech ścianach lupanaru.

Pod Błękitnym Delfinom spotykało się wszakże niewiasty lekkiej konduity, przychodzące tu, aby pozwierać się ze swoich kłopotów albo po prostu się zabawić, ale skorzystanie z ich usług okazywało się najczęściej niemożliwe. Jeśli bowiem którąś z nich przyłapano na spełnianiu obowiązków zawodowych poza miejscem pracy, po zbłąkaną owieczkę przybywał sam właściciel zatrudniającego ją burdelu otoczony swiata jej przykładnie zachowujących się towarzyszek niedoli. Przy ogłuszającym dźwięku bębenków odstawiali oni nieszczęśnicę z powrotem. Jednakże w okolicach Błękitnego Delfina, w które obawiali się zapuszczać nawet strażnicy królewscy, i to zdarzało się nadzwyczaj rzadko. Guillem szedł pospiesznie, z wysoko uniesioną głową i mało przyjaznym wyrazem twarzy. Zamiast nierozgarniętego młodzika, który taką pogardę wzbudził w lichwiarzu Levim, pojawił się młody, uzbrojony mężczyzna o spojrzeniu niewróżącym nic dobrego.

Prze dwieściami do oberży kilkuosobowa grupa tłukła jakiegoś człowieka, który właśnie bez przytomności zwałił się na ziemię, nie jęknięwszy nawet, nieświadom od tego momentu, że ciosy i kopniaki wciąż sypią się na niego jak grad. Scenie tej przyglądały się ze znudzonymi minami dwie kobiety, które bez problemu wziąć by można za kamienne, strzegące drzwi posągi, gdyby nie brak kapiteli na ich głowach.

Guillem rzucił okiem na rozciągniętego na ziemi biedaka, nie zatrzymał się jednak ani nie interweniował, zwłaszcza że tamten pożegnał się już chyba ze światem żywych, na którym on sam zamierzał jeszcze jakiś czas zabawić. Kiedy wszedł do oberży, owionęło go gęste od na-

jrozmaitszych wyziewów powietrze. Duża część lokalu pogrążona była w mroku i Guillem potrzebował kilku chwil, aby przyzwyczaiwszy oczy do ciemności, przyjrzeć się uważnie wszystkim kryjącym się po kątach gościom. Duże pomieszczenie miało kształt prostokąta. Honorowe miejsce zajmował tam ogromny, dający dużo ciepła i mało światła kominek. Porozstawiane bez ładu i składu lawy zdawały się sugerować, że przez miejsce to przetoczyła się niedawno horda barbarzyńców, którzy tylko przez przypadek nie zrównali go ziemią. Wokół stołów, a gdzieniegdzie również bezpośrednio na nich, tłoczyli się stali bywalcy, nie zostawiając choćby wąskiego przejścia dla roznoszących wielkie dzbany kobiet. Najpopularniejszą formę konwersacji stanowiły wrzaski i ryki, gęsto przeplatane żywiołowymi a obscenicznymi piosenkami, które co rusz ktoś donośnie intonował. W porównaniu do panującego tu hałasu zgiełk najzagorzalszej bitwy wydałby się zapewne delikatnym szemraniem.

Guillem z trudem przedzierał się przez ciżbę, ściągając na siebie ciekawe spojrzenia, które jednak rychło powlekała zwykła obojętność. W speluncie takiej jak ta codziennie widziało się nowe twarze, ponieważ rzesze marynarzy przepuszczały swoje nędzne zarobki na podawany tu, trudny do sklasyfikowania napój, coś pośredniego między winem a piwem, by potem ruszyć ku innemu portowi i następnej, identycznej oberży. Nie wszystkim jednak przeznaczone było do niej dotrzeć, wielu z hucznie teraz świętujących wesołków nigdy nie miało ujrzeć nieznanych miast ani tawern. Bezlitosny ocean czekał już na kolejne ofiary.

Torując sobie drogę przez tłum, Guillem zwrócił uwagę na człowieka, który opierał się o długi, sięgający od kominka aż do przeciwległej ściany blat. Mężczyzna ów był prawdziwym, dwumetrowym olbrzymem. Młody templariusz przyglądał mu się z respektem, z zajmowanego przezeń miejsca wnioskując, że ma przed sobą Santosa, o którym wspominał Levi. Gospodarz prowadził właśnie ożywioną rozmowę, co

pozwoili Guillemowi uwaźnie mu się przypatryć. Wyróżniała go przede wszystkim niezwykła twarz, pokryta dziesiątkami blizn najrozmaitszych kształtów i rozmiarów. Jedna z nich szczególnie rzucała się w oczy, ponieważ przecinała całe oblicze olbrzyma, zaczynając się nad okiem i kończąc w okolicach podbródka, choć nie dało się też wykluczyć, że ukryta przed wzrokiem ciągnie się dalej, wzdłuż szyi, aż do jakiegoś tajemniczego punktu na ciele. Z wysokim wzrostem Santosa harmonizowała potężna postura, a jego wspaniałe mięśnie dostrzec można było już z dużej odległości. Guillem ocenił, że gospodarz musi być w wieku Bernarda, może o kilka lat starszy, ale z drugiej strony obfitość blizn mogła działać myląco.

Długi blat, o który opierał się Santos, stanowił wyraźną granicę oddzielającą przestrzeń ogólnie dostępną od prywatnego terytorium gospodarza. Gdzieś w mroku za jego plecami jedna za drugą znikwały usługujące kobiety, aby po chwili wyłonić się stamtąd z wypełnionymi na nowo dzbanami. Ta doskonała ze strategicznego punktu widzenia pozycja pozwalała na nieustanną kontrolę wszystkich zakamarków lokalu, toteż nic nie mogło umknąć oku Santosa. W pewnym oddaleniu od blatu, po drugiej stronie kominka, widać było drewniane, wiodące na górę schody, które prowadziły bez wątpienia do pokojów dla gości. Guillem wciąż dokładnie lustrował każdy kąt oberży, wypatrując, którędy dałoby się ewentualnie najskuteczniej uciec. Nie miał ochoty skończyć w ślepym zaułku, zwłaszcza gdyby przyszło mu stanąć oko w oko z Cieniem. Jego wzrok zatrzymał się na niewielkich drzwiach pod schodami, zapewne do piwniczki lub drwalni, zamaskowanych tak sprytnie, że jedynie nagłemu odbłaskowi ognia zawdzięczał odkrycie ich obecności.

Niespiesznie zbliżył się do blatu, z za którego Santos sprawował absolutną władzę nad swym królestwem. Zgodnie z przewidywaniami natychmiast ściągnął na siebie uwagę olbrzyma, który popatrzył na niego, przerywając wiedzioną dotąd dyskusję. Na ten znak rozmówca gos-

podarza oddalił się bezzwłocznie w kierunku jednego z pobliskich stołów, jakby wykonując część doskonale sobie znanej ceremonii, w której role zostały rozdzielone już dawno. Spoczywające na nieznanym spojrzenie Santosa wyrażało umiarkowane zainteresowanie.

- Jesteście cudzoziemcem, przyjacielu - brzmiało to bardziej jak stwierdzenie faktu niż pytanie. Santos przestrzegał widać niepisanych praw, zakazującego zadawania pytań.

- A wy jasnowidzem. Skąd tak daleko idące wnioski?

- Podać wam coś czy zamierzacie raczej skorzystać z mojego daru jasnowidzenia?

- Wypiję to samo co wy, pod warunkiem, że zaproponujecie coś innego niż świństwo, które żłopią tamci.

- Proszę, proszę... Delikatne podniebienie, rzecz nieczęsto spotykana w tej dziurze, możliwe więc, panie, że i to, co sam piję, nie wyda wam się wystarczająco dobre. – Santos zdawał się rozbawiony zachowaniem nowego klienta oraz ironicznym tonem rozmowy.

- O ile się nie mylę, mam przyjemność z Santosem, absolutnym panem na tutejszych włościach?

- Teraz to wy przemieniliście się w jasnowidza. - Oberżysta wydo był gdzieś spod lady dwa dzbany.

- Wino z Mesyny. Wyborne. Dobry gust macie w kwestii napitków... - Guillem pociągnął spory łyk.

- Jego cena jest równie wyborna, ale nie wątpię, że wasz organizm doceni wybór. Tamci nieszczęśnicy mają worki ołowiu zamiast żołądków, więc wszystko im jedno.

- Dlaczego Santos* ?

- Co „dlaczego”?

- Mam na myśli wasze imię. Większość śmiertelników zadawała się jednym świętym, a wy potrzebujecie najwyraźniej całego kompletu.

Santos wybuchnął śmiechem, który niczym grom przetoczył się po olbrzymiej sali, wprawiając w popłoch wielu gości.

- Proszę, proszę... Dowcipniś nam się trafił. Wdzięczny wam jestem niezmiernie. Moje zajęcie należy do przeraźliwie nudnych, więc bardzo lubię żarty, dzięki nim mój mózg nie zaśniedział jeszcze ze szczętem. Co zaś do mojego imienia, nie potrafię wam odpowiedzieć... noszę je od tak dawna, że zapomniałem, skąd się wzięło.

Guillem uśmiechnął się, rozmyślając jednocześnie, w jaki sposób niepostrzeżenie i bez wzbudzania podejrzeń skierować rozmowę na interesujące go tory. Santos nie wyglądał na dającego się łatwo podejść naiwniaka w rodzaju Leviego. Należało zaryzykować.

- Poradzono mi, abym z wami porozmawiał - rzekł cicho.

- Cóż za łajza ośmieliła się wam doradzać coś podobnego?

- Martwa łajza - odparł Guillem, w napięciu czekając na reakcję rozmówcy.

- Santos zamilkł, przypatrując mu się w milczeniu i ważąc słowa. To uporczywe spojrzenie nadawało jego zniekształconemu potworną blizną oku dziwaczny kształt nieregularnej, niedbale nagryzmołonej

* *Santo (hiszp.) - święty. Tu w liczbie mnogiej (przyp. tłum.).*

- ósemki, daremnie usiłującej odzyskać swą pierwotną formę.
- Nie sądzicie, że powinniśmy usiąść? - odezwał się wreszcie.

Gestem poprosił Guillema, aby szedł za nim. Wychodząc z za lady, wywołał pełen podziwu pomruk wśród gości, zdumionych, że patron okazuje tak niesłychane względy nikomu nieznanemu młodzikowi. Santos zbliżył się tymczasem do stojącego obok kominka stołu, który zwolnił się natychmiast jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Usiedli przy nim, twarzą w twarz, nie spuszczać się nawzajem z oczu, każdy z dzbanem w ręku.

- A więc? - Zainteresowanie Santosa nadal wydawało się dość umiarkowane.

- Levi Lichwiarz zapewniał, że potraficie udzielić mi informacji na temat osoby, której szukam.

- Ten stary przechera nie żyje? - Olbrzym nagle się zaniepokoił. - Już myślałem, że całe lichwiarskie plemię ma chyba specjalną umowę z Parkami. Ale myliłem się, jak widzę. Wy go zabiliscie?

- Nie, ktoś mnie ubiegł. Ostatnio to norma. Jak tak dalej pójdzie, nigdy już nikogo nie zabiję. Deprymujące, doprawdy.

Santos ponownie wybuchnął śmiechem, po raz kolejny wywołując poruszenie wśród siedzących w pobliżu gości. Zdecydowanie podobał mu się ten chłopiec.

- A więc staremu łajdakowi nie wyszedł interesik. Cóż, nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka.

- Macie słuszność - przytaknął Guillem z powagą. - Tym razem Levi popełnił błąd i obawiam się, że poniósł straty nie do odrobienia.

Zerknął na oberżystę w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki, która pomogłaby mu sprowadzić rozmowę na właściwe tory, ale twarz Santosa była równie tajemnicza jak jego imię, co nie ułatwiało zadania. Guillem postanowił więc posunąć się o krok dalej.

- Ten stary łajdak, jak go nazywacie, został przed kilkoma godzinami zamordowany, a ściślej mówiąc: zarżnięty jak baran. Czyjaś wprawna, rzekłbym nawet, że nadzwyczaj wprawna ręka ucięła mu głowę.

- Cóż, śmierć godna takiego padlinożercy. - Santos pozostał nie wzruszony. - Zapewniam was, że jak tylko wiadomość ta się rozniesie, niejednego szczerze uraduje. Nikt po nim nie zapłacze, nie miał żony, dzieci, rodzeństwa ani żadnych krewnych, absolutnie nikogo. Bieda dureń powtarzał zawsze, że rodzina to inwestycja bez przyszłości, i spójrzcie tylko, teraz nawet pies z kulawą nogą nie zatroszczy się o jego pogrzeb.

- Wobec tak jawnej obojętności Guillem powoli zaczynał tracić nadzieję. Nic nie robiło wrażenia na jego rozmówcy, który słuchał okropnych wieści bez jednego mrugnięcia okaleczonym okiem. Młodzieniec zdawał sobie sprawę, że oddaje cenne informacje zupełnie za darmo, nie miał jednak pojęcia, jak to zmienić.

- Szukam niejakiego d'Auberta - wypalił w końcu, świadom, że i tak stracił już zbyt dużo czasu.

- A, czyli o niego chodzi, chłopcze, o naszego głupiego d'Auberta. Wreszcie jakieś światelko w ciemności! A po co wam on?

- Za wiele pytań, za mało odpowiedzi - warknął rozdrażniony Guillem. Zapas jego cierpliwości właśnie się wyczerpał. Hałaśliwy śmiech Santosa, który najwyraźniej doskonale się bawił jego kosztem, stawał się nie do zniesienia.

- Szybko się niecierpliwicie, młodzieńcze, ale dobrze, niech wam będzie. Oczywiście, że znam d'Auberta. Powiem więcej, nieraz poważnie się zastanawiałem, czy go aby nie zabić i nie skończyć w ten sposób z jego nieznośnym kręctwem. To wstrętny typ.

- Jest waszym gościem?

- Był, młodzieńcze, był moim gościem, ale teraz już nie jest - rzekł Santos lakonicznie.

Wiadomość ta spadła na Guillema niby cios toporem. Tracił oto jedyny trop, który mógł go doprowadzić do d'Auberta, jedyną możliwość odzyskania skradzionej paczuski. Jeśli złodziej uciekł, trudno go będzie z powrotem namierzyć. Nic, tylko oszaleć. Znowu znalazł się w punkcie wyjścia, bez żadnych konkretnych wskazówek. Jego wyraźne przygnębienie poruszyło nawet Santosa.

-Aż tak wam zależy na odszukaniu tego półgłówka, bracie?

Zdumiony Guillem zerwał się z krzesła. Czuł się obnażony, zupełnie jakby ktoś mu nagle zdarł z twarzy maskę.

Powiódł wkoło niespokojnym spojrzeniem, szukając najdogodniejszej drogi ucieczki. Bracie. Najprawdopodobniej ten potężny oberżysta rozszyfrował go niemal od razu. Takiej możliwości Guillem w ogóle nie brał dotąd pod uwagę.

- Nie bójcie się, nikt was nie zdradzi - próbował uspokoić go Santos.
- Pozwoliłem sobie jedynie na odrobinę rozrywki. Sami pomyślcie,

przywoity templariusz w jaskini występku! Chociaż, jeśli mam być szczerzy, nie cieszy się najlepszą reputacją.

- Jak wam się udało mnie zdemaskować? Umysł Guillega gorączkowo poszukiwał jakiegokolwiek wytłumaczenia. Przybrana maska nie sprawdziła się, a zatem gdzieś musiał tkwić błąd. Najpewniej rozpoznał w nim templariusza natychmiast po tym, jak przekroczył próg tej parszywej spelunki. Przeklęty Santos umiał chyba czytać w myślach. A co, jeśli nie tylko on zdołał go przejrzeć? Jeśli zrobili to również inni? Guillem odnosił niemiłe wrażenie, że znalazł się w pułapce. Santos przyglądał mu się z uwagą, instynktownie wyczuwając, jakie skutki wywołał jego żart, i w duchu żałując swej lekkomyślności.

- Uspokójcie się, proszę, wasza maska jest doskonała, nikt poza mną niczego nie zauważył. Przykro mi, że zaniepokoiłem was do tego stopnia. Naprawdę nie ma powodu, żeby się martwić tą zgrają pijaków, oni nie rozpoznaliby nawet własnej matki, choćby stanęła im przed nosem. Bernard znakomicie was wyszkolił.

Guillem wytrzeszczył oczy, nie potrafiąc jednocześnie powstrzymać okrzyku zdumienia. Tego już za wiele! Żeby cień Bernarda Guilsa włókł się za nim uparcie aż do tej nędznej nory! Ale, do wszystkich diabłów, skąd Bernard mógł znać kogoś takiego jak Santos? Nie było co się dłużej łudzić, najzwyczajniej w świecie nic nie wiedział o swoim nauczycielu. Rozdrażnienie Guillega znalazło sobie teraz nową pożywkę, obierając za cel Guilsa, utraconego przyjaciela i mistrza, który jednak tak niewidoma ze swych sekretów chciał się podzielić z uczniem i świadomie utrzymywał go w niewiedzy, aby wreszcie opuścić w samym środku potwornego zamieszania.

- Musicie mi wybaczyć, chłopcze, ale od chwili, kiedy ujrzałem was w drzwiach, nie mogłem się oprzeć pokusie niewinnej zabawy. Dostałem wszakże nauczkę, a duch Guilsa zdaje się szturchać mnie z zaświa-

tów, żebym pozwolił wam wreszcie złapać oddech. O bezpieczeństwo nie musicie się martwić, nic wam tu nie grozi. Przed wielu laty należałem do zakonu i tylko dlatego was rozpoznałem. Rozpoznałbym każdego templariusza, który wszedłby w progi mojej oberży, bez względu na przebrania. Pewnych rzeczy się po prostu nie zapomina.

Guillem przyglądał mu się nieufnie, usiłując opanować rosnącą wściekłość. Miał dość, cała ta sprawa ciągle wracała do punktu wyjścia, do Guilsa.

- Upór, z którym widmo Bernarda mnie prześladowuje, zdaje się mieć więcej wspólnego z zawziętością niż z troską. Guils czyha na mnie za każdym rogiem, czasami nawet słyszę jego głos. Myślicie pewnie, że wariuję. Bardzo słusznie, też mi się tak wydaje... Więc poznaliście się niewątpliwie w Palestynie, jakżeby inaczej, gdzie walczyliście ramię w ramię, jak przystało na wiernych aż po grób towarzyszy. A i na interesujący nas temat wiecie już prawdopodobnie wszystko, co należy, mogę zatem spokojnie wrócić do klasztoru i pospać sobie ze trzy dni, z czystym sumieniem rezygnując z żalosalnej roli marionetki!

- Boże święty, wyście się istotnie obrazili! - Santos po raz pierwszy wyglądał na prawdziwie przerażonego. - Przysięgam, że mi przykro, przyjacielu, nie chciałem was rozgniewać. No i nie mam zielonego pojęcia, o czym mówicie. Słyszałem oczywiście o śmierci Guilsa, po naszej dzielnicy wieści roznoszą się z prędkością muzułmańskiej strzały, nie wiem jednak, o jaki „interesujący nas temat” chodzi. Jak właściwie umarł Bernard? Tutaj docierają tylko plotki, jakieś zupełnie niewiarygodne historie.

Przekonując się powoli, że Santos nie kłamie, Guillem pożałował niekontrolowanego wybuchu. Nie powinien był całego swojego rozgoryczenia i bezsilności wyładowywać na tym olbrzymie, który spoglądał teraz na niego ze szczerą troską.

- Bernard został otruty.

- Otruty! To niemożliwe! Nie Bernard! - Malujące się na twarzy Santosa zaskoczenie zabarwiło jego długą bliznę purpurą.

Guillem de Montclar z nieoczekiwaną dla samego siebie szczerością zrelacjonował mu więc to, o czym sam wiedział, niczego nie pomijając, w rozpaczliwej próbie uporządkowania myśli i uczuć, znużony wykonywaną pracą i wszechobecnym w niej kłamstwem. Wyrzuciwszy z siebie wszystko, stopniowo się uspokajał. Miał dość czekania, aż ktoś wskaże mu najważniejsze elementy w tej układance pełnej relikwii, cieni i trupów. Jak do tej pory nie robił nic innego, tylko miotał się w ich poszukiwaniu, odnosząc wrażenie, że przyczepiono mu do rąk i nóg sznurki, za które pociąga jakaś niewidzialna ręka. Pojął nagle, że, niezależnie od konsekwencji, dłużej tego nie wytrzyma.

Santos wysłuchał go uważnie, ani razu nie przerywając. W miarę upływu czasu jego rysy coraz bardziej twardniały, nie zdradzając jednak poza tym żadnych emocji. Długo patrzył bez słowa na tego rozdrażnionego, prześladowanego przez widma chłopca, a jego umysł zalewały dziesiątki wspomnień i obrazów, wyrazistych i jasnych, jakby oświetlonych jaskrawym blaskiem judejskiej pustyni.

W małej, zagubionej pośród piasków lepiance podniesionymi głosami rozmawiało dwóch mężczyzn. Ponieważ otaczała ich bezbrzeżna pustka, jedynymi świadkami kłótni były dwa zaniepokojone niezwykle hałasem wierzchowce.

- Niech to szlag, Bernardzie, całkowicie postradałeś zmysły! – Jacques Bretończyk ryczał niczym wściekły niedźwiedź, wielkimi krokami przemierzając niedużą izbę. Za każdym jego stąpieniem ziemia drżała tak, jak gdyby właśnie nadciągała w to miejsce horda barbarzyńców.

- Uspokój się, Jacques, i przestań wreszcie przeklinać! Sam przecież wiem, że to wszystko pachnie zasadzką! - Guils wydawał się znużony wrzaskami towarzysza.

- Pachnie zasadzką? Na rany Chrystusa, Bernardzie, nie waż mi się w ten sposób odpowiadać, nie po tylu latach! Przez te niekończące się sekrety ja też niedługo oszaleję ze szczętem.

- Uspokój się i nie krzycz już, tylko się przez siebie denerwuję.

- No dobrze, dobrze, nie będę, ale, Bernardzie... Od zdemaskowania tego przekłętego zdrajcy dzieli nas jeden krok i to jest nasze najważniejsze zadanie. Nie uważasz za podejrzane, że właśnie teraz wysłała się nas znienacka na poszukiwania jakiejś śmierdzącej szmaty, zasłaniając się nedorzeczną historyjką? Chcesz dopełnić samobójstwo czy co?

Potężny głos Jacques'a znów wprawił w drżenie cienkie ściany lepianki. Zamiast odpowiedzi Guils poklepał przyjaciela po plecach, ale Jacques nawet tego nie zauważył.

- Pozwól mi coś powiedzieć, Jacques, bo w przeciwnym razie będę zmuszony cię zakneblować. Przysięgam, że to zrobię! Nie mam czasu jechać do Akki i nikogo przekonywać, że ta misja to szaleństwo. Oczywiście masz rację, mnie też wydaje się podejrzane, że wysyłają nas teraz po jakiś głupi płaszcz, odrywając tym samym od naprawdę istotnego zadania. Dlatego właśnie chciałbym, abyś mnie w miarę swoich skromnych możliwości uważnie posłuchał: nie pojedziesz z nami.

Widząc, że przyjaciel gotuje się do riposty, Guils nasrożył się jeszcze bardziej. Nie przeszkodziło to jednak Jacques'owi rzucić się z pięściami na jedną ze ścian.

- Jacques. Jacques. Posłuchaj... pojedziesz za to na spotkanie z naszym informatorem. Sam. Dowiesz się imienia zdrajcy i ruszysz do Akki. Tam opowiesz Thomasowi Berardowi, co odkryłeś i gdzie się z nami pożegnałeś. A przede wszystkim zorientujesz się, czyj to był pomysł z tym płaszczem. Jasne?

- Starczy mi czasu, żeby się spotkać z informatorem i wrócić tu do was, tak na wszelki wypadek.

- Nie. Nie wrócisz do nas, tylko natychmiast ruszysz do Akki, jak najszybciej i nie oglądając się za siebie! Bez dyskusji, do wszystkich diabłów, choć raz mnie posłuchaj! - Nie rozumiem, dlaczego ufasz temu pałacowemu rycerzykowi, Bernardzie, on nie myśli o niczym poza awansem... „*Wolałbym, aby mnie nazywano rycerzem d'Arles*” Jacques zaczął przedrzeźniać wykwintne i nieco zniewieściałe maniery d'Arlesa. - Wyjątkowo podła z niego gadzina, powtarzam ci to od początku... A już z tym płaszczem... Na Boga, to przechodzi ludzkie pojęcie, Bernardzie!

- Jacques, wiem, że nie znosisz d'Arlesa, zawsze go nienawidziłeś, wytłumacz mi jednak, po kiego diabła miałby wymyślać tak absurdalną historyjkę?

- Ba! Żeby ocalić tyłek, Bernardzie, ten typ nic, tylko się troszczy o swój tyłek! Chętnie zamieniłby siodło na wygodniejsze siedzenie.

- Mamy poważny problem, a ty ciągle gadasz bez związku.

- Poważny problem! Ależ bez dwóch zdań! Cieszy mnie, że wreszcie to zauważyłeś, Bernardzie, i że wracasz na ziemię, bo przez ostatnich kilka godzin najwyraźniej bujałeś w obłokach. Sytuacja jest więcej niż poważna, jest po prostu niebezpieczna. Masz wszelkie szanse skończyć w formie cienko pokrojonych plasterków.

Bernard Guils odetchnął głęboko. Do rozmowy z tym krnąbrnym narwańcem potrzebował całego zapasu cierpliwości.

- Obiecuję ci, że spróbujemy tego uniknąć, ale musisz mnie tym razem posłuchać.

- Ale, Bernardzie, kto by wierzył w te brednie? Jakiś zawszony handlarz z Efezu, sam pomyśl, w dodatku z Efezu! I ktoś taki ma niby w swoich łapach płaszcz Najświętszej Dziewicy? Kto by w ogóle wierzył, że coś podobnego gdziekolwiek istnieje? Co on wam, do wszystkich diabłów, zamierza sprzedać? Otóż powiem ci, mój przyjacielu, zamierza wam sprzedać porwaną szmatę, którą ostatnio wzgardziła nawet jego matka staruszka, ot co!

- Nie w tym rzecz. Zapomnij wreszcie o tym przeklętym płaszczu! Masz chyba na jego punkcie obsesję, a on jest teraz akurat najmniej istotny. Chodzi o to, że ktoś nam usiłuje przeszkodzić w odnalezieniu zdrajcy. I powinien myśleć, że mu się udało.

- Rozumiem. I aby osiągnąć ten zbożny cel, popełnicie grupowe samobójstwo.

Bernard do pewnego stopnia podzielał punkt widzenia przyjaciela. Pretekst, którego użyto, aby zahamować postępy śledztwa, był rzeczywiście śmieszny i nikt przy zdrowych zmysłach nie ruszyłby na poszukiwania jakiejś porwanej szmaty, jak zwykłą ją określać Jacques. Intrygujące. Czy to istotnie sprawka d'Arlesa? Tylko po co miałby prowadzić z nimi taką grę? A jeśli nie on, to kto?

- Szczerze mówiąc, Jacques, najbardziej denerwuje mnie to, że ktoś nas uważa za głupców.

- Doskonale. Denerwuje cię to, zamierzasz wszakże potwierdzić jego przypuszczenia - rzucił Jacques nie bez ironii, wciąż nie pojmując rozumowania Guilsa.

- Tak, trafiłeś w sedno. Musimy podjąć ryzyko, nie wzbudzać podejrzeń, udawać, że daliśmy się nabrać. Dlatego masz się trzymać z boku, bo w razie czego będziesz naszą jedyną nadzieją.

- A jak wytłumaczysz pozostałym moje zniknięcie? - Jacques zaczął się poddawać, wiedząc, że nic nie złamie uporu Bernarda.

- Najzwyczajniej w świecie, przyjacielu. Powiem, że cię po prostu nie znalazłem. Wszyscy znają twoje upodobanie do nagłych wycieczek w nieznaną. Powiem, że cię znowu gdzieś poniosło i nie pojawiłeś się w wyznaczonym miejscu. „Ten przekłety głupiec po raz kolejny wystawił nas do wiatru”. Popatrzą na mnie porozumiewawczo, z chrześcijańską pokorą, i nawet się nie zająkną.

- Może i tak. Wszyscy poza d'Arlesem. „Zakon powinien jednak starszej dobierać swoich ludzi. Ktoś będzie musiał w końcu poinformować zwierzchników o ciągłych ucieczkach naszego brata, tak przecież nie można...”.

Słyszając to, Bernard Guils wybuchnął śmiechem. Jacques doskonale naśladował d'Arlesa, a w dodatku miał rację: nie uległo bowiem wątpliwości, że Robert nie oprze się pokusie powiedzenia czegoś podobnego.

Wyszli z lepianki zatroskani. Jacques mocno uściśnął Guilsa. Miał złe przeczucia. Patrząc, jak Bernard dosiada swej pięknej białej klaczy, zbliżył się, aby pogłaskać łeb zwierzęcia.

- Jacques, bądź czujny, nie pozwól, żeby łotr się nam wymknął. I jedź prosto do Akki!

- Zabiję go własnymi rękami, przysięgam.

Bernard już go jednak nie słyszał, galopując na północ. Jacques obserwowował przez chwilę, jak sylwetka przyjaciela maleje i w końcu znika za wydmami.

Santos ocknął się nagle z zadumy. Słowa młodego templariusza sprowadziły go z powrotem do oberży.

Muszę natychmiast porozmawiać z dAubertem - mówił właśnie Guillem.

Wybaczcie, młodzieńcze, zamyśliłem się. Rozumiem wasz pośpiech, ale sądzę, że ten szarlatan na wiele wam się już nie przyda.

- Mówiliście z nim? Powiedział coś ciekawego?

- D'Aubert nie żyje. I tym razem ktoś was ubiegł. Guillem de Montclar zastygł niczym słup soli: a więc Ciebie znowu okazał się szybszy. Do tej pory istniała jeszcze słaba nadzieja, że zostawiwszy trupa Leviego w zrujnowanej kamienicy, zadba najpierw o bezpieczniejszą kryjówkę.

- Tylko kto miałby szukać Leviego w opuszczonym, rozpadającym się domu? Miną tygodnie, a może i miesiące, zanim go znajdą. Boże święty, właśnie popełniłem niewybaczalny błąd! - wyszeptał do siebie Guillem.

- Witamy w realnym świecie, chłopcze - rzekł Santos z ironią. - Może i dobrze, że nie jesteście jednak chodzącą doskonałością, inaczej szybko stalibyście się nie do zniesienia. Wierzę, że Bernard nie tego od was oczekiwał, choć do niego wszystko podobne. Przed chwilą przypominałem sobie, jak próbowałem go kiedyś do czegoś przekonać i...

- Skąd wiecie, że d'Aubert nie żyje, Santosie? - przerwał mu Guillem, w którego głowie zaświtała nagle nowa myśl.

- Bo znalazłem jego ciało w pokoju na górze. - Santos zaczął podejrzewać, że siedzący przed nim chłopiec uporem co najmniej dorównuje swojemu nauczycielowi.

- Kiedy?

- Wczoraj w nocy.

- A zatem zabił go wcześniej niż Leviego. Sam odnalazł jego kryjówkę! I bardzo możliwe, że już wtedy dorwał skradzioną Bernardowi paczuszkę. Jak zginął d'Aubert? - wzburzony Guillem przeskakiwał z tematu na temat.

- Zapewniam was, że nie miał lekkiej śmierci. Wciąż jest na górze, w swoim pokoju. Związano go tak, że po jakimś czasie udusił się, nie mogąc znieść nacisku sznurów. Od wielu lat nie spotkałem się z tym systemem wiązania; kiedyś nazywano go węzłem samobójcy, chociaż osobiście nie rozumiem dlaczego, bo to raczej niemożliwe, aby ktoś skrępował się w ten sposób bez niczyjej pomocy. Kiepska śmierć przypadła d'Aubertowi, nie ma co. Był zakneblowany, a nieliczne znajdujące się w pokoju meble zostały starannie odsunięte na bok, żeby uniemożliwić mu narobienie hałasu. Z pewnym wszakże wyjątkiem: jedno z krzeseł stało bardzo blisko trupa, tuż przy jego głowie. Zupełnie jakby ktoś usiadł sobie wygodnie, żeby się przyglądać agonii. A widok raczej nie należał do miłych, chłopcze.

- Guillemie. Guillemie de Montclar - wtrącił młodzieniec znieca, marszcząc czoło.

- Słucham?

- Mówię, że nazywam się Guillem de Montclar, więc przestańcie mnie wreszcie tytułować chłopcem, młodzieńcem i tak dalej.

- Wybaczcie, nie chciałem was urazić, Guillemie.

- Przeszukaliście pokój dAuberta? - Wbrew pozorom Guillem wcale w to nie wątpił.

- Oczywiście, ale jeśli chcecie, możemy to zrobić ponownie, tym razem we dwóch.

Młody templariusz skinął głową na znak zgody i obaj powstali od stołu, kierując się ku schodom.

Na twarzy dAuberta wciąż malowało się zaskoczenie, jak gdyby złodziej do końca nie potrafił uwierzyć w to, co mu się przytrafiło. Jego dziwnie powykręcane pod sznurami ciało przywodziło na myśl człowieka gumę, którego paraliż dotknął podczas wykonywania skomplikowanego numeru. Santos przykrył trupa prześcieradłem, obserwując, jak Guillem dokładnie przeszukuje pokój. Nie ulegało wątpliwości, że Bernard dobrze go wyszkolił.

- Co z nim zrobicie? - spytał młodzieniec, wskazując na zmarłego.

- Muszę to przemyśleć, wy nie zaprzatajcie sobie tą sprawą głowy. Bardzo możliwe, że nikt o nim więcej nie usłyszy.

- W tym pokoju nie ma rzeczy, której szukam, więc Ciebie pewnie ją zabrał.

- Nie tak pochopnie, Guillemie. Natrafiłem wcześniej na coś, co może was zainteresować. Początkowo nie przywiązywałem do tego wagi, ale po wysłuchaniu waszej opowieści zmieniłem zdanie.

Zaciekawiony Guillem podszedł bliżej. Santos podawał mu coś na wyciągniętej dłoni.

- Safian? Skąd to wytrzasnęliście?

- Tak, to safian, najdelikatniej wyprawiona jagnięca skóra. Możliwe, że było w nią zawinięte to, czego szukacie. Znalazłem też bardzo cienkie i mocne sznurki, którymi bez wątpienia obwiązano paczuszkę. Wszystko leżało tutaj, na łóżku, najwyraźniej przez kogoś porzucone.

- Czyli jednak Cień ma już to, czego pragnął - stwierdził Guillem.

- Zbyt szybko wysnuwacie wnioski - Santos mówił teraz bardzo cicho. - W ciągu krótkiego czasu d'Auberta odwiedziło tu kilka osób. Jak wiecie, potrzebował tłumacza z greki. Ja sam podszeptąłem mu kilka pomysłów.

- Co sugerujecie?

- Szczególnie długo debatował z niejakim Mateem, klerykiem, który przed laty zszedł na złą drogę. Wydaje mi się, że dominikanie wyrzucili go za jakiś skandal, ale nic o tym nie wiem. Teraz utrzymują go dwie prostytutki, dzięki którym, z tego, co słyszałem, opływa w dostatki. Poza tym żyje w doskonałych stosunkach z najgorszymi mętami w naszym mieście.

- Myślicie, że ten typ coś wie?

- Mateo i d'Aubert długo się o coś kłócili, najprawdopodobniej nie mogąc się zgodzić co do ceny. W końcu jednak doszli chyba do porozumienia, po czym kleryk pospiesznie opuścił oberżę. Wszystko to stało się ubiegłej nocy. Zauważyłem, że Mateo chował coś pod ubraniem. Wprawdzie usiłował się z tym kryć, ale wyraźnie widziałem, że

kurczowo zaciska na czymś palce. Przyszło mi nawet do głowy, że coś zwędził z pokoju dAuberta.

- Podejrzewacie, że to on go zabił?

- Nie, nie! Za to akurat ręczę, bo zaniepokojony jego dziwnym zachowaniem udałem się od razu na górę. D'Aubert był nieco zatroskany, może nawet zdenerwowany, ale wciąż żywy. Spytał, czy dobrze znam Matea i czy można mu zaufać, bo trafił mu się właśnie grubszy interes, a kleryk nie wzbudził w nim zbytnej sympatii.

-To wszystko?

- Odrzekłem, że za nikogo nie odpowiadam, i wyśmiałem jego obiekcje, dodając, że pewne cnoty wśród złodziei spotyka się raczej rzadko, o czym sam bez wątpienia najlepiej wie, bo również należy do ich grona. Próbowałem się zorientować, o jaki interes chodzi, ale d'Aubert zaciął się przy tym temacie, powtarzając jedynie w kółko, że dostanę swoją należność i nic więcej nie mÓEszę wiedzieć.

- Poza tym nie zauważyliście tej nocy nic dziwnego, nic, co zwróciłoby waszą uwagę?

- Nic, co mogłoby dziwić w lokalu takim jak ten. Jednakże dzisiaj, po wysłuchaniu waszej historii, niektóre rzeczy ujrzałem w zupełnie nowym świetle. W pewnej chwili wybuchła bowiem okropna bójka. Kilku cudzoziemskich marynarzy skoczyło sobie do oczu tak zaciekle, że ani jeden stół nie został się na swoim miejscu. Sądzę, że ktoś mógł ich opłacić, aby tym łatwiej przedostać się po kryjomu na górę. Podziałało, bo nikt nic nie zauważył. Nieźle pomyslane, prawda?

- Wiecie, gdzie mogę znaleźć tego Matea? To chyba jedyny trop, jaki mi pozostał.

- Zagląda tu czasem - odparł Santos. - Postaram się o nim dowiedzieć czegoś więcej. Nie chciałbym was bardziej w to mieszać, Santosie. Sami widzicie, jak kończą ci, którzy mają cokolwiek wspólnego z tą ponurą sprawą.

Santos wybuchnął szczerym śmiechem. Nader rzadko ktoś tak się troszczył o jego bezpieczeństwo. W tej oberży życie i śmierć traktowano zazwyczaj na równych prawach, odnosząc się do nich z jednakową obojętnością.

Bardzoście uprzejmi, Guillemie, ale osobiście czuję się już głęboko zamieszany. Nie uważacie, że ktoś, kto zabija mojego gościa w mojej własnej gospodzie, w jednym z należących do mnie pokoi, przejawia całkowity brak wychowania? Odnajdę Matea... Moje poszukiwania wzbudzą mniejszą sensację niż wasze. Wierście mi, nikogo nie zdziwi moje zainteresowanie, a poza tym wiem, kogo pytać.

- Dobrze, pewnie macie rację. Jak się dowiem, czy już go znaleźliście?

- Prześlę wam wiadomość do domu zakonnego. Bądź cierpliwy, chłopcze.

Guillem obrzucił pokój d'Auberta ostatnim spojrzeniem. Nic więcej tu nie działo. Odnosił wrażenie, że Santos podzielił się z nim całą swoją wiedzą. Popatrzył z uznaniem na olbrzyma, promieniującego niesłychanym spokojem, zupełnie jakby odnajdywanie dziwacznie skrzepowanych trupów należało do jego codziennych obowiązków. Musiał zaufać temu człowiekowi; znajomości w takiej dzielnicy zawsze się przydają, nie mówiąc już o tym, że lepiej zyskać w kimś przyjaciela niż wroga. Zamierzał właśnie odejść, kiedy oberżysta znowu się odezwał.

-Musicie postępować bardzo ostrożnie. Z tego, co słyszę, ta historia aż się roi od trupów, nie byłoby zatem rozsądnie pozwolić sobie choćby na moment nieuwagi. Skoncentrujcie się i baczcie na wszystko. Nie pozwólcie, żeby śmierć Bernarda zbyt mocno zaprzętnęła wasze myśli, bo najmniejsza nieostrożność może was bardzo wiele kosztować. Guillem zapewnił, że weźmie sobie do serca te przestrogi, i pożegnawszy się, opuścił gospodę. Ciało pobitego na śmierć mężczyzny wciąż leżało na dawnym miejscu, powiększyła się jedynie rozlewająca się wokół niego kałuża krwi. Obojętne na wszystko dwie kobiety nadal tkwiły przy wejściu. Guillemowi wydało się z nagłą, że śni; wyczerpanie i zapadający mrok nadawały całej tej scenie nierzeczywisty wymiar. Gdyby zniemacka zza rogu wyłonił się jednorożec, i on nie wzbudziłby w znużonym chłopcu przesadnego zdumienia. Jeśli to koszmar senny - pomyślał młody szpieg - najlepiej, żebym ocknął się w domu, w własnym łóżku. Nie zmrużył oka od czterdziestu ośmiu godzin i z każdą chwilą ogarniała go coraz bardziej nieprzewyciężona senność.

Santos patrzył za odchodzącym z troską w oczach. Drżał o jego życie. Nie powiedział Guillemowi całej prawdy, bo chłopiec wciąż jeszcze nie musiał wszystkiego wiedzieć. Nie należało zwracać mu głowy cieniami zamierzchłej przeszłości, zresztą Bernardowi z pewnością nie spodobałoby się mieszanie jego wychowanka do załatwiania dawnych porachunków. Nie, to sprawa jego i brata Dalmau, bo Guils, niestety, więcej nie stanie u ich boku. Stary, kochany Guils.

Po raz pierwszy od wielu lat mieli d'Arlesa w zasięgu ręki. Powód, dla którego zapędził się aż do Barcelony, musiał więc być rzeczywiście istotny. Dotychczas unikał swoich byłych towarzyszy jak diabeł święconej wody i dobrze wiedział, co robi. Zdawał sobie sprawę, że niektóre winy nie ulegają przedawnieniu, a pewni ludzie nigdy nie zapominają, bez względu na okoliczności. Dopóki choćby jeden z nich pozostanie przy życiu, d'Arles nie będzie mógł spać spokojnie. Santos rozumiał już

teraz treść otrzymanego niedawno od brata Dalmau naglącego liściku, który pieczołowicie przechowywał w kieszeni. Tym razem zadziałała szybciej...Przypomniał sobie własne zdumienie w momencie, kiedy poznał imię zdrajcy. Początkowo nie potrafił uwierzyć. Owszem, nie przepadał za d'Arlesem, nigdy się nie przekonał do tego, jak go określał, rycerzyka, nieustannie wywyższającego się nad innych. Ale żeby zaraz zdrajca? Nie, d'Arles był zarozumialcem, rozpieranym przez ambicję pyszałkiem, lecz nie zdrajcą! Dowiedziawszy się w końcu, kto przez całe lata sprzedawał sekrety zakonu, Jacques potrzebował kilku chwil na właściwą reakcję: pozwolili się wykiwać! Lekceważąc rozkazy Guilsa, pognął jak szaleniec, by ostrzec towarzyszy, przybył wszakże za późno, nieszczęście już się stało, nie zdołał mu zapobiec. Zrozpaczony i wściekły wrócił więc do Akki, aby powiadomić wielkiego mistrza o rezultacie dochodzenia i dowiedzieć się przy okazji, że zakon nie miał oczywiście nic wspólnego z absurdalną historyjką o płaszczu. Po ujawnieniu imienia zdrajcy zapanowało wśród braci ogromne poruszenie, sam d'Arles jednak uciekł już tymczasem do Francji i tam sęczył do uszu króla kolejne łągarstwa. Przeklęty zarozumialec osiągnął, co chciał, nie licząc się z kosztami. A on, Jacques Bretończyk, nie potrafił mu w tym przeszkodzić. Takie myśli wciąż jeszcze wzbudzały szalony gniew. Niech szlag trafi politykę! Podczas gdy zdrajca korzystał z przywilejów królewskiego zauszniaka, jego dawni towarzysze umierali w syryjskich kazamatach. Jak to było możliwe? Nawet teraz, już jako Santos, nie potrafił sobie wielu rzeczy wytłumaczyć.

Niczego nie żałował. Porzucił zakon, aby ratować przyjaciół, bo wielki mistrz Thomas Berard nic już nie mógł zrobić. D'Arles przekonał bowiem króla Ludwika o winie swych towarzyszy, przypisując im własne postęпки, i król zabronił zakonowi jakichkolwiek działań zmierzających do ich uwolnienia. Teraz mogli liczyć tylko na Jacques'a, który

wciąż słyszał słowa Guilsa: „Będziesz naszą jedyną nadzieją”. Dlatego nie wahał się ani chwili. Trochę to trwało, zbyt długo dla młodego, niewytrzymałego Gilberta. Santos przypomniał sobie, jak uciekali ciemną nocą... ranny Dalmau, zrozpaczony, że musiał zostawić ciało brata, i na wpół żywy Guils. Musiał niemal nieść ich obu. Tak, dokonał tego, on, Jacques Bretończyk, zawsze uparty jak muł. Ukrył ich i wyleczył. A potem, pewnego wieczoru pośrodku pustyni, otoczeni czerwonymi wydmami, zaprzysięgli zemstę, która, nie cofnie się przed niczym, w razie potrzeby nawet przed złamaniem zakonnych ślubów.

Godzina wkrótce wybije, Bernardzie, mój przyjacielu, pionki wrócą na właściwe pola i laufer przestanie wreszcie udawać króla. A potem niech się dzieje, co chce!

ROZDZIAŁ VIII

BRAT BERENGUER DE PALMEROLA

Czy jesteście synem damy i rycerza, ze szlacheckiego rodu, zrodzonym z prawego łoża?

Budowa wielkiego klasztoru dominikanów Santa Caterina postępowała we właściwym rytmie. Prace rozpoczęto w tysiąc dwieście sześćdziesiątym trzecim roku, aby już dwa lata później przystąpić do wylewania fundamentów najokazalszej świątyni całego kompleksu. Zakonnicy przywykli do nieustannego zgiełku wywoływanego krzątaniem murarzy i transportem materiałów, pamiętając, że są oto świadkami powstawania największego klasztoru w mieście. Brat Berenguer de Palmerola wiódł właśnie żarliwą dyskusję z jednym z majstrów, a choć na architekturze nie znał się w najmniejszym nawet stopniu, trwał w przekonaniu o nadzwyczajnej doniosłości swych uwag oraz o ignorancji wszystkich tych ludzi, którzy dzień po dniu i kamień za kamieniem wznosili budowlę.

- Jedna nawa? Jedna jedyna?

- Taki był projekt, bracie Berenguerze, projekt zaaprobowany już jakieś dwadzieścia dwa lata temu. - Poirytowany majster ciągle próbował nad sobą panować.

- A ta apsyda? Chyba mi nie powiecie, że ma mieć siedem boków?!

- Znajdujemy się obecnie na szczególnie trudnym etapie budowy, bracie Berenguerze. Jak widzicie, musimy poważnie przemyśleć kwestię łuków. Dlatego prosiłbym, żebyście mi nie rozpraszali murarzy.

- Żeby nie!... Jak śmiecie zwracać się do mnie tym tonem? Pomówię z moimi przełożonymi, nie pozwolę na coś takiego! Nie zdajecie sobie sprawy, z kim macie do czynienia. Nie będę tolerował podobnego braku szacunku!

- Pomówcie, z kim tylko uznacie za stosowne. I ja to uczynię.

Rozwścieczony słowami majstra brat Berenguer odwrócił się na pięcie i skierował ku klasztornym zabudowaniom. Wciąż nie udało mu się dostać przed oblicze przeora, aby zdać relację z burzliwego przebiegu wyprawy do Mongolii, i ta niespodziewana zwłoka bardzo go niecierpliwiła. Nawet zakonni bracia nie wydawali się zainteresowani niesłychanymi niebezpieczeństwami, na jakie się narażał, a wręcz przeciwnie, najwyraźniej go unikali. W dodatku towarzyszący mu w podróży brat Pere zniknął zaraz po powrocie i brat Berenguer nie miał pojęcia, gdzie się może podziewać. I jeszcze ta przeciągająca się niemiłosiernie budowa. Żeby tak ważny zakon musiał funkcjonować pośród setek murarzy, zewsząd otoczony zwałami gruzu! Wstyd, wszystko to bardziej przypominało kamieniołom niż świątynię Pana.

Wszedłszy do klasztoru, dowiedział się, że w rozmównicy ktoś go oczekuje. Zdziwił się tym niemało, gdyż, o ile dobrze pamiętał, nikt nie składał mu wizyt od ponad dwudziestu lat. Zaciekawiony ruszył więc pospiesznie do parlatorium. Na widok gościa szeroki uśmiech wypłynął mu na usta.

- Przyjacielu, to dla mnie zaszczyt, nie miałem pojęcia, że jesteście w Barcelonie! - brat Berenguer piał z zachwytu, a jego zwykłą arogancję zastąpiły nagle najwytworniejsze manieri.

- Kochany bracie Berenguerze! Radość ponownego ujżenia was to dla mnie najmiłsza niespodzianka. Przez przy padek dowiedziałem się, że wróciliście właśnie z długiej podróży, a znalazłszy się tu przejazdem, nie mogłem sobie odmówić przyjemności złożenia wam mojego uszanowania.

- To dla mnie zaszczyt, panie, wielki zaszczyt! Gdy nas sobie przedstawiono, ani przez chwilę nie przypuszczałem, że przypomnicie sobie kiedyś o prostym mnichu.

- Nie bądźcie tacy skromni, mój przyjacielu, wszak wiecie, że zrobi-
liście na nas ogromne wrażenie swoją wiedzą i mądrością.

- Ależ zechciejcie usiąść, panie, proszę. Czy mogę zaproponować
wam coś do picia?

- Bardzoście uprzejmi, bracie Berenguerze, stokrotne dzięki, ale
chwilowo nie dokucza mi pragnienie. Muszę wyznać, że skoro usłysza-
łem o waszym powrocie do miasta, niebo otwarło się przede mną. Tyl-
ko wy możecie mi pomóc, kochany przyjacielu. Mam paskudny prob-
lem i potrzebuję waszej światłej rady.

- Przeceniacie mnie, panie, jestem tylko zwyczajnym mnichem.

- Obaj wiemy, że to nieprawda. Ze swoją nieugiętą postawą moralną
winniście zajmować znacznie wyższą pozycję, bracie. Nie pojmuję,
dlaczego zakon dominikanów tak mało korzysta z waszej wiedzy, z
waszych kompetencji. Być może jesteście zbyt skromni i pogrążeni w
pobożnych rozmyślaniach.

- Bardzoście dla mnie łaskawi, panie. Pomogę wam we wszystkim,
w czym zdołam... - Brat Berenguer rósł z zadowolenia, pod wpływem
pochlebstw zaiste skłonny zrobić wszystko.

- Widzicie, to sprawa w najwyższym stopniu delikatna. Chodzi o
niezwykle trudną misję dyplomatyczną. Wysłano mnie tropem pewnego
bardzo niebezpiecznego człowieka, jednego z wrogów naszego ukocha-
nego króla Ludwika. Doszły nas słuchy, że przygotowany jest spisek
na życie mojego władcy, przed czym oby nas Bóg uchronił. Moje po-
szukiwania wkroczyły właśnie w decydującą fazę.

- - Na Tróję Przenajświętszą! Wprost w głowie się nic mieści, jakie
okropne rzeczy wyprawiają się na tym świecie.

- W naszych czasach zło rozpanoszyło się ponad wszelką miarę, bracie Berenguerze, wiecie o tym równie dobrze jak ja. Szkoda doprawdy, że innych zdaje się to mało obchodzić. Dlatego właśnie pozwoliłem sobie liczyć na waszą pomoc. Mój pan, Karol d'Anjou, ukochany brat najmiłościwiej panującego nam króla, stwierdził, że błogosławieństwem byłaby dla nas wasza współpraca, i oto cud sprawia, że zastaję was w Barcelonie.

- Niech Bóg ma w opiece waszego pana! Rozporządzajcie moją osobą wedle swojego uznania.

- Człowiek, którego szukam, to Żyd, cieszący się chyba w waszym mieście dobrą sławą lekarz, bracie Berenguerze.

- Przekłęte plemię zabójców Zbawiciela! Nasz król, omamiony złotem, zbytnio im pobłaża, panie. Nie wyobrażacie sobie nawet, ile modłów zanoszę, aby się to wreszcie skończyło.

- Święte słowa, bracie Berenguerze, święte słowa, ale sami widzicie, jak niewiele możemy w tym względzie uczynić. Słuchajcie zatem, ów człowiek nazywa się Abraham Bar Hija. Od dwóch dni nie pokazuje się we własnym domu. Nikt nic nie wie, choć niektórzy powiadają, że wyjechał z miasta. Jakże mam jednak ufać tym z natury rozmiłowanym w kłamstwie ludziom?

Brat Berenguer z nieopisanym zdumieniem wpatrywał się w rozmówcę, łapiąc powietrze rozdziawionymi ustami, jak gdyby dotknięty nagłym atakiem duszności.

- To niewiarygodne, doprawdy niewiarygodne, panie! Zupełnie jakby Najwyższy kierował naszymi krokami, abyśmy mogli się spotkać. Prawdziwy cud!

- Czyżbyście wiedzieli coś, co może mi się przydać, przyjacielu?

- Człowiek, którego szukacie, podróżował ze mną z Cypru do Barcelony. Nie sądzicie, że to niesłychany zbieg okoliczności? Oczywiście natychmiast zauważyłem, że nie należy mu ufać: ledwie dotknąłem stopą pokładu, poznałem, jak jest niebezpieczny. Skarżyłem się nawet kapitanowi, że zmusza nas, chrześcijan, do podróżowania w tak odrażającym towarzystwie, sami jednak wiecie, jacy są Wenecjanie. Obawiam się, że znacie ich aż za dobrze.

- W imię Ojca i Syna! Macie rację, to niemal cud. Sami aniołowie, słysząc moje modły, przyprowadzili mnie w wasze progi. Tylko wy możecie mi pomóc... - Robert d'Arles pochwycił dłonie mnicha, jak gdyby zamierzając je z czcią ucałować.

- O, nie, nie, mój dobry panie, nie czyńcie tego! Taki wpływowy z was człowiek, najwierniejszy sługa miłościwego króla Ludwika, najlepszy przyjaciel Karola d'Anjou, prawdziwej chluby chrześcijańskiego świata... To ja powinienem chylić przed wami czoło!

Zapadła głęboka noc, ulice świeciły pustkami i tylko gdzieś z oddali dochodziły bełkotliwe śpiewy pijaków daremnie poszukujących drogi do domu. Guillem spieszył się, aby czym prędzej znaleźć schronienie w bezpiecznych murach klasztoru. Myślał tylko o tym, że wkrótce legnie na własnym łóżku i zapominając o wszystkim, prześpi co najmniej trzy dni z rzędu, w czasie których nie pozwoli, by jego spokój zakłóciła najbłahsza nawet refleksja. Nagle instynktownie wyczuł niebezpieczeństwo. Zmęczenie ustąpiło jak ręką odjął i całe ciało Guillem'a napięło się w oczekiwaniu. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś go śledzi, ktoś

doskonale wyszkolony i z pewnością niedostrzegalny dla nikogo poza zawodowym szpiegiem.

Świetnie - pomyślał młody templariusz - kolejna bezsenna noc przed nami. Nie przyspieszył wszakże ani nie zwolnił kroku, nie chcąc ostrzegać prześladowcy, że wie o jego obecności. Zmienił jednak kierunek i zamiast do domu zakonnego poszedł ku placykowi Santa Maria, zagłębiając się w uliczkę przy starych łaźniach. Rozważał przy tym w myślach, jak najskuteczniej zaskoczyć idącego za nim nieznanego. Nie znał jego zamiarów, nie wiedział o nim nic poza tym, że z Jekkim szelestem skrada się gdzieś z tyłu. Pomyślał o dawnym budynku łaźni i skręciwszy w lewo, znalazł się na mrocznej uliczce. Prawie natychmiast zauważył zarys uchylonych drzwi i błyskawicznie się za nimi ukrył. Aż podskoczył, słysząc ostrzegawcze pochrząkiwanie. Zza sztachet swojej zagrody obseiwował go okazałych rozmiarów wieprzek, najwyraźniej zaniepokojony wtargnięciem intruza. Guillem bezgłośnie przymknął drzwi, pozostawiając jedynie wąską, niemal niedostrzegalną w ciemności szparę, i zastygł w oczekiwaniu, błogosławiąc w duchu niedbałość właścicieli chlewa. Czasy nastały niespokojne i mało kto zapominał o zamykaniu drzwi na noc, zwłaszcza jeśli trzymał za nimi zwierzęta. Po chwili jednak dochodzące z piętarka jęki i skrzywienie drewna wiele wyjaśniły i młodzieniec uśmiechnął się: nieostrożność miała w tym wypadku przekonujące uzasadnienie.

Czekał cierpliwie, aż w końcu ciemny kształt, który zdawał się pełzać po murze, wyłonił się zza węgła, zatrzymał i znów ruszył przed siebie, ani na moment nie odrywając się od ściany. Przeszedł tak blisko, że Guillem poczuł ostry zapach wydzielanego przezeń potu, niesiony na fali nieznacznie poruszonego powietrza. Chwilę później młodzieniec opuścił przypadkową kryjówkę, nie zdradzając swej obecności najm-

niejszym choćby szelestem. Starannie przymknął za sobą drzwi, gotów kontynuować polowanie. Role wszakże już się odwróciły.

Przeszedłszy zaledwie kilkadziesiąt metrów, dostrzegł między domami przyczajoną postać. Nieco dalej pospiesznie maszerował owinięty płaszczem mężczyzna, pragnąc chyba jak najprędzej dotrzeć do bramy swego domu i modląc się pewnie, aby żona nie zażądała zbyt wielu wyjaśnień. To, co nastąpiło potem, stało się tak szybko, że Guillem nie zdążył zareagować. Jego prześladowca skoczył jak ryś i niczym grom z jasnego nieba, tyle że bezgłośnie, spadł na nocnego marksa. Tylko nagłe lśnienie metalu uświadomiło Guillemowi tragiczny finał. Wstrzymał oddech, czując jednocześnie przebiegający mu po plecach zimny dreszcz. Morderca najwyraźniej pomylił biedaka z nim samym, a teraz było za późno, żeby cokolwiek naprawić. Nieostrożny pechowiec nigdy już nie miał wrócić do domu. Templariusz przypatrywał się, jak nieznamy przeszukuje odzienie niewinnej ofiary, klnąc przy okazji zduszonym głosem, widocznie zawiedziony, że nie znalazł tego, czego szukał. Wkrótce łopot płaszcza oznajmił, że zabójca, uznawszy swoje zadanie za skończone, oddala się, wciąż przeklinając półgłosem. Guillem podążył za nim.

Zmierzali za miasto, na północ. Guillem siłą woli powstrzymywał chęć, aby rzucić się na łajdaka i dać upust tłumionej wściekłości. Coś mu jednak mówiło, że nie powinien tego robić, być może usłyszane w pewnym momencie przekleństwo, wypowiedziane po włosku, w języku doskonale mu znanym. Czym mógł się kierować ten typ, chcąc go zabić? Nie był to d'Arles. Pomyłka nie wchodziła w grę, ponieważ głos Cienia brzmiał zupełnie inaczej, znacznie ostrzej, bardziej twardo i metalicznie. Więc może któryś z jego zbirów? Cień nie zamierzał pewnie tracić swego cennego czasu na likwidowanie pozbawionych znaczenia pionków. A może d'Arles obawiał się, że ktoś odkrył jego prawdziwą

tożsamość? Tylko jak? Wszak starannie zacierał najdrobniejsze nawet ślady i niczego nie pozostawiał przypadkowi, o czym Guillem mógł się niedawno przekonać na własne oczy. Młodzieniec raz po raz zadawał sobie pytanie, kogo właściwie tropi? Nie dało się wykluczyć, że marnuje czas, śledząc zwykłego rzezimieszka, po udanych łowach zdążającego do kryjówki. Tak czy siak, trzeba zaryzykować - pomyślał, kryjąc się za pniami rosnących wzdłuż drogi drzew. Mężczyzna z przodu szedł spokojnie, zupełnie nieświadom, że ktoś nie spuszcza go z oka.

Noc była jasna, oświetlona srebrzystym księżycem, który oblewał okolicę widmową poświatą. Niedaleko przed sobą Guillem dostrzegł zarys wiejskiego domu, obszernej, opuszczonej chaty, której najlepsze lata zdecydowanie dawno minęły. Po lewej stronie wznosiła się niemałych rozmiarów szopa. Przez szpary w jej rozklekotanych drzwiach przedzierał się blask i w tym właśnie kierunku bez wahania pomaszerował nieznamy.

Guillem okrążył budynek, przyglądając mu się bacznie w poszukiwaniu miejsca, przez które mógłby się dostać do wnętrza i nie zwrócić na siebie uwagi. Natknął się na nie po stronie południowej, gdzie stała oparta o ścianę stara drabina. Zbudowały ją chyba wprawne dłonie, ponieważ, choć nieużywana od lat, wciąż wyglądała solidnie. Ostrożnie, sprawdzając wytrzymałość każdego szczebla, Guillem wspiął się po niej aż do ciemnego otworu wiodącego na stryszek, gdzie niegdyś przechowywano słomę. Wszedł do środka i zaczął się czołgać, szukając w podłodze szpary wystarczająco szerokiej, aby bez przeszkód dojrzeć przez nią to, co działo się kilka metrów niżej.

Zobaczył dwóch ludzi zajętych jedzeniem i ogrzewaniem przemarzniętych rąk przy niewielkim ognisku.

- Zrobileś, co trzeba, Giovanni? - zapytał jeden z nich nowo przybyłego.

- Monsignore wciąż się nie zjawił? - Mężczyzna nazwany Giovannim nie palił się do udzielania wyjaśnień.

- Zaraz będzie. Sam wiesz, że nigdy się nie spóźnia.

- Coś mi ta sprawa cuchnie - mruknął Giovanni. - Widziałem jednego ze zbirów d'Arlesa, kręcił się pod Błękitnym Delfinem.

- Tobie coś cuchnie, a ja zwyczajnie nic nie rozumiem. Nie dalej jak trzy dni temu pracowaliśmy razem, my i ludzie d'Arlesa, a teraz... Czy ktoś mi może to wyjaśnić? - Mężczyzna z trudem przeżuwał kawałek chleba. Kiedy mówił, między jego nielicznymi zębami dziwacznie poświszywało powietrze.

- Lepiej za dużo nie pytaj, Carlo - odparł Gkwanni. - Jeśli chcesz jeszcze trochę pożyć, rzecz jasna. Monsignore nie lubi pytań. Wszystko się potwornie poplątało.

- Ale o co, do diabła, chodzi, Giovanni? Działamy po omacku, nie wiemy nawet, czego szukamy. Jedno jest pewne, w tym mieście zebrał się cały tłum szpiegów, z których każdy służy komu innemu, a żaden do końca nie wie, kogo właściwie śledzi.

- Powtórzę ci to samo, co przed chwilą powiedziałem Carlowi, Antonio. Kiedy wielcy panowie tłuką się między sobą, lepiej za dużo nie rozumieć. Już oni tam wiedzą, o co chodzi, ja wołę nie pytać.

Na zewnątrz dał się słyszeć tętent zbliżającego się galopem konia.

-No dobra, chłopaki - powiedział Giovanni, wstając. - Jak komuś życie nie mile, niech pyta, monsignore zaraz tu będzie. Chyba powinniśmy

się przygotować na nieprzyjemności, bo nie mamy się zbytnio czym pochwalić.

Korzystając ze swego codziennego spaceru, brat Berenguer de Palmerola zawędrował aż pod mury domu templariuszy. Wiadomości, których udzielił mu ten wpływowy francuski rycerz, brzmiały nad wyraz niepokojąco. Czyżby stary Żyd był naprawdę zdrajcą i spiskowcem? Jednakże natychmiast odegnał wszelkie wątpliwości. To nienawistne plemię nie cofnie się wszak przed niczym, poza tym Robert d'Arlés należy do grona ludzi godnych szacunku, nie skłamałby przecież. To bliski współpracownik Karola d'Anjou, jego prawa ręka, a dobrze wiadomo, że Karol zostanie wkrótce koronowany na króla Sycylii i raz na zawsze skończy z heretyckim rodem Hohenstaufów. Przekłęci gibcliniowie! A zresztą trzeba dbać przede wszystkim o własne interesy: szlachetny d'Arles ma ogromne wpływy i docenia lekceważone przez innych talenty. Wspomniał coś nawet o wysokim stanowisku w Rzymie, z dala od miałości klasztornego życia...

- Dysponujecie bardzo istotnymi z mojego punktu widzenia zaletami, bracie Berenguerze - rzekł półgłosem - zaletami w naszych czasach nieodzownymi. Wkrótce, jak tylko wylądujemy na Sycylii, mój pan, Karol, będzie potrzebował kogoś zaufanego i godnego siebie. Sami rozumiecie...

Słowa d'Arlesa dźwięczały w uszach brata Berenguera niczym niebiańska muzyka, rozbudzając najskrytsze nadzieje. Po nieudanej misji w Mongolii jego możliwości awansu zmalowały niemal do zera, czego najdobitniej dowodził fakt, że przeor wciąż jeszcze nie raczył zawezwać go przed swoje oblicze. Wiele było zatem do wygrania, mało zaś do stracenia; ostatecznie francuski rycerz prosił go jedynie o drobną przysługę, której wykonanie niczego jeszcze nie przesądza.

Znalazłszy się przed bramą domu templariuszy, brat Berenguer poprosił o widzenie z przeorem. Powiadomiono go jednak, że zwierzchnik zakonu wyjechał w podróż. Jeśli gość sobie życzy, może się natomiast zobaczyć z bratem Dalmau, skarbnikiem. Poproszono, aby zaczekał w dużej sali, rozjaśnionej światłem wpadającym przez wielkie okna, zostawiając do jego dyspozycji kielich i dzban z trunkiem. Dominikanin skosztował z przyjemnością: wina wytwarzane w ogromnych posiadłościach templariuszy cieszyły się zasłużoną sławą. Nie rozczarował się i tym razem.

Czcigodny bracie! Powiadomiono mnie, że życzylibyście sobie zamienić ze mną kilka słów. - Brat Dalmau wszedł do komnaty i zbliżał się do gościa z otwartymi ramionami.

Bardzo to uprzejme z waszej strony, że zechcieliście mnie przyjąć. Ubolewam, bo z pewnością oderwałem was od pilnej pracy.

Ależ przeciwnie, bracie Berenguerze, zawdzięczam wam krótki odpoczynek, tym przyjemniejszy, że wolno mi będzie w jego trakcie radować się waszą obecnością. Powiedzcie, czym mogę wam służyć?

No właśnie, bracie Dalmau, obawiam się, że powód mojej wizyty nie należy do najprzyjemniejszych... - Dominikanin przyglądał się z uwagą twarzy swego rozmówcy, usiłując przewidzieć jego reakcję. - Doszły mnie plotki, w które trudno wprost uwierzyć, i dlatego uznałem za swój obowiązek was ostrzec, zwłaszcza że w grę wchodzi dobre imię waszego zakonu. Sami wiecie, kochany bracie, jakich szkód potrafią przyczynić złe języki.

Wiem, wiem i przyznaję, że obudziliście moją najżywszą ciekawość.

Brat Dalmau nie kłamał, zachowanie mnicha istotnie go zaintrygowało. Zdawał sobie sprawę, że jest to jeden ze współtowarzyszy podró-

ży Guilsa i Abrahama, a na podstawie słów starego lekarza zdążył już sobie o nim wyrobić nie najlepszą opinię. Co knuł tym razem?

- Posłuchajcie, przyjacielu... - zaczął brat Berenguer. - Powiadają, że zakon templariuszy ukrywa pewnego Żyda oskarżonego o zdradę stanu. Czuję się do głębi oburzony tymi plotkami, nie wiecie nawet, do jakiego stopnia zawsze mnie złością podobne kalumnie, nie znalazłem jednak innego wyjścia, jak przyjść tu i sprawdzić rzecz osobiście, co, mam nadzieję, wam nie przeszkadza.

Żyd oskarżony o zdradę stanu? - Dalmau zaniepokoił się nieco, choć zaczynał już przeczuwać prawdziwy cel niespodziewanej wizyty. - Nie otrzymaliśmy w tej sprawie żadnych informacji, więc jeśli to, co mówicie, jest prawdą, mamy do czynienia z poważnym zaniedbaniem. Urzędnicy królewscy o niczym nas nie zawiadomili, a przecież zwykle dbają, aby informować nas na bieżąco. O kim mówicie, bracie Berenguerze? - Człowiek, o którego chodzi, to niejaki Abraham Bar Hija. Mieszka w Barcelonie, jest lekarzem i z tego, co wiem, nieraz udzielał porad waszym zakonnym braciom.

W tej ostatniej kwestii się nie mylicie, powszechnie bowiem wiadomo, że Abraham nigdy nie odmówił nam pomocy. I nie tylko nam, z jego usług korzysta również znaczna część barcelońskiej szlachty i mieszczan. Nikt go jednak o nic nie oskarża, a już zwłaszcza o zdradę stanu. Obawiam się, że ktoś was wprowadził! w błąd, bracie Berenguerze. Na waszym miejscu zachowałbym ostrożność, aby nie narazić się na podejrzenie, że próbujecie zaszkodzić dobremu imieniu poważanego w naszym mieście człowieka. A nie sądzę, by taki cei wam przyświecał.

- Moje informacje pochodzą ze źródeł najbardziej godnych zaufania i...

- O ile wiem, źródłem najbardziej godnym zaufania wciąż pozostaje nasz umiłowany król, i zapewniam was, że gdyby rzeczywiście wniesiono oskarżenie, o którym mówicie, my, templariusze, dowiedzielibyśmy się o nim pierwsi. - Brat Dalmau zaczynał okazywać zniecierpliwienie uporem dominikanina. Pokrętnie zamysły gościa coraz bardziej go mierzyły.

- Nasz umiłowany król wydaje się ostatnio nad wyraz roztargniony - brat Berenguer złośliwie nawiązywał do najnowszego romansu monarchy.

- Nie nam sądzić zachowanie władcy, bracie, a wasze słowa mogłyby posłużyć za dowód zdrady. Powinniście być rozważniej si.

- Jak śmiecie sugerować coś podobnego?! Moje informacje, jak już mówiłem, nie pochodzą z pierwszej lepszej oberży. Udzielone mi zostały przez najwyższych urzędników sąsiedniego państwa, którzy znają moje doświadczenie i dlatego zdecydowali się powierzyć skromnemu mnichowi tak delikatną misję...

- A zatem wasze doświadczenie nie na wiele się wam przydaje, bracie Berenguerze - sucho uciął Dalmau. - Powinniście bowiem wiedzieć, że współpraca z innym państwem, zwłaszcza w obecnej sytuacji, może na was ściągnąć niemałe kłopoty i obrócić zarzut, który formułujecie względem Abrahama, przeciwko wam samym.

Po tych słowach twarz dominikanina przybrała szczególnie intensywny odcień szkarłatu, a na jego dłoniach zaciśniętych wokół poręczy krzesła wystąpiły błękitnawe żyły. Brat Berenguer porzucił uprzejmy ton.

- Dlaczego chronicie tego Żyda?! - wykrzyknął zniecka.

-Nie sędzę, aby nasz sędziwy Abraham potrzebował ochrony, bracie Berenguerze. Ponad rok temu wyruszył do Ziemi Świętej i wiercie mi, że moje kości bardzo boleśnie odczuwają jego nieobecność. To doskonały lekarz, którego polecam znajomym przy każdej okazji, czego zresztą nie zamierzam zaniechać z powodu waszych nieuzasadnionych oskarżeń. Tymczasem wy, z waszym doświadczeniem, bez problem odnajdziecie go w Palestynie.

- Już go tam nie ma!

- A zatem wiecie dużo więcej ode mnie.

- Czy nie widzicie, że ten Żyd stanowi poważne zagrożenie, bracie Dalmau?

- Jedyne, co widzę, to fakt, że ktoś wykorzystuje waszą niewiedzę do niezrozumiałych dla mnie celów. I naprawdę na waszym miejscu nie obwieszczałbym wszem i wobec, że pomagacie obcemu państwu. To nie najlepsza chwila na dziwaczne przymierza. A teraz, jeśli pozwolicie, zakończmy już tę rozmowę. Nie chcę wam szkodzić, ale jeśli nic zaprzestaniecie, będę zmuszony do powiadomienia królewskich służb o słowach, które tutaj padły.

Dławiony wściekłością brat Berenguer de Palmerola opuścił dom zakonny. Nic nie poszło zgodnie z planem, a ten arogancki pyszałek niecznie go upokorzył, natrzęsając się z jego braku doświadczenia. I nie tylko! Ośmielił się mu grozić, otwarcie nazwał go zdrajcą! Przeklęci zarozumiałcy! Nie wiedzą, na kogo się porwali, nie mają pojęcia o wpływach jego możliwych przyjaciół. Nie udało mu się wprawdzie stwierdzić, czy ów parszywy Żyd rzeczywiście schronił się pod skrzydła zakonu, ale nic dziwnego, ta hołota zawsze tańczyła, jak im król zagrał, za nic sobie mając biskupów' i opatów. Jeśli to jednak prawda, jeśli istotnie chronią Abrahama, on, brat Berenguer de Palmerola, od-

kryje to i zrobi wszystko, aby im zaszkodzić. Tak, popamiętają go na długo. Na myśl o zemście uspokoił się natychmiast i chwilę później oczyma duszy ujrzał samego siebie, jak, potężny i wpływowy, surowo karze śmiałków, którzy stanęli na jego drodze. Wizja ta nappełniła jego duszę błogością.

Ukryty za węglem w pobliżu zakonnego domu, przerażony brat Pere de Tever obserwował wściekłą rejteradę swego brata i zwierzchnika. Nie miał zielonego pojęcia, co robić ani do kogo się zwrócić.

Przez kilka ostatnich dni zdołał unikać popędliwego towarzysza podróży, nie mógł bowiem ścierpieć jego arogancji i małoduszności, tego jednak ranka, pożałowawszy swego postępowania, zdecydował się go odszukać. To był błąd, nie należało podsłuchiwać pod drzwiami. A wszystko przez ciekawość. Wprost nie potrafił uwierzyć, że komuś przyszło do głowy składać wizytę zawziętemu starcowi, o którego znajomych czy rodzinie nikt nigdy nie słyszał. Dlatego podkrał się do parlatorium i był świadkiem rozmowy brata Berenguera z eleganckim Francuzem. Niemal natychmiast zdał sobie sprawę z popełnionej nieostrożności, nie mógł wszakże uciec, ponieważ nade wszystko bał się zdradzić swoją obecność. Słuchał zatem ze zgrozą, jak ci dwaj knują zamach na życie biedaka, który nic nikomu nie zawinił, a przeciwnie, w milczeniu znosił rasowe uprzedzenia i wściekłą nienawiść, jaką brat Berenguer żywił wobec wszelkiej odmienności. Nie to było jednak najgorsze. Prawdziwe przerażenie opanowało brata Pere dopiero w chwili, gdy na własne oczy ujrzał twarz gościa. Znał go, bez dwóch zdań. Wprawdzie wcześniej Francuz nie nosił wytwornych szat ani klejnotów, był raczej brudny i zarośnięty, ale bez wątplenia chodziło o jedną i tę samą osobę. Brat Pere zrozumiał, że ma przed sobą jednego z członków załogi statku, na którym odbyli podróż z Cypru, człowieka, który wszedł na pokład w Limassol.

Guillem zamienił się w słuch. Leżał bez ruchu na stryszku szopy, nie odrywając wzroku od rozgrywającej się poniżej sceny. Przybył właśnie ktoś nowy i wszyscy w milczeniu powstali, przejawiając szacunek zrodzony najwyraźniej ze strachu.

W drzwiach zamajaczyła sylwetka mężczyzny. Człowiek ów, wysoki i mocno zbudowany, nosił się całkowicie na czarno. Miał długie buty z dobrej skóry i rękawiczki, a na jednym z jego palców połyskiwał ogromny pierścień, na którego widok młody templariusz aż wstrzymał oddech: pierścień wyglądał z daleka jak kardynalski, choć nie dało się oczywiście wykluczyć, że to tylko złudzenie.

- Dobry wieczór, szlachetni panowie, jakież budujące wieści przynieśliście mi dzisiaj? - Sarkazm w głosie nowo przybyłego wyraźnie zaniepokoił obecnych, nikt jednak nie kwapił się z natychmiastową odpowiedzią.

- Chłopak uciekł, po prostu się rozpląnął. Jest doskonale wyszkolony - odezwał się w końcu Giovanni.

- Niewiarygodne. Giovanni, żeby jakiś gołowąs wodził za nos najbardziej doświadczonych z moich ludzi. Odnoszę wrażenie, że się starzejesz.

- To nie do końca tak, monsignore. Nie chodzi o jakiegoś tam gołowąsa, pamiętajmy, że chłopak był uczniem Guilsa - bronił się Gioranni.

- Uczeń Guilsa! Daj spokój, Giovanni, nie próbuj mnie oszukiwać. Miej odwagę przyznać, że umknął ci zwykły chłopak na posyłki! Obawiam się, że spotykają nas ostatnio same niepowodzenia.

Giovanni umilkł; ziemia paliła mu się pod stopami, najrozsądniej więc było nie zaprzeczać. Wówczas wtrącił się jego towarzysz, Carlo.

- Chłopak poszedł do oberży, panie, i skontaktował się z Santosem. A co do d'Auberta... nie żyje, zdaje się, że Cień nas ubiegł. Przeszukaliśmy pokój i trupa też, ale nic nie znaleźliśmy.

- Żyd wciąż siedzi u templariuszy, monsignore... - dodał mężczyzna nazywany Antoniem, bardzo cicho, jakby nie chcąc drażnić człowieka w czerni. - Nie ruszył się stamtąd. Pilnujemy wszystkich wyjść. Nic podejrzanego się nie działo, tylko oddział złożony z sześciu templariuszy wyruszył do Mas-Deu. Abrahama wśród nich nie było.

- Co za banda nieudaczników! - ze słów przybysza biła pogarda.

Szeroki kapelusz zasłaniał przed wzrokiem Guillem'a jego oczy i w słabym blasku tańczącym wokół ogniska młodzieniec dostrzegał jedynie długi orli nos oraz mięsiste, ładnie wykrojone usta.

-A gdzie się podziewa d'Arles?

Niezręczna cisza zaległa między trzema szpiegami, którzy spoglądali po sobie, nie mając odwagi odpowiedzieć.- Czyli nie znaleźliście psiego syna! - zagrział mężczyzna w czerni.

- Powiedzcie, czy jest coś, co mogłoby świadczyć, że wciąż dla mnie pracujecie? Bo zaczynam podejrzewać, że postanowiliście jednak przejść na stronę przeciwnika.

- Panie, pojmuję wasze rozdrażnienie, ale odszukanie Cienia nie należy do łatwych zadań. Wymknął się nam z rąk już w porcie, zniknął bez śladu, a sami wiecie, że to prawdziwy czarodziej jeśli chodzi o...

- Dość już tych bzdur, Giovanni! Męczą mnie te wasze przesady. Wiesz doskonale, że to człowiek z krwi i kości, tak samo śmiertelny jak ty sam, żadna piekielna zjawa... - monsignore zamilkł na kilka chwil. - Wiecie jedynie, że pojawił się pod Błękitnym Delfinem i zabił d'Auber-

ta. I tyle. Niewiele, jak na szpiegów z waszym doświadczeniem, nie sądzicie?

- Monsignore... - zaczął niepewnie Giovanni.

Koniec wymówek! Chcę, żebyście natychmiast usunęli tego chłopaka od Guilsa. Już i tak zrobiło się zbyt tłoczno. Przepytajcie Santosa, wyciągnijcie z niego wszystko, co się da, a potem zabijcie. Oczyścić mi pole! Nie życzę sobie żadnych przeszkód na drodze do d'Arlesa, żadnych! Czy to jasne, moi panowie?

- Jak słońce, monsignore - wymamrotał Carlo.

- D'Arles urwał się ze smyczy, podobnie jak jego ludzie. Przesyłka Guilsa za żadne skarby nie może się dostać w jego ręce. Tu chodzi o honor Rzymu, panowie, musicie sobie to raz wreszcie uświadomić. Macie na oku miejskie burdele?

- Co do jednego, monsignore - zapewnił Antonio.

- Dobrze, to jeden z najbardziej obiecujących tropów. Ten łajdak d'Arles długo nie wytrzyma, w końcu polezie zakatować jakąś prostytutkę, nie oprze się pokusie. Przekłety zdrajca!

O jego szczególnych skłonnościach wie też Jacques Bretończyk, to znaczy Santos. Jeśli nie my, on go dopadnie, monsignore - Giovanni starannie dobierał słowa.

- D'Arles jest mój! Wszystko, co wie i posiada, należy do mnie, Giovanni! Nie chcę, żeby ktokolwiek między nami stanął. Ani cokolwiek. Chyba wyraziłem się już w tej sprawie wystarczająco jasno.

- Nie sądzę, żeby templariusze spokojnie przyjęli zabójstwo chłopaka, monsignore, śmierć Guilsa naprawdę ich rozsierdziła i...

- I doskonale, Carlo, bardzo mnie to cieszy. Ostatecznie to oni wiele lat temu rozpętali tę przeklętą awanturę. Im gorzej dla nich, tym lepiej dla nas. Obawiam się jednak, że tacy niewydarzeni głupcy jak wy z pewnością trzęsą portkami na samą myśl o tym, że mogą się znaleźć między młotem a kowadłem: z jednej strony ten łajdak d'Arles, a z drugiej zakon. Tak, tu młot, a tam kowadło. Moi wierni słudzy boją się, że nie wyjdą z tego cało. Niepokoi mnie wasza postawa, doprawdy, może już pora poszukać kogoś odpowiedniejszego do tak niebezpiecznych zadań.

- Jesteście niesprawiedliwi, monsignore, służyliśmy wam wiernie, nie raz i nie dwa narażaliśmy dla was życie.

- Masz rację, mój zacny Giovanni, tak było. Teraz jednak zadaję sobie pytanie, czy to się wkrótce nie zmieni. Jak do tej pory żadnej z was korzyści, zdajecie się nie rozumieć powagi sytuacji.

- Odszukamy d'Arlesa, monsignore, spełnimy wasze rozkazy. Żadnych więcej niepowodzeń - Carlo mówił pewnie, bez wahania. Nie podobał mu się buntowniczy błysk w spojrzeniu Giovanniego, lękał się, że jego towarzysz może powiedzieć coś, czego później będzie żałował.

- Świetnie. Dziękuję, Carlo, tak lepiej. Lubię, jak rozumiecie moje kłopoty i pomagacie mi się z nimi uporać. Teraz nie mam już więcej czasu, jutro oczekuję rezultatów.-

W tym samym miejscu, monsignore? - Wobec upartego milczenia ze strony Giovanniego Carlo musiał przejąć inicjatywę.

- Nie, spotkamy się w mieście, o tej samej porze. I rnam nadzieję, że nie każecie mi znowu tracić czasu.

Mężczyzna w czerni przyglądał się im jeszcze długą chwilę, bez słowa obserwując ich twarze i spojrzeniem potwierdzając wagę wydanych właśnie rozkazów. Później odwrócił się i zniknął, a wkrótce tętent końskich kopyt oznajmił pozostałym, że mogą wreszcie swobodnie odetchnąć.

- Jest coraz gorzej, Giovanni - mruknął Carlo.

- Jasne, jeśli nawet nie dopadnie nas d'Arles ani nie wykończy zakon, osobiście wyręczy ich w tym monsignore. Musimy działać szybko, Giovanni. Co ci jest, do diabła? - Antonio zaniepokoił się zachowaniem towarzysza.

Stojący w kącie Giovanni wciąż milczał, jakby nieobecny, pograżony w zadumie.

- Co postanowiłeś? - nalegał Carlo.

- Antonio zajmie się chłopakiem od Guilsa i sprawdzi, jak przebiega obserwacja domu templariuszy. My poszukamy d'Arlesa i skończymy z Santosem. - Giovanni przebudził się wreszcie ze swego letargu.

- A co z Żydem?

- Potem. Słyszeliście, co jest najważniejsze dla monsignore. Antonio, posprzątaj tu trochę, zagaś ogień... nikt nie powinien podejrzewać, że tu byliśmy. Idziemy, Carlo!

Znalazłszy się na zewnątrz, przystanęli, obaj zatroskani i niespokojni.

- Nie podoba mi się to wszystko, Giovanni, nie podoba mi się nic a nic.

- Umiesz tylko powtarzać w kółko to samo, jakbyś klepał nudny różaniec. Może zmienisz w końcu temat, Carlo?

- Ale niby jak mamy złapać d'Arlesa? Nikt nie widział jego twarzy, gadają, że ma magiczną moc i...

- Wystarczy, Carlo, przestań opowiadać brednie! Poza tym ja widziałem jego twarz. Zapominasz, że służyłem monsignore znacznie dłużej niż wy, więc pracowałem kiedyś z d'Arlesem. Zanim wynwał się spod skrzydeł naszego pana i władcy - Giovanni nawet nie próbował ukrywać ironii.

- D'Arles pracował dla monsignore?! - Na twarzy Carla odmalowało się zdumienie.

Giovanni nie odpowiedział, w milczeniu kierując się ku miejscu, gdzie stały konie. Doskonale rozumiał pragnienia swego mocodawcy. Wciąż pamiętał dzień, kiedy wszedł do rzymskich apartamentów monsignore, nie pukając do drzwi, na co od pewnego już czasu mógł sobie pozwolić. Monsignore i Robert d'Arles, pochłonięci miłosnymi igraszkami, nie zwrócili na niego uwagi i Giovanni pojął, że jego rola skończona, że od tej chwili wszystko się zmieni, ponieważ najzwyczajniej w świecie ktoś go zastąpił. Znowu będzie musiał pukać, wchodząc do pokoi monsignore. Wypadł z gry. W owym czasie był człowiekiem młodym i niedoświadczonym, w przeciwieństwie do d'Arlesa, który, choć jeszcze młodszy, zdawał się jednak posiadać niemal zwierzęcy instynkt i niemalą wprawę we wszelkich intrygach. Tak, Giovanni znał na wylot najgłębsze uczucia monsignore, trwał przy nim, służył mu wiernie przez wszystkie te lata i teraz sam sobie zadawał pytanie, dlaczego tak postąpił. Od dawna nie chciał być w skórze niegdysiejszego rywala. Monsignore mógł się zemścić bardzo okrutnie. Nigdy nie pogodził się ze zdradą d'Arlesa, a wyzwolone przez niego mroczne żądze, starannie skrywane, wciąż się tliły. Tak, Giovanni potrafił to

sobie wyobrazić: pragnienie i namiętność dusiły jego pana niczym owinięte wokół szyi węże. Nie przerywając uporczywego milczenia, wsiał na konia i ruszył ku traktowi. Praca czekała.

Guillem obserwował, jak mężczyzna zwany Antoniem zbiera pozostawione w szopie rzeczy i zasypuje ognisko. Wiedział, że człowiek ten ma go zabić, sytuacja wymagała więc natychmiastowego działania. Odczekał trochę, pozwalając, aby ucichł w dali tętent kopyt. Antonio sprawdził po raz ostatni, czy niczego nie zaniedbał. Pogwizdywał, zadowolony z efektów swojej pracy: szopa znowu wyglądała na całkowicie opuszczoną, jakby z wyjątkiem potępieńczych dusz nikt jej od wieków nie odwiedzał. W chwili gdy odwracał się, by odejść, coś przewróciło go na ziemię, zakrywając mu głowę ciężką i ciemną tkaniną. Owładnął nim zabobonny strach. To Cień, a zatem nie ma ratunku, jest zgubiony, bezsilny wobec nadprzyrodzonych mocy upiora. Poczul, jak ostrze bezgłośnie rozcina mu gardło i w ostatnim rozpaczliwym odruchu uniósł dłonie, próbując po omacku zatamować wypływającą z niego wartkim strumieniem krew. Później ogarnęła go łagodna obojętność i pogodzony z nieuchronnym zaniechał walki, z twarzą zakrytą ciemnym płaszczem, który pozbawiał go możliwości widzenia i nie pozwalał dojrzeć napastnika. Z bezinteresowną już ciekawością rozmyślał o tym, którego imię wywoływało w nim zawsze irracjonalny i ślepy strach, dopóki jego ręce nie zwiotczały ostatecznie, zsuwając się z gardła. Wówczas czerwona struga bez przeszkód popłynęła po znieruchomiałym ciele.

Guillem przyglądał się przeciwnikowi z twarzą pozbawioną wyrazu. Wiedział, że Antonio zabiłby go bez skrupołów, aby następnie uczcić ten fakt w pierwszej lepszej gospodzie. Nie czuł litości ani wyrzutów sumienia, jeśli już cokolwiek, to raczej obojętność połączoną z radością, że sam wciąż żyje.

- Mój pierwszy papieski szpieg, Bernardzie. Twoje zdrowie!

Brat Dalmau niespokojnie przemierzał niewielką przestrzeń pomiędzy ścianami. Pomieszczenie było małe, całkowicie pozbawione mebli, zupełnie puste. Usłyszawszy hałas na dachu, templariusz przywarł do ściany, z dłonią na rękojeści miecza, gotów do walki. Ponad jego głową otworzyła się kłapa i w otworze ukazała się przecięta monstrualną blizną twarz Jacques'a. Bretończyk zszedł po szczeblach wąskiej przenośnej drabinki i stanął obok przyjaciela, uściskali się ze wzruszeniem.

- To jedno z najgorszych miejsc, Jacques, mogłeś wybrać jakiegokolwiek inne. Nigdy go nie lubiłem, przypomina pułapkę na myszy.

- Było najbliżej, Dalmau. Cały ranek biegam po naszych starych kryjówkach i wszystko sprawdzam. Należało zbadać, czy wciąż się do czegoś nadają, i przykro mi to mówić, ale z kilku musiałem zrezygnować. Już nie istnieją.

- A „sanktuaria” Guilsa? Powinny być nadal w znakomitym stanie. Bernard bardzo dbał o swoje kryjówki, nazywał je świętymi miejscami. Obszedłeś je również?

- Obszedłem te, które znałem, Dalmau. Nic im nie można zarzucić. Ale przyznaję, że o wielu nie wiem, bo Bernard bez przerwy powiększał swoją „sieć awaryjną”.

- Co zrobiłeś z Błękitnym Delfinem?

- Wszystko załatwione. Santos zniknął z powierzchni ziemi, a oberżę przejął nowy właściciel. Nikt oczywiście nie wie, kto nim jest. Na miejscu został jedynie tymczasowy zarządca, który o niczym nie ma pojęcia: głupi łajdak, przekonany, że dorobi się fortuny. Monsignore czeka

niemiła niespodzianka. Jego zbiry od dobrych kilku dni kręcą się po okolicy.

- Przyjechał tak szybko?! - Dalmau nie potrafił powściągnąć okrzyku zdumienia.

- Mój drogi, odnoszę wrażenie, że go nie doceniasz. Był w Barcelonie już wtedy, gdy statek Guilsa wpływał do portu. Węszy za d'Arlesem jak pies za suką. Poza tym nie ufa nawet własnym ludziom i musi czuć, że jest niezastąpiony. Nie przegapiłby takiej okazji za nic w świecie!

- To nam trochę komplikuje sprawy, Jacques... tłok się zrobił, jak nie wiem co.

- No coś ty, Dalmau, przyjacielu, nie upadaj tak szybko na duchu. Przesyłka Guilsa, cokolwiek to jest, podziałała jak kij wetknięty w mrowisko. Kogóż my tu nie mamy: monsignore z papieskimi, Francuzi d'Arlesa, my... Bizantyńczycy się nie zjawili? O, wielka szkoda, bez nich to nie to samo.

- Nie żartuj sobie, Jacques, sytuacja jest bardzo poważna. To autentyczna wojna, wprawdzie tajna i nieoficjalna, ale wojna, która, jeśli nie będziemy działać ostrożnie, może się przekształcić w prawdziwą jatkę.

- Doskonale. A możesz mi wreszcie wyjaśnić powód tej, jak ją nazywasz, wojny? Co wiózł ze sobą Guils?

- Dokumenty - odparł Dalmau wymijająco.

- Dokumenty? Daj spokój, dość tych sekretów, to nudne. Jakie przekłete papierzyska warte są tyle krwi? Sprzedali Ziemię Świętą mamelukom czy co?

- Powiem ci to, co wiem, Jacques, a przyznaję, że wiem niezbyt wiele. Pamiętasz te wykopaliska, które zakon prowadził na terenie świątyni w Jerozolimie?

- Ależ oczywiście! Utkwiły mi w pamięci tak samo mocno jak wszystkim służbom wywiadowczym Wschodu i Zachodu.

- To nieprawda, Jacques, aż tylu ludzi o nich nie wiedziało. - Dalmau wyglądał na rozdrażnionego lekkim tonem przyjaciela.

- A otóż i mąż tajemnic pełen! Nie możesz zaprzeczać faktom: przecieków jest coraz więcej i z tego, co wiem, połowa pracujących w naszym odrażającym zawodzie służy niejednemu panu, ale dwóm lub więcej. Styl dArlesa triumfuje, Dalmau, przynosi największe zyski, choćbyś nie wiem, jak to kwestionował. Nie rozumiem, dlaczego wciąż w tym siedzisz.

- Już dobrze, dobrze, nie zaczynajmy od początku, Jacques... - Dalmau westchnął głęboko, znał bowiem na pamięć poglądy przyjaciela. - Wracając do meritum: w czasie owych wykopalisk chyba coś odnaleziono, coś ważnego, co od tamtej pory trzymano w ścisłej tajemnicy. Tyle że obecna sytuacja w Ziemi Świętej jest mało stabilna, żeby nie powiedzieć krytyczna. Dlatego, obawiając się o bezpieczeństwo tego czegoś, zorganizowano szeroko zakrojoną akcję, którą kierował Bernard i która miała na celu przeniesienie znaleziska w pewniejsze miejsce.

- Ale o co chodzi? Bernard wiedział?

- Treści dokumentu zapewne nie znalazł, uświadamiał sobie jedynie jego wagę.

- Świetnie. Więc co to, do wszystkich diabłów, jest, Dalmau?

- Uwierz mi, że nie mam zielonego pojęcia. Całą sprawę otoczono ścisłą tajemnicą i bardzo mało osób wie, co zawierają te dokumenty. Ja słyszałem tylko, że chodzi o dwa pergaminy, jeden po grecku, drugi po aramejsku. Nic więcej mi nie powiedzieli.

- Niewiele, jak na słynnego z wierności cerbera, którym jesteś, Dalmau. Wszystkim zajmują się „oni”, czyż nie?

- Tak, jeśli upierasz się, żeby w ten sposób na to patrzeć, ale nie zapominaj, że „oni”, jak to ująłeś, to w sumie my.

- Jak zwykle się nie zgadzam. Zawsze miałem co do tego wątpliwości, Dalmau, i przynajmniej w części musisz przyznać mi rację. Pamiętaj, że i ja pracowałem z „nimi”, z tobą i z Bernardem. Ale „wewnętrzny krąg” wybrańców nieodmiennie wszystko kontroluje.

- Dajesz się ponosić irracjonalnej niechęci, Jacques. Zresztą co ty opowiadasz, przecież nigdy nie przestałeś dla nas pracować... Robiłeś to za pośrednictwem Bernarda, zgoda, ale, na wszystkie świętości, jak myślisz, dla kogo pracował Bernard?

- Bernard był inny, ty też jesteś... - upierał się Jacques.

- Przestańmy dyskutować i tracić czas, którego i tak nie mamy zbyt wiele, mój drogi. Nasze zadanie numer jeden to d'Arles. Trzeba go odnaleźć, zanim zrobi to monsignore. Tym razem nie może nam się wymknąć. Nie po tym, jak zginął Bernard.

- A co pomyślą twoi przełożeni? - Jacques nie rezygnował.

- Nie będą się mieszać. Znają moją postawę i wiedzą, że gdyby usiłovali mi przeszkodzić w wyrównaniu dawnych rachunków, zrezygnowałbym ze służby. A tego woleliby raczej uniknąć, dlatego

zgadzają się i nie mają uwag. Zostaw już to, Jacques, postaraj się raz wreszcie o „nich” zapomnieć!

- Masz rację, szkoda czasu. A co z chłopakiem? Tym od Guilsa? Co z nim zrobimy?

- Chwilowo Guillem jest pod naszą opieką. Ja zostałem jego bezpośrednim i jedynym zwierzchnikiem, a ty będziesz opiekunem. Ale musimy trzymać go z dala od naszej sprawy, Jacques. To dotyczy tylko nas dwóch, tylko my się ostaliśmy. Chłopak ma się nie mieszać.

- Ciekawe, jak go do tego zmusisz, skoro już się zaczął kręcić w pobliżu.

- Musimy spróbować, Jacques, a będzie, jak Bóg da. A teraz mógłbyś mi w końcu przedstawić swój plan?

Jacques Bretończyk jeszcze przez chwilę z sympatią przypatrywał się przyjacielowi. Dalmau zestarzał się jak on sam, jak wszyscy. Poza tymi, rzecz jasna, którzy zostali gdzieś po drodze i którym nie było dane się zestarzeć. Jacques poczuł, że pamięć o umarłych doda im sił, nadszarpiętych przez upływ czasu. Zaczął mówić. Dalmau słuchał w skupieniu.

ROZDZIAŁ IX

TŁUMACZ Z GREKI

Czy jesteście kapłanem, diakonem lub subdiakonem? Gdybyście to bowiem zataili, moglibyście utracić dom.

Kleryk Mateo bardzo się spieszył, w miarę możliwości wyciągając swe krótkie nogi. Jego wyświechtana sutanna harmonizowała ze szpetną twarzą poznaczoną dziobami po przebytej niegdyś ospie, która z niewyjaśnionych powodów pozwoliła mu pozostać przy życiu. Nos miał szeroki i obrzęknięty, koloru niemal purpurowego, a jego ciało, poczynając od piersi w dół, przypominało pękaty antałek. Szedł pogrążony we własnych myślach, obojętny na otoczenie, przeklinając złodziejaszka d'Auberta, przez którego tracił tylko swój cenny czas. Tłumaczenie tekstu spisanego na wręczonym mu przez d'Auberta pergaminie wprawiło go bowiem w stan pomieszania i dezorientacji, każąc podejrzewać, że klient nie wyznał całej prawdy. Czyżby chodziło o tajemny klucz, nieznaną szyfr? Inaczej wszystko to nie miało najmniejszego sensu. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że d'Aubert usiłuje go okpić. Tylko dlaczego? Co zamierza w ten sposób zyskać? Mateo nic a nic z tego nie rozumiał, co w najwyższym stopniu go niepokoiło. Jakie znaczenie mógł mieć ten przeklęty list? Nie ulegało wątpliwości, że pergamin jest bardzo stary i autentyczny. Żadne fałszerstwo nie wchodziło w grę, tego Mateo był całkowicie pewien, ponieważ jeszcze w zakonie spędził ładnych parę lat nad podobnymi dokumentami. Wiele z nich udało mu się nawet podrobić pod doświadczonego okiem przełożonych, którzy nie mogli się nadziwić jego niebywałej zdolności do imitowania starych dokumentów. Wykonane przezeń kopie niczym się nie różniły od oryginału.

Pergamin d'Auberta nie został jednak sfalszowany. Mateo nie potrafił jedynie pojąć, dlaczego dokument o równie błahej treści ktoś otacza tak wielką tajemnicą. To prawda, w przypadku rzeczy skradzionych pewna dyskrecja była zawsze konieczna, ale ten głupiec d'Aubert sądził najwyraźniej, że ma w rękach szyfr mogący otworzyć skarbiec albo nawet sekret samego kamienia filozoficznego. Kleryk pomyślał z pogardą, że chodzi raczej o zwyczajny list, w którym ktoś kogoś powiadamiał o swoim zamiarze udania się w podróż. Jeden nieboszczyk informował drugiego, że pragnie złożyć mu wizytę, a poza tym rodzina zdrowa, co oby było prawdą również w odniesieniu do krewnych adresata.

- Co za bzdura! - mruknął Mateo. - Tyle zachodu dla takiej głupoty.

Z drugim pergaminem rzecz miała się już inaczej. Kleryk nie wiedział, co zawiera, nie znał bowiem aramejskiego, a nie zdołał na razie odnaleźć jednego z dawnych znajomków, który potrafiłby list przetłumaczyć. Jeśli jednak tekst aramejski choć w części przypominał grecki, marnował tylko czas. Ten drugi nie przedstawiał wszak sobą żadnej wartości, chyba że była to zaszyfrowana wiadomość, kryjąca tajemnicę między banalnymi wierszami. A jeśli tak, to uzgodnioną z d'Aubertem cenę należy ponownie przedyskutować. Koniecznie trzeba pogadać z tym oszustem i zażądać od niego wyjaśnień, bez dwóch zdań. Z całą pewnością d'Aubert wie o wiele więcej, niż przyznaje, a on, Mateo, nie zamierza dać się zwieść bajeczkami dla dzieci. Jeśli jego przypuszczenia się potwierdzą, już wkrótce skapnie mu niezła sumka. Jeszcze się nic urodził taki, który potrafiłby go okpić; zbyt często zapominano, że sam jest artystą wśród złodziei.

Rozeźlony, pędził do odrażającej spelunki, gdzie ukrywał się d'Aubert, pod Błękitnego Delfina. Jednakże na myśl o porządnie wypchanej

sakiewce uśmiech na jego twarzy stawał się z każdą chwilą coraz szerszy.

W jednym z pokoi gościnnych gospody Pod Błękitnym Delfinem Giovanni przyglądał się beznamyślnie, jak jego kompan Carlo bije nieszczęśnika, który podawał się za nowego oberżystę. Zniknięcie Santosa niemile ich zaskoczyło. Olbrzym starannie pozacierał ślady i nikt nie potrafił na jego temat nic sensownego powiedzieć.

No już, już, to tylko zwykłe pytanie, na Boga! Powiedz nam, gdzie możemy znaleźć Santosa, nic więcej, a zostawimy cię w spokoju.

- Nie wiem, przysięgam, że nie mam bladego pojęcia... - Mężczyzna miał już całkiem zakrwawioną twarz, a jego słowa powoli stawały się niezrozumiałe.

- Nie wiesz, przeklęty kłamco! To co, do diabła, robisz na jego miejscu? Skąd się nagle wziąłeś? - Coraz bardziej nerwowo Carlo nie dawał swej ofercie ani chwili spokoju.

- Hug, nazywam się Hug! Popytajcie w porcie, każdy wam powie, wołają na mnie Podkradek. Nic nie wiem, zostawcie mnie, proszę!

- Przewisko w sam raz dla takiego parszywego złodziejaszka jak ty - ubawiony skomleniem Huga Giovanni zaśmiał się głośno. - Ale powinieneś się bardziej starać, przyjacielu, mojego towarzysza lepiej nie prowokować, jego cierpliwość zwykle szybko się kończy.

- Przysięgam na wszystkie świętości, że nic nie wiem! Santos powiedział, że ma kilka pilnych spraw do załatwienia, że musi wrócić do domu i żeby pod jego nieobecność zajął się oberżą. Nic więcej, przysięgam wam, że nic więcej! - Przerażony nieszczęśnik osłaniał twarz ramionami, bezskutecznie próbując unikać ciosów Carla.

- Słyszysz, Giovanni? Jeszcze do tego bluźni, błazen przeklęty.

- Uspokój się, Carlo, może mówi prawdę. Mam rację, Hug? Hug, Hug, Hug... Podoba mi się to imię.

- Nie wysilając się na odpowiedź, Carlo powrócił do przerwanej na moment kopania ofiary, uderzając mechanicznie, jak gdyby nigdy w życiu nie robił nic innego. Mężczyzna na podłodze wciąż błagał o litość. Jego twarz, w której nie było już zapewne ani jednej całej kości, zamieniała się stopniowo w bezkształtną bryłę mięsa i krwi. Z jego ust wydobywały się jedynie pozbawione sensu jęki.

- Lepiej przestań, bo go zabijesz i w ten sposób wrócimy do punktu wyjścia. - Giovanni zaczynał mieć dość przedstawienia. - Ten tutaj wie tylko tyle, ile Santos raczył mu powiedzieć. Czyli nic. Obawiam się, że mamy poważny kłopot.

Trwało chwilę, zanim treść tej wypowiedzi dotarła do Carla, który z trudem oderwał się od ulubionego zajęcia, nie odmawiając sobie jednak ostatniego brutalnego ciosu. Nieprzytomny mężczyzna wylądował pod przeciwległą ścianą, bezwładny jak porzucona szmaciana lalka.

Kiepskie wieści, nie spodobają się monsignore - mruknął Carlo.

-Twoja przenikliwość mnie zaskakuje, równie głęboka myśl nigdy nie przyszłaby mi do głowy. Jesteś skończonym durniem, Carlo! Antonio z kolei gdzieś wsiąkł. Gdzie go nosi, do wszystkich diabłów?

-Może go dopadł Cień. - Carlo pospiesznie się przeżegnał. Giovanni sarknął pogardliwie. Podszedł do jedynej okienka w pokoju, ze wzrokiem utkwionym w mur, odległy nie więcej niż o dwie piędy. Okno wychodzące na ścianę.

Też mi oberża. - pomyślał. Zaczynał mieć dość; gorzej już być nie mogło. Monsignore rzadko przejawiał zrozumienie dla cudzych problemów, a już kłopoty własnych ludzi nie wzruszały go zupełnie. Gdzie, u licha, podziewał się Santos? Zwęszył niebezpieczeństwo, stary lis, i wziął nogi za pas. Teraz, w ukryciu, stanowił jeszcze większe niebezpieczeństwo. Gioranni znał go aż za dobrze. Zaśmiał się w duchu: olbrzym jak nic przygotowuje śmiertelną pułapkę na d'Arlesa. Tym razem nie pozwoli mu się tak łatwo wymknąć. Giovanni westchnął. Wiele by dał, aby przy tym być i patrzeć, jak Santos wreszcie parszywca wykańcza. Ale gdzie się tymczasem podziewa Antonio? Ta myśl starła z twarzy Giovanniego rozmarzenie, przywracając jej wyraz zatroskania. Zastanawiał się gorączkowo, próbując znaleźć jakieś wyjście, sposób, który umożliwiłby spełnienie rozkazów monsignore. Przekłety dzień, w którym go poznałem! - pomyślał.

Z zadumy wyiwał go nagły świst, dwa suche i krótkie dźwięki. Odwrócił się zniecierpliwiony, w przekonaniu, że to Carlo postanowił na własną rękę zlikwidować nieszczęsnego oberżystę, i zastygł w bezruchu, z niedowierzaniem w oczach, czując, jak strach niczym oślizgła gadzina pełźnie ku jego żołądkowi. Carlo leżał na podłodze, z szeroko otwartymi oczyma, ręce przyciskając do brzucha, z którego wystawało zakończenie strzały. Wokół niego rozlewała się coraz większa kałuża krwi. W rogu pokoju, ze strzałą sterczącą z gardła, spoczywał trup Podkradka, który nie zdążył się nawet chyba zorientować, że oto opuszcza świat żywych.

W drzwiach, zasłaniając sobą całe wejście, stał mężczyzna z kuszą w dłoniach.

- Ależ to mój przyjaciel Giovanni, stary druh! - w metalicznym głosie pobrzmiwało szczere rozbawienie. Na widok zdumienia malującego się na twarzy Włocha d'Arles wybuchnęła hulaśliwym śmiechem. -

Od kiedy przestałem dla was pracować, wiedzie wam się coraz gorzej, mój drogi. Monsignore musi być w isticie pieskim humorze. Nie wątpię, że ogromnie za mną tęskni.

Jedyne, za czym tęskni, to widok twojej głowy na półmisku, łotrze. - Giovanni nie bez trudu usiłował odzyskać zimną krew.

- No proszę! Masz poczucie humoru, zdążyłem o tym zapomnieć. Daj spokój, nie bierz sobie wszystkiego od razu do serca, to nic osobistego, Giovanni. Już nie ma powodów do zazdrości, nie sądzisz? - D'Arles nie krył złośliwej ironii. - Zostawiłem ci do dyspozycji całe łóżko monsignore, całutkie tylko dla ciebie jednego. Czyli między nami zgoda.

Teraz to Giovanni roześmiał się na całe gardło. Jego strach minął bez śladu.

- Nie chciałbym być w twojej skórze, d'Arles, biesy depczą ci po piętach i coś mi się zdaje, że nawet jak mnie zaraz zabijesz, sam nie pociągniesz dużo dłużej. Jeśli monsignore cię dopadnie, wolę wprost nie myśleć, do czego okaże się zdolny. Ale ty, umiłowany uczeń, znasz przecież jego możliwości jak nikt.

- Przerażasz mnie, Giovanni, spójrz, drzę niby osika. Powinieneś poradzić monsignore, żeby się lepiej zajął własnymi kłopotami, których ma wszak niemało. Doszły mnie słuchy, że papieża rozeźlił w końcu wasz spektakularny brak efektów. Możliwe, że zamyśla zafundować jego wielebności zasłużony odpoczynek.

- Kto wie, ja jednak nie dowierzałbym monsignore, choćby go zesłano na najodleglejszą z wysp. Jego ręka sięga daleko.

- Przemyślę to, mój stary druhu, ale teraz dość jałowych pogawędek. Z tego, co widzę, wam też się urwał trop Santosa.

- Trop Santosa? Więc urwał się i tobie, rycerzu d'Arles? Szczerze mówiąc, okoliczność ta stanowi dla ciebie o wiele większe zagrożenie niż dla nas. - Giovanni zupełnie już przyszedł do siebie i nienawiść, którą odczuwał, objawiała się z coraz większą siłą. Nawet fakt, że d'Arles mógł go zabić wkażdej chwili, zdawał się nie robić na nim najmniejszego wrażenia.

- Santos mnie nie obchodzi, w tej rozgrywce to pionek, nie rozumiem więc, z jakiego powodu miałby mnie niepokoić. Nie powie mi nic, czego bym dotąd nie wiedział.

Oczy Giovanniego załśniły triumfalnie. Wreszcie, po raz pierwszy od wielu, wielu lat wiedział o czymś, co mogło zaszkodzić człowiekowi, który już dawno stał się jego najgorszym koszmarem.

- Twoja pycha cię kiedyś zgubi, d'Arles. Źle robisz, lekceważąc zniknięcie Santosa. Monsignore nie jest jedyną osobą, która pragnęłaby cię ujrzeć na pierwszej lepszej suchej gałęzi. Niewiedza stawia cię na straconej pozycji, co, nie ukrywam, niepomniecznie mnie raduje.

- Oświeć mnie więc, Giovanni, płonę z niecierpliwości.

- Wiele spraw się za tobą ciągnie, niektóre wprawdzie bardzo stare, ale nie mniej przez to niebezpieczne. Czyżbyś zapomniał Jacques'a Bretończyka i jego kompanów? Powiedz mi, d'Arles, pytam z ciekawości, zdarzyło ci się kiedyś na własne oczy widzieć Santosa?

Twarz d'Arlesa zmieniła się nagle i steżała, niedawną ironię zastąpił mroczny grymas.

- Co mi próbujesz powiedzieć, kpie parszywy?

Prawdziwie zaniepokojony Cię zastanawiał się gorączkowo. Rzeczywiście nigdy nie zetknął się twarzą w twarz z oberżystą, nawet owej nocy, kiedy zamordował tego biedaka d'Auberta. Wykorzystał wówczas zamieszanie, które jego ludzie wywołali specjalnie, aby odciągnąć uwagę Santosa i całej jego zapitej bandy. Pewna myśl zaczęła świtać w umyśle d'Arlesa, bardzo niemiła myśl.

-Przy odrobinie wysiłku łatwo zrozumiesz. Taka chodząca legenda jak ty, jednostka wyposażona dodatkowo w nad przyrodzone zdolności... - Giovanni znowu wybuchną! śmiechem.

-Przeklęty rzymski sługus! Co to ma znaczyć?

D'Arles, którego w końcu zawiodły nerwy, chwycił Włocha za szyję i nie panując nad wściekłością, gwałtownie nim potrząsał. Jednakże Giovanni nie przestawał się śmiać jak opętany i nie zwracając uwagi na duszące go dłonie, od czasu do czasu wykrzykiwał: - Santos i Jacques Bretończyk to ta sama osoba, głupcze... dwa imiona, jeden człowiek! Jakkolwiek byś się starał, tym razem daleko nie uciekniesz, szatański pomiole!

Hałas za plecami zaalarmował d'Arlesa, który odwrócił się błyskawicznie, chwytając na powrót kuszę. Od progu patrzył na nich wytrzeszczonymi z przerażenia oczami gruby jak barylka stęchłego wina kleryk. Zanim Cię zdążył zareagować na jego obecność, intruz zerwał się do ucieczki, wrzeszcząc piskliwie, niby dusza wleczone na zatracenie. D'Arles zaklął szpetnie i zostawiając Włocha własnemu losowi, rzucił się w pogoń.

Giovanni kilka razy głęboko odetchnął, wciąż jeszcze wstrząsany resztkami spazmatycznego śmiechu, niezdolny powściągnąć dzikiej radości, którą wyzwolił w nim strach widoczny w spojrzeniu Cienia. Tak, nad d'Arlesem zbierały się czarne chmury, przeszłość odzywała się głośnym echem, a stare rachunki żądały wyrównania. A i przekłety monsignore nie miał się z czego cieszyć. Uwolniony od napięcia i lęku Giovanni, nie panując nad sobą, śmiał się i zgięty w pół aż tupał z uciechy w podłogę.

Udając się do oberży Pod Błękitnym Delfinem, Mateo przygotował sobie wcale zgrabną mówkę. Nie zamierzał znowu dać się oszukać. Co to, to nie; jeśli d'Aubert chce dalej liczyć na jego pomoc, musi uchylić rąbka tajemnicy i oczywiście, podnieść cenę. Gdyby natomiast odmawiał wyjaśnień, milczenie Matea kosztowałoby go jeszcze drożej. Kleryk odczuwał zadowolenie, niezależnie bowiem od decyzji d'Auberta wpaść mu miała do kiesy niezła sumka. I to w zamian za wysiłek niewart nawet wzmianki.

Wszedłszy do gospody, nie dostrzegł Santosa na zwykłym miejscu za ladą, czego sobie w duchu pogratulował, ponieważ nie w smak mu była ścisła kontrola, jaką olbrzym sprawował nad swoimi gośćmi i ich poczynaniami. Zasapany z wysiłku, wspiął się wąskimi schodami, a gdy zbliżył się do pokoju d'Auberta, zauważył, że drzwi stoją otworem. Powtarzając w skupieniu i ciszy początek przygotowanej przemowy, bez wahania zajrzał do środka, lecz to, co ujrzał, niespodziewanie ścięło mu krew w żyłach. Na podłodze, w ogromnej kałuży krwi, która zdawała się pełznąć powoli w kierunku progu, gdzie tkwił Mateo, leżało dwóch mężczyzn. Dwóch innych, całkowicie nieznanych, stało naprzeciwko: jeden z nich wstrząsany atakami tłumionego śmiechu, a drugi, który chwilę wcześniej błyskawicznie odwrócił się ku drzwiom, z zaskoczeniem wypisanym na twarzy. Mateo podniósł ręce do ust, aby powstrzymać ostry, przenikliwy krzyk, który zupełnie nagle wyrwał mu

się z gardła, po czym, obróciwszy się na pięcie, runął schodami w dół w panicznej ucieczce na oślep. Na parterze pstrokata klientela Santosa świętowała bez wytchnienia, a przyśpiewki i bojki następowały po sobie z uderzającą regularnością. Rumor za plecami ostrzegł kleryka, że ktoś go ściga zanim jeszcze usłyszał głos wzywający go, by się zatrzymał. Mateo którego płuca zaczynały już pękać z wysiłku a twarz przybrała sinofioletowy kolor, wpadł do wielkiej sali i tchu starczyło mu na tyle by z całych, choć skąpych sił krzyknąć magiczne zdanie:

- Ogień, ogień, ogień na piętrze!

W odpowiedzi na jego krzyk w pomieszczeniu powstał piekielny rozgardiasz i tłum, niesiony jednym odruchem, poderwał się, aby niczym bezrozumna fala popłynąć w kierunku drzwi. W powietrzu latały ławy i stołki oraz kawałki potłuczonych dzbanów i talerzy, a wrzaski przerażenia mieszały się z jękami tych, których właśnie tratowano, pozostawiając na pastwę losu. Mateo poczuł, jak porywa go wartka ludzka rzeka i prawie nie pozwalając dotknąć stopami podłogi, niesie go, przyklejonego do pleców jakiegoś człowieka, kuksańcami torującego sobie drogę na zewnątrz. Sam nie wiedząc jak, znalazł się na ulicy, w otoczeniu ludzi, którzy nie przestawali lamentować i wzywać pomocy. Mateo, choć do głębi wzburzony, nie przystanął jednak ani na chwilę i z każdym krokiem powiększał dystans między sobą a niebezpieczeństwem, nie oglądając się za siebie, oślepiiony przez pulsującą w skroniach panikę. Podczas gdy krótkie nogi kleryka usiłowały sprostać rytmowi narzucanemu przez strach, jego myśli uparcie krążyły wokół dwóch trupów, które zobaczył w pokoju d'Auberta, i wokół kałuży krwi pełzającej ku niemu niczym zła wróżba.

D'Arles, przeklinając bezustannie i robiąc użytek z pięści, przedzierał się przez ciżbę. Kleryk zniknął mu z oczu, pochłonięty przez umykający w popłochu tłum. Cięż przystanął i wściekły grymas wykrzywił mu twarz. Od chwili gdy ten łajdak Giovanni, głupawo się śmiejąc, rzucił mu w twarz, kim naprawdę jest Santos, sprawy zdawały się komplikować. Nie chciał o tym myśleć, nie teraz. A jeśli Włoch kłał małą? Nie zawahałby się tego uczynić, zapiekła nienawiść i dawna zazdrość tłumaczyłyby to aż nadto.

Vilanova del Pi rozciągała się pomiędzy Boquera, dawną Via Morisca wiodącą ku Llobregat, i terenami należącymi do klasztoru Santa Ana. Dzielnica powstała wokół kościoła Santa Maria del Pi, nazywanego tak od wielkiego drzewa, które rosło przed nim już w dziesiątym wieku, a sławę swą zawdzięczała w dużej mierze znanym w całym mieście burdelom.

Wyczerpany Mateo zatrzymał się na jakimś rogu, w przekonaniu, że nie postąpi już ani kroku dalej. Drżał, wstrząsany coraz częstszymi i coraz trudniejszymi do opanowania skurczami. Krew, z każdą chwilą więcej kiwi w jego myślach, jak gdyby wszystko, na co spoglądał, powlekało się nagle mącąca rozum czeiwienie. Był już jednak bardzo blisko domu i musiał tam dotrzeć za wszelką cenę. Nie powinien przystawać właśnie teraz, kiedy schronienie znajdowało się tuż-tuż. Nogi wszakże odmawiały mu posłuszeństwa. Trzeba się uspokoić, odzyskać oddech. Czy jednym z trupów był d'Aubert? Panie święty! Oczywiście, że tak. Najprawdopodobniej ciało o zmasakrowanej, przemienionej w krwawą miazgę twarzy należało właśnie do niego. To musiał być on, cała scena rozegrała się przecież w jego pokoju! Czyli że nędznik miał niebłahe powody, aby zachowywać tajemnicę. Sprawa okazywała się naprawdę niebezpieczna, d'Auberta szybko nakryli. Ale

na wszystkie świętości, tamci ludzie widzieli go przecież, wiedzieli, kim jest... Teraz przyjdą po niego!

Dysząc ciężko, Mateo rozejrzał się wokół. Chyba nikt go nie śledził, jedynie kilku sąsiadów przyglądało mu się z ciekawością i pogardą. Znali go, nie pochwalali jego stylu życia, przekłete głupawe kmiotki! Złość pomogła mu przyjść do siebie, odwzajemnił spojrzenia z wyzwaniem na twarzy, ale jeszcze przez chwilę musiał opierać się o mur. Wreszcie ruszył ku bramie swego domu. Otworzył drzwi, niechętnie pozdrawiając dwie kobiety, które zdawały się na niego czekać. Nie zwrócił szczególnej uwagi na dziwne napięcie w ich twarzach ani na panujący w pokoju niezwykły bezruch.

- No co, nie macie nic do roboty, straszylą?

Za jego plecami delikatnie zamknęły się drzwi. Mateo zdziwił się, nie słysząc zwykłego trzaśnięcia: wszak pchnął je bardzo mocno, jak zawsze. Był to dla mieszkańek tego domu niezawodny znak, że pan i władca jest znów w domu, więc wszystko powinno już być gotowe na każde jego skinienie. Odwrócił się zdumiony i ujrzał Santosa, który zagradzał wyjście z ironicznym uśmiechem na ustach. Mateo wrzasnął po raz kolejny tego popołudnia i upadł zemdlny.

Brat Berenguer de Palmerola niecierpliwie przemierzał komnatę, jak zwykle gotując się z wściekłości. Przez cały ranek nie potrafił przestać myśleć o tej sprawie. Nie chciał zawieść francuskiego rycerza, który tak na niego liczył, ani tym bardziej zaprzepaścić ogromnych korzyści przyobiecanych w zamian za pomoc. Samo wspomnienie aroganckiego templariusza, który, miast ułatwić mu zadanie, powążył się na groźby, wywoływało w bracie Berenguerze atak furii. Na widok zbliżającego się brata Pere de Tever stary dominikanin przystanął gwałtownie.

- To oburzające, bracie Pere, wstydziłibyście się! Od dwóch dni wszędzie was szukam, ale nikt nie potrafi mnie oświecić, gdzieście przepadli! Cóż to ma znaczyć? Kto wam pozwolił zniknąć mi w ten sposób z oczu?

- Błagam o wybaczenie, bracie Berenguerze, ale kiedy dobiliśmy do portu, zdało mi się, że nie będziecie mnie już potrzebowali, więc...

- Zdało wam się! Nikt was nie prosił, żeby się wam coś zdawało! Macie być posłuszni, nic więcej, a zatem przypominam, że oddano was do mojej dyspozycji i nie wolno wam tak sobie zniknąć, nie prosząc mnie nawet o pozwolenie. Jeśli dalej będę obserwował podobny brak dyscypliny, nie pozostanie mi nic innego, jak poważnie porozmawiać z przeorem, a zapewniam was, że nie spodoba mu się to. co mam do powiedzenia.

- Macie słuszość, bracie Berenguerze, pokornie proszę o wybaczenie.

- Wybaczenie to nie dość w tym wypadku, bracie Pere! Będę musiał pomyśleć o jakiejś stosownej karze. Teraz wszelako mam dla was niecierpiące zwłoki zadanie. Pójdziecie do domu zakonnego templariuszy i zanieście tę wiadomość, macie się jednak ściśle stosować do moich wskazówek, słuchajcie więc uważnie. Znajdźcie jakiegoś wyrostka, który nie ma co robić i za kilka miedziaków podejmie się dostarczyć to pismo pod samą bramę wejściową. Wymusicie tylko dopilnować, żeby to uczynił. Nikt was nie może skojarzyć z tym posłaniem, to bardzo ważne. Zrozumieliście dokładnie?

- Zrozumiałem, bracie Berenguerze, ale sam mogę dostarczyć wiadomość, a wtedy nie trzeba by...

- Nikt was nie pytał o zdanie! - uciał ostro brat Berenguer. - Wypełnicie moje polecenia co do joty. Może w ten sposób nauczycie się wreszcie słuchać bez pytań i komentarzy. Uważajcie, bo kara za nieposłuszeństwo, która i tak was nie minie, będzie jeszcze surowsza.

Brat Pere de Tever pokiwał głową w milczeniu. Ze skruszoną miną wziął do ręki pismo i czekał.

- Ciekawość to grzech ciężki, bracie, wypłenić go można jedynie dzięki rozmyślaniom i posłuszeństwu. Powinniście wiedzieć, że jestem człowiekiem zajęтым, którego nie należy niepokoić niepotrzebnymi i głupimi pytaniami. A teraz idźcie już wreszcie i wypełnijcie moje rozkazy bez ociągania.

Brat Pere nie poruszył się i pytająco spoglądał na brata Berenguera.

- Można wiedzieć, na co jeszcze czekacie?

- Rozkazaliście, abym wręczył wyrostkowi kilka miedziaków za usługę, bracie Berenguerze. Zapomnieliście jednak, że oprócz posłuszeństwa ślubowałem też ubóstwo. Czymże więc miałbym zapłacić?

Wobec takiej bezczelności brat Berenguer aż zasapał z oburzenia. Nie chcąc jednak tracić więcej czasu, z gniewnym pomrukiem wysupłał z sakiewki kilka monet.

- Tyle wystarczy, nie dajcie się oszukać.

Brat Pere opuścił klasztor zamyślony, z opuszczoną głową. Coraz bardziej utwierdzał się w swych ponurych podejrzeniach, a poczynania zwierzchnika wzbudzały w nim głębokie obawy. Na pewno coś knują przeciwko staremu Żydowi, brat Berenguer do spółki z tamtym francuskim rycerzem, który zaokrętował się w Limassol jako członek załogi. Co chciał osiągnąć dzięki podobnej maskaradzie? Kim był naprawdę?

Jedyne, co nie ulegało wątpliwości, to fakt, że próbuje wykorzystać nieustanną wściekłość brata Berenguera do swoich własnych celów, bezwstydnie pochlebając mu słowami, w które nikt, poza próżnym mnichem, nie potrafiłby uwierzyć. Co zamierza ten człowiek? Nic dobrego, jak można było przypuszczać. Brat Pere czuł się zagubiony, zbity z tropu. Nie miał ochoty uczestniczyć w spisku, który mógłby zaszkodzić dobremu Abrahamowi. Czym zawinił stary lekarz w oczach tamtego Francuza? Tak wiele pytań i żadnych odpowiedzi. Niepewny, co robić, chłopiec szedł bez celu i rozmyślał, wciąż unikając ulic, które zaprowadziłyby go do domu templariuszy. Nagle podjął jednak decyzję i kryjąc się w załomie starych murów, wyciągnął otrzymany od brata Berenguera papier. Rozwinął go i uważnie przeczytał, nie ważąc się niemal oddychać. W czasie krótkiej lektury na jego twarzy odmalowały się niepokój i niedowierzanie: podłość i chora ambicja starego mnicha przechodziły wszelkie pojęcie. Resztki wątpliwości zniknęły jak ręką odjął. Brat Pere wiedział już doskonale, co powinien uczynić, i nie dbał o związane z tym ryzyko. Nie zwlekając dłużej, ruszył ku domowi templariuszy.

Guillemowi udało się w końcu kilka godzin odpocząć. Schronił się w jednej z licznych kryjówek, które Guils przysposobił w ciągu wielu lat służby, starannie oplatając miasto tajemną siecią tak zwanych sanktuariów. Dzięki temu młody templariusz mógł teraz zwalić się jak kłoda na stary barłóg, a ponieważ był całkowicie wyczerpany, natychmiast zapadł w sen. Śnił o pustyniach Palestyny, o złocistej nieskończoności piasku, którą tak plastycznie i niezmordowanie opisywał Bernard, o niepowtarzalnym świetle, które odbija się od milczących wydm. Biały koń przypatrywał mu się ciekawie, nieruchomy, ze swobodnie zwieszonymi cuglami. Po jakimś czasie wierzchowiec odwrócił się i zaczął niespiesznym kłusem oddalać. Guillem zawołał go rozpaczliwie, odkrywając z przerażeniem, że z jego gardła nie wydobywa się żaden głos. Mi-

mo to piękne zwierzę przystanęło, spoglądając w jego stronę. „Czego chcesz?” - zdawało się pytać. Jednak Guillem, mimo że bardzo się starał, nie potrafił wydać najcichszego choćby dźwięku. Był niemy.

Obudził się przestraszony i zlany potem. Silne walenie w drzwi wyrwało go ostatecznie z pustynnych majaków. Trwało chwilę, zanim oprzytomniał i zdał sobie sprawę, kim jest i gdzie się znajduje. Wreszcie, zachowując wszelkie środki ostrożności, skierował się ku wejściu. Jeden z dawnych barcelońskich współpracowników Guilsa, dobrze Guillemowi znany, przyniósł odpowiedź na wiadomość, którą kilka godzin wcześniej młody templariusz przesłał do klasztoru. Przybysz nie musiał się nawet odzywać; skinąwszy tylko głową, zniknął natychmiast, stosując się do kolejnej ze wskazówek Bernarda: „Jeśli nie trzeba mówić, bezpieczniej jest milczeć”. Guillem rozwinął papier: Santos odszukał tłumacza z greki. Dlaczego Jacques Bretończyk, jeden z najbliższych przyjaciół Bernarda, nie zdradził mu w oberży swego prawdziwego imienia? Młodzieniec od dawna żył w przekonaniu, że Jacques umarł. Zresztą Guils zawsze mówił o nim w czasie przeszłym, choć należało przyznać, że w podobny sposób odnosił się także do wielu innych spraw, zupełnie jakby przeszłość była jego jedynym naturalnym żywiołem. Guillemowi nigdy dotąd nie przyszło to do głowy, zadumał się więc głęboko. Być może w świetle tego nowego odkrycia powinien zrewidować wszystkie swoje wspomnienia.

- Jeśli tym, co was sprowadza, jest chęć kontynuowania rozmowy, którą rozpoczął wasz brat, tracicie tylko czas. Poza tym, co już rzekłem, nie mam nic do powiedzenia. - Brat Dalmau srogo popatrywał na młodego mniszka.

- To nie tak, jak myślicie, bracie Dalmau. Nie wiedziałem, co robić ani do kogo się zwrócić... Do chwili kiedy przeczytałem tę wiadomość,

nie... Nie chcę, żeby coś się stało temu starcowi! - Brat Pere de Tever opadł na fotel, próbując zasłonić rękami płynące po policzkach łzy.

Zaskakujący ów wybuch zafrasował templariusza, który niczego podobnego się nie spodziewał. Jego początkowa surowość znikła bez śladu.

- Wybaczcie mój ton, bracie Pere, proszę. Zaledwie przed kilkoma godzinami miałem małą utarczkę z waszym zwierzchnikiem, a ponieważ przedstawił się jako jego pomocnik, obawiałem się, że... No dobrze, ale widzę, że coś was bardzo trapi. Może chcecie mi o tym opowiedzieć?

Młody mnich zwierzył mu się wówczas ze wszystkich swoich trosk. Najpierw mamrotał odrobinę nieskładnie, później jednak, ośmielony uwagą, z jaką słuchał go brat Dalmau, przyszedł do siebie i szczegółowo opisał relację łączącą go z bratem Berenguerem. Mówił o podróży do dalekich krain, o morskiej przeprawie i o zdumieniu, jakie ogarnęło go, gdy odkrył, kto chował się pod przebraniem zwykłego marynarza.

- Uspokój się, chłopcze. Wprawdzie nie znam zbyt dobrze brata Berenguera, odnoszę jednak wrażenie, że ten anonimowy list doskonale do niego pasuje. „Żydowi, którego gościcie pod swoim dachem, zagraża niebezpieczeństwo. Powinniście znaleźć dla niego bezpieczniejsze schronienie”. I podpis: „przyjaciel”. Ładny mi przyjaciel! Trzeba wszakże przyznać, że wasz brat grzeszy naiwnością, sądząc, że natychmiast rzucimy się przenosić Abrahama w inne miejsce, nie sądzicie?

- Brat Berenguer całkowicie ulega wpływom tamtego człowieka, bracie Dalmau, tego francuskiego rycerza, o którym wam opowiadałem. To on mu nagadał, że Abraham jest niebezpiecznym zdrajcą i mordercą.

-Tak, macie słuszość, ale wasz brat już wcześniej gotów był uwierzyć w dowolną brednię. Biedaczek Abraham nie wygląda zbyt groźnie, czyż nie mam racji, bracie Pere?

Wspominając szacowne oblicze starca, młody dominikanin po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Opowiedzcie mi coś jeszcze o owym francuskim rycerzu - brat Dalmau powrócił do interesującego go wątku.

- No więc tak: ten człowiek odwiedził brata Berenguera w klasztorze, a ja ich trochę szpiegowałem, tak przez ciekawość, bo wprost nie mogłem uwierzyć, że ktoś składa wizytę bratu Berenguerowi... Niech mi Bóg wybaczy! Podśluchałem ich rozmowę i przeraziłem się nie na żarty. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego ten Francuz tak bardzo chce zaszkodzić Abrahamowi. A kiedy zebrał się do odejścia, zobaczyłem jego twarz i wystraszyłem się jeszcze bardziej. Bo to był ten sam człowiek co w Limassol.

- Jesteście tego zupełnie pewni, bracie Pere?

- Jak najpewniejszy, przysięgam. Ja nigdy nie zapominam twarzy. Widzicie, kapitan dAmato wciąż się na niego złościł, bo co to za marynarz, który się ciągle szwenda tam, gdzie nie powinien. Dlatego zwróciłem na niego szczególną uwagę. Kiedy odwiedził brata Berenguera w klasztorze, miał na sobie kosztowne odzienie i klejnoty, ale i tak go poznałem. Obiecywał bratu Berenguerowi wysokie stanowiska, pochlebiał mu, rozbudzał jego chciwość. Boże miłosierny, wybac mi, że mówię w ten sposób o własnym bracie!

- Niezdrowa ambicja innych nie jest waszą winą, mój przyjacielu - łagodnie rzekł templariusz.

- Po prostu nie chciałbym, żeby coś się stało temu starszemu, tylko tyle. On nikomu nic złego nie zrobił, bracie Dalmau. Chcę jedynie postąpić tak, jak należy.

- Postąpiliście tak, jak należy, bracie Pere. Wasze ostrzeżenie pozwoli nam lepiej chronić Abrahama. Martwię się jednak o was. Sami widzicie, że wpłątaście się w bardzo ryzykowną awanturę. Nie mogę wam nawet niczego wytłumaczyć, przykro mi, ale gdybym to zrobił, wasza sytuacja jeszcze by się pogorszyła, a waszemu życiu groziłoby niebezpieczeństwo.

- Nie potrzebuję, żebyście mi cokolwiek opowiadali, bracie Dalmau, żaden ze mnie światowiec ani znawca pałacowych intryg. Chcę tylko ustrzec Abrahama przez złymi ludźmi, i tyle.

Brat Dalmau spoglądał na chłopca w milczeniu. Nie wątpił w jego dobre intencje, ale pamiętał też, jak bardzo jest niedoświadczony. To właśnie szczególnie frasowało templariusza. Zbyt wiele trupów w całej tej historii, absolutnie nie wolno pozwolić, aby brat Pere dołączył do ich grona.

- Powinniście na jakiś czas opuścić miasto. Poproście o pozwolenie na wizytę w waszym macierzystym klasztorze i przyczajcie się tam, aż sprawa przycichnie. Mężczyzna, którego rozpoznaliście, zabije was bez wahania, jeśli odkryje, że wiecie o nim zbyt dużo. To morderca, chłopcze, bezwzględny morderca.

- Chcę pomóc - odpad prostolinijnie braciszek. - Przekonałem się o tym w chwili, kiedy przeczytałem list brata Berenguera. Wdzięczny wam jestem za radę, bracie Dalmau, ale już nic potrafię się trzymać z daleka. Nigdy bym sobie nie wybaczył, że przymknąłem oczy na podobną niegodziwość. Nie mogę wyjechać z miasta, nie mogę uciec, niezależnie od tego, jak bardzo jestem przerażony.

Dalmau spojrział na dominikanina z uznaniem. Młodość to dziwna choroba, którą dopiero lata pomagają opanować i pokonać. Jakaż jednak błogosławiona choroba!

- Boję się o was - nie ustępował. - W tę sprawę zamieszane są złe, potężne moce, którym nie zadrży ręka przed pozbawieniem was życia, jeśli okaże się to konieczne. Uwierzcie mi, bracie Pere.

- Bóg będzie nade mną czuwał, bracie Dalmau, zaryzykuję i mu zaufam. Sądzę, że bardziej się wam przydam, jeśli WTÓCę do klasztoru i nie spuszczę brata Berenguera z oka. Gdyby znowu próbował jakiejś sztuczki, dam wam znać, będę was informował na bieżąco. Nikt nie zwróci na mnie uwagi.

- Oby tak było - zgodził się wreszcie zrezygnowany Dalmau. - Pilnujcie się i nie zapominajcie, na jakie niebezpieczeństwo się narażacie, nie zapominajcie o tym ani na chwilę. Wiecie, że lepiej przyznać się do strachu, niż zgrzeszyć nierozwagą, mój przyjacielu, zachowajcie więc czujność. Jeśli pojawi się najdrobniejsze choćby podejrzenie, że was zdemaskowano, uciekajcie bez zwłoki, pamiętając, że dom templariuszy jest pod bezustanną obserwacją.

Dalmau odprowadził młodego dominikanina do bocznego, dyskretnie ukrytego wyjścia, po drodze udzielając mu ostatnich rad. Brat Pere cieszył się z podjętej decyzji: czuł, że po raz pierwszy w życiu dokonał samodzielnego wyboru, kierując się własną, a nie cudzą wolą. Nie wiedział ani nie chciał wiedzieć, o co chodzi w całej tej sprawie, światowe rozgrywki nigdy go nie obchodziły. Opowiedział się wszakże po stronie Abrahama, gdyż poczuwał się do moralnej odpowiedzialności za jego bezpieczeństwo, o które w razie potrzeby zamierzał walczyć. Zalewały go na przemian fale przerażenia i ekscytacji, tak jak niegdyś w Marsylii, gdy po raz pierwszy wstępował na pokład statku. Odetchnął głęboko. Z

wolna jego duszę ogarniał płynący ze świadomości spełnionego obowiązku spokój.

Mateo pojękiwał cicho. W okrutnym koszmarze sennym ktoś go uparcie, raz za razem, policzkował. Kleryk odznaczał się całkowitym brakiem odporności na ból i sama myśl o fizycznym cierpieniu sprawiała, że z przerażenia były na niego zimne poty. Obudził się z krzykiem, dokładnie w chwili, gdy cała zawartość dzbana z zimną wodą rozpryskiwała się na jego twarzy.

- Ocknij się wreszcie, ty kłamco zawszony!

Santos wymierzył mu jeszcze kilka policzków, ale przestał, widząc, że klerykowi wraca przytomność.

- Starczy, starczy! Nie bijcie mnie, nie torturujcie!

- Cóż za wrażliwość, Mateo, parę policzków i od razu tortury... Trochę przesadziłeś, nie sądzisz?

- Czego ode mnie chcecie? Powiem wszystko, tylko mnie nie torturujcie!

- Santos przyglądał mu się ze zdumieniem. Gruby człowieczek wyglądał na prawdziwie przerażonego, i to najwyraźniej nie z jego powodu. Olbrzym zaczynał się poważnie zastanawiać nad przyczynami tego irracjonalnego strachu.

- Nikt nie zamierza cię zabijać ani torturować, błaznie kościelny. Chcę tylko porozmawiać. O ile pamiętam, słowa jeszcze nikogo nie zabiły.

- My dwaj nie mamy o czym gadać, Santosie. - Mateo rozpoznał wreszcie nieproszonego gościa i zdawał się powoli otrząsać z początk-

kowej paniki. - Na twoim miejscu zatroszczyłbym się raczej o te trupy, co to się w stertach walają po twojej oberży. Oj, nie spodoba się to strażnikom, a kto wie, czy się zaraz do nich nie pofatyguję.

- No i widzisz, że mamy jednak o czym gadać, Mateo? Dla przykładu, może byś mnie co prędzej objaśnił, o jakich trupach mówisz?

Mateo podniósł się z podłogi, szukając schronienia za plecami dwóch kobiet, które tkwiły w odległym kącie.

-Poszedłem do twojej zapyziałej gospody, żeby odwiedzić klienta, ale tam teraz tyle krwi, że cały lokal bardziej przypomina jatkę niż oberżę o najgorszej choćby sławie.

-To już mówiłeś. Pracuj nad precyzją, Mateo, bo moja cierpliwość ma swoje granice.- Santos wysiłkiem woli opanował rosnące rozdrażnienie.

-W pokoju mojego klienta było czterech mężczyzn, dwóch martwych i dwóch żywych. Ci żywi najwyraźniej przypatrywali się swojemu dziełu. Znaczący się mordercy i po-mor--do-wa-ni. Uciekłem co sił w nogach, ale jeden mnie ścigał z kuszą i ewidentnie nieprzyjaznymi zamiarami. Jestem uczciwym człowiekiem i...

- Nie rozśmieszaj mnie, przeklęty oszuście! Ty nawet nie wiesz, co znaczy słowo uczciwość. Twój klient mnie jednak zainteresował. Opowiedz zatem, jakież to interesy prowadziliście pospołu.

- Nic ci nie powiem - warknął Mateo. - Sprawy między mną i moimi klientami to tajemnica, którą zabieram ze sobą do grobu.

Na odgłos walenia do drzwi z jego gardła znowu wyrwał się skrzek przerażenia. W czasie gdy kleryk usiłował schować się za kredensem, Santos otworzył i wpuścił Guillemę.

- A więc tak wygląda świetna siedziba naszego tłumacza - stwierdził młodzieniec w ramach przywitania, ponuro popatrując dokoła.

- Oto człowiek, którego szukaliście, panie - rzeki Santos, posyłając nowo przybyłemu znaczące spojrzenie, które ten w lot zrozumiał.

- I cóż powiada ten stary tucznik, przyjacielu?

- Obawiam się, że nie życzysz sobie dzielić z nami sekretów, panie.

- Temu akurat łatwo zaradzić, Santosie... - westchnął Guillem, zbliżając się do kleryka z groźnym wyrazem twarzy.

Oniemiały i siny Mateo cofnął się aż pod ścianę.

- Nie róbcie mi krzywdy, panie, ja nic nie wiem!

- O tym zadecydujemy sami, ale doradzałbym współpracę. Nie zmuszaj mnie do brudzenia się twoją krwią.

Podczas gdy Santos włókł Matea na środek pomieszczenia i bez przesadnych względów sadzał na niskim stołku, kleryk powrócił do swoich jęków i lamentów.

- Jak nie przestaniesz, za chwilę wyrwę ci język! - ryknął Santos, uzyskując natychmiastowy efekt w postaci naglej i absolutnej ciszy.

- Dużo lepiej, Mateo - wtrącił Guillem. - A teraz opowiesz nam o swoich układach z d'Aubertem. Radzę, zważaj na słowa i nie próbuj nas oszukać. Słymiemy z braku cierpliwości.

- D'Aubert nie żyje. Zabili go w oberży, która należy do tego tutaj - zawył Mateo wskazując na Santosa.

Obaj mężczyźni w milczeniu i z uwagą spoglądali na zlanego potem tłumacza, który wijąc się nerwowo, uznał za stosowne kontynuować.

- Zlecił mi tłumaczenie starych pergaminów, spisanych po grecku i po aramejsku. Powiedziałem mu, że nie znam aramejskiego, ale że znajdę kogoś godnego zaufania... Cóż, jak potrząsnąć kiesą, to wszystko się znajdzie, czyż nie? DAu-bert twierdził, że to wielka tajemnica i że nikt nie powinien się dowiedzieć o tych papierach. Uważał, że są bardzo ważne.

- A były? - spytał Guillem.

- Oszustwo to było, a nie ważne papiery! - wrzasnął Mateo. - Dlatego wróciłem do oberży, żeby wyrównać rachunki z tym przeklętym kłamcą. Na próbę mnie wystawił, łajdak, a teraz nie żyje, nie żyje!

- Oszustwo? - chórem wykrzyknęli Guillem i Santos.

- Znaczą się, pergaminy są autentyczne, tekst też, tyle że treść nic niewarta, bez znaczenia.

- Widzisz. Mateo... lepiej, abyś ocenę pozostawił nam. Sprawdzimy, czy mówisz prawdę. Przynieś te pergaminy - rozkazał młody templariusz.

Mateo dźwignął się niechętnie i powłócząc opuchniętymi nogami, podszedł do tego samego kredensu, za którym usiłował się wcześniej schować. Pogrzebał w jednej z szuflad i wyciągnąwszy jakieś zawiniątko, wręczył je Guillemowi. Obaj nieproszeni goście pochylili się nad stołem, rozkładając pergaminy i poczynione przez kłeryka notatki.

Jesteś pewien, że to te same pergaminy, które dał ci d'Aubert? - Guillem wciąż pochyłał się nad papierami, wczytując się w nie z uwagą, a w jego pytaniu nie znać było śladu emocji.

- Przysięgam, panie! Dostarczył mi je osobiście, ale, jak sami widzicie, to list bez żadnego znaczenia. Dlatego pomyślałem, że mnie nędznik wystawia na próbę, stąd moja złość.

Santos i Guillem rozmawiali po cichu, obojętni na jego słowotok.

- Możesz opisać mężczyznę, który cię ścigał w oberży? I tego drugiego też?

- Nie miałem zbyt wiele czasu na obserwację, prawdę mówiąc. Ten z kuszą stał do mnie tyłem, twarzą do tego drugiego, który był w średnim wieku, śmiał się jak obłąkany, mówił po włosku i w ogóle się chyba nie przejmował, że ktoś go właśnie próbuje udusić. Ja osobiście myślałem tylko o ucieczce, więc się też za bardzo nie rozglądałem. Wszędzie było pełno kiwi. Szło o moje życie, szlachetni panowie.

Słyszając ostatnie zdanie, Santos wybuchnął śmiechem.

- Skąd nagle taka uprzejmość, stary plugawcu? Zrobiłbyś wszystko, byle tylko ocalić skórę, już ja cię znam!

- Guillem starannie złożył pergaminy i schował je pod koszulą. Bacznie przyglądał się klerykowi i obu kobietom. Jedna z nich, posunięta już w latach, miała twarz pożłobioną cierpieniem, zrezygnowaną i zgaszoną od łez. Druga była bardzo młoda i wyjątkowo piękna, w jej źrenicach płonęło wyzwanie, gęste rude włosy wiły się wokół twarzy o delikatnych rysach. Ciemne, dumne oczy wytrzymały wzrok Guilleva bez jednego mrugnięcia. Dziwne zmieszanie ogarnęło wówczas młodzieńca, który z uczuciem lekkiego zawstydenia umknął spojrzeniem w bok. Santos podszedł bezgłośnie i coś mu szepnął na ucho. Guillem skinął głową i zwrócił się do kleryka:

- Jesteś w niebezpieczeństwie, Mateo. Mężczyzna z kuszą będzie cię szukał i jeśli znajdzie, nie zadowolony się twoimi wyjaśnieniami. Musi

zatrzeć wszelkie, nawet najdrobniejsze ślady związane z tą sprawą, a sam widziałeś, że rozmowa z nim nie należy do łatwych. Zapewniam cię też, że jest niedościgłym mistrzem w sztuce torturowania.

- Ale ja nic nie wiem i...

- To go zupełnie nie zainteresuje - przerwał Santos. - Poza tym nie oszukuj sam siebie: wiesz i tak zbyt dużo jak na taką pluskwę w sutannie, dlatego twoje szanse wyglądają nad wyraz marnie. Jeśli cię znajdzie, a znajdzie bez wątplenia, twoje życie warte będzie tyle, co te wyświechtane i brudne szmaty, którymi okrywasz grzbiet.

- Więc co powinienem według was uczynić? Kobiety nie mają z tym nic wspólnego, a ja nie wiem, gdzie się podziać i...

- Możemy ci zapewnić bezpieczną kryjówkę na jakiś czas. aż się wszystko uspokoi, pod warunkiem, oczywiście, że zastosujesz się do naszych życzeń. - Guillem nieufnie obserwował każde drgnienie na twarzy Matea. - Nasza opieka ma swoją cenę, Mateo, a ceną tą jest absolutne posłuszeństwo. Rozumiesz?

- Klnę się na wszystkie świętości, że zrobię, co każecie!

- Boże w niebiesiech, Mateo, twoje przysięgi warte są tyle co, nie przymierzając, gówno - rzucił Santos. - Zbierz najpotrzebniejsze rzeczy i przygotuj się do drogi. A, i jeszcze jeden warunek: buzia na kłódkę i żadnych pytań.

Mateo, potulnie kiwając głową, pokrzykiwał na kobiety, żeby się ruszyły zbierać dobytek. Powtarzał przy tym niezmordowanie: „szybko, szybko, szybko”.

Guillem zażądał papieru oraz pióra i w czasie, gdy gromadka domowników krzątała się żwawo pod baczynym okiem Santosa, zasiadł do

pisania listu. Kiedy skończył, Mateo wraz z kobietami czekał już przy drzwiach. Santos pochylał się, aby przeczytać wiadomość pozostawioną przez Guillema na stole: ciekawie przebiegł ją oczami, po czym z szerokim uśmiechem na ustach poklepał młodzieńca po plecach. Przekonawszy się, że na zewnątrz nie czyha żadne niebezpieczeństwo, cała piątka ruszyła w drogę, pospiesznie oddalając się od nory Matea. Santos maszerował na czele pochodu, Guillem pełnił rolę straży tylnej. Na stole w opuszczonym domu cierpliwie czekał na swego adresata taki oto list:

D'Arles, prędzej czy później trafisz do tej dziury. Uznałem, że kiedy to nastąpi, powinieneś się dowiedzieć, iż wbrew twoim wysiłkom dobry Abraham wyrwał mnie jednak śmierci, tej dziwnej pani, której towarzystwa tak dla mnie pragnęłam. Figury wracają na szachownicę, rozgrywka trwa. Jak zwykle pozwalam sobie nie życzyć ci szczęścia.

Bernard Guils

ROZDZIAŁ X

PERGAMINY

Czy zostaliście ekskomunikowani?

Brat Dalmau żwawym krokiem zdążył do komnat zajmowanych przez zielarza. Otrzymał właśnie pilną wiadomość od Guillema. Czekali na niego wraz z Santosem, wcześniej jednak chciał pomówić z Abrahamem i poinformować go o ostatnich wypadkach. Delikatnie zapukał

do drzwi i wszedł, nie czekając na odpowiedź. Stary Żyd wyglądał dużo lepiej, usadowiony wygodnie, przyjmował od siedzącego obok brata Arnau swoją codzienną porcję leków.

- Dzień dobry wam obu - Dalmau pozdrowił ich serdecznie. - Widzę, że czujecie się o wiele lepiej, Abrahamie. Wprost promieniejecie zdrowiem.

- Ten cud jest dziełem kochanego Arnau, który przez ostatnie dni nic innego nie robi, tylko skacze wokół mnie, zaniedbując przez to swoje obowiązki, bracie Dalmau.

- Jakies nowości w związku ze śmiercią Bernarda? - spytał zielarz, nie zwracając uwagi na słowa Abrahama.

- Na razie nic, bracie Arnau, ale sprawy bardzo się komplikują. - Dalmau ciężko opadł na stojący obok zyd. - Musimy porozmawiać o bezpieczeństwie Abrahama. Jest coraz gorzej.

- Sądzicie, że spróbują czegoś tutaj, w samym klasztorze? To byłoby bardzo głupie i nie myślę, aby ważyli się na podobne szaleństwo, Dalmau!

- Uspokójcie się, przyjacielu, i pozwólcie mi wyjaśnić. Szczerze mówiąc, sam już nie wiem, czego się spodziewać. Przyszedł do mnie pewien dominikanin, niejaki Berenguer de Palmerola, tłumacząc swoje najście w sposób zgoła niesłychany. Zapewniał, że chodzą słuchy, iż zakon ukrywa w swych murach Żyda oskarżonego ni mniej, ni więcej tylko o zdradę stanu.

Arnau wybuchnął wesołym śmiechem, ho rzecz brzmiała doprawdy komicznie. Czy wszyscy wokół powariowali? Abraham, który nie sprawiał wrażenia w najmniejszym stopniu zaniepokojonego, wtrącił się do rozmowy:

-Brat Berenguer de Palmerola to jeden z moich współtowarzyszy podróży. Już wam o nim opowiadałem. Czy on, waszym zdaniem, naprawdę wierzy, że jestem zdrajcą?

-Ba! Żeby tylko tyle! Wierzy również, że okrutny z was morderca - odrzekł Dalmau.- Ktoś sprytnie wykorzystuje jego instynktowną nienawiść do waszego narodu, Abrahamie, ktoś, kto mu wmówił, że dy-biecie na głowę francuskiego monarchy.

Obaj starcy, którzy dopiero teraz zaczęli pojmować powagę sytuacji, siedzieli z otwartymi ze zdumienia ustami i oczami jak spodki.

- Ale kto mógłby uwierzyć w podobną bzdurę, wszak to obraza dla najbardziej choćby przeciętnej inteligencji! - wybuchnął zde gustowany Arnau. - Co mają znaczyć te głupstwa?

- Spokojnie, Arnau. Pozwól naszemu przyjacielowi dokończyć.

- Z tego, co mogłem wywnioskować - kontynuował Dalmau - francuski rycerz, który tak podjudził starego mnicha, i mężczyzna, który zaokrętował się w Limassol jako członek załogi waszego statku, to jeden i ten sam człowiek. Nazywa się Robert d'Arles. To nasz ulotny Cień we własnej osobie.

Na widok zgrozy malującej się na twarzach przyjaciół brat Dalmau bezzwłocznie zrelacjonował ostatnie wydarzenia, nie pomijając najdrobniejszych nawet szczegółów.

- Nie rozumiem doprawdy, jaką rolę odgrywa w tym wszystkim ów dominikanin ani dlaczego d'Arles tak bardzo interesuje się Abrahamem.
- Zielarz nie krył pomieszania. Zasłyszane dopiero co wieści za nic nie chciały mu się ułożyć w spójną całość.

- To proste, Arnau, ten cały Cień wykorzystuje chorą ambicję braciszka. Ale istotnie, skąd jego nagle zainteresowanie moją skromną osobą? Czego może ode mnie chcieć? - Abraham próbował zebrać myśli.

- Powiem wam, co myślę - wtrącił Dalmau. - Wydaje mi się, iż ktoś jest przekonany, że macie w swoich rękach to coś, co przewoził Guils, albo że przynajmniej wiecie, gdzie tego szukać. To jedyne wyjaśnienie, jakie mi się nasuwa, Abrahamie.

- Nie wiem, jak to wytrzymujecie, bracie Dalmau... same intrygi, spiski, zabójstwa, kradzieże...

- Ktoś musi, bracie - odparł Dalmau z rozdrażnieniem.

- Jest coś, czego nie potrafię pojąć, moi przyjaciele - Abraham nie zostawił zielarzowi czasu na gniewną reakcję. - Myśleliśmy, że przesyłkę Guilsa ukradł d'Aubert, nieprawdaż? A zatem dlaczego Cień szuka mnie? I co z tym tłumaczem z greki, którego tropi Guillem?

- Tak, macie rację, Abrahamie, możliwe jednak, że d'Arle-sowi zależy, aby nie pozostał przy życiu nikt, kto miał cokolwiek wspólnego z tą

sprawą - odrzekł Dalmau. - Możliwe, że wszyscy pasażerowie podróżujący tamtym statkiem z Cypru do Barcelony stali się przypadkowo niewygodnymi świadkami. Niczego nie jestem do końca pewien, ale trzeba zaostrzyć środki ostrożności. Dziś rano, kiedy dostałem ten anonim...

-To bardzo stara sztuczka, bracie Dalmau, czysta dziecinada - uważał zielarz.

- Wiem, wiem, ale tak czy siak, zupełnie mi się nie podoba, szczególnie jeśli d'Arles maczał w tym palce. Kto wie, moi drodzy, może to po prostu manewr mający odwrócić naszą uwagę. Musimy jednak zachować czujność. - Bardzo mi przykro, że tyle przeze mnie kłopotów... -Abraham był przybity, miał już dość przymusowego zamknięcia. Pragnął jedynie wrócić do domu, do własnych książek i laboratorium, przejść się po swojej dzielnicy i porozmawiać ze starymi przyjaciółmi z synagogi.

- Nie wy jesteście ich przyczyną, kochany Abrahamie, nigdy dość się wam nie odwdzięczymy za wszystko, co uczyniliście dla Bernarda - odpowiedział Dalmau, dostrzegłszy smutek lekarza.

- Macie jakiś pomysł? - Arnau wyglądał na zdenerwowanego.

- Tylko jeden, przyjacielu. Na początek chciałbym, abyście nie zwlekając, przenieśli się do moich komnat w wieży. Wzmocniłem strażę przy drzwiach, a także wysłałem pilny raport przełożonym, informując ich o knowaniach brata Berenguera. Nie podobają mi się pogrożki tego mnicha. Chyba powinien dostać porządną nauczkę.

- Sądzicie, że d'Arles odważy się wejść na teren domu zakonnego, bracie Dalmau?

- Nie wiem, on jest zdolny do wszystkiego. Jedyne, co możemy zrobić, to zastosować wszelkie możliwe środki ostrożności i zachować czujność, bracie Arnau. A teraz muszę już iść, przyjaciele, zobaczymy się później.

Brat Pere de Tever tkwił w kaplicy klasztornej, za plecami brata Berenguera. Klęczał tu od godziny, w skupieniu wpatrując się w swego zwierzchnika, który, wygodnie usadowiony, zdawał się podrzemywać. Ból w kolanach stawał się z każdą chwilą coraz dotkliwszy, a najmniejsze poruszenie wywoływało w udach ostry skurcz, którego macki sięgały aż do podstawy krzyża. Brat Pere wykonywał polecenie brata Berenguera: to on kazał mu w tej pozycji rozmyślać nad posłuszeństwem i pokorą, cnotami niezbędnymi u każdego dobrego dominikanina.

- Nie mam pojęcia, w którym z klasztorów was kształcono, ale źle się wywiązano z tego zadania. Wasze zachowanie pozostawia wiele do życzenia, bracie, a nade wszystko potrzebujecie solidnej porcji dyscypliny.

Brat Pere bez szemrania przystał na edukacyjne kaprysy starego mnicha. Zależało mu, aby wykazać się uległością, dowodząc tym samym absolutnego braku charakteru i osobowości. Najlepiej, by w ogóle zapomniano o jego istnieniu.

Do brata Berenguera zbliżył się znieścacka świecki brat i szepnął mu coś na ucho. Starzec dźwignął się z trudem, ale jego twarz zdradzała ekscytację, kiedy, zwracając się do brata Pere, warknął:

- Możecie się przespacerować po patio, gdyż mam do załatwienia sprawę wymagającą całkowitego skupienia. Kiedy jednak wrócę, bracie Pere, chcę was znowu widzieć tutaj, w kaplicy, na klęczkach. Ufam, że nie odważycie się zlekceważyć moich poleceń. Konsekwencje mogłyby okazać się dla was straszne.

- Oczywiście, bracie Berenguerze.

Stary dominikanin oddalił się pospiesznie. Brat Pere obserwował, jak zmierza w kierunku wznoszonej nieopodal świątyni. Chłopiec odczekał chwilę, rozglądając się wokół uważnie, po czym, z zachowaniem bezpiecznej odległości, ruszył za swym zwierzchnikiem. Robotnicy zakończyli już pracę na ten dzień, więc niezwykle spokój panował wśród dźwigarów i kamieni. Krzywizny łuków zarysowywały się z każdym dniem wyraźniej, coraz bardziej ograniczając widoczne poprzez nie skrawki nieba. W oddali, tuż obok siedmiobocznej apsydy, brat Berenguer witał się właśnie z francuskim rycerzem. Potem obaj zniecka zniknęli za ogromnymi blokami ciosanego kamienia starannie ułożonymi w jej wnętrzu. Brat Pere pospieszył za nimi ukradkiem: przemykał wśród lasu kolumn i usiłował nie czynić najmniejszego hałasu.

Zmierzchało już, toteż młody mnich stawiał kroki bardzo ostrożnie; od czasu do czasu wzdygał się neiwowo na widok przyjmujących dziwaczne kształty cieni rzucanych tu i ówdzie przez niedokończoną budowlę. Zanim, drżąc ze strachu, dotarł do sterty głazów, za którymi chwilę wcześniej skryli się obaj mężczyźni, kilkakrotnie się przeżegnał. O mało nie krzyknął, kiedy jedna z jego stóp osunęła się w jakąś dziurę, uświadamiając mu obecność w podłodze niedużej szczeliny. Krypta - pomyślał. Nie przyszło mu to wcześniej do głowy. Prawdę mówiąc, obawiał się, że ludzie, których śledził, zapadli się wprost pod ziemię i zniknęli za piekielnymi wrotami w oparach siarki. Jesteś przesądnym, tchórzliwym głupcem - skarcił się w duchu. Siedział na zimnej posadzce, z nogami zwisającymi w głąb otworu i sercem gwałtownie szamoczącym się w piersi. Jego łomotanie słysząc było z pewnością aż w klasztornych kuchniach.

- Boże miłosierny, daj mi siłę, abym nie zawrócił z drogi! - wyszeptał.

Zajrzawszy w głąb wypełniających prostokątne wejście ciemności, odkrył prowadzące w dół kamienne stopnie. Ponieważ nie dobiegał do niego najśłabszy choćby dźwięk, zsunął się, wyczuwając stopami pierwszy schodek. To nie musiało być wcale takie trudne. Jeśli nawet brat Berenguer mógł tędy zejść, jemu przyjdzie to z tym większą łatwością. Schyłony, aby nie uderzać głową w obniżający się strop korytarzyka, niepewnie postąpił jeszcze kilka kroków, po czym zdecydowanie ruszył w dół. Dotarł do dużej, pustej krypty. Na samym jej środku wznosiła się pojedyncza gruba kolumna, przywodząca na myśl palmę, której liście, pełnąc wzdłuż sufitu, stapiałyby się w jedno ze skałą. Wyglądało to pięknie i zarazem posepnie, jak gdyby w tej zamkniętej przestrzeni piękno nie mogło istnieć bez mrocznej domieszki. Brat Pere przystanął, oddychając miarowo. Przyzwyczajając wzrok do panujących wokół ciemności. Odblask światła po lewej stronie zwrócił jego uwagę na wąski korytarz odchodzący od krypty. Powoli ruszył naprzód, prowadzony teraz dobiegającym z daleka niewyraźnym szmerem głosów. Szedł, dotykając rękami skał po obu stronach, aż znalazł się w kolejnym pomieszczeniu, w którego ścianach otwierały się trzy wejścia podobne trzem żarłocznym paszczom. Zatrzymał się znowu, aby obejrzeć wyrzeźbiony w marmurze grobowiec, na którego widok aż podskoczył, zanim odkrył, że jest pusty i pozbawiony pokrywy, jakby dopiero cierpliwie czekał na swego przyszłego lokatora. Brat Pere skupił się, wsłuchując w dobiegające doń głosy niby Ulisses zaczarowany syrenim śpiewem. Z każdym krokiem słowa stawały się coraz wyraźniejsze.

- Myślałem, że mogę na was liczyć, bracie Berenguerze.

- I możecie, szlachetny panie, możecie bez dwóch zdań. Muszę jednak wyznać, że moje wysiłki nie przyniosły spodziewanych rezultatów. Cóż, przynajmniej do tej pory. Ci templariusze! Przekłęci, zadufani w sobie żołdacy! Mam nadzieję, że mój drobny manewr skłoni ich wreszcie do działania.

- Chyba żartujecie, bracie Berenguerze. Zdaje wam się, że z kim macie do czynienia? Z głupcami? Odnoszę wrażenie, że przeceniłem wasze możliwości.

- Spełniłem wszystkie wasze polecenia, panie, i starałem się was zadowolić.

- Tak, mój zacny przyjacielu, macie rację. Musicie mi wybaczyć. Sama myśl, że coś złego mogłoby spotkać mojego ukochanego monarchę, wyzwała we mnie najgorsze instynkty. Błagam o wybaczenie, nie powinienem był zwracać się do was takim tonem. Czy wciąż mogę liczyć na waszą pomoc, przyjacielu?

- Rozumiem was doskonale, panie, nie ma za co przepraszać. I oczywiście, że możecie liczyć na moją pomoc.

- Świetnie, doskonale, bracie Berenguerze. Trzeba nam pomyśleć o czymś przekonującym. Czas nagli.

Guillem po raz nie wiadomo który odczytywał pergaminy d'Auberta, Santos zaś obserwował go w milczeniu.

- To nie ma sensu - powtórzył młody templariusz.

- Być może inni się jakiegoś doszukają, chłopcze - odpowiedź Santos brzmiała niezmiennie tak samo.

- Możliwe, że macie rację. Dlaczego wcześniej nie przedstawiliście mi się swoim prawdziwym imieniem? - Pytanie zaskoczyło olbrzyma do tego stopnia, że przez chwilę wpatrywał się w młodzieńca ze zdumieniem. - Zdarzyło mi się śledzić pewnego Włocha. Podśluchałem wtedy wielce interesującą rozmowę, którą prowadził ze swoimi kompanami, między innymi na wasz temat. Z tego, co mówili ci rzymscy szpiegowie, zrozumiałem, iż żywią względem was głęboki szacunek. Nawet ich szef, którego nazywali monsignore, zdawał się poruszony, słysząc wasze imię. Jacques Bretończyk. Monsignore nalegał, aby was co prędzej zabili.

- Miałeś tę wątpliwą przyjemność i poznałeś monsignore? Nie daj się zwieść, tego indywiduum nikt ani nic nie jest w stanie poruszyć. Jego psychika nie dysponuje odpowiednimi mechanizmami. Gdzie padalca spotkałeś?

Guillem opowiedział więc o przygodach poprzedniej nocy, kiedy poszedł tropem Włocha zwanego Giovannim. Pod koniec nie potrafił powściągnąć triumfalnego uśmiechu na wzmiankę o tym, że właśnie unieszkodliwił pierwszego w swoim życiu papieskiego szpiega. Później powrócił do pytania, na które wciąż nie uzyskał odpowiedzi.

- Ale dlaczego nic mi nie powiedzieliście? Bernard zawsze uważał was za swojego najlepszego przyjaciela.

- Byliśmy przyjaciółmi, chłopcze, ale ty i bez tego masz już wystarczająco dużo problemów.

- Zamierzacie zabić d'Arlesa? Obaj z bratem Dalmau? - w głosie młodego templariusza brzmiała fascynacja.

- Trzymajcie się od Cienia z daleka, nie pchajcie palców między drzwi. - Santos zmarszczył czoło, a jego twarz przybrała ponury wyraz.

- To stare porachunki, które liczą się jedynie dla takich starców jak ja i Dalmau, nie mają natomiast nic wspólnego ani z wami, ani z tym, co się teraz dzieje. Bernard nie życzyłby sobie, abyście się w to mieszała, wysłałby was prościutko do Barbara, nie szcędząc porządnego kopniaka w tyłek.

- Dlaczego d'Arles was zdradził? - Guillem nie dawał za wygraną.

Jacques skrzywił się z niezadowoleniem, po czym zrezygnowany westchnął: chłopak zbyt się zaangażował, niełatwo przyjdzie się go pozbyć.

- Z chęci zysku, z chorej ambicji, z pychy? Dla samej przyjemności zrobienia tego? Nie wiem, chłopcze, i jego motywy nic mnie w tym momencie nie obchodzą. Zresztą spytajcie Dalmau, on zawsze był naszym mózgiem.

Jak na wezwanie w drzwiach zazgrzytał klucz, oznajmiając przybycie brata Dalmau, który stanął w progu z wyrazem oczekiwania na twarzy.

-Przykro mi, że tyle to trwało, ale sprawy komplikują się coraz bardziej. Skąd taki pośpiech?

Guillem bez słowa wskazał ręką stół, na którym leżały pergaminy. Oblicze brata Dalmau natychmiast się rozjaśniło.

- Udało wam się!

- Guillem nie jest przekonany, Dalmau, ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa są to papiery, które d'Aubert ukradł Bernardowi. Przyznał się do tego przed Matcem, a Mateo, nie bez oporów, opowiedział o tym nam. Lepiej jednak, żebyś sam rzucił okiem, bo to oszust, nie należy mu ufać.

- Nie popadaj od razu w pesymizm, Jacques. Jeśli to rzeczywiście pergaminy, które wiozł Bernard, nie ma powodów do zmartwienia. My mieliśmy je odzyskać, a nie rozszyfrować. Tym niech się zajmą osoby bardziej kompetentne.

-Chcecie powiedzieć, że listy napisano szyfrem, bracie Dalmau? - odezw^rął się Guillem.

- Ten chłopak uwielbia zadawać pytania - zadrwił Jacques. - Taki wiek.

- To już nie nasza sprawa, Guillemie, nie odpowiem wam z tej prostej przyczyny, że sam nie wiem.

- Tak najłatwiej, bracie Dalmau... - Guillem nie krył nieufności.

- Najłatwiej! W tej sprawie nic nie jest łatwe! Przez te papiery umierali ludzie, łała się krew! Krew naszych braci, chłopcze! - Rozdrażniony Dalmau wyładował swój gniew na młodszym bracie. Radość, z jaką przyjął odnalezienie pergaminów, znikła nagle bez śladu.

- Daj spokój, Dalmau, nie złość się na niego. Wyraża tylko swoje wątpliwości, a przecież w to, co z pozoru oczywiste, zawsze trzeba wątpić, pamiętasz?

- No nie, ty też, Jacques?

- Uspokój się, a sam przyznasz, że nasuwa się tu wiele pytań bez odpowiedzi, Dalmau. Niepokoi mnie zwłaszcza jedno. Sam pomyśl: d'Arles, zanim zabił d'Auberta, bezlitośnie go o wszystko wypytał. Wiedział więc, że d'Aubert ukradł pergaminy Guilsowi. Bo nie sposób zaprzeczyć, że to te same. Zgadzasz się, jak do tej pory? - Wciąż rozsierdzony Dalmau skinął głową, a Jacques kontynuował: - D'Arles wiedział też z tego samego źródła, że papiery trafiły do rąk tłumacza Ma-

teo... - Bretończyk zrobił długą przerwę, aby pozostali mieli czas przemyśleć jego słowa. - Pytanie, które mnie dręczy, brzmi: z jakiego powodu d'Arles nie pognał szukać Matea?

- Może nie potrafił go odnaleźć - gniewnie rzucił Dalmau.

- Mnie zajęło to pół godziny, Dalmau. Ten alfons w sutannie jest łajdakiem jakich mało, nie zadaje sobie jednak trudu, by się kamuflować. Ludzie d'Arlesa dorwaliby go w try miga. Zastanów się... Ten brak zainteresowania naprawdę wygląda podejrzanie.

- Czy sugerujesz, że nasz tłumacz w ogóle nie obchodzi d'Arlesa?

- Bo inaczej skąd taka opieszałość, bracie Dalmau? - wtrącił Guillem, nie dopuszczając Jacques'a do słowa.

- Wiemy przecież, że d'Arles tak samo jak my i monsignore interesuje się pergaminami. A jednak nie ściga Matea, żeby się do nich dostać. Dlaczego?

- Ściągał go po przypadkowym spotkaniu w mojej obergerzy. Ale przysięgałbym, że nie wysilił się przesadnie - dorzucił Jacques.

- O czym wy, do wszystkich diabłów, mówicie? Opowiedzieli mu więc o przebiegu rozmowy z klerykiem.

- Dalmau wydawał się niespokojny i zagubiony. Wydarzenia następowały po sobie błyskawicznie i beładnie, a poszczególne elementy układanki nie chciały się złożyć w żadną całość. Po chwili zastanowienia podzielił się z przyjaciółmi tym, czego sam się tymczasem dowiedział. Mówił o wizycie brata Berenguera i jego absurdalnych oskarżeniach, o spotkaniu z młodzieńcem i przerażonym dominikaninem oraz o przeprowadzce Abrahama i brata Arnau, których zaprosił do swoich komnat w wieży.

- Potem wszyscy trzej zamilkli, pogrążeni we własnych myślach, strapieni. Jacques przysiadł na krześle, opierając długie nogi o brzeg stołu. Dwaj pozostali bez słowa poszli w jego ślady. Wreszcie ciszę przerwał brat Dalmau.

- Trzeba się w każdym razie liczyć z taką możliwością, Dalmau. Powiedz, czy masz pomysł, jak wytłumaczyć zainteresowanie dArlesa Abrahamem?

- Przychodzi mi do głowy tylko jedno, pewnie to samo co i wam. D'Arles może myśleć, że Abraham coś wie albo coś ma. Jeśli cokolwiek łączy naszego przyjaciela z całą tą sprawą, to jedynie znajomość z Bernardem, fakt, że był przy nim do końca. Może dArles sądzi, że Guils w chwili agonii zwierzył się Abrahamowi z jakiegoś sekretu.

-Jeśli dArles podejrzewa, że pergaminy, które odnaleźliśmy, nie są autentyczne, to znaczy, że wie dużo więcej niż my - podsunął Guillem.

-Tak, może od tego wyjdźmy. - Jacques zdawał się budzić z letargu. - Przyjmijmy, że dArles śledził Guilsa już w Ziemi Świętej. Przyjmijmy, że Bernard zdawał sobie z tego sprawę. Wysiłmy więc mózgi i spróbujmy się zastanowić, jak Guils zachowałby się w takiej sytuacji.

- Odciągnąłby uwagę! - wykrzyknął Guillem. - Użyłby wszelkich sposobów, aby odciągnąć uwagę przeciwnika i skierować ją na coś zupełnie nieistotnego. To właśnie by zrobił, na pewno.

- Zgadzam się, chłopcze. Nie ma rady, musimy cofnąć się do początku, a w tej kwestii tylko ty, Dalmau, masz cokolwiek do powiedzenia. Co robił Bernard od momentu, kiedy wręczono mu dokumenty?

- Nie wiem - wyznał zbity z tropu Dalmau. - Wam się chyba zdaje, że bez mała kieruję tą operacją, ale nic bardziej mylnego. Wiem niewiele więcej od was.

-A zatem opowiedz nam to „niewiele więcej"! Niech to szlag, Dalmau!

- Guils dostał dokumenty w Akce. Potem zniknął. Oczekiwaliśmy go w porcie przez trzy dni, zanim w końcu przypłynął. W ciągu tych trzech dni myśleliśmy, że stało się coś złego. Podobna zwłoka nie leżała w zwyczajach Bernarda.

Mylicie się, bracie Dalmau - zaprotestował Guillem. - Guils wyznał mi spotkanie dokładnie na ten dzień, kiedy przybył do miasta, nie było zatem żadnej zwłoki. Zostałem uprzedzony tydzień wcześniej.

Trzy dni - zastanawiał się Jacques. - Nie wiemy, co wtedy robił i nie mamy czasu, żeby posyłać z pytaniem o to do Akki. Mógł być wszędzie i przygotowywać jedno ze swoich niespodziewanych zagrań.

- Może d'Arles coś na ten temat wie - bardzo cicho odezwał się Guillem.

- Jeśli tak, drań ma znowu przewagę. - Jacques zerwał się na równe nogi i chwyciwszy się za głowę, zaczął wielkimi krokami przemierzać pokój.

- Mam pomysł, zupełnie szatański pomysł! Przypomniał mi się list, który Guillem zostawił w domu kleryka.

- Też o tym pomyślałem, Jacques... - Guillem z uwagą wpatrywał się w Bretończyka, czując mrowienie w żołądku.

- O czym wy znowu gadacie, do cholery? - Dalmau nic nie rozumiał.

- Kto wiedział o śmierci Guilsa?

- Cały zakon, Jacques, takiej rzeczy nie da się długo ukrywać. Co zamierzacie?

- Rozpuścić plotkę, Dalmau, a na tym akurat trochę się znamy, nie sądzisz?

Niepokój brata Dalmau ustąpił miejsca niemiłej pewności. Popatrzył na swych towarzyszy, którzy czekali na jego zgodę i ostateczną decyzję. Zbierając pergaminy ze stołu i chowając je głęboko pod płaszczem, wstał i z rezygnacją skinął głową.

Giovanni krył się u stóp smukłych kolumn, wśród gruzów i kamieni. Piękny będzie ten kościół - rozmyślał. - Wszystkie zdobycze Zachodu zebrane w jednym miejscu, ostro mierzące w niebo łuki... Koniec z okrągłymi łukami. - Nuda pobudzała papieskiego szpiega do dalszych rozważań.

Wszyscy się zaraz rzucą naśladować nowinkę, niszczyć stare i budować od nowa... I tak w kółko. - Roześmiał się z własnego konceptu: z upływem lat coraz częściej zdarzało mu się filozofować. Był jednak z siebie zadowolony. Zdołał wyiropić nieuchwytnego Cienia tak sprytnie, że ten się nawet nie zorientował, co mogło oznaczać, że przekłety pyszałek zaczyna tracić głowę. Doszedłszy jego śladem aż do klasztoru dominikanów, Giovanni patrzył, jak d'Arles wita się z grubym mnichem, a następnie obaj znikają, pewnie w jakiejś krypcie. Wzorem gądzin, które poszukują co głębszych kryjówek, łajdak lubił nade wszystko miejsca ponure i wilgotne.

Po chwili ze swego prowizorycznego stanowiska obserwacyjnego dostrzegł ze zdumieniem młodego mniszka, który najwyraźniej zabawiał się w szpiega, bo przemykał od kolumny do kolumny i raz po raz

przypadał do ziemi, aby wychynąć kilka metrów dalej. Co on, do wszystkich diabłów, wyprawiał? Giovanni poczuł mimowolny przypływ sympatii: dzieciak zachowywał się tak samo niemądrze jak niegdyś, przed laty, on sam. Równie dobrze mógł stanąć na pierwszym lepszym kamieniu i zawrzasnąć co sił w płucach: „Hop, hop, tu jestem, kanalie, tak sobie stoję, żebyście mnie mogli dostać bez większych trudności!”. Giovanni ujrzał, jak młodziutki dominikanin zapada się i znika pod powierzchnią ziemi. Miał nadzieję, że chłopak nie zrobił sobie krzywdy przy okazji tego niespodziewanego zetknięcia z kryptą, zresztą zejście nie mogło być zbyt wąskie, w przeciwnym bowiem razie pękaty mnich nie dałby sobie rady.

Spotkanie z monsignore okazało się prawdziwym koszmarem. Od jego furii trzęsły się pałacowe ściany. „Przywlecż mi go tutaj wreszcie, beżyteczny głupcze! I ma być żywy, jeśli chcesz zachować głowę na właściwym miejscu, ty parszywy toskański ośle!”. Tak, monsignore pragnął d'Arlesa dużo bardziej niż tych przeklętych pergaminów, których zdawała się szukać połowa ludzkości. Co więcej, nie potrafił dłużej ukrywać swego opętania. Jego namiętność przerażała bardziej niż jego gniew, a zrozpaczony był jeszcze groźniejszy niż zwykle. I nigdy nie zapominał. Na tym polegała wielka pomyłka d'Arlesa, gdyż zadufany w sobie głupiec uwierzył chyba naprawdę w swoje nadprzyrodzone zdolności i zupełnie nie liczył się z konsekwencjami nienawiści, którą wzbudził. Tak, nie liczył się, to właściwe słowo: zaślepiiony pychą nie liczył się z niczym, i tak też pewnie miał umrzeć, zdumiony, że śmierć okazuje mu nader mało względów. Bo co do tego, że Cień wkrótce umrze, Giovanni nie miał żadnych wątpliwości, problemy zaczęły go osaczać ze zbyt wielu stron.

Raptownie skulił się za kolumną. D'Arles i gruby dominikanin wychodzili właśnie z krypty, pogrążeni w zażartej dyskusji. Mnich wyglądał na mocno wystraszonego. Po kilku minutach Cień pomknął

ku starym rzymskim obwarowaniom, a Giovanni dał znak swoim przyczajonym ludziom, aby nie spuszczała go z oka. Sam, patrząc uważnie w kierunku apsydy, czekał, aż młody dominikanin zdecyduje się wracać do klasztoru. Ale nikt więcej nie wyszedł z krypty. Gdzie się, u licha, podział ów domorosły szpieg?

Brat Pere de Tever wciąż nadstawiał uszu, przyklejony do ściany wąskiego korytarzyka, gdy nagle usłyszał, że odgłosy dyskusji zaczynają się przybliżać. Panika lodowatą falą podeszła mu do gardła. Należało się co prędzej cofnąć, uciekać. Ruszył więc z powrotem, początkowo ostrożnie, później na łeb, na szyję, ponieważ głosy przemieszczały się bardzo szybko. Brat Berenguer prawie krzyczał.

- Proście o rzecz niemożliwą, panie. Są pewne granice, nie mogę mieszać do tych spraw mojego zakonu.

Brat Pere dotarł do pomieszczenia z grobowcem, gorączkowo rozglądając się na boki, bez nadziei, że zdoła niepostrzeżenie przedostać się do wyjścia. W dodatku z przeciwnej strony dobiegła go inna rozmowa.

- Jak widzicie, ojczu, umieszczona centralnie kolumna podtrzymuje cały ciężar. Musicie tylko wskazać, w którym z korytarzy mamy umieścić nisze.

Młodzieńcem owaładnął nieprzewyciężony strach. Wzięty w dwa ognie rzucił się na prawo i zniknął w jednym z odchodzących od sali mrocznych tuneli, dokładnie w momencie, kiedy nieco dalej nastąpiło nieprzewidziane spotkanie.

- Bracie Berenguerze, co tu robicie?!

- Cóż za niespodzianka, czcigodny ojczu! Właśnie pokazywałem mojemu gościowi nasze dzieło.

Brat Pere biegł w ciemności, a trwoga dodawała mu skrzydeł. Zatrzymał się dopiero wówczas, gdy nawet najcichsze echo głosów zamarło w oddali. Upadł wtedy na zimne i wilgotne płyty z kamienia, szlochając i waląc pięściami w posadzkę. Musiał uprzedzić starego Abrahama, ocalić go przed złymi zamysłami. Próbując wstać, zdał sobie sprawę, że zgubił jeden z sandałów. Przeszywający ból w spuchniętej i zakrwawionej nodze kazał mu usiąść. Przerażony zaczął się czołgać. Trzeba było odnaleźć wyjście, uciec z tego wszechogarniającego mroku. Ale czy przesuwiał się we właściwą stronę? Leżąc na ziemi, zatracił poczucie kierunku i teraz nie miał pojęcia, w którą stronę się zwrócić. Boże - pomyślał - czy przypadkiem nie zagłębiam się tylko w jedną z tych żarłocznych paszczy?

Ciągnący wózek mężczyzna z wielkim garbem zatrzymał się przed głównym wejściem do domu templariuszy. Wyglądał na nędznego żebraka, jednego z tych, którzy szwen-dają się po mieście z całym dobytkiem, zbierając wszystkie znalezione po drodze odpadki. Na jego szyi wisiała ogromna zwierzęca kość niewiadomego pochodzenia. Szpieg d'Arlesa odwrócił się z niesmakiem. Dzień był długi i nudny, nogi dopominały się już zasłużonego odpoczynku. W dodatku przez ostatnie pół godziny oczy same mu się zamykały. Przekłęci żebracy - pomyślał - ci zawsze mogą liczyć w klasztorze na miskę ciepłej zupy! Przyglądał się, jak templariusz strzegący bramy dyskutuje z brudnym przybyszem, a potem niechętnie otwiera furtę i pozwala mu wejść. Tyłu ich się dzisiaj zlazło, że pewnie i zupy braknie - uśmiechnął się szpieg, ponownie opierając się o ścianę z zamiarem ucięcia sobie drzemki.

Znalazłszy się w środku, żebrak z westchnieniem ulgi pozbył się swego garbu, wywołując rozbawienie brata kucharza.

- Zawsze potrafisz mnie zaskoczyć, Jacques!

Ależ to mój stary przyjaciel, król pieczeni! Co tu robicie, bracie Ramonie?

- Wciąż żyję, jeśli o to pytasz, chłopcze. Rok temu opuściłem Palestynę i oto jestem.

Wózek ciągnięty przez Bretończyka poruszył się gwałtownie. Posypały się z niego łachmany oraz kawałki sprzętów, spomiędzy których wyłonił się wreszcie przykryty workami Guillem.

- Proszę, proszę, Jacques, widzę, że zagustowałeś ostatnio w magicznych sztuczках! - wykrzyknął ze śmiechem kucharz.

- Coś w tym rodzaju, bracie Ramonie. Skoro tylko znajdę wolną chwilę, odwiedzę was w kuchni. W brzuchu mi burczy jak zawsze, tyle że teraz czeka na nas Dalmau. Do zobaczenia zatem. I pilnujcie fajerek!

- Wszędzie macie przyjaciół, zupełnie jak Bernard - zauważył Guillem z lekką dozą zazdrości, podczas gdy kierowali się ku komnatom brata Dalmau.

- W pewnym wieku to naturalne, chłopcze. Choć oczywiście nikt ci nie broni myśleć, że mój ujmujący charakter działa cuda - zaśmiał się Jacques.

Rychło dotarli do komnat w wieży, ale ku swemu zdziwieniu zastali je zupełnie puste. Ani śladu brata Arnau czy Abrahama.

- A to co znowu? - huknął Bretończyk.

- Lepiej spytajmy, Jacques. Może się jeszcze nie przenieśli i wciąż są u brata Arnau. Nie mogli przecież ot tak zniknąć.

Jednakże wszyscy w^r domu zakonnym zgadzali się co do tego, że obaj starcy muszą siedzieć w którejś z komnat w wieży. Nikt nie wiedział, by wychodzili, nikt też nie potrafił wyjaśnić ich zniknięcia. Pięćdziesiąt po pięćdziu przeszukano wszystkie budynki w obrębie zakonnych murów. Jacques i Guillem zagłądali w najbardziej nieprawdopodobne nawet miejsca, ale Abrahama i zielarza nigdzie nie było. Strażnicy przy bramach zapewniali, że nikt nie opuszczał domu, poza bratem Dalmau, który jeszcze nie powrócił. Na centralnym dziedzińcu, przy studni, Guillem i Bretończyk spoglądali po sobie, niespokojni i zatroskani.

- To się nie dzieje naprawdę, chłopcze.

- Nikt nie słyszał, żeby opuszczali klasztor, więc co? Wyparowali? Przeniknęli przez ściany? - Guillem też nie dowierzał własnym zmysłom.

- To się nie dzieje naprawdę - machinalnie powtórzył Jacques.

Brat Pere de Tever znowu się zatrzymał. Ból stawał się coraz silniejszy, każdy ruch potęgował cierpienie. Chłopiec już kilkakrotnie zmieniał kierunek. Raz nawet uległ wrażeniu, że rozpoznaje kształt wystającego ze ściany kamienia. Kiedy indziej zdało mu się, że gdzieś z przodu, w oddali, błysnęło światło. Wszystko to były wszakże złudzenia, żadna z prób się nie powiodła i brat Pere, u kresu sił, ostatecznie zgubił się w ciemnym labiryncie. Dręczyło go pragnienie, całkowicie zatracił poczucie czasu. Wyczerpany, z twarzą wykrzywioną bólem, wyciągnął się na zimnych kamieniach, nie mając siły się poruszyć. Pomyślał, że umrze w tym miejscu, zupełnie sam, to ostatnie jednak nie wydało mu się zbyt istotne: był sam, odkąd sięgał pamięcią, i choćby nie wiadomo jak się wysilał, nie potrafił sobie przypomnieć twarzy matki, w głębi pamięci majaczyła jedynie niewyraźna, wpółzatarła postać. Nie wiedział, gdzie się znajduje i nie mógł liczyć na

niczyją pomoc. Brat Berenguer odkrył już zapewne jego nieobecność i szaleje z wściekłości. Nic nowego. Poza tym jakie to teraz miało znaczenie? Świetnie, przynajmniej nie będę go musiał więcej oglądać - pomyślał brat Pere, zanim zemdlął.

Wyraźnie rozgorączkowany Mateo pakował sakwę. Miejsce, w którym ich ulokowano, tylko wzmogło jego nieufność. Nieustannie zadawał sobie pytanie, kim byli tamci ludzie. Nie znał ich, nawet Santos zdawał się inny, jakby go przemieniono w całkiem obcą osobę. Mateo uświadomił sobie nagle, że właściwie widział olbrzyma jedynie kilka razy w życiu, tkwiącego na swoim stanowisku obserwacyjnym w oberży, nieodmiennie czujnego. Ani Santos, ani ten drugi nie wyjaśnili mu niczego poza tym, że jego życiu zagraża niebezpieczeństwo, ale to akurat sam doskonale wiedział. Wyczuwał je od chwili, kiedy zobaczył dwa trupy i kałużę lepkiej krwi, która rozlewała się w jego kierunku, jak gdyby usiłowała go dosięgnąć. Nie wspominając już o mężczyźnie z kuszą. Niepiśmienny prostak by zauważył, że nie wszystko jest w porządku. O nie, Mateo nie zamierzał ufać w takiej sytuacji nikomu, a już najmniej Santosowi i jego młodemu koleźce.

Zrobiłbyś znacznie lepiej, zostając tutaj, Mateo. - Kobieta stanęła za jego plecami znienacka, nie zdradziwszy się wcześniej nawet najbliższym szmerem.

- Niech cię diabli! Mówiłem tysiąc razy, żebyś tego nie robiła! A zresztą co cię obchodzą moje zamiary, suko parszywa?

- Myślę, że oni próbują ci pomóc, choć zachodzę w głowę dlaczego, bo na to nie zasługujesz. Poza tym masz rację: nic mnie nie obchodzą twoje zamiary ani to, co cię może spotkać.

Mateo odwrócił się z grymasem wściekłości i uderzył kobietę z całej siły, na odlew.

Nienawidził jej postarzałej, pomarszczonej twarzy, tak różnej od słodkiej buzi, która go niegdyś zachwyciła. Wówczas była niezwykle piękną dziewczyną i idealnie pasowała do jego planów. Przez całe lata dostarczała mu pokaźnych zysków, teraz jednak nie nadawała się już do niczego: ot, stary worek, w którym grzechotało jeszcze kilka kości. Jej widok przypominał mu poza tym nieuchronnie, jak bardzo sam podupadł. Nie mógł tego znieść.

Ktoś rzucił się na niego, wściekle bijąc i gryząc, a ostre paznokcie przeorały mu skórę. Mateo zawył z bólu, z trudem oderwał od siebie napastniczkę i posłał ją pod przeciwległą ścianę. Ta przekłeta dziewczka sprawiała same kłopoty od chwili swoich narodzin. Żałował nieustannie, że, poruszony łzami młodej matki, nie udusił bachora od razu, gdy przyszedł na świat. Wstrętna wiedźma! Wyładował więc na dziewczynie całą złość, kopiąc ją bezlitośnie tak długo, aż nogi odmówiły mu posłuszeństwa, a na podłodze pozostał bezkształtny ludzki łachman. Odetchnął z trudem. Jeśli ktoś go szuka, niech znajdzie te dwie, niech je zamęczy na śmierć, jeśli tak mu się spodoba. Nawet się nie domyśli, jaką mu właśnie oddał przysługę.

Złapał sakwę z dobytkiem i ukrył za pazuchą sporą sumkę pieniędzy. Miał dość złota, aby w razie potrzeby uciec choćby na koniec świata,

gdzie nikt go nie wytropi. Nawet nie spojrzał na kobietę, która wciąż leżała na ziemi z zakrwawioną głową i uporczywie weń utkwionym szklanym wzrokiem. Dziewczyna odzyskała już przytomność i czołgała się ku matce, a z jej gardła wydobywał się głuchy jęk.

Nie oglądając się za siebie, Mateo wyszedł na ulicę i zniknął za rogiem.

Giovanni poruszał się ostrożnie. Panujący w krypcie mrok nie stanowił dla niego problemu; szpieg świetnie orientował się w przestrzeni. Znalazł właśnie sandał porzucony tuż przed wejściem do jednego z korytarzy odchodzących od drugiej sali. Zagłębił się w wąski tunel, sunąc dłonią po ścianie z prawej strony, zapamiętując każdy występ i każdą szczelinę, które składały się w jego mózgu na szczegółową mapę. Coś zagroziło mu drogę tak nagle, że prawie się potknął. Schyliwszy się, stwierdził, że to zemdlony chłopak. Dotknął go delikatnie, a gdy wyczuł puls, wprawnymi rękami przesunął wzdłuż nieruchomego ciała w poszukiwaniu rany lub poważniejszego urazu. Młody dominikanin żył, tylko jedna z jego nóg była zdeformowana opuchlizną. Kiepsko upadł - pomyślał Włoch, unosząc głowę mnicha i wlewając mu do ust kilka kropel wody. Chłopak ocknął się natychmiast.

- Pomóżcie mi, pomóżcie! Kim jesteście? - zawołał przerażony.
- Spokojnie, chłopcze, nic się nie bójcie. Nie macie we mnie wroga.
- Zgubiłem się! Zgubiłem!
- Spokojnie, spokojnie. Skręciliście nogę, może nawet złamaliście. Nie frasujcie się jednak, wyciągnę was stąd. Wszystko w porządku.

Giovanni przerzucił sobie chłopca przez ramię i starając się nie urazić jego obolałej nogi, opuścił kryptę równie cicho, jak do niej wszedł. Znalazszy się na zewnątrz, schronił się za kolumnadą nieukończoną świątyni i posadził brata Pere na posadzce, opierając go o głazy.

-Posłuchajcie mnie uważnie, młodzieńcze. Obawiam się, że nie jesteście świadomi, na jakie niebezpieczeństwo się narażacie. Śledzenie tego typu ludzi nie należy do najszczęśliwszych pomysłów. To nie zabawa. Dobrze, że skończyło się tylko na skreconej nodze, bo mogło być o wiele gorzej.

-Kim jesteście? Dlaczego mi pomagacie? - Brat Pere powoli wracał do siebie.

- Jestem nikim, chłopcze. Lepiej, żebyście nie znali mojego imienia. A pomagam wam z tej prostej przyczyny, że i mnie niezbyt się podobają źli ludzie w rodzaju tych, których śledziliście. Pamiętajcie jednak, że gdyby któryś z nich zauważył, co czynicie, byłoby po was. Wiem, co mówię. Najlepiej, żebyście o całej tej sprawie natychmiast zapomnieli. Obiecujecie posłuchać mojej rady?

- Jesteście templariuszem?

Giovanni popatrzył na niego z sympatią. Wiedział doskonale, jakie wrażenie wywierała na młodych chłopcach sama myśl o białym płaszczu z czerwonym krzyżem. Rycerze krzyżowi, bohaterowie judejskiej pustyni, nieznający lęku przed nikim ani niczym. Tak, sam przed wielu laty pragnął należeć do ich grona, ale rodzina miała względem niego inne, niedobre plany. Potrząsnął głową, próbując odegnać przykre myśli.

- Dla was mogę być, kim tylko zechcecie, mój młody przyjacielu, to bez znaczenia. Teraz wszakże musimy pomyśleć, jak was najskutecz-

niej wybawić z kłopotu. Nikt nie może wiedzieć, gdzie się zgubiliście ani tym bardziej co robiliście w krypcie. Powiedzcie, w którym miejscu powinni was znaleźć współbracia, aby wzbudziło to w nich jak najmniej podejrzeń?

- Na patio za drzewami jest zakątek, w którym prawie nikt nie bywa. To niedaleko miejsca, gdzie brat Berenguer kazał mi na siebie czekać.

- Doskonale się składa. Powiecie, żeście upadli i z bólu straciliście przytomność. W ten sposób nawet nie skłamięcie.

Brat Pere uśmiechnął się. Giovanni podniósł dominikanina i zgodnie z jego wskazówkami zataszczył w ustalone miejsce, uważając, by nikt ich nie widział. Na patio pożegnał się pospiesznie.

- Nie zapomnijcie, co wam mówiłem: to bardzo niebezpieczna zabawa. Dość już bohaterskich głupot. Dajcie mi teraz dziesięć minut, abym zdążył zniknąć, i zaczynajcie wzywać pomocy.

- Poczekajcie! Nawet wam nie podziękowałem... Jesteście moim aniołem stróżem.

- Nie róbcie tego, chłopcze - odparł Giovanni ze smutkiem. - Nie dziękujcie mi, bo na to nie zasługuję. Nigdy nikogo przed niczym nie uratowałem. I trzymajcie się z boku. Obiecaliście!

Dalmau czekał. Ponieważ spotkanie przeciągało się ponad miarę, obawiał się najgorszego. Wyprostowując swe długie nogi, skrzywił się z bólu. Trzeba będzie znowu poprosić Abrahama o pomoc, stare gnaty dopominały się większej troski. Wszystko minęło tak szybko! W mgnieniu oka... Tylko zmęczone kości przypominały niekiedy o upływie lat, wysyłając ostrzegawcze sygnały. Długo, bardzo długo je

ignorował, udając, że wciąż jest tym samym zwinnym i silnym młodzieńcem co niegdyś, „rycerzem o głębokim umyśle”, jak żartobliwie nazywał go czasem Jacques. Dalmau uśmiechnął się do swych wspomnień. „Jeśli już ktoś musi pobiec, najlepiej niech to zrobi Dalmau, po co mielibyśmy się męczyć wszyscy?”. Biegał najszybciej, lubił mknąć niby strzała, czując w nogach niezwykłą moc i słysząc, jak wiatr z południa gwizdże mu koło uszu. Bernard, najlepszy jeździec. Jacques, olbrzym o sile byka. Gilbert, kochany Gilbert, niezrównany szermierz. Tak, tworzyli drużynę wszech czasów, bez dwóch zdań.

A potem, wraz ze śmiercią Bernarda, wszystko się błyskawicznie rozpręgåło, nic już nie było takie samo i Dalmau poczuł ciężar łąt, który nieoczekiwanie przygåł go do ziemi. Jedyne pamięć pulsowała żywo jak dawniej, dodając sił ciału i duszy. Wszystko poza przeszłością zesgåło na drugi pian. DARles, zdrajca przeklęty, wreszcie na wyciągnięcie ręki - pomyślał - a ze mnie taki obolały, żalсны worek! Mimo wszystko nie mógł sobie teraz pozwolić na podobne rozważania.

Dano mu znać, aby udał się do sali spotkań. Wstał, prostując się z trudem, i wszedł do komnaty, w której oczekiwało go trzech mężczyzn odzianych w płaszcze z czerwonym krzyżem. Wszyscy w skupieniu przeglądali dostarczone przez niego pergaminy.

- Uczyńcie nam ten honor, bracie Dalmau, i usiądźcie.

- Powiedzieliście, że te oto pergaminy, ukradzione Bernardowi Guilsovi przez złodziejzka nazwiskiem d'Aubert, odnaleźliście w domu tłumacza, niejakiego Matea.

- Tak powiedziałem, panie - przytaknął Dalmau. - Są to te same pergaminy, których tłumaczenie d'Aubert zlecił Mateowi.

- I w domu owego Matea nie natknęliście się na żadne inne dokumenty?

- Nie, panie.

- Obawiam się, bracie Dalmau, że nie są to pergaminy, których szukamy.

- Tak też przypuszczali moi towarzysze, panie.

- Jesteście pewni, że właśnie te, a nie inne dokumenty wiozł ze sobą Bernard?

- Szlachetni panowie, obecnie nie mogę być już pewien niczego... - Dalmau westchnął głęboko. - Świadcowie twierdzą jednak, że widzieli, jak d'Aubert okradał podróżnych na statku, a później, już na plaży, kręcił się koło nieprzytomnego Guilsa. Od Matea wiemy, że do zabrania Bernardowi tych papierów przyznał się sam złodziej. Okrutna śmierć, która go spotkała, pozwoliła nam podejrzewać, że idziemy właściwym tropem. Z drugiej wszakże strony mamy powody przypuszczać, że Bernard zaplanował wielką mistyfikację, aby odciągnąć uwagę przeciwnika. Może zauważył, że ktoś go śledzi, i przygotował pułapkę, by tego kogoś zmylić.

- To prawdopodobne, bracie Dalmau. Trzeba się cofnąć do początku i przeanalizować całą sprawę pod nowym kątem. Nie ma innego wyjścia.

- Musimy wiedzieć, co Guils robił od chwili, kiedy otrzymał przesyłkę. Do Barcelony przybył trzy dni po ustalonym czasie. Należy sprawdzić, co spowodowało tę zwłokę.

- Tego właśnie nie rozumiemy, bracie Dalmau, bo Bernard po prostu zniknął. Powinien był wsiąść na jeden z naszych statków zdążających

na Cypr, ale tego nie uczynił. W zamian za to przesłał wiadomość, w której donosił, że przejmuje pełną odpowiedzialność za powodzenie misji i że lepiej, aby nikt nie wiedział, co zamierza. Nie zaskoczył nas tym specjalnie, ponieważ zawsze wyróżniał się nieufnością i rozwagą, a od zdrady d'Arlesa nie dowierzał nawet nam. I dlatego go wybraliśmy. Był najlepszym z naszych ludzi. Ufaliśmy mu bezgranicznie.

- Być może ukrył prawdziwe pergaminy w jakimś sobie tylko znanym miejscu. - Dalmau próbował przeniknąć tok rozumowania Bernarda.

- To niewykluczone, bracie Dalmau, my jednak musimy zrobić wszystko, aby je odnaleźć, niezależnie od tego, ile czasu miałyby nam to zająć. Rozmawialiście z Guillemem?

- Nie, panie. Jeszcze nie. Sądzę, że lepiej by było najpierw zakończyć tę sprawę.

- To może potrwać kilka pokoleń, bracie Dalmau. Pomyślcie, że miejsce Bernarda wciąż pozostaje puste, a przecież chłopak był szkolony po to, aby je kiedyś zająć. Możliwe jednak, że w tym też macie słuszość. Śmierć przyjaciela spadła na niego bardzo niedawno. Darny m u nieco czasu a potem, jeśli okaże się to konieczne, nie wy, lecz ktoś inny go o wszystkim powiadomi.

- To nie będzie konieczne, panie, sam się tym zajmę kiedy nadejdzie stosowna chwila.

- Doskonale, bracie Dalmau, miejmy nadzieję, że potrafimy się zgodzić co do kwestii, kiedy owa chwila nadejdzie

ROZDZIAŁ XI

PLOTKA

Miły i szlachetny bracie, babcie, iżbyście odrzekli prawdę na wszystkie pytania, które wam postawiliśmy. Gdybyście bowiem choćby o włos od niej odstąpili, moglibyście utracić dom, przed czym niech Bóg was ustrzeże.

Rozdrażniony cisnącym się zewsząd tłumem, Mateo pospiesznie przemierzał Mercadal. Słyszał, jak tuż przed nim kilku kupców kłóci się o cenę pszenicy, utrudniając mu przejście, zupełnie jakby plac należał wyłącznie do nich. A cóż go mogły obchodzić ceny ziarna? Parszywi złodzieje! Odepchnął ich gwałtownie, gniewnym spojrzeniem dając poznać, że przeszkadzają. Kupcykowie jednak nie zamierzali się nawet obrazić i wyśmiawszy jego maniery, powrócili do przerwanej dyskusji. Mateo przedzierał się dalej, w kierunku Via Francisca i kościoła Marcusa. Chciał jak najprędzej dotrzeć do przykościelnej stacji, gdzie zatrzymywali się zazwyczaj podróżni i posłańcy z pocztą; pracował tam bowiem jego dobry znajomy, winien mu kilka drobnych przysług, za które teraz, jak liczył, zechce się pewnie z nawiązką odwdziaczyć. W miarę jak Mateo zbliżał się do kościoła, dostrzegał wokół siebie coraz więcej żebraków. Przyszło mu do głowy, że to już pora wydzielania suchego chleba, do którego, przy odrobinie szczęścia, dostawało się miskę gorącej zupy. Jeśli, oczywiście, godziło się nazywać zupą podobne pomyje.

Wszedłszy do budynku, będącego czymś pośrednim między gospodą a szpitalem, bezskutecznie próbował wyłowić wzrokiem swojego zna-

jomka. Zajrzał więc tu i tam, a następnie zagadnął człowieka, który nadzorował chyba rozlewanie zupy.

- Przykro mi, dobry człowieku, wasz przyjaciel opuścił nas dawno temu i nie mam pojęcia, gdzie powinniście go teraz szukać. Chcecie miskę gorącej zupy?

Rozzłoszczony tą odpowiedzią Mateo zażądał pokoju, w którym mógłby spędzić nadchodzącą noc. Nie spodziewał się, że napotka przeszłości zmuszające go do całkowitej zmiany planów. Ufał, że przyjaciel zaopatrzy go w wierzchowce konieczne do podróży. Musiał wszak co prędzej uciekać z miasta. Na samą myśl, że w zaistniałych okolicznościach przyjdzie mu za konie zapłacić, czuł się wręcz chory. Mógł się jednak tego spodziewać: jego znajomy był łotrem jakich mało, winnym przysługi połowie ludnej przecież Barcelony, a znikanie bez spłacenia zaciągniętych długów należało do jego specjalności. Mateo rzucił się na posłanie, przekonany, że za nędzny pokoik, w którym się znajdował, zapłaci fortunę. Potrzebował jednak samotności, aby zastanowić się co dalej. Nie miał też najmniejszej ochoty dzielić pokoju z jakimś cuchnącym kmiotkiem, bo takiego bez wątpienia przydzielono by mu do towarzystwa. Kiedy ostatni raz zawitał do tego przybytku, spędził bezsenną noc za przyczyną przeraźliwego chrapania pewnego handlarza wełną, który w dodatku śmierdział jak stado owiec.

Był zmęczony całodzienną bieżąną i oczy same mu się zamykały. Może utnie sobie krótką drzemkę, żeby później przemyśleć wszystko z tym większą jasnością. Delikatne pukanie do drzwi zmusiło go wszelako do podniesienia powiek. A któż to znowu, do wszystkich diabłów? Jeśli jeszcze raz ten dureń zbierający datki na szpital, dam mu taką nauczkę, że długo mnie popamięta... Podniósł się z trudem, nogi bolały go okrutnie, prawie ich nie czuł.

Już mówiłem, że nic wam nie dam. Żebracy przekłęci! Zostawcie mnie wreszcie w spokoju! - wrzasnął przez drzwi.

Gorąco przepraszam za najście, panie - z drugiej strony odezwał się uprzejmy głos - ale kazano mi was powiadomić, że przyjaciel, którego szukacie, jest na dole, w jadalni.

Senność w jednej chwili odbiegła kleryka. Lepszych wieści nie mógł doprawdy usłyszeć. Szachraj zapłaci mu teraz za wszystko, i to z procentem. Otworzył drzwi: brutalnie popchnięty natychmiast upadł na wyrywki z wyrazem niebotycznego zdumienia na twarzy.

- Ależ... Co to ma znaczyć?

- Nareszcie! Mateo, nie przypuszczacie nawet, jak bardzo pragnąłem was poznać.

Mateo wytrzeszczył oczy, wstrząśnięty wtargnięciem intruza, którego rysów sobie nie przypominał, choć owszem, coś w nich wydawało mu się znajome. Zanim zdołał otrząsnąć się z resztek snu po nieudanej drzemce, potworny cios w szczękę ponownie wtrącił go w nieświadomość.

- Dobrze i dobrze... Wcale niedobrze! Już nas pewnie wszędzie szukają. To czyste szaleństwo, Abrahamie! - Brat Arnau bardzo się niepokoił. Cóż, kiedy upór lekarza okazał się nie do przewyciężenia i na nic się zdały wszystkie rozumne przestrogi.

- Jesteśmy tam, gdzie powinniśmy, Arnau, tam gdzie nas potrzebują.

Widząc, że nic nie poradzi, zielarz westchnął tylko głęboko i z rezygnacją, po czym usiadł na stojącym w pobliżu krześle i zaczął obserwować przyjaciela. Od dłuższego czasu ciągle rozmyślał nad trudnością położenia, w którym się znaleźli. Próbował uporządkować fakty,

poczynając od poranka, kiedy zamierzali się właśnie przenieść do komnat brata Dalmau w wieży. Otrzymał wówczas wiadomość, że ktoś niecierpliwie oczekuje go przy bramie, ktoś bardzo uparty, kto zapewnia, że nie ruszy się na krok, nie zamieniwszy z nim kilku słów. Pełen nieufności zgodził się wysłuchać gościa, którym okazał się nie kto inny, tylko kupiec Camposines.

- Nie znacie mnie, bracie Arnau, ale podróżowałem z Abrahamem i muszę go natychmiast zobaczyć. Obiecał kiedyś, że pomoże mi w potrzebie, a teraz bardzo potrzebuję pomocy i... - Mężczyzna umilkł nagle i się rozplakał.

Poruszony Arnau zaprowadził go do jednej z komnat i, wygodnie usadziwszy, zmusił do wypicia kubka mocno przyprawionego wina. Wedle słów Abrahama, które sobie przypominał, kupiec był dobrym człowiekiem i wybawił starego lekarza z poważnego kłopotu, pomagając mu zabrać Bernarda z plaży. Arnau nie rozumiał jednak przyczyn jego obecnej rozpacz.

Przyjacielu, powiedzcie mi, co was trapi, być może i ja potrafię wam pomóc.

Nikt poza Abrahamem nie potrafi, bracie Arnau. Muszę z nim pomówić.

- Dlaczego sądzicie, że go tutaj znajdziecie?

-Jeden z jego sąsiadów podpowiedział mi, abym zapytał o niego w waszym zakonie. W dzielnicy żydowskiej nikt nic o nim nie wie, niektórzy sądzą nawet, że nie wrócił jeszcze z Palestyny, ale, na miłosierdzie boskie, ja muszę go odnaleźć!

-Ale po co? Wybaczcie moją niedyskrecję...

-Moja córeczka! Moja biedna córeczka umiera! Wróciłem zbyt późno. Panie, tyle starań i cierpień, a wszystko na nic! To kara za to, że tak mało pomogłem Abrahamowi. A teraz on nie może pomóc mnie... - Utraciwszy ostatnią nadzieję, zrozpaczony Camposines szlochał rozdzierająco.

Brat Arnau przyglądał się temu wybuchowi desperacji i nie miał pojęcia, co czynić. Nie wiedział, czy przyznając, że Abraham istotnie kryje się w domu zakonnym, nie wystawi go na zbyt niebezpieczeństwo. Zanim podjął decyzję, stary Żyd zniecka stanął w drzwiach i chociaż Arnau próbował go zawrócić nagłymi gestami, wkroczył do komnaty bez wahania.

- Camposines, mój przyjacielu! Co się stało?- Starzec podszedł do kupca z otwartymi ramionami. Camposines rzucił się ku niemu z rozpaczliwym łkaniem, dziękując Opatrzności, że jednak udało mu się go spotkać. Później, rwącym się głosem i bez żadnego porządku, próbował wyjaśnić, w jak ciężkim stanie znajduje się jego córeczka.

- Nie frasujcie się bez potrzeby, przyjacielu, ruszamy niezwłocznie. I nie traćcie nadziei. Dzieci zwykle zdrowieją łatwiej niż dorośli, możecie mi wierzyć - rzekł Abraham z przekonaniem i dodał, zwracając się do zielarza: - Arnau, będziesz musiał wziąć kilka rzeczy ze swojego laboratorium, a także moją torbę.

- Ależ... Czyś ty zupełnie zwariował?! - Arnau nie potrafił powściągnąć swojej reakcji, czym znowu przeraził nieszczęsnego Camposinesa, któremu dopiero co zdążyła zaświtać nadzieja. - Wiesz, że nie możesz opuścić tych murów, Abrahamie! Nie pozwolę ci na to!

- Wiem jedynie, mój drogi, że ktoś mnie potrzebuje, i tylko to się liczy, nic więcej.

Wszelkie błagania i groźby zielarza, który usiłował odwieść Abrahama od szaleńczego planu, spełzły, rzecz jasna, na niczym. Nic nie pomogło: ani ostrzeżenia, że jego zdrowie nie wytrzyma tej eskapady, ani wizja czyhających na zewnątrz śmiertelnych niebezpieczeństw. Wreszcie znużony jałową gadaniną Arnau dołączył po prostu do wyprawy, upierając się, że nie odstąpi przyjaciela na krok i nie zawaha się za nim podążyć choćby do samiutkiego piekła. Wykrzykując te i tym podobne zapewnienia, na które nikt nie zwracał uwagi, brat Arnau zabrał z laboratorium trochę rzeczy, torbę Abrahama oraz wszystko, co, jak uznał, mogło im się przydać. Stary lekarz rad był najwyraźniej z jego towarzystwa i nie sprzeciwiał się nawet proponowanym przezeń niezliczonym środkom ostrożności. Mieli opuścić dom templariuszy przez jedno z sekretnych wyjść: przy bramie głównej kręciło się bowiem tyłu szpiegów, że pojawienie się tam oznaczało w gruncie rzeczy samobójstwo. Poza tym Abraham koniecznie powinien się przebrać. Arnau pobiegł do brata odpowiedzialnego za garderobę i przytaszczył wszystko, czego tylko mógł potrzebować najprawdziwszy templariusz.

Dziwny to był orszak. Na czele szedł Arnau, za nim Abraham w przebraniu rycerza, z tyłu zaś zdumiony Camposines, raz po raz przechodzący od rozgłośnych łkań do cichej rozpaczki. Przemknęli podziemiami pospiesznie, niby przestępcy, poza klasztorne mury, a wszystko zgodnie z zaleceniami zielarza, który nie przestawał mruzczeć pod nosem najwymyślniejszych przekleństw. Wychynęli na boży świat dopiero przez kryptę kościoła San Justo y Pastor, po czym bez zwłoki ruszyli ku oddalonemu nieco od centrum miasta domowi Camposinesa.

Brat Arnau ciągle odczuwał skurcz w sercu na samo wspomnienie tej ucieczki. Siedząc z głową wspartą na rękach, spoglądał na biedne dziecko wyciągnięte na posłaniu i dygoczące w malignie. Mimo wszystko rozumiał Abrahama, jego poświęcenie i poczucie odpowie-

działności. Skulony w kącie Camposines obejmował żonę; oboje śledzili każdy ruch lekarza, który walczył właśnie o życie ich córeczki.

Komnata przeora zakonu dominikanów odznaczała się surowością. Pośrodku stał ciemny dębowy stół, którego prosta pozbawiona ozdób forma przydawała wnętrzu klasztornej powagi. Wysokie krzesło o twardym oparciu i wielki drewniany krzyż dopełniały umeblowania pokoju. Siedzący na krześle wysoki i szczupły mężczyzna o mocno przerzedzonych włosach nie odrywał małych, blisko osadzonych oczu od swego rozmówcy. Nie wypuszczał z rąk papierów, które zdawał się jednocześnie przeglądać, jak gdyby te dwie czynności wzajemnie się nie wykluczały.

- Cóż, bracie Berenguerze...

- Widzicie, ojcze przeorze, obawiam się, że stylistyka tego raportu pozostawia wiele do życzenia, ale, niestety, przydzielony mi przez was pomocnik okazał się nic niewart. To lekkomyślny młodzik i...

- Nie interesuje mnie wasz raport. Nie teraz - sucho uciął przeor. - Interesuje mnie głównie to, czym się zajmujecie obecnie, bracie Berenguerze.

- Nie rozumiem, ojcze.

- Nie próbujcie przede mną udawać, bracie Berenguerze, znamy się już wystarczająco długo. Doszły mnie wieści, że rzucacie na wiatr niezwykle poważne oskarżenia i że poważyliście się nawet na groźby.

Słyszac te słowa, brat Berenguer zaniemówił. A więc ten przeklęty, pyszałkowaty templariusz próbuje mu bruździć, wywleka na światło dzienne jego zamysły! Najwyraźniej wzmianka o możnych przyjacio-

łach nie zrobiła na nim odpowiedniego wrażenia. Należało się zatem jakoś wytłumaczyć.

- To bardzo delikatna sprawa. Zamierzałem właśnie skonsultować się z wami i prosić o radę - zaczął ostrożnie.

- Wciąż jeszcze nie oduczyliście się kłamać, bracie Berenguerze. Podjęliście decyzję, nie konsultując się z nikim, powodowani jedynie chorą ambicją, tym samym przyczyniając naszemu zakonowi poważnych kłopotów.

- To nieprawda! - wrzasnął brat Berenguer, straciwszy nad sobą panowanie. Jego pokora znikła bez śladu. - Uwierziliście kłamliwemu bezbożnikowi, który pragnie tylko szkalować moje dobre imię, zadufanemu w sobie templariuszowi, który śmiał mi wręcz grozić!

- Teraz ja nie rozumiem. O kim mówicie, bracie Berenguerze?

- Sami doskonale wiecie, ojcze, o człowieku, który odpowiada za sprawy handlowe zakonu templariuszy, o ich skarbniku.

- Macie na myśli brata Dalmau? Skąd go znacie? To człowiek godny szacunku, niejednokrotnie doradzał nam w procesach o ziemię. Cóż ma on jednak wspólnego ze sprawą, o której rozmawiamy?

Na twarzy starego mnicha odmalowało się osłupienie: tylko Dalmau mógł wiedzieć, że podjął się pomocy francuskiemu rycerzowi. O czym więc, u licha, mówił przeor?

- Powierzyłem wam brata Pere de Tever, abyście otoczyli go opieką, bracie Berenguerze, tak w kwestiach duszy, jak i ciała. A czego się dowiaduję? Chłopiec przebywa obecnie w skrzydle szpitalnym. Nie tylko upadł, poważnie uszkadzając sobie nogę, lecz ponadto brat pielęgniarz zauważył rozległe rany na jego kolanach. Zapytany przeze mnie o ich

przyczynę brat Pere przyznał, bardzo zresztą niechętnie, że w ramach kary zmuszaliście go do klęczenia przez długi czas. Nie to jest wszakże najgorsze, bracie... Kiedy znaleźliście go w półzemdlonego na ziemi, nie dość, że nie pomogliście mu, jak należało, ale groziliście w dodatku wydaleniem z zakonu, oskarżając o kłamstwo i symulację. Co macie mi na ten temat do powiedzenia, bracie Berenguerze?

- Żałuję, że muszę z wami o tym mówić, ojcze. Otóż młodzieniec ten odznacza się wyjątkową krnąbrnością i od samego początku tylko przysparzał mi kłopotów. Tak, nie przeczę, doświadczenie podpowiadało mi, że udaje. To kłamca i symulant. - Brat Berenguer próbował ukryć zaskoczenie. Przez chwilę sądził, że przeor łaje go za konszachty z Francuzem, gdy tymczasem chodziło jedynie o tego chłystka, który nie przestawał zatruwać mu życia. - Na domiar ziego, o czym nie zamierzałem wam donosić, chłopak zniknął w dniu naszego powrotu i...

- Nikt nie zniknął, bracie Berenguerze. Brat Pere, na wyraźne życzenie naszego bibliotekarza, pomagał przy księgozbiornicy. Posiada zadziwiającą jak na swoje lata wiedzę, tak że bardzo się przydał. Poza tym zbiera same pochwały i nikt, oprócz was, nigdy się nie skarżył na jego charakter. Nie proszę zatem o waszą opinię, bracie. Obawiam się, że nie pozostaje ona tajemnicą dla żadnego z mieszkańców naszego klasztoru. Pragnę jedynie wyrazić swój sprzeciw względem tego, jak traktujecie brata Pere. Najwyraźniej zdaje się wam, całkowicie zresztą błędnie, że to wasz służący. W związku z tym, począwszy od dziś, będziecie się musieli obejść bez pomocnika. Od powrotu nie pracujecie nad niczym pożytecznym, a wasza noga nawet nie postąpiła w bibliotece. Czy mógłbym poznać powód tego stanu rzeczy, bracie Berenguerze?

- Miałem przecież przedstawić wam raport, ojcze, zdać relację z podróży i opowiedzieć o wrażeniach, liczyłem, że...

- Napisałiście już wszakże jeden raport, bracie Berenguerze, sążnistą epistołę, która dotarła do nas na długo przed wami. Przeczytawszy ją, sądziłem, że zawiera ona wszystko, co mieliście do przekazania. Powątpiewam, czy potrafilibyście dodać coś wartego uwagi. Nie widzę więc powodów, które miałyby wam przeszkodzić w powrocie do dawnych obowiązków. A teraz możecie się już oddalić, nie mam wam nic więcej do powiedzenia.

Brat Berenguer podniósł się z twarzą wykrzywioną ze złości. Panował nad sobą z wielkim trudem. Zanim jednak zdążył wyjść, przeor znów się odezwał:

- A tak swoją drogą, co brat Dalmau ma wspólnego z tą sprawą? I w ogóle zakon templariuszy?

Pytanie zaskoczyło brata Berenguera już w drzwiach. Umysł mnicha niemal się zagotował od rozpaczliwego wysiłku, by znaleźć stosowną odpowiedź.

- Widzicie, ojcze... Jak sami zauważyliście, znacie mnie doskonale. Wszystko przez mój charakter. Dziś rano, gdy natknąłem się na brata Dalmau na ulicy, poniosły mnie nerwy. Nie zachowałem się zbyt uprzejmie, wściekłość mnie zaślepiła i... Sądziłem, że złożono na mnie skargę. Przykro mi, ojcze. Jak tylko znów go spotkam, poproszę o wybaczenie. Jeśli pozwolicie, udam się teraz na modlitwę.

Żegnając mnicha, przeor przyjrzał mu się z uwagą i nieufnością, a po jego wyjściu zadumał się głęboko. Reakcja brata Berenguera na spotkanie z templariuszem była zdecydowanie przesadna, a jej wytłumaczenie - po prostu śmieszne. I jeszcze ten dziwny gość. „Dziwny”, tak ocenił przybysza brat furtian. Przełożony barcelońskich dominikanów obawiał się, że to nie koniec kłopotów z bratem Berenguerem. Co ten człowiek znowu knuje? Bo że coś knuje, to nie ulegało wątpliwości, przeor znał

go wystarczająco długo, aby wiedzieć, że, jeśli zniża się do pokory, musi szykować coś szczególnie paskudnego.

Zapukał po raz kolejny. Pomału zaczynał się niepokoić: przecież surowo zakazali im wychodzić. Chwycił klamkę i zdziwił się, gdy natchmiast ustąpiła: wszak mieli się zamykać na oba rygle. Ostrożnie wszedł do środka. Rudowłosa klęczała na podłodze i obejmowała nieprzytomną na pierwszy rzut oka matkę, łagodnie kołysząc ją w ramionach i nucąc niesłyszalną prawie melodię, zupełnie jakby odprawiała jakiś pogański obrzęd.

Guillem w milczeniu przyglądał się tej scenie. Kleryk zniknął, po należących do niego rzeczach nie pozostał nawet ślad. Młody templariusz powoli podszedł do dziewczyny i schylił się, szukając w leżącej bezwładnie kobiecie znaku życia, choć odcień, jaki przybrała jej skóra, pozwalał zgadnąć, że śmierć zabrała ją już przed kilkoma godzinami. Później przysiadł w kącie, nie spuszczać oczu z rudowłosej, która zdawała się całkowicie nieświadoma jego obecności, jakby przebywała w świecie tak samo odległym od realnego jak jej matka. Ten parszywy łajdak Mateo uciekł i porzucił je na pastwę losu! Powinien był to przewidzieć, powinien był posłuchać mądrych przestróg Santosa. „Ciężko będzie psiego syna upilnować” - uprzedzał olbrzym. Guillem ciągle nie potrafił używać w stosunku do niego imienia Jacques, a Santos pasowało doskonale. Teraz musiał się jednak skoncentrować na nowym problemie. Czy warto tracić czas na poszukiwania Matea? W gruncie rzeczy sam wydał na siebie wyrok śmierci, gdyż Cień nie pozwoli żyć naoczniemu świadkowi zdarzeń, to nie leżało w jego zwyczajach. Tylko co zrobić z dziewczyną? A jeśli d'Arles nie zadowolony się klerykiem i zechce się na wszelki wypadek rozprawić także z jego kobietami? Czy zostawić dziewczynę własnemu losowi? Guillem przyjrzał się jej z uwagą. Była piękna. Postrzępione łachmany kryły młode, harmonijnie zaokrąglone ciało. Gwałtownie potrząsnął głową. Bernard nigdy się

jasno nie wypowiedział w tych sprawach. Młodzieniec przypomniał sobie pewną piękną damę z Tuluzy i wypad, które uskutecznił Guils, kiedy był przekonany, że jego uczeń śpi już głęboko, oraz jego niechęć do poruszania tej kwestii. „To bardzo skomplikowane, Guillemie, dzieciak jesteś, więc przestań zadawać pytania. Pogadamy, jak ci broda urośnie, łobuzie, teraz masz inne tematy do rozmyślań”. Ale kiedy pierwszy puszek pokrył policzki Guillem, Bernard nie chciał dotrzymać obietnicy, choć wciąż zniknął od czasu do czasu na dwa albo i trzy dni, podczas których jakby się zapadał pod ziemię. Jego uczeń miał wszakże powody, aby przypuszczać, że w razie potrzeby znalazłby go w Tuluzie. Tak po prawdzie Guillemem, bardziej niż ekscytacja, powodowała ciekawość. Wiedział oczywiście, że reguła zakonu jest pod tym względem bardzo surowa i zakazuje całować nawet matkę czy siostrę, z drugiej jednak strony widział niejedno, a nie pozwalał sobie osądzać bliźnich. Zgodnie z naukami Bernarda uważał, że lepiej obseiwować, niż oceniać, bo zdrowsze to zarówno dla ciała, jak dla umysłu i duszy.

Zapatrzył się na dziewczynę, zadając sobie pytanie, co, u licha, ma teraz począć. Nie było zbyt wielu możliwości. Wstał i niechętnie ujął ramię rudowłosej. Nie chciała oderwać się od matki.

- Ona nie żyje, nic już nie możecie dla niej zrobić. Musimy stąd iść. Pociągnął dziewczynę ku wyjściu, byle dalej od tego koszmaru. Zaniechała wreszcie oporu i pozwoliła się wlec, nie odpowiadając jednak na żadne pytania. Zanim dotarli do drzwi, Guillem znalazł stary płaszcz z kapturem, którym okrył swą towarzyszkę. Później objął ją ramieniem i oboje zniknęli. Gęsta, zimna mgła opadła na tę część miasta, powlekając wszystko wilgocią. Nieliczni przechodnie wyglądali niczym ulotne zjawy, pojawiające się i rozplywające pośród oparów. Zapach odpadków mieszał się z ciężkim i mokrym powietrzem, które zdawało się wypływać wprost z otwartych grobów.

- Nie znam was, nie wiem, czego ode mnie chcecie.

Mateo próbował opanować strach. Siedział na parapecie okna wychodzącego na wewnętrzne patio zawieszony sznurami z suszącą się bielizną, a ręce i nogi związane miał szorstką marynarską liną. Widok pościeli w dole, pranej tak wiele razy, że w końcu upodobniła się do zwykłych szmat, upewnił go, że cena za pokój była czystym zdzierstwem. I co właściwie zamierzał ten typ? Wyrzucić go przez okno? Kleryk oszacował szybko, że odległość z parapetu do ziemi nie przekraczała trzech metrów, w najgorszym razie mógł więc złamać sobie nogę albo zaplątać się w te paskudne prześcieradła. Przekonany, że napastnik blefuje, postanowił odmawiać wszelkiej współpracy. Nie chciał przyznać, że go zna, że pamięta doskonale, jak umykał przed jego kuszą w oberży Santosa.

Chciałbym, abyście mi wytłumaczyli, co to ma znaczyć? - D'Arles trzymał w dłoni papier, ten sam, który Guillem położył na stole w domu kleryka.

- Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówicie - odparł Mateo ze złością.

- D'Arles wyciągnął spod płaszcza gruby sznur i naprężył go, jakby próbując jego wytrzymałość. W pokoju rozległo się kilka suchych trzasków. Prowadząc rozmowę, Cień ani na chwilę nie przestawał bawić się liną.

- Nie lubię tracić czasu, Mateo, jestem człowiekiem nad wyraz zajęтым. Znalazłem ten list w twoim domu. Zaadresowano go moim imieniem. Kto go tam zostawił?

- Przyszło do mnie dwóch ludzi, zabrali pergaminy d'Auberta, więc już ich nie mam, jeśli o nie wam chodzi. Ukradli mi je.

- Nie interesują mnie twoje papierzyska, Mateo, poza tym nie o to pytałem. Dlatego powtórzę: kto zostawił tę wiadomość?

- Nie zwróciłem uwagi. Bili mnie, torturowali... Ale któryś z nich, jak przypuszczam.

D'Arles skończył splatać pętlę. Podszedł do kleryka i założył mu ją na szyję, a następnie cofnął się o krok, jakby zachwycony swoim dziełem. Mateo zalał się potem. Zaczynał rozumieć, że ten człowiek nie zamierza wyrzucić go przez okno, tylko powiesić. Powiesić! Zmusił się do szybszego myślenia. Nie miał pojęcia, jakiej odpowiedzi się od niego oczekuje, nie pamiętał też żadnego listu. Trzeba było nakłamać, powiedzieć dokładnie to, co ten typ chciał usłyszeć.

- Dwóch ludzi? Jak wyglądali?

- Pamiętam jednego: był olbrzymi, bardzo wysoki, z potworną blizną.

- Santos? Oberżysta z Błękitnego Delfina? - spytał d'Arles, sztywniejąc.

- Tak, to był Santos... - Mateo zachowywał ostrożność, obawiając się rozgniewać napastnika. - A ten drugi... No nie wiem... Był młodszy.

- Nie zauważyłeś czegoś szczególnego? Czegoś, co by go odróżniało od innych? - głos d'Arlesa znowu zabrzmiał groźnie.

- Nie wiem, o co wam chodził - zawył Mateo.

Czy miał jedno oko? Czy ten drugi był jednooki?

- Tak. Był! Teraz sobie przypominam! - Mateo odetchnął z ulgą. Wreszcie wiedział, czego od niego chcą.

- Jesteś pewien? Absolutnie pewien?

- Takich rzeczy się nie zapomina, panie. Mogę wam też powiedzieć, gdzie mnie zaprowadzili. Na pewno tam wrócą, sami wiecie... Pilnowali mnie. Więc bez wątplenia ich tam spotkacie, jeśli to oni was interesują.

- Więc gdzie cię zaprowadzili? - głos d'Arlesa stał się niemal uprzejmy.

Kleryk nie przestawał intensywnie myśleć. Ten typ szukał nie jego, tylko tych głupców, którzy go wyciągnęli z domu. Szczególnie zależało mu na jakimś jednookim. Jeśli więc życzył sobie jednookiego, Mateo zamierzał mu go dostarczyć na srebrnej tacy.

Wyszeptał adres kryjówki i dokładnie wytłumaczył, jak do niej dotrzeć. Wtedy zobaczył, że mężczyzna podchodzi bliżej, aby zdjąć mu pętlę z szyi. Odetchnął z satysfakcją: rozegrał tę partię po mistrzowsku. Zawsze był prawdziwym znawcą zachowań ludzkich, dzięki czemu po raz kolejny miał wyjść cało z opresji. Jednakże gest mężczyzny od kussy szybko przekonał go, że się myli: nadzieja nie trwała dłużej niż chwilę, zniweczona natychmiast nagłym pociągnięciem za sznur, który niczym wąż zacisnął się na szyi kleryka, niemal go dusząc. D'Arles popatrzył na okno, na widniejące się za nim patio i uśmiechnął się z ironią. - Doskonale, Mateo, wybrałeś odpowiednie miejsce. Gwałtownie popchnął kleryka, który, z powodu tuszy, zaklinował się na moment we framudze. W końcu jednak własny ciężar pociągnął go w dół. Wytrzeszczone oczy ofiary znikły z pola widzenia d'Arlesa, a przywiązany do jednej z belek sznur napiął się z nieprzyjemnym trzaskiem. Mateo nie zdążył nawet krzyknąć.

D'Arles starannie uporządkował łóżko. Nienawidził bałaganu. Jego twarz przybrała niespokojny wyraz. Czy możliwe, że Guils nie umarł? To by po trosze tłumaczyło, dlaczego zakon uparcie trzyma Abrahama

w zamknięciu i nie pozwala mu się z nikim kontaktować. Być może wcale nie chodziło o to, aby go chronić, lecz o to, aby ukryć fakt, że Guils żyje. Tylko w jakim celu?

Giovanni obserwował, jak ciało Matea opada ciężko w dół, niby worek mąki, i zawisa w powietrzu, kołysząc się na wszystkie strony. Odsunął się od okna w samą porę. D'Arles wyrzwał bowiem z pokoju kleryka, aby podziwiać swoje dzieło. Włoch znajdował się w pomieszczeniu obok. Na pospiesznie przysposobionych posłaniach spało dwóch mężczyzn zupełnie nieświadomych jego obecności i tragedii, która rozegrała się kilka chwil wcześniej. Nie wyglądało na to, aby cokolwiek mogło ich obudzić. Giovanni oparł się o ścianę tuż przy oknie. Udało mu się nie uronić ani słowa z rozmowy, którą d'Arles przeprowadził z klerykiem. Bernard Guils żyje? Gdyby to była prawda, Cię znalazłby się w poważnych tarapatach. Bretończyk i Dalmau sami w sobie stanowili diabelski duet, a przy Guilsie stawali się śmiertelnie niebezpieczni. I d'Arles zdawał sobie z tego sprawę.

Włoch wciąż za dobrze nie wiedział, jaką strategię przyjąć. Działał intuicyjnie, pozwalając się unosić fali zdarzeń. Nie stawiał się przed obliczem monsignora, nie powiadomił go też, że jego ludzie odnaleźli d'Arlesa i ciągle deptali mu po piętach. Nie potrafiłby wyjaśnić, dlaczego tak postąpił, żywił jednak niezłomne przekonanie, że na to wszystko przyjdzie jeszcze czas. Zastanawiał się teraz co dalej. D'Arles popadł w zupełną izolację, jedynym ogniwem łączącym go z rzeczywistością był stary dominikanin, niejaki brat Berenguer. Choć kto wie, czy nie należało już uciąć i tego kontaktu. Prawdę mówiąc, pomoc mnicha okazała się niewielka i marnej jakości. Barcelona nie jest terenem Cienia - pomyślał z zadowoleniem Giovanni. Wręcz przeciwnie, grunt palił się tu d'Ariesowi pod stopami, a miasto aż się roiło od żądnych zemsty dawnych towarzyszy. Oczywiście zawsze istniała możliwość, że spryciarz znowu się wymknie i schroni w jednej ze swych kryjówek. Tylko

czy pozwoli mu na to Karol d'Anjou, znany despota? Nie, mowy nie ma, te nieszczęsne pergaminy miały zbyt duże znaczenie dla wszystkich: dla Karola, dla papieża i dla zakonu. Bez nich d'Arles nie mógł się pokazać swemu panu na oczy, żadna wymówka nie pomoże mu się wyłgać z tej sprawy. Ale na razie nic jeszcze nie było przesądzone, ani jeden ruch do końca pewny i żaden głos nie podpowiadał papieskiemu szpiegowi, jak się zachować. Postanowił zatem porzucić jałowe rozmyślania i raz jeszcze zdać się na intuicję, dokądkolwiek miałyby ona go zawieść. Właśnie nakazywała, aby zająć się bratem Berenguerem. Monsignore ma rację w jednej jedynej kwestii - stwierdził Giovanni. - Zbyt wiele osób się koło tego kręci.

Chyba trzeba zacząć oczyszczać pole. Spokojnie opuścił pokój. Choć trzaśnięcie drzwiami, oznajmiające ucieczkę d'Arlesa, rozległo się już chwilę wcześniej, nie było powodów do pośpiechu: czekający przed domem ludzie pójdą jego tropem. Nadeszła pora, aby porozmawiać z monsignore.

Jacques Bretończyk stanął w progu jak wryty. Za jego plecami Dalmau przyjął to pomrukiem niezadowolenia.

- No, świetnie... Można wiedzieć, na co czekasz
- Odnoszę wrażenie, że mamy coraz więcej kłopotów Dalmau.

Jacques wszedł do środka przed następującym mu na pięty zdenerwowanym bratem Dalmau i pochylił się nad ciałem kobiety Matea.

- Boże, miej nas w swej opiece! Co to ma znaczyć? I gdzie jest reszta? Gdzie jest Guillem?

Bretończyk nie odpowiedział. Piędź po piędzi dokładnie przeszukał całe pomieszczenie. Gdy skończył, jego twarz wyrażała głębokie z troskanie.

- Tylko tego nam brakowało. Ta kobieta nie żyje, Dalmau, i to wedle wszelkich danych już od jakiegoś czasu. Abraham i Arnau zniknęli. Całkiem nieźle! I gdzie się podział chłopak?

Słyszac energiczne pukanie, obaj drgnęli nerwowo. Jacques dał przyjacielowi znak, aby zachował milczenie, a sam ostrożnie podszedł do drzwi i uchylił je odrobinę, kładąc jednocześnie dłoń na rękojeści miecza. Za progiem czekał człowiek w podeszłym wieku. Podnosił właśnie pięść, którą najwyraźniej zamierzał walić do wrót aż po dzień Sądu Ostatecznego.

- Na wszystkie... A ty skąd się tu wzięłeś?!

- Prosto z piekła, Jacques, prościutko od Lucyfera. A co? Myślałeś, że już mnie robaki ze szczętem zeżarły? - Mężczyzna wkroczył do pokoju, odsuwając z drogi skamieniałego ze zdumienia Jacques'a. - Co tam, Dalmau?

- Na rany Chrystusa! To ty, Mauro? Myślałem że nie żyjesz od lat! - wykrzyknął nie mniej zaskoczony Dalmau.

- Przykro mi, że was rozczarowałem, chłopcy. Bernard trzyma mnie przy życiu, czasem w czymś w rodzaju letargu, ale jednak. Przyszedłem zabrać ciało i przekazać wam wiadomość od Guillem'a de Montclar.

- Bernard nie żyje, Mauro. Nic nie słyszałeś? - Dalmau wyglądał na zaniepokojonego.

- Eee... Żywy czy martwy... Jakie to ma znaczenie? Ja tylko spełniam jego rozkazy. - Staruszek spoglądał na nich z porozumiewawczym uśmiechem.

- Gdzie jest Guillem? Co to za wiadomość? - Jacques, który znał filozoficzne ciągotki Maura, zaczynał się niecierpliwić.

- Nie mam zielonego pojęcia, gdzie jest teraz, ale kazał wam powiedzieć, że ma się doskonale i żebyście się o niego nie martwili. Twierdzi, że trafił na nowy trop w związku z pergaminami i że zamierza go zbadać. Wy możecie się tymczasem spokojnie zająć wyrównywaniem starych rachunków, bo jemu nie starczy czasu, żeby się wtrącać, chociaż, mimo waszych oporów, chętnie by to zrobił. Skontaktuje się z wami, jak tylko będzie mógł. Koniec wiadomości. - Mauro wyrecytował poślanie jednym tchem, dla lepszej koncentracji przymknąwszy oczy.

- A cóż to za nowy trop? - usiłował dociekać Dalmau.

- Lata mijają, a ty zawsze ten sam, Dalmau - odparł Mauro, nie kryjąc ironii. - Powiedziałem: koniec wiadomości, bo nic więcej nie wiem. Ja tylko przenoszę trupy i wiadomości, nie próbuję wyjaśniać tajemnic ani jednych, ani drugich. To już wasze zadanie, nie moje. Chociaż właściwie Guillem dodał jeszcze jedno. Że mógłbym wam pomóc w tym lub owym, gdybyście chcieli, bo to niezbyt dobrze, że Bernard pozwala mi na tak długi letarg, kiedy potrzebowałbym się czasem nieco rozruszać i...

Bernard nie żyje, Mauro - powtórzył wyraźnie zdenerwowany Dalmau.

- A gdzie jest dziewczyna? - wtrącił nagle Jacques.

- Cieszy mnie poniekąd, że i wam forma nie dopisuje, chłopcy... - Staruszek westchnął. - No bo jedno z dwojga; albo ogólnie z wami

kiepsko, albo zwyczajnie ogłuchliście na starość. Możecie pytać, ile wam się żywnie podoba, Jacques, ja po prostu nie mam już odpowiedzi na żadne pytania.

Mauro otworzył drzwi i wpuścił dwóch młodych ludzi. Dalmau i Jacques usunęli się na bok, pozwalając, aby nowo przybyli zakrzętnęli się wokół ciała nieszczęsnej kobiety. Tragarze owinęli je delikatnie w Iniane prześcieradło i podniósłszy, zniknęli tak samo cicho, jak się pojawili.

- Co z nią zrobicie, Mauro? - zaciekawił się Dalmau.

- Wreszcie pytanie, na które potrafię odpowiedzieć! Otóż pochowamy ją, jak to się zresztą zwykle czynić ze zmarłymi. Oczywiście pochowamy ją, jak należy; żadne anonimowe groby ani nic z tych rzeczy. Guillem bardzo wyraźnie sobie tego życzył. Godny pochówek po życiu pełnym cierpienia, przynajmniej to jej się należy, szlachetni panowie. Cóż, gdybyście mnie potrzebowali, zostawcie wiadomość w młynie przy klasztorze Sant Pere de les Puelles. Ktoś stamtąd da mi znać.

Mauro zaśmiał się na widok niepokoju malującego się na twarzach obu templariuszy, nie dodał już jednak nic więcej. Skinąwszy głową na pożegnanie, wyszedł z pokoju.

- Przysięgłbym, że od dawna nie żyje - mruknął Dalmau.

- O ile pamiętam, nie pierwszy raz zmartwychwstaje w tak spektakularny sposób. To jeden z najwierniejszych ludzi Bernarda. I nie zapominaj, że zawsze sobie stroił żarty na temat swojej nieśmiertelności. Może lubi nas zaskakiwać.

- Będziemy chyba musieli zmienić plany, Jacques. Nieobecność Guillega wiele komplikuje. Wszyscy postanowili sobie nagle zniknąć! To nie do pomyślenia!

- Nie spiesz się tak z sądami, mój drogi - odparł Jacques, ubawiony oburzeniem brata Dalmau. - Może to i lepiej. Przecież sami chcieliśmy odsunąć Guillemę od naszych porachunków, a teraz choćby nie wiem co, i tak nie możemy już zmienić zdania.

- Masz rację, tyle że sprawa pergaminów i sprawa d'Arlesa pospłatały się do tego stopnia, że przestałem rozróżniać, gdzie się kończy jedna, a zaczyna druga.

- I właśnie dlatego dobrze się stało, że chłopak sam się usunął, Dalmau. Przez te cholerne pergaminy zapominamy o najważniejszym i tracimy rozeznanie. Wszystko się miesza bez ładu i składu i to nas od samego początku oddala od celu.

- Może i masz rację, sam nie wiem... - Dalmau wciąż żywił jakieś wątpliwości.

- Dalmau, musisz dokonać wyboru. Lojalność wobec zakonu nakazywałaby szukać tych przeklętych dokumentów, przysięga natomiast zmusza nas do ścigania d'Arlesa. Nie możesz łączyć tych dwóch spraw, nawet jeśli w głębi duszy właśnie tego byś sobie życzył.

Dalmau rozmyślał ponuro. Wydawało mu się zawsze, że wszystko jest jasne, co potrafił doskonale wytłumaczyć nawet przełożonym: jeśli nadarzała się ku temu sposobność, wyrównanie dawnych rachunków wysuwało się na pierwszy plan. A teraz, kiedy już się nadarzyła, on się wahał. Jacques zdawał się rozumieć stan ducha przyjaciela.

- Dalmau, daj spokój, to bez znaczenia, minęło wiele lat... Poza tym każdy ma prawo zmienić zdanie.

- Ty nie zmieniłeś! - uciął Dalmau. - Czujesz dokładnie to samo co tamtej nocy. Bernard, gdyby żył, też czułby to samo.

- Tego akurat nie możesz być pewien - cicho i łagodnie odparł Jacques.

- Sam wiesz, że nie mogę zrezygnować. Może to zresztą tylko strach, lęk, że się jest na to za starym, Jacques, że się nie zniesie kolejnej porażki i że cTArlesowi znowu uda się uciec... Moje nogi straciły dawną szybkość, przyjacielu, ból zastąpił sprężystość ruchów. To tylko strach, Jacques. Zwyczajny śmierzący strach, nic więcej.

- A zatem jesteśmy w tej samej sytuacji, Dalmau... - Bretończyk podszedł bliżej i uściśnął przyjaciela. - Dwa przerażone stare zgredy snujące wredne plany. Ale chyba nie powinniśmy się przesadnie zamartwiać, szczególnie po tym, jak dołączył do nas nie kto inny, tylko sam nieśmiertelny Mauro.

Dalmau obrzucił go poważnym spojrzeniem, ale już chwilę później wybuchnął szaleńczym śmiechem. Jacques bezzwłocznie poszedł w jego ślady. Śmiech pomagał odegnąć czający się w głębi duszy starch

- Do wszystkich diabłów, Jacques, co za głupia sytuacja! Tyle blizn i po co, pytam się. Żeby teraz liczyć na Maura i jego armię duchów? Zauważyłeś, że mówiąc o Bernardzie, używa czasu teraźniejszego? - Dalmau, wciąż się śmiejąc, ocierał łzy z oczu. Nagle jednak znowu spoważniał, jakby zalała go kolejna fala niepokoju. - W każdym razie trzeba wymyślić nowy plan, bez chłopca.

- Zapomnij o Guillemie. Nasz plan jest genialny, wymaga tylko drobnych przeróbek.

- Drobnych przeróbek! Chyba oszalałeś! - obruszył się Dalmau. - Guillem odgrywał kluczową rolę. Nie mamy czasu, żeby szukać kogoś, kto się zgodzi na podobne wariactwo. Poza tym gdybyśmy nawet zna-

leżli, nie moglibyśmy mu, szczerze mówiąc, udzielić zbyt wielu wyjaśnień.

- Uspokój się i pomyśl. Nie musimy nikomu udzielać żadnych wyjaśnień, bo też i nikogo nie potrzebujemy, rozumiesz? - Jacques przyglądał się przyjacielowi z uwagą, oceniając jego wzrost i posturę. Obchodził go przy tym dookoła i raz po raz kiwał głową. Dalmau zaczął pojmować jego zamysły. - Na wszystkie świętości! Nie! To się nie uda, Jacques.

Monsignore był wzburzony. Jego elegancka, uszyta z najlepszego jedwabiu sutanna aż powiewała, gdy nerwowo przemierzał komnatę. Czarne rękawiczki leżały na stole i Giovanni nie potrafił oderwać wzroku od rąk swego mocodawcy: dłonie te, niegdyś tak piękne, że stanowiły prawdziwy powód do dumy, dawno już przestały nim być. Zdeformowane, o czerwonym odcieniu, przypominały teraz bardziej szpony jakiegoś podziemnego monstrem. Możliwość oglądania monsignore bez rękawiczek trafiała się niezwykle rzadko, niewielu miało ku temu okazję. Giovanni nie znał dokładnie okoliczności wypadku, wiedział jednak, że d'Arles maczał w tym palce. Pamiętał jedynie, jak słysząc wycie, wpadł do tamtej komnaty. Monsignore płonął niby żywa pochodnia i wykrzykując jak szaleniec imię d'Arlesa, rozpaczliwie próbował gasić na sobie odzienie. Szaty kryły przed ludzkim okiem ślady po oparzeniach, ale dłonie... Tylko rękawiczki mogły przysłonić to okropieństwo. Za zdemaskowanie podwójnej gry, jaką prowadził d'Arles, zawsze płaciło się słono. Z zamyślenia wyrwały Giovanniego słowa monsignore.

- A co ten Berenguer de Palmerola ma wspólnego z interesującą nas sprawą? Skąd w ogóle wziął się ten głupiec, Giovanni?

- D'Arles spotkał się z nim kilkakrotnie. Z tego co wiem, wynika, że usiłuje wykorzystać mnicha przeciwko wam...

- Przeciwko mnie! - przerwał niecierpliwie monsignore. - Daj spokój, Giovanni, cóż on może mi zrobić, nie bądź naiwny.

- Monsignore, odnoszę wrażenie, że nie wszystko bierzecie pod uwagę. Papieża nie ma już w Rzymie, a i tam dybią na was potężni wrogowie. Karol d'Anjou nie może dłużej tolerować waszych wpływów, w dodatku trzyma papieża w garści. Lepiej o tym nie zapominać. Waga sprawy, którą się teraz zajmujemy, nie powinna wam przeszkodzić w realnej ocenie sytuacji.

- Doskonale się w niej orientuję, Giovanni, nie trzeba mi politycznych doradców. Cóż więc takiego d'Arles miałby wykorzystać przeciwko mnie?

- To dość delikatna kwestia, monsignore. Zrelacjonuję wam tylko jego ostatnią rozmowę z dominikaninem i sami ocenicie, czy warta jest uwagi. - Widząc na twarzy przełożonego oczekiwanie i ciekawość, Giovanni zaczerpnął powietrza i zaczął opowiadać: - D'Arles, tonąc we łzach skruchy, przedstawił bratu Berenguerowi dramatyczną historię odrażającego uwiedzenia, którego padł ofiarą, historię gwałtu, którego rzekomo dokonać miano na jego ciele i duszy. Twierdzi, że wykorzystując właściwe młodości zaufanie i niewinność, nadużyliście swoich względem niego praw, a wasza perwersyjna lubieżność stała się przyczyną okrutnych cierpień, jakie znosił przez długie lata. Zapewniał, że nie jest w stanie borykać się z tym dalej w milczeniu i dlatego postanowił zawierzyć życzliwemu sercu brata Berenguera, aby ten o zaistniałych wypadkach powiadomił, kogo należy. D'Arles zaklinał się, że chce w ten sposób oszczędzić podobnych udręk innym młodzieńcom i...

Giovanni zamilkł na chwilę, przyglądając się, jak po twarzy monsignore przemykają kolejno wściekłość, zdumienie, żal, strach i zgroza.

- I - podjął - martwił się, czy aby zdąży na czas. Podejrzewa rzekomo, iż wielu z waszych podwładnych, zwłaszcza tych bardzo młodych, cierpi z powodu waszej nienasyconej chuci.

- Łajdak przeklęty! Diabeł musiał porwać duszę tego parszywca już w chwili jego narodzin!

- Nie wiem tylko, monsignore - ciągnął niewzruszenie Giovanni - na co jest się w stanie odważyć brat Berenguer: nie należy do szczególnie znanych osobistości, nie ma żadnych wpływów ani...

- To nieważne, głupcze¹. Nie mogę pozwolić, aby ten łajdak d'Arles wywołał teraz skandal. Drobnym błędem, Giovanni, jeden drobnym błędem i wszyscy moi wrogowie rzucają się na mnie jak sępy.

- Zajmę się tym, monsignore. Bratem Berenguerem nie musicie się martwić, nikt nie zauważy jego zniknięcia.

- Nie - stanowczo i bezwzględnie uciął monsignore. Nie zdoławszy ukryć pomieszenia, usiłował wszakże zachować kontrolę nad sytuacją. - Niczym się nie zajmiesz, Giovanni. To moja sprawa. Jedyne, czego od ciebie chcę, to żebyś mi tu przywłókł tego parszywego kłamcę, ten pomiot diabelski, tego... Po stokroć przeklinam jego imię! Przyrowadź mi go tutaj, o wszystkim innym zapomnij. A teraz już idź, muszę pomyśleć. Precz, powiedziałem!

Giovanni powoli cofał się ku drzwiom zbity z tropu reakcją, jaką wywołały jego słowa. Chciał wyryc sobie w pamięci obraz tego stojącego właśnie na skraju ruiny człowieka. Poza tym najlepsze zachował na koniec. Przystanął.

- Jeszcze jedno, monsignore... chodzą plotki, że Bernard Guils żyje.

Odczekał chwilę, ale po raz pierwszy od wielu lat monsignore nie umiał znaleźć odpowiedzi, wpatrywał się tylko w swego szpiega, najwyraźniej oszołomiony. Giovanni odwrócił się więc na pięcie i skierował ku drzwiom, nie potrafiąc powściągnąć szerokiego uśmiechu. Był całkowicie usatysfakcjonowany.

W zaułku nieopodal domu templariuszy jeden ze szpiegów d'Arlesa walczył z ogarniającą go nudą. Nikt nie wchodził do klasztoru ani z niego nie wychodził, nawet żebracy jakoś się nie spieszyli po swoją codzienną porcję suchego chleba. Mężczyzna oparł się o mur; bolały go nogi i czuł, że cały zeszywniał. Pomyślał, że może trzeba wreszcie poszukać innej pracy, znaleźć dobrą kobietę, ożenić się, mieć dzieci i wrócić w rodzinne strony. Zaczynał mieć dosyć podróży i tego przekłętogo, obrzydliwie wilgotnego miasta. Na dodatek jego mocodawca zmienił się ostatnimi czasy, siał postrach i zachowywał się jak, nie przymierzając, szaleniec i furiat. Szpieg przypomniał sobie ze zgrozą, jak d'Arles zabił jednego z jego towarzyszy tylko dlatego, że nie spodobały mu się przyniesione przezeń wieści. Zaklął nieszczęśnika niby wieprza i nikt nie umiał go powstrzymać, odciągnąć czy choćby przekonać, że ofiara już od dobrej chwili nie żyje.

Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach na wspomnienie tej jatki. Z d'Arlesem było coraz gorzej, powoli przestawał nad sobą panować, zagrożając nawet tym, którzy mu służyli. Zresztą nigdy za nim nie przepadał, ale potrzebował pracy, a ta akurat okazała się wyjątkowo dobrze płatna. Wielka brama domu templariuszy otworzyła się nagle, przerywając tok rozmyślań szpiega, który wyprostował się natychmiast i wyteżył wzrok. Z podcieni wyszło dwóch ludzi, z których każdy prowadził za uzdę wierzchowca. Mężczyzna od razu rozpoznał Jacques-

'a Bretończyka, trudno go bowiem było z kimkolwiek pomylić, ale ten drugi...

- Na wszystkie świętości! - mruknął szpieg. - Czyli to prawda, co powiadano, plotki nie kłamały. Toż to Guils, Bernard Guils we własnej osobie.

Przyjrzał mu się z uwagą. Guilsa okrywał ciemny płaszcz z kapturem głęboko nasuniętym na oczy, ale mimo to wyraźnie dało się dojrzeć czarną opaskę przesłaniającą jedno z nich. Pomyłka nie wchodziła w grę, widywał Guilsa już wcześniej. Templariusz wychudł nieco, ale to wciąż był on.

Szpieg przyłgnął do ściany, oddychając z trudem. To się z pewnością nie spodoba d'Arlesowi, a kto wie, do czego w swym szaleństwie gotów się posunąć. Zanim zdążył ochłonąć, podszedł do niego jeden z towarzyszy. - Widziałeś go? Widziałeś? - wyszeptał. Szpieg skinął głową. Popatrzyli po sobie z zabobonnym lękiem w oczach, po czym ten drugi wyciągnął z kieszeni monetę.

- Orzeł czy reszka?

- Reszka! - odparł szybko, zdając się na ślepy los. Moneta zawirowała w powietrzu. Przyglądali się jej, wstrzymując oddech. - Reszka! - wykrzyknął ten drugi ze strachem. Mężczyzna obserwował go, jak się oddala, przerażony i przybity. Nie wiedział, czy ujrzy go jeszcze przy życiu, nie potrafił jednak powstrzymać westchnienia satysfakcji. D'Arles wścieknie się teraz jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe. Bo nie chodziło już o zwykłą plotkę, widzieli przecież Guilsa na własne oczy, nie pozostawał nawet cień wątpliwości. Bernard żył i tym razem nie zamierzał zapewne przepuścić przekłębemu d'Arlesowi. Mężczyzna głębiej zaszył się w kąt. Nieodwołalnie postanowił zmienić pracę, odszukać którąś ze swych kuzynek... Zniknąć.

- Plotka krążyła po Barcelonie, rozprzestrzeniając się wszelkimi kanałami, wsączała się do uszu, przechodziła z ust do ust. Gęsta, choć niewidoczna sieć nieuchronnie oplatała miasto.

Bernard Guils nie umarł i powrócił.

ROZDZIAŁ XII

LIST

Zaprawdę, miły i szlachetny bracie, winniście bacznie wysłuchać tego, co wam powiemy. Czy przysięgacie na Boga i Najświętszą Pannę być posłusznym każdemu mistrzowi i komandorowi, począwszy od dziś aż po kres dni waszych?

Guillem cofnął wierzchowca i zrównał się z dziewczyną. Rudowłosa wlokła się z tyłu, zdając się tego nawet nie zauważać. Konia pozostawiła samopas, jego wodze zwisały luźno, podczas gdy ona zaciskała palce na płaszczu, nieobecna i daleka, jak gdyby wcale nie uczestniczyła w podróży. Młody templariusz nie odezwał się ani słowem. Już kilkakrotnie próbował nawiązać rozmowę, za każdym razem bez rezultatu, toteż powoli zaczynał sobie zadawać pytanie, czy dziewczyna nie jest przypadkiem głucha lub niema albo i taka, i taka jednocześnie. Wciąż nie otrząsnęła się ze stanu, w którym ją odnalazł koło ciała matki. Guillem ściągnął porzucone wodze, skłaniając wierzchowca rudowłosej do szybszego tempa. Mógł otworzyć list, dopiero gdy oddali się dzień drogi od Barcelony; nic poza tym nie wiedział. To był doprawdy bardzo dziwny dzień.

Opuściwszy dom Matea, znaleźli schronienie poza miastem, w kolejnym z „sanktuariów” Guilsa. Guillem nie szczędził zabiegów, aby wydobyć z dziewczyny chociaż jej imię.

Bez skutku. Później, zniechęcony jej milczeniem, spokojnie pogrzyży! się w rozmyślaniach. Co powinien z nią zrobić? Oddać pod opiekę klarysek? Poszukać kogoś godnego zaufania, kto obiecałby się

zająć sierotą? Z zadumy wyrwało go delikatne pukanie do drzwi. Kiedy w końcu zdecydował się otworzyć, stanął oko w oko z młodym muzułmaninem, który życzył sobie rozmawiać z rycerzem de Montclar. Zaskoczenie wzmogło podejrzliwość Guillem'a.

- Skąd wiedzieliście, że mnie tutaj znajdziecie? - spytał niespokojnie.

- Od dwóch dni zaglądam kolejno do wszystkich kryjówek. W którejś musiałem was znaleźć. Gdyby mi się to jednak nie udało w ciągu trzech dni, miałem się zgłosić do domu zakonnego. Takie rozkazy otrzymałem od Bernarda. I wypełniłem je co do joty.

- Od Bernarda! - Guillem ze świstem wciągnął powietrze. Duch zmarłego straszyl go z za każdego węgla.

- Kazał wam oddać list oraz to - rzekł muzułmanin, wręczając mu zwinięte pismo i coś, co wyglądało na wykonany z metalu krzyż templariuszy.

- Bernard nie żyje - rzucił Guillem z niedowierzaniem.

- Przykro mi. Uprzedzał, że tak się może stać, dlatego tu jestem. Miałem spełnić jego rozkazy tylko w wypadku, gdyby sam nie był w stanie doprowadzić misji do końca. Przekazał też dla was polecenie.

- Skąd pewność, że ci zaufam? Skąd mam wiedzieć, czy to nie pułapka?

- Niezrażony tym przejawem podejrzliwości chłopak kontynuował:

- Macie opuścić miasto i nie zatrzymując się, ruszyć na północ. Kiedy minie cały dzień jazdy, przystaniecie, aby odpocząć. Dopiero

wówczas przeczytacie list. Takie są jego rozkazy. „Zaufajcie intuicji, to jedyna droga”. Pora na mnie.

Nie czekając na kolejne pytania, dziwny posłaniec oddalił się, a Guillem został na progu z listem w dłoni i otwartymi ze zdumienia ustami.

- Co to wszystko znaczy? - wykrzyknął niecierpliwie, ale ze strony dziewczyny nie doczekał się ani odpowiedzi, ani choćby pokrzepiającego spojrzenia.

Rudowłosa, obojętna na jego kłopoty, ciągle siedziała w tym samym miejscu. Guillem obrócił list w rękach, studiując uważnie każdy centymetr zwiniętego i zalakowanego papieru. Powąchał go nawet, sam nie wiedząc za dobrze, czego się właściwie spodziewa po tak drobiazgowych oględzinach. Już się szykował, aby w przypiływie gniewu i nieufności rozerwać pieczęcie. Nie zrobił tego jednak.

Co mnie powstrzymało? Intuicja? - rozmyślał, galopując na północ coraz dalej od miasta i ani na chwilę nie wypuszczając z rąk cugli wierzchowca, którego dosiadała wciąż milcząca dziewczyna. Intuicja, jedno ze słów dla Bernarda magicznych, a dla Guillega całkowicie niejasnych, niemal pozbawionych znaczenia. Nie potrafił, wzorem mistrza, uważać jej za klucz otwierający wszystkie bramy. Dlaczego zatem zastosował się do wskazówek posłańca? Najpewniej dlatego, że owe sekrety bardzo pasowały do Guilsa. Nieroz-pieczętowany list spoczywał po jego koszulą, jak niegdyś fałszywe, a tak zazdrośnie strzeżone pergaminy pod koszulą Bernarda. Gdy minie dzień, przeczyta wiadomość i przekona się, czy ktoś się aby nie zabawia jego kosztem. Na przykład ci dwaj, Dalmau i Jacques... Chcieli przecież za wszelką cenę utrzymać go z dala od swoich starych porachunków. Na samą myśl, że mógł paść ofiarą podobnego psikusa, Guillem zmarszczył brwi i wykrzywił usta. Gniew odmienił jego twarz prawie nie do poznania.

No tak, ale pozostawał jeszcze krzyż. Kolejny fortel? Nie był to, wbrew początkowemu wrażeniu, zwyczajny krzyż templariuszy: w jego ramionach wydrążono bowiem nieregularne, z każdej strony inne wgłębienia. Całość przywodziła na myśl cztery połączone klucze i Guillem nie miał zielonego pojęcia, do czego mógłby mu się przydać ten zadziwiający przedmiot. Znowu wspomniawszy dwóch przyjaciół i upór, z jakim starali się go nie dopuścić do polowania na dArlesa. Czy naprawdę byłiby zdolni do podobnej mistyfikacji tylko po to, aby dopiąć celu?

Ślęczącego nad nieznośnie nudnym tłumaczeniem brata Berenguera wybawił z opresji nowicjusz, powiadamiając go, że ma się co prędzej stawić przed obliczem ojca przeora. Nie należało zwlekać, wezwanie było nadzwyczaj pilne. Stary mnich pomyślał natychmiast, w przypływie okrutnej jasności, że czeka go zapewne kolejna połajanka, tym razem za to, że złożył wizytę w skrzydle szpitalnym i ośmielił się wyrazić oburzenie, jakie wywołała w nim służalcza i kłamliwa postawa młodego brata Pere de Tever. „Albowiem gorsza nad kłamstwo jest zdrada!” - mruzczał wściekle. Chłopak go zdradził, nadużył jego zaufania, a teraz z powodu tych haniebnych postępków to jemu, bratu Berenguerowi, przyjdzie płacić za cudze grzechy.

Stary dominikanin energicznie zastukał do drzwi. Nie da się zastraszyć beczelnemu młodzikowi, który tylko czyha, jak by tu wykorzystać jego najgłupsze potknięcie dla własnych celów. Nawet bibliotekarz twierdził, że brat Pere de Tever wykazuje się rozległą wiedzą i wkrótce obejmie odpowiedzialne stanowisko przy klasztornej księgozbiornicy. To przechodziło ludzkie pojęcie!

Słyszając pozwolenie, brat Berenguer otworzył drzwi i wszedł do komnaty, w której spodziewał się zastać wygodnie rozpartego brata Pere. Przeliczył się jednak. Zamiast niego na najlepszym krześle

zasiadał bowiem odziany w czerń nieznany mężczyzna. Przeor powitał nowo przybyłego lodowatym, wrogim spojrzeniem.

- Otóż i mamy w końcu jasność co do waszych zamysłów, bracie Berenguerze! - rzekł, niemal się trzęsąc z hamowanej wściekłości.

- Nie rozumiem, o czym mówicie.

- Postępek, którego się dopuściliście, bracie Berenguerze, zasługuje na najwyższe potępienie. Nigdy dotąd nie trafiła mi się wątpliwa przyjemność zetknięcia z podobnym przypadkiem - odezwał się mężczyzna w czerni, powoli zwracając ku mnichowi głowę. - Co za potworny wstyd, odkryć takie skłonności u człowieka związanego z Kościołem!

- Spodziewałem się po was niejednego, bracie, ale to po prostu nie chce mi przejść przez gardło... - Przeor przyglądał się mu z odrazą. - Wasza wina jest tak ogromna, że nie czuję się na siłach, aby ją bezstronnie sądzić. Dzięki Bogu, monsignore oszczędzi mi tej przykrej konieczności.

- Nie rozumiem! Nie wiem, o co chodzi! Najpewniej brat Pere de Tever wymyślił jakieś nowe kłamstwo, aby mi zaszkodzić i...

- Nie ważcie się nawet wymawiać imienia tego niewinnego dziecka! Zabraniam wam! Chwała Najwyższemu, że nie pozwolił, abyście brudnymi łapami zbrukali anielską czystość - grzmiący głos monsignore uderzył w brata Berenguera, który stał oszołomiony, nie pojmując, co się wokół niego dzieje. Mężczyzna w czerni, nie kryjąc ubolewania, mówił teraz do przeora: - Nawet nie wiecie, jak mi przykro, że musieliście przez to przejść, kochany bracie. Wychowaliście gadzinę na własnej piersi, gdzie zawsze najtrudniej ją odkryć. Miłosierdzie boskie postawiło jednak na naszej drodze świadka, który, pokonując wstyd i lęk przed niesławą, odważył się zdemaskować zepsucie.

- Błagam was, szlachetni panowie, powiedzcie przynajmniej, kto i o co mnie oskarża! Nie wierzcie plotkom i po-twarzom! - Brata Berenguera pomału ogarniało przerażenie.

To nie miało najmniejszego sensu, musiała zajść jakaś straszliwa pomyłka.

- Wystarczy, nie zamierzamy was dłużej wysłuchiwać! Zostaniecie osądzeni i skazani, żaden sąd się nie zawaha.

Monsignore podniósł się energicznie i klasnął w dłonie. Niemal natychmiast do komnaty wkroczyło trzech mężczyzn, którzy nie zwlekając, otoczyli brata Berenguera.

- Nie chciałbym przedłużać tej niemiłej sceny, drogi przyjacielu, wiem, ile was ona kosztuje. Nie trwóście się jednak, nie dopuścimy do skandalu, przeprowadzając całą sprawę z najwyższą dyskrecją. Wasz zakon nie może wszak ucierpieć z powodu postępów tak nikczemnej kreatury. Macie moje słowo: nic z tego, o czym zmuszeni byliśmy tu rozmawiać, nie przekroczy progu tej komnaty. Módlcie się za nas grzesznych, drogi bracie.

Monsignore ruszył ku drzwiom. Jego ludzie chwycili brata Berenguera za ramiona i pociągnęli go w tym samym kierunku. Wrzaski mnicha przetoczyły się echem po całym budynku i przeraziły pogrążonych w modłach braci. W końcu jednak wszystko umilkło i w murach klasztoru dominikanów znowu zapanowała niczym niezmacona cisza.

Ocknąwszy się, brat Berenguer zdał sobie sprawę, że zemdłał. Lawina niespodziewanych wydarzeń wielce go wzburzyła i wprawiła w niemałe pomieszenie, choć w gruncie rzeczy ani przez moment nie wątpił, że to tylko zwykły koszmar, zły sen wywołany nadmiarem słodczy. Chyba jednak ostatnio trochę z nimi przesadził. Nie powinie-

nem tyle jeść - pomyślał - zdrowie zaczyna mi szwankować, to nie-dobrze. Dopiero wtedy uważniej rozejrzał się dookoła. Dźwignąwszy się, zauważył, że nie leży bynajmniej we własnym łóżku ani nawet w swojej celi. Panujące wokół ciemności rozpraszała jedynie umieszczona gdzieś po lewej stronie pochodnia, tylko częściowo oświetlająca pomieszczenie, w którym się znajdował. Z braku okien trudno było ocenić porę dnia. Bratu Berenguerowi przyszło do głowy, że może wciąż się nie obudził. Wstał więc i ruszył w kierunku dającej ruchliwe i słabe światło głównej. Po chwili, boleśnie uderzając się w twarz, natknął się z nienacką na coś twardego i zimnego. Jego ręce zmacały złożoną z żelaznych prętów kratę. Cały długi ciąg żelaznych prętów! Dominikanin oblał się zimnym potem. Cóż to za miejsce? Zawołał o pomoc i ujrzał, jak zbliża się ku niemu jakiś człowiek. Jasno płonąca pochodnia w jego rękę oświetlała otoczenie.

-Lepiej byś zrobił, łajdaku, jakbyś siedział cicho. Nie lubimy tu burd ani krzykaczy. Jasne, tuczniku? - odrażająco niechlujny mężczyzna o zatłuszczonych paluchach mówił z pełnymi ustami, nie przerywając łapczywego ogryzania kawałka mięsa. - Boś nad miarę spasiony, klecho, ale u nas prędko pochudniesz.

Na widok przerażonej twarzy mnicha ryknął gromkim śmiechem. Dominikanin raz jeszcze rozejrzał się po tym miejscu przywodzącym na myśl najgorsze koszmary. Chyba jednak nie śnił. Nie, zdecydowanie nie był w swojej klasztornej celi, tylko w jakimś ponurym, śmierdzącym lochu. Niemal ogłuszony śmiechem tej bestii w ludzkiej skórze cofnął się i zaszył głębiej w mrok. A potem w ciemności rozległo się nieludzkie wycie, w którym dawało się rozróżnić powtarzające się w kółko cztery słowa:

- Terribilis est locus iste!*

Gospoda mieściła się w ujmującym szlachetną prostotą wiejskim domu, obszernym i jasnym dzięki wielkim oknom wychodzącym na pszeniczne pola za oknami. Zapadał zmierzch i Guillem uznał, że dzień podróży można uznać za zakończony. Zażądał tylko jednego pokoju, wolał się bowiem narazić na złośliwe spojrzenia tęgiej karczmarki, niż zostawić dziewczynę samą na całą noc. Nie wiedział, do czego jest zdolna w swym dziwnym stanie. Niemal zawlókł ją po schodach na górę, do sypialni, którą wskazała mu kobieta. Mile zaskoczyła go panująca w pokoju czystość. Na jego środku stało ogromne małżeńskie łóże, a umeblowania dopełniały nieduży stół i jedno krzesło. Gospodyni podprowadziła Guillega do szerokiego okna, zapewniając, że miejscowe powietrze słynie w całym regionie ze swych leczniczych właściwości. Templariusz przytaknął ochoczo, dając wszakże do zrozumienia, że chwilowo bardziej zainteresowałaby go porządna kolacja. Tęga jejmość uznała to widać za sensowne, gdyż bez zwłoki ruszyła ku drzwiom, obiecując, że rychło coś przyśle.

Zrzuciwszy sakwy w kącie pokoju, Guillem ułożył obłąkaną dziewczynę na łóżku i delikatnie ją przykrył. Potem zaciągnął stół pod okno i usiadł, w oczekiwaniu na kolację kontemplując zmierzch. Czuł, że list prawie parzy mu skórę pod odzieniem, jak gdyby zamknięty w nim głos domagał się natychmiastowej uwagi. Właściwa pora jednak wciąż nie nadeszła. Jeśli słuchać Guilsa, to do końca: „Pusty żołądek jest najgorszym doradcą”.

Więc dobrze, przyjacielu, najpierw się najem, aby, gdy wreszcie

****Terribilis est locus iste!*** (łac.) - Miejsce to jest straszne! (przyj. tłum.).

otworzę ten list, mieć spokojny umysł i żołądek. I aby nic nie zmaciło mojej uwagi.

- Wydobrejże, mój drogi przyjacielu. Urośnie duża i zdrowa, nie martwcie się niepotrzebnie - Abraham pocieszał roztrzęsionego Camposinesa, ściskając jego dłoń w swoich. Oczy kupca były zaczerwienione i opuchłe od płaczu.

Stary lekarz radował się z podjętej decyzji. Tym razem jego umiejętności okazały się przydatne i pozwoliły ocalić od śmierci słodkie, niewinne stworzenie. Spojrzał z rozbawieniem na brata Arnau, który przysnął na krześle w niesłychanej doprawdy pozycji, sztywny jakby kij połknął, z głową odrzuconą do tyłu. Przy każdym głośniejszym chrapanięciu jego ciałem wstrząsał nagły dreszcz. Abraham wskazał nań dłonią i obaj z Camposinesem zaśmiali się cicho, niemal bezgłośnie, aby nie zakłócać snu staremu templariuszowi ani leżącemu tuż obok niego dziecku. "Wyczerpana gwałtownymi emocjami żona kupca, Elvira, też udała się już na spoczynek. Wszyscy potrzebowali wytchnienia po wyjątkowo długim dniu... Na twarzach obu czuwających mężczyzn malowało się ogromne zmęczenie. Abraham delikatnie dotknął ramienia zielarza, który natychmiast się poderwał z dłonią na rękojeści miecza.

- Spokojnie, Arnau, nic się nie dzieje. Przykro mi, że cię budzę, ale drzemałeś w tak niewygodnej pozycji, że jutro nie postąpiłbyś ani kroku.

- Drzemałem? Ależ skąd znowu! Rozmyślałem tylko. Jak się czuje maleńka? - Wciąż nieprzytomne spojrzenie zielarza wykazywało dowodnie, że jeszcze przed chwilą spał on snem sprawiedliwego.

- Wydobrejże, przyjacielu, nasze wysiłki nie poszły na marne.

- Nie możemy tu zostać, Abrahamie, obawiam się o twoje bezpieczeństwo. - Uspokojony co do dziecka Arnau powrócił do dręczącej go myśli.

- Dobrze, Arnau, nie będę się więcej sprzeciwiał. Rozmawiałem już z Camposinesem i poleciłem mu jednego z moich kolegów po fachu. Napisałem też krótki list z wyjaśnieniem i instrukcjami. Najgorsze minęło, co nie zmienia faktu, że ta śliczna dziewczuszka potrzebuje specjalnej opieki. Mój znajomy zjawi się tu jutro skoro świt: przesłałem mu wiadomość, na którą zaraz odpowiedział. Możemy zatem pomyśleć o sobie.

- Wreszcie! - zawołał zielarz. - Wybacz, Abrahamie. Nie, żeby zdrowie tej dziewczynki było mi obojętne, ale bardzo się niepokoję. Cieszy mnie, że udało ci się ją uratować, cieszę się ze względu na ciebie i ze względu na nią, ale, jak sam słusznie zauważyłeś, pora pomyśleć o sobie.

- Od tej chwili zdaję się na ciebie, Arnau. Co powinniśmy uczynić?

- Wyjedziemy jutro o poranku, jak tylko zjawi się twój znajomy. Wcześniej muszę zamienić kilka słów z Camposinesem, będziemy potrzebowali dwóch koni, osia, zapasów żywności, koców...

- Ruszamy w podróż? Nie wracamy do templariuszy, przyjacielu? - spytał zaskoczony Abraham. Znając obawy zielarza, przypuszczał raczej, że ponownie schronią się w domu zakonnym.

- Nie wracamy, Abrahamie. Wszystko rozważyłem i zdaje mi się, że nadszedł czas, aby poszukać bezpiecznej kryjówki dla twojego „przyjaciela z Palestyny”. Poza tym w ten sposób oddalimy się też nieco od Cienia. Powinniśmy wykorzystać nadarzającą się okazję i uchodzić z miasta.

- Wiesz, że ci ufam, Arnau, jak własnemu bratu. To ty jesteś naszym strategiem i wiesz najlepiej, co nam wyjdzie na dobre. Wymyśliłeś już, dokąd się udamy?

- Mam pewien pomysł. Sądzę, że powinniśmy się skierować na północ, do komandorii Mas-Deu. Odnajdziemy tam jednego z moich dobrych przyjaciół, on nam doradzi, gdzie... no wiesz... Starczy ci sił na taką podróż?

- Czuję się dużo lepiej, więc tym się akurat nie frasuj - odrzekł Abraham, uśmiechając się porozumiewawczo. - Zwłaszcza że, jak cię znam, nie przestaniesz mnie torturować swoimi medykamentami. A zatem tak, chyba jestem gotowy. Obietnica, którą złożyłem Nahmanidesowi, zdecydowanie dodaje mi sił, powiedziałbym nawet, że mnie odmładza. Teraz jednak trzeba odpocząć, Arnau, inaczej jutro nie zajedziemy zbyt daleko.

Guillem wytarł talerz do czysta sporym kawałkiem świeżutkiego chleba - jagnięca sztufada z jarzynami okazała się wyśmienita. Czuł, jak z każdą chwilą wraca mu energia. Nie zdołał nakłonić dziewczyny do skosztowania choćby kęsa, ale nie zmuszał jej zbyt i pozwolił spać. Postawił świecę na parapecie wpółotwartego okna, gdyż zimne powietrze pomagało w skupieniu. Wyjął list, rozwinął go i wygładził. Rozpoznał pismo Bernarda.

Kochany chłopcze!

Jeżeli czytasz ten list, oznacza to zapewne, że moja podróż w zaświaty już się rozpoczęła. Mam nadzieję, że zdążyłeś mi życzyć szczęścia na drogę. Poleciałem Abdelkaderowi, aby oddał ci to pismo w razie, gdyby coś poszło nie tak. To wierny przyjaciel, któremu ufam bez

zastrzeżeń, nie powinieneś więc być względem niego podejrzliwy. Chociaż wiem, że oczywiście byłeś. Wyobrażam sobie, co się tam u was teraz dzieje: przypuszczam, że nikt dłużej nie wierzy w autentyczność pergaminów, które ze sobą wiozłem. Wyznam ci, że na samą myśl o tym chce mi się śmiać. Już widzę, jak Dalmau i Jacques, których bez wątpienia zdążyłeś poznać, opracowują najnowszą strategię naszej osobistej wojny z Cieniem. Ale trochę mi też smutno, że nie mogę im pomóc. Ponieważ jednak jestem dopiero początkującym duchem, więc może wolno mi będzie w porę się objawić. Któż to wie? Ty wszakże trzymaj się od tego z daleka, zejdz Cieniowi z drogi, bo mam dla ciebie zadanie znacznie ciekawsze.

D'Arles, łajdak przeklęty, był jednym z czynników, które zmusiły mnie do modyfikacji pierwotnych planów. Zdołałem chyba jednak zważyć go do Barcelony, o czym mogłeś się, mam nadzieję, przekonać. Zamierzałem w ten sposób ułatwić moim przyjaciółom zadanie. Na tym polegała moja rola.

Wszystko to wydaje mi się o tyle istotne, że kończę właśnie ostatnią w życiu misję i nie przestaje mnie zadziwiać niezwykley zbieg oklicz ności (zbieg okoliczności?), który sprawia, że d'Arles akurat teraz stanie ponownie na mojej drodze. Zupełnie jakby jakaś siła pragnęła mi przypomnieć przysięgę, złożoną przed laty wraz z dwoma przyjaciółmi pośrodku pustyni. Uświadomiłem sobie niedawno, że oto nadarza się wymarzona sposobność, aby zamknąć krąg, sposobność, której nie wolno zaprzepaścić. Że Cień i jego ludzie depczą mi po piętach, zorientowałem się na dwa dni przed otrzymaniem pewnych ważnych dokumentów. Zacząłem wtedy przygotowywać plan, który pozwoliłby mi nie tylko ochronić owe pergaminy, ale również zastawić pułapkę na d'Arlesa. Człowiek, od którego dostałem dokumenty, przedstawił mi bardzo dokładne instrukcje, wystarczająco dokładne, aby zupełnie się ich nie trzymać, jak się pewnie domyślasz. Moi zwierzchnicy wiedzą, że

zwykłem pozostawać posłuszny, przejawiając absol lutne nieposłuszeństwo. Zniknąłem więc z pola widzenia zakonu na całe trzy dni, podczas których wodziłem ludzi d'Arlesa za nos, przemieszczając się w tę i z powrotem porozumiewając się z setkami ludzi wszelkiego autoramentu i rozdając na prawo i lewo masę paczuszek do złudzenia przypominających tę, którą sam miałem potem przewieźć.

Jednym słowem zdołałem chyba całkowicie zamieszać im w głowach. Następnie udało mi się na dwanaście dokładnie zaplanowanych godzin zgubić także i ich. A potem pojawiłem się w Limassol, aby wsiąść na statek. Tutaj, w tym pięknym cypryjskim porcie, skąd do ciebie piszę, zdarzyło się moderstwo: znaleziono ciało jednego z członków załogi galery, na której popłynę.

To znak, który każe mi się obawiać najgorszego. Jednakże to, o co miałem zadbać, znajduje się już poza wszelkim zagrożeniem, pod opieką nikomu nieznanym a godnym zaufania ludzi. Ten list to ostatni trybik, jakiego brakuje, aby koło zaczęło się kręcić we właściwą stronę. Wszystko przewidziałem: nawet gdyby zawiódł jakiś pojedynczy człowiek, i tak nic nie zatrzyma całej maszyny. Koło domknie się we właściwym czasie, nawet jeśli miałyby mnie nieodwołalnie uwięzić w swoim wnętrzu. Przyznasz chyba, że to piękna śmierć. A teraz słuchaj uważnie. Pojedziesz do Sanktuarium Macierzy, odnajdziesz grób, który ci kiedyś pokazałem, i pomodlisz się przy nim. Oczywiście zajrzałem do tych pergaminów. Ci na górze musieli wiedzieć, że to uczynię, a jednak z jakichś przyczyn mi zaufali, jak zawsze. Wiem, dlaczego robią to, co robią, być może ty również to kiedyś zrozumiesz. Cóż, chłopcze, sam będziesz musiał podjąć pewną decyzję. Oni zechcą, abys mnie zastąpił, przygotowywałem cię wszak do tego przez ostatnie pięć lat. Powinieneś to jednak głęboko przemyśleć. Nie pozwól na siebie naciskać, nie pozwól, aby nagięli cię do swej woli. Musisz mieć wolny wybór jak ja, jak Dalmau, jak Jacques. Ty decydujesz.

Jeśli chodzi o pergaminy, ciekawi mnie, co zrobisz, ale całkowicie ci ufam, niezależnie od twoich postanowień. W każdym razie krzyż doprowadzi cię do prawdy. Jesteś jedynym człowiekiem na ziemi, który wie, gdzie znajdują się te dokumenty, ba, one w pewnym sensie do ciebie należą, ponieważ decyzja, którą masz podjąć, daje ci do nich specjalne prawo. Jeśli się zgodzisz, to na jednej z dróg będziesz potrzebował pomocy. Zadbalem, aby ci jej we właściwym momencie udzielono. Mauro wie, co robić, reszta należy do ciebie. Zdaję sobie sprawę, że właśnie przeklinasz wszystkie te zagadki i wybory, a także odpowiedzialność, jaką zrzucam na twoje barki. Zrozum jednak, że to ostatni etap twojej nauki. Gdy go zamkniesz, będziesz gotowy. Jesteś najlepszym uczniem, jakiego kiedykolwiek miałem, więc dasz radę. Co do zagadek, są konieczne, i wyznaję szczerze, że po tylu latach w tym zawodzie wciąż mnie fascynują i bawią. Przyjmij ostatnią radę, Guillemie: nie pozwól, aby przestało cię bawić to, czym się zajmujesz. Kiedy wszystko zawodzi, jedynie poczucie humoru i zdolność do śmiechu pomagają wytrwać na naszym padole lez.

Czas nagli. Zwerbowali kogoś w zastępstwie tego marynarza, który umarł, i każą wchodzić na pokład. Cokolwiek się stanie, nic martw się o mnie, prawie wszystko zapJano-walem, a cała reszta nic ma większego znaczenia, wierz mi Uważaj na siebie, chłopcze, i uściskaj ode mnie Bretończyka i Dalmau. Szykuje się dla nich niezła zabawa.

Czy muszę ci mówić, co powinieneś zrobić z tym listem? Jedyne, czego potrzebujesz, to pamięć. Dzięki niej zawsze będę gdzieś obok.

Bernard Guils

Oczy Guillemia napęłniły się łzami. Słowa mistrza obudziły w nim znane echa, uświadamiając jednocześnie bolesną samotność, do której nie zdążył się jeszcze przyzwyczaić. Nigdy więcej nie ujrzeć Bernarda?

Nie usłyszeć jego pokrzykiwań i nagłych wybuchów śmiechu? Nie poczuć pokrępiącej siły zdecydowanego uścisku? To wprost nie do pomyślenia. „Jak niby miałyby mnie ciągle bawić to, co robię, Guils? Jak mam podejmować decyzje bez twojej rady i pomocy?”. Przeczytał pismo raz jeszcze, tak żarliwie, jak gdyby pragnął się w nim roztopić, przemienić w jedną z pokrywających papier starannie wykaligrafowanych liter. „Czy muszę ci mówić, co powinieneś zrobić z tym listem?”, „Jasne, że tak, Bernardzie. Wiesz, że musisz, bo na pewno bezbłędnie przewidziałeś mój stan, wiedząc, że będę się chciał kurczowo uchwycić choćby kartki, której dotykałeś”. „Nie możesz dłużej na mnie liczyć, Guillemie, od tej chwili jestem tylko częścią twojej pamięci, musisz iść swoją drogą - szeptął głos Bernarda. - Dlatego spał ten list, chłopcze, nie ma innego wyjścia”

Drżącą, niepewną dłonią zbliżył papier do ognia świecy. Wiedział już to, co powinien. Ujrzał, jak płomień liże jeden z rogów pisma, jak szybko pożera kolejne wersy - „... .jesteś najlepszym uczniem, jakiego kiedykolwiek miałem...” - jak czerni pergamin i obraca go w szary popiół - „... uważaj na siebie, chłopcze...”. Wypuścił papier dopiero wtedy, gdy żółtawe języki zaczęły powoli sięgać ku jego palcom, i ze spojrzeniem utkwionym w podłogę zasłaną zwęglonymi, cieniutkimi płatkami popadł w zadumę. Czuł się okropnie, jak gdyby właśnie podpalił stos ze zwłokami Bernarda. „Od tej chwili jestem tylko częścią twojej pamięci”. To niewiele - pomyślał. Nie przeczuwał nawet, że wraz z latami przestrzeń pamięci poszerza się i że nieuchronnie nadejdzie w jego życiu taki dzień, kiedy poza wspomnieniami nie zostanie mu absolutnie nic

Z zadumy wyrwał go ledwie słyszalny dźwięk. Drzwi były uchylone, delikatnie kołysane przeciągiem. Dziewczyna znikła. Guillem skoczył na równe nogi i wypadł na korytarz. Nikogo tam nie znalazł. Skrzyp-

nięcie schodów prowadzących na górę wskazało mu drogę. Wspiął się więc aż na płaski dach tworzący w tym miejscu niewielki taras. Stała tam, na wąskiej poręczy, z rozpostartymi ramionami, oświetlona intensywnym księżycowym światłem. Guillem zamarł.

- Timbors, mam na imię Timbors - po raz pierwszy przemówiła dziewczyna, a jej głos brzmiał spokojnie, niemal pogodnie.

- Nie rób tego, Timbors - Guillem starał się nie krzyknąć.

- Timbors, mam na imię Timbors - powtórzyła rudowłosa.

Zbliżył się ostrożnie, aby jej nie przestraszyć.

-Jeśli to zrobisz, Mateo wygra, wygrają wszystkie podobne mu szumowiny. Chodź do mnie, Timbors, zejdź stamtąd, złe minęło, nic ci już nie grozi.

Dziewczyna obróciła się ku niemu, jej czerwonawe włosy lśniły jak masa splątanych złotych nici. Przypominała obcą boginię, symbolizujące matkę ziemię pogańskie bóstwo, które objawiło się, aby ukarać ludzi za okrucieństwo.

Guillem jak we śnie wyciągnął ku niej dłoń, już jej prawie dotykał. Dziewczyna, nieporuszona, wpatrywała się w niego uważnie.

Nie czuli upływu czasu. Stali tak, Guillem z wyciągniętym ramieniem, ona na kruchej balustradzie, pogrążeni w absolutnej ciszy. W końcu rudowłosa podała mu rękę, którą on delikatnie ujął. Zsunawszy się z poręczy, Timbors wtuliła się w niego z całej siły. Guillem poczuł jej młode, zbolące ciało, jej rozpierający piersi ból i samotność. Coś wybuchło w jego wnętrzu, jasno oświetlając zupełnie nową drogę. Wziął więc dziewczynę na ręce i zaniósł do pokoju. Odnaleźli się bez

słowa, jak gdyby pamiętali się z tysiąca poprzednich wcieleń, rozpoznając bez trudu najdrobniejszą wypukłość swych ciał, najtaniejszy zakątek dusz, w których nie było już miejsca na kłamstwo czy zdradę. Odkrywali w sobie nawzajem coś dawno utraconego i oplakanego, niezmiernie żalowałam dwóch pustyni kończyła się nagle bujnym, a dziwnie znajomym lasem. Wrócili do domu.

Wiadomość zaskoczyła go, napawając wręcz zabobonnym lękiem. Pogłoska potwierdziła się ostatecznie i kilku z jego ludzi zapewniało, że widzieli Guilsa na własne oczy. Początkowo nie chciał wierzyć w podobne brednie, myśląc, że chodzi o zwykłe przesady kultywowane przez ciemnotę. Ostatecznie nawet własną sławę zawdzięczał sprytnie rozpuszczonej plotce i wywołującemu strach przydomkowi. A i później, gdy wiarygodni świadkowie potwierdzili prawdziwość pogłosek, nie pozbył się wątpliwości do reszty. Bo czy to w ogóle było możliwe? Nie, nie mogło być, pod żadnym pozorem. Wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, że dawka jadu, którą zaaplikował Guilsovi, zabiłaby bez trudu co najmniej dziesięć osób. Co jednak, jeśli Guils, czując się źle, zwymiotował i zdołał wydalic z organizmu większą część trucizny?

Oczywiście nie dało się wykluczyć takiej możliwości, zwłaszcza że chorym zajmował się doskonały lekarz w osobie Abrahama Bar Hii. A więc możliwe. Ale przecież trucizna nigdy wcześniej go nie zawiodła!

Należało szybko zebrać myśli. W przeciwnym razie ten głupiec Giovanni będzie miał rację, sytuacja rzeczywiście robiła się niewesoła. I ten brak swobody, do którego nie potrafił się przyzwyczaić! Nie mógł przecież ryzykować szwendania się po ulicach, gdzie, niby wściekłe psy, kręcili się Bretończyk i Dalmau, a kto wie, może także i Guils. Guils, Guils, Guils! Dlaczego właściwie kiedyś tak bardzo kochał tego człowieka? Wciąż nie potrafił wymazać niektórych wspomnień, ciągle pamiętał, z jaką pogardą i wrogością Bernard przyjął jego wyznanie, z

jaką odrazą go odtrącił, jak nieustannie i podstępnie próbował go od siebie oddalić, usuwając z elitarnej drużyny tworzonej wówczas w Ziemi Świętej. Ale drogo za to zapłacił, i on, i jego przekłeci kamraci, zawsze połączeni tym niezwykłym przymierzem, do którego nigdy nie chcieli go dopuścić. Diabelski pomiot - złorzeczył w duchu d'Arles. - Niech szczepną, zgniją w piekle, gdzie ich miejsce! Znajdował się w elegancko umeblowanej komnacie, w otoczeniu bibliotecznych szaf wykonanych z doskonałej jakości kasztanowego drewna wypolerowanego tak bardzo, że błyszczało jak najszlachetniejszy metal. Na stole piętrzyły się listy, na które już od kilku dni nie odpowiadał. Karol d'Anjou niepokoił się i denerwował jego ciągłymi niepowodzeniami. Żądał natychmiastowych rezultatów. Parszywemu pyszałkowi zdawało się najwyraźniej, że to jakieś głupie polowanie na lisy. Nic prostszego, niech psy zrobią swoje... - pomyślał d'Arles - tyle że psy mają dosyć, więc może niech sam się tu zjawi i trochę powęszy za tymi przekłętymi pergaminami! Nigdy by nie przypuścił, że sprawy tak bardzo się skomplikują, że zostanie z pustymi rękami, bez niemal żadnej możliwości manewru. Do tej pory nie zdarzyło mu się nic podobnego, tym ciężiej więc przychodziło zaakceptować nagie trudności. Musiało jednak istnieć jakieś wyjście.

Kopnął krzesło, jednym ruchem zrzucił papiery ze stołu i ze złością uderzył pięściami w blat. Bezsilna wściekłość buzowała w jego mózgu, wywołując niemal fizyczny ból, którego nie mógł znieść. Osunął się i upadł na kolana, z całej siły zaciskając powieki. Raz jeszcze ujrzał, jak Guils pije zatrutą wodę, i tamten błysk nagłego zrozumienia w jego oczach, ironię, z jaką, nie odrywając naczyń od ust, patrzył w twarz swemu zabójcy. Bo rozpoznał go z całą pewnością, a mimo to z jakiegoś powodu wypił śmiertelny napój. Dlaczego? - nie mógł pojąć d'Arles. - Dlaczego to zrobił? Czyżby życzył sobie śmierci?

Wiedział, że Guils nie przewozi autentycznych pergaminów. Znał go wystarczająco dobrze, aby rozumieć, że Bernard nigdy nie zdecydowałby się na podobne ryzyko. I z czego się, łajdak parszywy, tak natrząsał? Ze niby jego śmierć nic nie zmieni, bo d'Arles i tak nie do tanie tego, czego potrzebuje? Cień skulił się na podłodze, ściskając dłońmi rozpaloną głowę. Po cóż więc pchał się na statek, skoro od początku zdawał sobie sprawę, że pergaminów trzeba szukać gdzie indziej? Co nim kierowało? Pragnienie, aby zabić Bernarda, zetrzeć mu z ust ironiczny uśmiech, skończyć wreszcie z tym pogardliwym, raniącym na wskroś spojrzeniem? Aby móc w końcu zapomnieć? Wyciągnął się jak długi, gładząc piękne, marmurowe płyty posadzki, rozsuwając porozrzucone papiery i obrysowując palcami wzór mozaiki. „Gdzie schowałeś pergaminy, psi synu? Gdzie się podziewałeś przez te dwanaście godzin? Z kim się w tym czasie kontaktowałeś? I czy cokolwiek zdradziłeś parszywemu Żydowi?”.

Dopiero po chwili zauważył obecność jednego ze swoich ludzi, który z rozdziawionymi ustami przyglądał się, jak jego pan rozmawia z kimś niewidocznym, czołgając się po podłodze.

- Przekłęte darmozjady! Wszystko przez was!

Wybaczcie, panie, rozkazaliście, abym was uprzedzał o najdrobniejszych choćby zmianach. - Mężczyzna drżał nieprzerwanie.

- I sądzisz, że z tego powodu wolno ci wchodzić bez pukania, głupcze? - D'Arles podniósł się bez pośpiechu.

- Przepraszam, panie, ale rzecz jest pilna. Zamknięto brata Berenguera.

- Tę grubą świnię? Jak to: zamknięto?

- Monsignore go zabrał, panie. Chodzą plotki, że... Powiadają, że ów mnich niezdrowo interesował się młodymi chłopcami, że...

D'Arles wybuchnął zniecka niepohamowanym śmiechem. Zwiął się niby opętany pod zdumionym spojrzeniem swego sługi, który cofając się ostrożnie, próbował niepostrzeżenie dotrzeć do drzwi. Stał jednak jak wryty, widząc, że d'Arles opanował się w końcu i przygląda mu się z uwagą.

-A ty? Kim ty jesteś? - spytał Cień, dziwacznie wytrzeszczając oczy.

- Nazywam się Dubois, panie, Dubois... - Strwożony zachowaniem chlebobawcy mężczyzna trząsł się jak osika. Pracując dla d'Arlesa od pięciu lat, zdążył doskonale poznać jego wyrafinowane okrucieństwo, ale teraz było inaczej niż zwykle. D'Arles najwyraźniej tracił kontrolę, wariował. Od wielu dni nie odpowiadał na nagłace listy z Paryża, z Prowansji, z Rzymu... Nikt nie miał pojęcia, co robić. Wielu ludzi, osłupiałych i zastraszonych, po prostu uciekło w przekonaniu, że trzeba kogoś powiadomić o szaleństwie pana, zanim w kolejnym ataku niszycielskiej furii wszystkich pozabija. Dubois zamierzał niezwłocznie pójść w ich ślady. Nie wytrzyma tego napięcia ani chwili dłużej. Wystarczyło, że Peyre, jeden z jego towarzyszy, zginął z rąk Cienia. Niełatwo przyjdzie wymazać z pamięci wspomnienie tamtej okrutnej jatki.

- Odejdź stąd, Dubois, nie znam cię, nie wiem, kim jesteś! - D'Arles lekceważąco machnął rękami, zupełnie jakby się opędzał od natrętnej muchy. Dubois odetchnął z ulgą i pospiesznie opuścił komnatę, aby już nigdy więcej się w niej nie pojawić.

D'Arles znowu osunął się na podłogę. Ci bezużyteczni głupcy do niczego się nie nadawali, nie mógł przez nich nawet spokojnie pomyśleć. Jedyne, co naprawdę potrafili, to znosić bez przerwy złe wieści. Karol d'Anjou nie wybaczy mu porażki, zemści się, pozbawiając go wpływów, łamiąc jego świetnie zapowiadającą się dotąd karierę... A nie wiadomo, czy tylko na tym się skończy. Ktoś powinien go z tego bagna wyciągnąć, tylko kto? Na myśl o monsignore, aroganckim łajdaku, od którego nauczył się tylu pożytecznych rzeczy, po raz kolejny wybuchnął śmiechem. Czarnemu ptaszysku również nie brakowało kłopotów, jego dobra gwiazda gasła nieuchronnie, a papież nie zwykł okazywać pobłażliwości nieudacznikom. Któż jak nie monsignore pchnął młodego d'Arlesa na drogę spisku i zbrodni? Któż, jak nie on, zapewnił mu miejsce wśród templariuszy, czyniąc zeń swego najlepszego szpiega? Ten diabeł wcielony ukształtował go według własnych gustów i potrzeb, odmienił mu duszę, zupełnie nie licząc się z jego uczuciami. D'Arles uświadomił sobie zniechęca, że nigdy nie wyznał monsignore, co naprawdę o nim myśli, nigdy nie odważył się mu powiedzieć, jak bardzo się brzydzi dotykiem jego dłoni. Teraz jednak miał nieprzewyciężoną ochotę rzucić mu w twarz, że ogromnie się cieszy jego nieodwołalnym upadkiem, do którego zresztą sam od dawna starał się przyczynić ze wszystkich sił. Ogień okazał się bronią niewystarczająco skuteczną, psi syn zdołał się jakoś wywinąć.

Twarc d'Arlesa wypogodziła się nagle. Pomysł wydawał się znakomity. Zbyt się do tej pory koncentrował na Guisie i jego kompanach, głuchy i ślepy na wszystko poza nimi, i być może to sprawiło, że nie wpadł dotąd na coś równie oczywistego. Zawsze było tak samo, pewne

mechanizmy nigdy nie zawodziły, więc dlaczego tym razem miałyby się nie udać? Potrzeba tylko kozła ofiarnego. Postąpi tak, jak wielokrotnie wcześniej. Już nieraz ocalił skórę, wymyślając niesłychaną historyjkę, na której lep łapali się bez wyjątku wszyscy. Kozioł ofiarny i zgrabna historia powinny załatwić sprawę, niepotrzebnie się zamartwiał.

Poderwał się z podłogi i zaczął przemierzać komnatę. Raptem znieruchomiał przed jednym z okien. Na jego twarz powoli wypełził uśmiech, a z ust dobyło się radosne podśpiewywanie. Tak, mroczna ścieżka coraz wyraźniej rysowała się w jego umyśle, ścieżka, która miała go zawieść bezpośrednio do celu. Plan był prosty i jasny jak słońce. Ciche nucenie przeszło w donośny śpiew, od którego mocy zdrząły ściany. Stojący za drzwiami strażnicy popatrzyli po sobie z przerażeniem. Nadeszła pora, aby uciekać co sił w nogach.

Monsignore w skupieniu czytał ostatnie wiadomości. Nie należały do najpomyślniejszych. Sytuacja zdawała się pogarszać z chwili na chwilę, błyskawicznie kurczyły się jego wpływy na papieskim dworze. Liczni wrogowie doskonale wiedzieli o jego kolejnych porażkach i nie wahali się z tego chytrze korzystać. Na zbyt długo oddalił się od boku papieża i mogło go to teraz bardzo wiele kosztować. Całe stado wiecznie niesytych padlinożerców już się szykowało, aby rozszarpać go żywcem. Pozwolił, by obsesyjna myśl o d'Ar-lesie zawładnęła nim całkowicie, uniemożliwiając sprawne rozwiązywanie istotniejszych problemów, choćby kwestii pergaminów. A swoją drogą, skąd papież tak szybko się o wszystkim dowiadywał? Czyżby jakaś zdraдлиwa gadzina przytała się tuż obok? I kto w takim razie mógł to być? Wszak osobiście dobierał swoich ludzi i bezustannie ich pilnował, nie wyłączając najbardziej zaufanych. Więc kto?

Podpisawszy kilka dokumentów, kazał wezwać Giovanniego. Tylko jemu mógł obecnie zaufać. Nie potrafił wręcz zliczyć lat, które wspólnie przepracowali. W zakamarkach pamięci zachował obraz bardzo pociągającego młodzieńca, prawie dziecka, którego własna rodzina, marni szaraczkowie z arystokratycznymi pretensjami, wyrzekła się w zamian za kilka drobnych przysług. Ukształtował go więc wedle własnej woli, pod ścisłą kontrolą wychował na człowieka bezgranicznie oddanego prywatnym i publicznym sprawom swego dobroczyńcy. W tym przypadku eksperyment zadziałał, Gio-vanni był jak najwierniejszy pies, pozbawiony innych ambicji niż służenie panu. Tymczasem d'Arles, łotr bezwstydnny...

- Monsignore - Giovanni wszedł do komnaty, lekko skłaniając głowę.

Mój drogi Giovanni, mamy niemały kłopot. Jeden z tych, które zawsze bezbłędnie rozwiązujesz.

- Kłopot, monsignore? Tylko jeden?

- Widzę, że poczucie humoru ci dopisuje. To dobrze, Giovanni. W tej sytuacji niejeden by się raczej powiesił. Jakież wieści o d'Arlesie?

- Jeśli to jest ten kłopot, o którym mówicie, monsignore, wszyscy moi ludzie pracują nad jego rozwiązaniem, a nowiny, jakie przynoszę w tej sprawie, bez wątpienia was ucieszą, panie. D'Arlesa opuszczają nawet najwierniejsi dotąd ludzie. Chodzą plotki, że oszalał, a kilku z jego sług ruszyło do Prowansji z poważnymi skargami.

- A więc opuszczają go ludzie... Co to może znaczyć? - Monsignore nie potrafił ukryć zaskoczenia.

- Rozmawiałem z jednym, zanim uciekł. Trudno było coś z niego wydobyć, ale twierdził, że d'Arles całkiem zwariował, podobno zabił

dwóch własnych ludzi bez żadnej konkretnej przyczyny, tylko dlatego, że nie spodobały mu się przyniesione przez nich wiadomości. Tak przynajmniej utrzymywał ten człowiek.

- Powinniśmy mu ufać, Giovanni? Może to kolejny podstęp tego łotra?

- I ja tak na początku myślałem, monsignore, ale znam Dubois od dawna, nigdy nie straciliśmy kontaktu. On raczej nie kłamie. Był mocno przerażony, a zapewniam was, że do strachliwych nie należy. Opowiadał, że d' Arles urządził prawdziwą jatkę. Tamtego nieszczęśnika pochowali właściwie w kawałkach.

- Karol d'Ajjou wie o tym wszystkim?

- Jeśli nawet jeszcze nie, monsignore, to wkrótce się dowie.

- D'Arles sam sobie stryczek kręci, chyba rzeczywiście zwariował! Jak mógł upaść tak nisko? - Monsignore wyglądał na zaniepokojonego, nie spodziewał się chyba podobnych wieści.

- Musicie mi wybaczyć, monsignore, ale nie rozumiem, co was tak dziwi. Zawsze był dewiantem i zakochanym we krwi rzeźnikiem, a jego metody... Także w tym krótkim okresie, kiedy pracował dla was, zachowywał się, powiedzmy, specyficznie.

- Jak tak dalej pójdzie, pozbawi mnie rozkoszy zemsty. - Monsignore zdawał się rozczarowany, a nawet przybity. - Cóż, zostawmy to... Giovanni, mam dla ciebie inne zadanie. Musisz sobie poradzić w pojedynkę, chwilowo tylko tobie mogę zaufać. Odnoszę uzasadnione wrażenie, że ktoś z naszych ma za długi język. Na dworze papieskim aż huczy od szkodliwych dla mnie plotek, które na domiar złego musiały wyjść od nas.

- Zdrajca, monsignore? Między nami? Trudno w to uwierzyć, żaden z moich ludzi nigdy by się na coś podobnego nie odważył.

- Nadszedł czas zmian, Giovanni, wielkich zmian. To, co kiedyś wydawało się nieprawdopodobne, teraz się zdarza. Ktoś zdradził, uwierz mi, ktoś, kto chce przyspieszyć nasz upadek, moi informatorzy nie pozostawiają co do tego żadnych wątpliwości.

- - Więc nie musicie się dłużej martwić, monsignore, zajmę się tym osobiście. - Widząc, że monsignore pograża się w zadumie, Giovanni skłonił głowę i opuścił komnatę.

Monsignore wpatrywał się w zawieszony na przeciwległej ścianie obraz: stojący na podwyższeniu biskup nauczał wiernych, anonimowy i skłębiony tłum postaci niemal pozbawionych twarzy, nad którym gdzieś powiewały flagi i błyskała broń. Za dostojnikiem widać było kilku rycerzy, którzy dosiadając pełnej krwi rumaków, chylili głowy w geście uznania wyższości boskiej potęgi Kościoła nad władzą świecką. Monsignore zawdzięczał inspirującej mocy tego obrazu najcenniejsze ze swoich pomysłów, dlatego wszędzie go ze sobą zabierał. Teraz z całej siły błagał o cud, o natchnienie, które pozwoliłoby mu wymyślić skuteczną strategię przeciwko dybiącym na niego wrogom. Zatopiony w kontemplacji ledwie dosłyszał za swoimi plecami cichy głos:

- Ojczy.

- Czy doczekam się w ciągu dnia choćby jednej chwili, w czasie której mógłbym spokojnie po... - pytanie urwało się nagle, a na twarzy monsignore odmalowało się najgłębsze osłupienie.

- Ojczy najukochańszy.

Na posadzce, w geście ostatecznej pokory, leżał krzyżem d'Arles.

- Wybacz mi, ojcze - jego szept brzmiał jak intymne wyznanie.

- Wstawaj, nędzniku bezwstydy! Czy zdaje ci się, że mnie zwiedziesz tym żalonym przedstawieniem? - Wbrew swoim słowom monsignore wrósł w ziemię jak zaczarowany, niezdolny do jakiegokolwiek reakcji.

- Macie słuszość, ojcze, jestem najnędzniejszym z nędzników. - D'Arles podniósł się z podłogi i ukląkł, ukazując zalaną łzami twarz. - Zabijcie mnie! Przyszedłem do was po śmierć. Wy, eminencjo, wy jedyni na świecie traktowaliście mnie jak rodzonego syna, a ja, ostatni niewdzięcznik, tak haniebnie was zdradziłem. Powinienem umrzeć, ojcze, umrzeć z waszej ręki. Tylko wy mi zostaliście.

Monsignore wprost nie wierzył własnym oczom. Nigdy wcześniej nie widział tak szczerze skruszonego człowieka, nie mówiąc już o d'Arlesie, zadufanym w sobie sprzedawczyku, który złamał mu serce i skazał go na piekło najczarniejszej rozpacz.

- Wszyscy mnie opuścili, ojcze, to kara za moje niezliczone grzechy i pomyłki. Tropią mnie, chcą zabić. I słusznie, nie zasłużyłem na nic lepszego. Byłem niegodziwy i podły, a moja pycha przywiodła mnie w końcu do zguby. Ale się nie skarzę, ojcze, zasłużyłem! Uściśnijcie mnie wszakże najpierw, oczyśćcie moją duszę z występku!

- Słyszałem, żeście postradali zmysły. Może to żal przywiódł was do szaleństwa, ale szaleńcy nie mają sumienia, mój synu... - Monsignore czuł się rozdarty, z jednej strony pragnął uwierzyć w skrucę i łzy d'Arlesa, lecz z drugiej coś go przed tym powstrzymywało.

- Nigdy nie przestałem o was myśleć, tęsknić do waszych bezpiecznych ramion, jak dziecko szukające pociechy, która nie zostaje mu da-

na. Bałem się jednak waszego ze wszech miar usprawiedliwionego gniewu. Mówiono mi, że przestaliście mnie kochać.

- Wstań, synu, wstań - ton głosu monsignore ulegał powolnej przemianie, wściekłość ustępowała przed pragnieniem, nadzieja wypierała wątpliwości.

D'Arles niezgrabnie próbował się dźwignąć, lecz spazmy ponownie przygięły go do podłogi. Ukrył twarz w dłoniach. Monsignore rzucił się ku niemu, niby ojciec wstrząśnięty cierpieniem syna, i chwyciwszy go w ramiona, postawił wreszcie na nogach. D'Arles, szlochając, wpił się w jego ramię. Stali tak przez chwilę. Monsignore gładził włosy płaczącego, wkładając w ten gest całe swe pożądanie i radość z powrotu marnotrawnego syna. Jednakże wkrótce jego twarz zmieniła się ponownie, przybierając znienacka wyraz zdumienia i niedowierzania. Osunął się łagodnie w migotliwym szeleście jedwabiu, nie wypuszczając z objęć podtrzymującego go d'Arlesa. Ten zaś ledwie słyszalnym głosem szeptał mu do ucha;

- O tak, świetnie się nadajesz na ojca, ale głównie dla biesów z piekła rodem. Jesteś moim mistrzem, a ja twoim najlepszym, najpojętniejszym uczniem, najbardziej udanym dziełem. Przyszedłem ci pomóc, ojcze.

Monsignore leżał już na posadzce. Dopiero teraz poczuł ból wywołany owym krótkim ciosem, pod którego wpływem zmieniła się jego twarz. Wykwintne szaty powoli nasiąkały krwią, a wraz z nią niepowstrzymane opuszczało go życie. Popadł w głębokie odrętwienie. Jego wzrok spoczął jeszcze przez moment na mężczyźnie, którego tak kochał, a który teraz, uśmiechając się z obłędem w oczach, wyciągał ku niemu cienkie ostrze. Monsignore dostąpił wszakże ostatniej przedśmiertnej łaski. Widocznie jakiś posepny, zapomniany bóg zlitował się nad nim, bo zesłał nań nieświadomość, nie każąc dłużej patrzeć ani na

twarz naznaczoną szaleństwem, ani na wzniesiony sztylet. Kiedy więc umazany krwią d'Arles rozpoczął swój makabryczny rytuał, monsignore coraz głębiej pograżał się we śnie o wielkości i chwale.

ROZDZIAŁ XIII

DIES IRAE

My, w imię Boga i Najświętszej Panny Marii Dziewicy, świętego Piotra z Rzymu i naszego ojca papieża oraz wszystkich braci zgromadzonych w zakonie Świątyni, dopuszczamy was do wszelakich dobrodziejstw tego domu, tych, które byty od początku, i tych, które będą aż po kres.

Światło brzasku powoli przenikało do pokoju. Guillem poruszył się na łóżku i przeciągnął, rozluźniony i spokojny. Równie dobrze nie czuł się od wielu dni. Na kilka godzin zapomniał o Bernardzie i konsekwencjach jego śmierci, i nawet list, z którego pamiętał dokładnie każdy wers, każde słowo, nie wywoływał w nim owej głębokiej rozpacz, jaką odczuwał poprzedniego wieczoru. Odwrócił się, szukając obok na posłaniu ciepłego, delikatnego ciała i ramion, których uścisk wprowadziłby go łagodnie w nowy dzień, natknął się jednak na pustkę chłodnego i całkiem już gładkiego prześcieradła. Wstał zaniepokojony i pospiesznie się ubrał. Intensywny zapach świeżo udojonego mleka docierał aż na schody, bezbłędnie prowadząc Guillema do kuchni, gdzie od rana

krzątała się gospodyni. Dwoje małych dzieci utkwilo w gościu ciekawe spojrzzenia, przelotnie tracąc zainteresowanie dla swoich misek z mlekiem, a nawet dla błyszczącego jabłka, o którego posiadanie jeszcze chwilę wcześniej toczyła się tu zażarta walka. Promienny uśmiech, jakim kobieta obdarzyła go na powitanie, nieco Guillemusa uspokoił.

- Dzień dobry, rycerzu! Zjecie coś na śniadanie?

- Z chęcią, jestem głodny jak wilk. Widzieliście może dziewczynę, która przybyła wraz ze mną?

- Oczywiście, że tak, panie. Zeszła do kuchni raniutko, jeszcze przed świtem. Chciała się przejść i pytała, czy jest w pobliżu jakiś kościół.

- Kościół? - zdumiał się młody templariusz.

-Tak, panie. Pokazałam jej drogę do kapliczki San Gil. To dobry kawałek stąd, ale bliżej nic nie ma, a wasza młoda towarzyszka wygląda na silną i żwawą. Nie to, co ja. Na wąskich i stromych ścieżkach męczę się już okrutnie.

Guillem zadumał się głęboko. Dziwne, nieznanne przeczucie napełniło go nagłym lękiem; dopytawszy się więc o drogę, ruszył spieszenie w kierunku kaplicy. Tuż za domem prześwitywała spomiędzy krzewów dróżka, wspinająca się łagodnie na pobliskie wzgórze. Po jednej jej stronie rozciągały się łąki lśniące wszystkimi odcieniami zieleni poprzetykanej gdzieniegdzie czerwonymi plamami maków. Stan ducha, w jakim się znajdował, nie pozwalał jednak Guillemowi cieszyć oczu otaczającym go pięknem. Wręcz przeciwnie, jego trwoga potęgowała się z każdym krokiem. Próbował się uspokoić myślą, że w końcu nic w tym dziwnego, jeśli dziewczyna zaprażyła zniemacka ciszy i samotności. Wszystko stało się tak szybko. Żadne z nich nie przypuszczało chyba, że siła pragnienia okaże się równie przemożna, i Guillem nie potrafił

sobie nawet wyobrazić, co przeżywa teraz Timbors. Pociągała go od pierwszej chwili i choć usiłował się od niej odgradzić grubym murem racjonalnych argumentów, zakazów i nakazów, wciąż nieuchronnie powracał do pytania o naturę tego głębokiego zamętu, który ogarniał go w jej obecności, tego gwałtownego wzburzenia, które wywoływał w nim sam jej widok. Wspinając się wąską ścieżką, zaczynał pojmować, jak potężna moc wyzwoliła się w nim poprzedniej nocy. Przestał odczuwać samotność. Dotyk miękkiej skóry działał niby najskuteczniejsze lekarstwo, jak kamień filozoficzny chronił przez obojętnością i chłodem. Czy powinien mieć wyrzuty sumienia? Pomyślał o Bernardzie i o jego tajemniczych wyprawach. Czy przyszła pora, aby wreszcie odkryć to wszystko, co w najlepszej zapewne wierze zataił przed nim mistrz?

Za jednym z zakrętów ścieżka zaczęła się pięć skalistym i stromym zboczem, zwężając się raptownie i oddalając od uśpionych poniżej zielonych pól. Do uszu Guillem'a dobiegł odległy szum wody zmieszany ze śpiewem ptaków i szmerem wiatru, który kołysał krzewami, niosąc przyjemną woń tymianku. Upłynęło nieco czasu, nim młodzieniec natknął się na niewielki wodospad, który wytryskał spośród skał, aby zniknąć gdzieś w dole zbocza, i nieco więcej, nim stanął przed kapliczką wznoszącą się na samym szczycie wzgórza w otoczeniu rozrzuconych po gołej ziemi głazów. Budynek był mały i prosty, a kamienisty i jałowy teren wokół niego potęgował wrażenie odosobnienia. Wpółrozwalona dzwonniczka stała opuszczona i samotna. Guillem nie dostrzegł w pobliżu żywej duszy. Przekonawszy się, że drzwi są zamknięte, zdjęty niejasnym lękiem obszedł kaplicę dookoła. Tutaj też nikogo nie znalazł. Nagle coś przykuło jego uwagę kilka metrów na lewo od budynku, tuż przy brzegu urwiska. Podeszedł bliżej. Płaszcz dziewczyny leżał rozpostarty na ziemi, pokryty czerwienią zwiędłych już maków, przywodząc na myśl ofiarę złożoną jakiemuś pogańskiemu bóstwu. Guillem upadł na kolana wśród kwiatów i odwlekając chwilę

prawdy, niezdolny spojrzeć w dół, czekał na cud, choć wiedział, że ten nie nastąpi. Z jego gardła wyrwał się jęk, cichy szloch, który narastał, aż przemienił się w rozpaczliwa wycie, właściwsze zranionemu zwierzęciu niż istocie ludzkiej.

Kilkanaście metrów niżej, na skalnej półce o dziwnym kształcie przypominającym wyrastający z pionowej ściany tron, leżała Timbors. Jej piękną, obróconą ku niebu twarz rozjaśniał uśmiech, którego nic nigdy nie miało już zmać.

Czy mogła pragnąć czegoś więcej?

- Wątpię, czy to się uda, przyjacielu. - Dalmau zdjął zakrywającą mu jedno oko opaskę i usiadł, nie kryjąc zmęczenia.

- Plotka rozeszła się błyskawicznie, Dalmau. Ludzie d'Arlesa wierzą, że Bernard żyje, i nie omieszkają o tym bezzwłocznie donieść swojemu panu. Wszystko będzie dobrze, nic się nie martw. - Jacques obrzucił swego towarzysza serdecznym spojrzeniem. Bez brody Dalmau wyglądał młodziej, choć przekonanie go o konieczności jej zgolenia okazało się zadaniem wielce skomplikowanym. Templariusz bez brody zdecydowanie tracił na powadze i Dalmau wciąż nie potrafił się pogodzić ze zmianą swego wizerunku.

- I co teraz, Jacques? - zapytał, drapiąc się bezwiednie w podbródek. Bez zarostu czuł się niemal nagi.

- Musimy poczekać na reakcję d'Ariesa. Na pewno długo nie wytrzyma, a kiedy już wychynie z nory, będziemy mogli zacząć działać.

- Martwię się o brata Arnau i Abrahama, Jacques... - Dalmau nie podzielał optymizmu Bretończyka.

- Na wszystkie świętości, Dalmau, przestań wreszcie! Wiemy przynajmniej, że nie wpadli w łapy d'Arlesowi.

- Skąd ta pewność? Nie możemy tego wiedzieć, Jacques, w gruncie rzeczy nie możemy być pewni niczego. Działamy po omacku, w nadziei, że jakiś szczęśliwy traf pozwoli nam dobrać się d'Arlesowi do skóry.

- Niewiele wiemy, zaiste, nie mamy prawie żadnych wieści, ani dobrych, ani złych, i choćby z tego powodu powinniśmy się cieszyć. Gdyby im się coś stało, już byśmy o tym usłyszeli. Naprawdę, Dalmau, powoli mnie zarazasz tym swoim nastrojem... - Jacques miał dość uparte go pesymizmu przyjaciela.

Słyszając pukanie do drzwi, natychmiast poderwał się z miejsca. Do komnaty wszedł stary Mauro i uśmiechając się nieznacznie, jednym spojrzeniem ocenił sytuację. Przygnębiony Dalmau siedział w kącie, a Bretończyk krążył po pokoju niczym rozwścieczony lew w klatce.

- I co? Jakież nowości?

- Po kolei, panowie, dla każdego coś miłego, o ile oczywiście w obecnych nastrojach jesteście w stanie docenić dobrą wiadomość. Po pierwsze i najważniejsze: monsignore nie żyje.

- Nie żyje! - Dalmau wyrwał się wreszcie z odrętwienia.

- Jak to? Co się, u licha, stało? - Jacques wyglądał na mocno zaintrygowanego.

- To tylko plotki, uprzędzam, nic więcej. Pozbierałem je starannie, co jednak nie zmienia postaci rzeczy. Na mieście powiadają, że d'Arles poszatkował go jak kapustę. Od jednego z ludzi monsignore dowiedziałem się, że dostali rozkazy, aby zatrzeć najdrobniejsze choćby ślady zabójstwa, a potem zniknąć z miasta. Jednym słowem noga monsignore nigdy nie powstała w Barcelonie.

- Na rany Chrystusa! D'Arles oszalał! - Bretończyk nie wierzył własnym uszom.

- Co do tego masz chyba słuszość, Jacques, bo z pogłosek wynika, że całkowicie postradał zmysły. Wyruszyli już posłańcy, aby powiadomić o tym Karola d'Anjou. Miasto aż wrze od przypuszczeń, co chwila słyhać coś nowego. A! No i Bernard Guils żyje. Albo tak przynajmniej mówią... - Mauro wybuchnął głuchym śmiechem i sięgnął po czarną opaskę pozostawioną przez brata Dalmau na stole. - Nie ma co, udało się wam przedstawienie, chłopcy.

- - A d'Arles? - spytał Dalmau, znów popadając w przygnębienie.

- Znikł z powierzchni ziemi. A wielu go szuka, i to w celach, których nie nazwałbym pokojowymi - odparł Mauro, przyglądając się obu templariuszom z zainteresowaniem. - Ale to nie koniec.

- Co jeszcze, Mauro? - ożywił się Jacques.

- Ktoś chce z wami porozmawiać, zaproponować wam układ.

- Układ? Jakiego rodzaju? - zniecierpliwiony spokojem starca Jacques prawie krzyknął.

- - Odniosłem wrażenie, że chodzi o d'Arlesa, ale nie jestem pewien. Człowiek, o którym mówię, chce rozmawiać tylko z wami, bez pośredników. Może to jakaś pułapka, nie wiem.

- Zamierzasz nas tu trzymać cały boży dzień, podsycając naszą ciekawość i od czasu do czasu uchylając rąbka tajemnicy? - wybuchnął Bretończyk.

- Nie tak nerwowo, Jacques, mówię, co wiem, nic więcej. Ten człowiek podał mi miejsce i godzinę spotkania. Chce z wami porozmawiać. Decyzja zależy od was.

- W razie czego możemy na ciebie liczyć, Mauro? - łagodnie spytał Dalmau.

- Przykro mi, chłopcy, naprawdę mi przykro, ale muszę natychmiast wyjechać. Tak kazał Bernard, a wiecie, że nigdy nie sprzeciwiam się jego rozkazom.

- Do diabła ciężkiego! Czy i ty całkiem zwariowałeś? Co masz na myśli, mówiąc, że Bernard coś ci kazał? Niech to wszystko szlag! - Jacques w końcu stracił cierpliwość.

- Mam na myśli to, co powiedziałem. Reszta was nie dotyczy, moi drodzy... - Mauro nie przestawał się lekko uśmiechać. Najwyraźniej przekleństwa Bretończyka nie robiły na nim żadnego wrażenia. Wyjawiwszy wreszcie miejsce i czas spotkania, zniknął bez dalszych wyjaśnień, napomykając raz jeszcze o swoich enigmatycznych obowiązkach.

Dalmau i Jacques popatrzyli po sobie w osłupieniu.

- Wszyscy skończymy tak jak d'Arles. Choć właściwie nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że powariowaliśmy już dawno temu, Jacques.

Guillem ściągnął wodze i skierował się na północny zachód, ku miejscu wskazanemu przez Guilsa. Nie popędzał konia, w liście nie było mowy o tym, że powinien się spieszyć. Pozwolił zatem wierzchowcowi wlec się noga za nogą i jechał jak pozbawiony jasno wytyczonego celu włóczęga. Próbował uporządkować fakty, zrozumieć ich znaczenie, sprawić, by poszczególne elementy układanki złożyły się w wyraźny wzór. Tamtego poranka wrócił do gospody i poprosił o sznury potrzebne do wydobycia ciała Timbors. Widząc ogromny smutek, z jakim gospodyni przyjęła wiadomość o zdarzeniu, i słuchając jej niepotrzebnych usprawiedliwień, usiłował ją wręcz jakoś pocieszyć. Nikt nie mógł przewidzieć tego, co zaszło, nie musiała się więc obwiniać o śmierć dziewczyny tylko dlatego, że wskazała jej drogę do kaplicy. Jeśli nie na wzgórzu, stałoby się to bez wątplenia w jakimkolwiek innym miejscu. Wypowiadał te zapewnienia machinalnie, nie wiedząc nawet, co powinien czuć. Timbors nie chciała żyć, jej egzystencja była jednym pasmem cierpień. Nic nie mogło uratować kogoś, kto nigdy nie zaznał niczego poza bólem.

Pomogli mu starsi synowie karczmarki, dwóch wyrostków o poważnym spojrzeniu, wstrząśniętych młodością i urodą Timbors. „Ale dlaczego?” - zapytał jeden z nich zrozpaczonego Guillem, który wszakże nie potrafił nic odpowiedzieć i tylko tłumił podchodzący mu do gardła szloch. Czekają ich ciężkie zadanie. Zwisając z pionowej skały, Guillem uparcie wpatrywał się w przepaść, która okazała się ostatnim danym Timbors na ziemi widokiem. „Timbors, Timbors” - powtarzał, jak gdyby jedynie to imię powstrzymywało go od skoku, gdy wahał się, czy do niej nie dołączyć i raz na zawsze nie wyzwolić się od cierpienia. Cóż mogłoby go od tego odwieść? Objął delikatne, roztrzaskane teraz ciało i zapamiętując się w bólu, przytulił głowę do drobnych piersi. Timbors jednak już z nim nie było, odeszła, wreszcie wolna od trosk, pozostawiając za sobą pustkę.

Poprosił, aby pozwolono mu ją pochować wśród maków, i sam, bez niczyjej pomocy, zaniósł ciało na łąkę. Zanim zasypał grób, raz jeszcze obrzucił spojrzeniem twarz Timbors i białą sukienkę, w którą ubrała ją na tę ostatnią drogę karczmarka. Później przykrył dziewczynę cienką lnianą tkaniną, aby choć przez chwilę uchronić ją przed zimnym dotykiem ziemi. „Timbors, Timbors! Tyle zostaje, spłachetek czarnej ziemi pośród czerwonego morza... Nie potrafiłem cię ocalić, moja słodka”. Wrócił do gospody i przez cały dzień, siedząc przy oknie, nie odrywał wzroku od pola maków. Nigdzie się nie spieszył, o niczym nie myślał. Czasem zamykał oczy i widział biel albo raczej jakąś dziwną przestrzeń bez koloru, jak gdyby gęsta mgła spowiła jego umysł, pogrążając go w nieskończonym spokoju. Długo nie ruszał się ze swego miejsca, dopiero o świcie osiodłał konia i odjechał, z nikim się nie żegnając. Przez okienko na poddaszu dwaj chłopcy w milczeniu patrzyli, jak znika w oddali. Zatrzymał się tylko na chwilę, aby po raz ostatni zatopić spojrzenie w czerwieni maków.

Skład wypełniały leżące rzędami worki, które piętrzyły się aż na wysokość dwóch dorosłych mężczyzn. Wąziutkie przejście pomiędzy nimi do złudzenia przypominało labirynt. Przemykali się nim bezgłośnie dwaj mężczyźni, nie wypuszczając z dłoni obnażonych mieczy i ostrożnie stawiając kroki. Bretończyk przystanął znienacka, dając ostrzegawczy znak w przyjacielowi.

- Nic wam nie grozi, chciałem tylko porozmawiać... - Głos dobiegał z lewej strony. W mroku zarysowała się sylwetka mężczyzny.

- I lepszego miejsca na pogawędki po prostu nie można było znaleźć. Rozumiem - zakpił Bretończyk.

- Nie pojmuję doprawdy, co cię tak dziwi, Jacques. Szukałem czegoś odpowiedniego dla nas. Może nie są to papieskie apartamenty, ale do naszych celów wystarczyłyby i chlew.

Giovanni poprowadził ich ku miejscu, które zdawało się stanowić środek tego dziwnego labiryntu, jakby żywcem wyjętego ze snu kupca. Stały tu dwa świeczniki, a kilka położonych na ziemi worków spełniało rolę naprędce zaimprovizowanych siedzeń.

- Rozgośćcie się, szlachetni panowie. - Giovanni wyjął z sakwy niewielki gąsiorek i trzy srebrne kielichy. - Wzniesmy toast za zdrowie monsignore, który okazał się tak uprzejmy i podzielił się z nami swoim wyśmienitym winem tudzież tymi kosztownymi pucharami.

- Ukradłeś mi to wszystko? - zgorszył się Dalmau.

- Powątpiewam, aby coś z tego miało mu się przydać w podróży, w którą niedawno wyruszył. A ty jak sądzisz?

- O co chodzi, Giovanni? Ty też zwariowałeś? - Jacques nie wyżył się wątpliwości i uważnie przepatrywał każdy kątek.

- Myślałem, że Mauro wam wyjaśnił. Chcę zawrzeć układ.

- Trochę trudno w to uwierzyć, Giovanni. Od dość dawna służymy sprzecznym interesom - mruknął Dalmau z niedowierzaniem w głosie.

- Tak, masz słuszość, w istocie trudno. Od lat bawimy się w kotka i myszkę, głupiutkie baranki przez złych pasane pasterzy... Twoja nieufność wydaje mi się w pełni uzasadniona, tyle że mam już po prostu dosyć, jestem zmęczony.

Giovanni usiadł na jednym z przygotowanych wcześniej worków i w zamyśleniu napełnił swój kielich, zupełnie się nie przejmując okazywanym mu brakiem zaufania. Bretończyk obserwował go z uwagą, rozważając usłyszane słowa.

- Nie dziwi mnie, że masz dość. Monsignore był prawdziwym sukinysem, choć przykro mi to mówić, Giovanni. Dziwi mnie natomiast, że zdołałeś tyle wytrwać pod jego rozkazami. - Jacques zdecydował się usiąść i przyjąć z rąk papieskiego szpiega kielich z winem.

- Nie zamierzam tu opijać niczyjej śmierci, choćby i śmierci tego parzywca... - Dalmau wciąż się wahał, wzdragając się przed tą nagłą a podejrzaną poufałością.

- Nie martw się, nikt cię nie będzie do tego zmuszał. Możesz się napić w dowolnej intencji. Na przykład za brata, za Gilberta.

Dalmau rzucił się na Włocha z taką zajadłością, że nawet Bretończyk musiał się nieco wysilić, aby ich rozdzielić.

- Niech to szlag, Dalmau! Twój brat był moim przyjacielem, już zapomniałeś? - Giovanni wycierał rozlane wino.

- Ale nie zapomniałem, komu służysz, diabelski pachołku! Nie waż się wypowiadać imienia mojego brata! - Spokojny zwykle Dalmau nie panował nad sobą i wciąż próbował się wyrwać powstrzymującemu go Jacques'owi.

- Uspokój się, Dalmau! Nic w ten sposób nie zyskamy. Usiądź. Posłuchajmy, co Giovanni ma nam do powiedzenia. Jedyne, co tak naprawdę łączy nas z przeszłością, to pewien niewyrównany rachunek, który trzeba za wszelką cenę uregulować. Na miłość boską!

Olbrym popchnął rozwścieczonego przyjaciela na jeden z worków, po czym wrócił na swoje miejsce.

- W porządku, Giovanni, nie traćmy więcej czasu. W czym rzecz?

- Wiem, gdzie się chowa d'Arles.

- I dla jakiej to niezgłębionej przyczyny postanowiłeś się z nami tą informacją podzielić? Uważasz nas za głupców czy co? - Dalmau ani myślał tak łatwo się poddać.

- Nie podzielę się nią oczywiście za darmo. Chcę ją sprzedać.

- Chcesz sprzedać d'Arlesa? - Jacques nie potrafił powściągnąć wyrazu zdumienia.

- Zdawało mi się, że władam waszym językiem w stopniu umożliwiającym komunikację, ale widzę, że lepiej przejść na arabski - sarkazm w głosie Włocha zabrzmiał jak uderzenie.

- I jakiej zażądałbyś ceny, Giovanni?

Jacques wciąż nie mógł się otrząsnąć ze zdziwienia. Po człowieku pokroju Giovanniego nigdy by się czegoś takiego nie spodziewał. Znał go od wielu lat i mógłby przysiąc, że postępowanie Włocha zawsze charakteryzował pewien rodzaj uczciwości, jeśli oczywiście można było używać tego słowa w odniesieniu do parszywego zawodu, jaki wykonywali. Zmierzyli się wcześniej przy kilku okazjach i sam Bernard żywił względem niego niejaki szacunek, zapewniając niejednokrotnie, że Giovanni to rarcet avis na zakłamanym papieskim dworze. Bretończyk zastanawiał się teraz gorączkowo, co mogło skłonić Włocha do podobnego posunięcia. Nienawidził wprawdzie d'Arlesa ze wszystkich sił, ale... Jacques popatrzył na brata Dalmau, który po słowach Giovanniego zastygł w bezruchu niczym kamienny gargulec.

- Giovanni, jakiej ceny żądasz? - powtórzył.

- Chcę wstąpić do waszego zakonu i zaszyć się w jakiejś odległej komandorii, gdzie nikt mi nie będzie zlecał żadnych odpowiedzialnych

zadań. Chcę skończyć z dotychczasowym życiem, zniknąć tak, aby nikt mnie nigdy nie odnalazł. To jest moja cena.

- No nie, naprawdę wszyscy powariowali! - zauważył Dalmau ponuro.

- Mówisz poważnie, Giovanni, czy tylko nas naciągasz, żeby potem zabawić opowieścią koleżków? - Jacques nie wierzył własnym uszom.

- Mówię poważnie, Jacques. I ostrzegam, że d'Arles postradał zmysły, szaleje jak opite krwią, wściekle zwierzę. Nie wiem, czy uda wam się go złapać. Nawet sobie nie wyobrażacie, co zrobił z monsignore, najgorszy koszmar to przy tym pestka. Koniec, mam dość.

- Stąd ta decyzja? Bo z monsignore stało się to, co się stało? - spytał Dalmau.

- Nie, nie dlatego. Sam bym z nim skończył, gdybym się tylko zdobył na odwagę. Po prostu sam z siebie uznałem, że pora zmienić swoje życie, zanim będzie za późno.

- A może boisz się, że d'Arles dopadnie i ciebie? - nie rezygnował Dalmau.

- Nie potrafisz mnie zrozumieć, prawda? - Giovanni posmutniał nagle. - W porządku, zapomnijcie o mojej propozycji. Sam się zajmę d'Arlesem, też mam z nim o czym pogadać. On czy ja, wszystko jedno, kto przeżyje... niewielka różnica. Ale musiałem chociaż spróbować.

- Poczekaj, Giovanni! Przecież nikt nie podjął jeszcze żadnej decyzji. Pozwól, że ja i Dalmau porozmawiamy chwilę na osobności.

Gdy templariusze zniknęli za stertą worków, Giovanni, wzgardziwszy pięknym kielichem ze srebra, napił się wprost z gąsiorka. Po niedługim czasie Dalmau i Jacques pojawili się znowu, obaj bardzo poważni.

- W porządku, Giovanni, zgoda. - Jacques wyciągnął do Włocha rękę.

Zasiedli na workach. Giovanni napełnił puchary i w mrocznym składzie trzy dłonie wzniosły się w geście toastu. Wypili bez słowa, a potem Giovanni ściszone głosem zaczął opowiadać.

Wyjechał z lasu na biegnącą wzdłuż strumienia ścieżkę. Pola uprawne i bujna roślinność zaczynały powoli ustępować odmiennemu krajobrazowi. Odchylił głowę, aby spojrzeć na wyrastającą tu pionowo czerwonawą skałę o kształtach tak nieregularnych, jak gdyby jakiś rzeźbiarz postanowił nadać widzialną formę któremuś ze swych koszarów. Nad zwężającą się stopniowo dróżką wciąż jednak unosił się zapach porastających jej brzegi ziół, tymianku i oregano, kurczowo przytulonych do kamieni i kołysanych delikatnymi powiewami zwiastującymi deszcz. W powietrzu przepływały fale zimnej wilgoci przywodzące na myśl otwarte groby. Guillem wzdrygnął się. Myśl o śmierci ostatnio go nie opuszczała, pani z kosą doprawdy aż nazbyt często zaszczyciała go swoją obecnością, jak gdyby usiłując mu przekazać zagadkową i sekretną wiadomość. Ujrzał w oddali dwa orty, które szybowały ponad skałami, by niebawem, zataczając koncentryczne kręgi, wzbic się w niebo. Na ścieżce pojawiało się z każdą chwilą więcej kamieni, a płynący wzdłuż niej strumień niemal niepostrzeżenie przekształcił się w wartki potok spadający hałaśliwie po coraz bardziej stromym zboczu. Koń Guillega szedł spokojnie i bez

pośpiechu, obojętny na otwierającą się tuż obok przepaść i trudy górskiej wędrówki, jak gdyby pewny swego losu.

Dotarli do szerokiego nasypu, u którego stóp droga zdawała się kończyć. Przyklejona do ogromnej pionowej ściany z szarego kamienia, wznosiła się tu samotna wieża. Czerwień i szarość skał były jedynymi kolorami, które dało się dostrzec w tym pustym i posepnym zakątku. Zaczął padać deszcz i jego drobne krople zmaciły panującą wokół ciszę. Owinąwszy się szczelniej swym ciemnym płaszczem, Guillem zsiadł z konia i uwolnił go od ciężaru podróźnych sakw. Później skierował wzrok na opuszczoną wieżę. Przed wielu laty była to budowla o istotnym znaczeniu strategicznym, ale granica przesunęła się i postępująca rekonkwista skazała dawną twierdzę na los ruiny dzień po dniu zawłaszczanej przez rachityczną roślinność. Dwunastometrowe dumne mury zdawały się pogardliwie obserwować przybyszów szczelinami otworów strzelniczych. Guillem podszedł bliżej. Jedyne prowadzące do wieży drzwi znajdowały się na wysokości czterech metrów nad ziemią, zupełnie jakby przeznaczono je dla bogów lub olbrzymów, którzy, aby się do nich dostać, nie potrzebowaliby schodów ani lin. Wykuty ponad niedostępnym wejściem krzyż templariuszy wskazywał wędrowcom, do kogo w rzeczywistości należało to miejsce. Guillem dotarł do załomu, gdzie wieża łączyła się ze skalną ścianą, zlewając się z nią w jedno. Przyklękął przed wmurowaną w kamień zaśnieżoną płytą i pchnął ją mocno, aż ustąpiła z suchym zgrzytem. Hałas uruchomionych trybów i dźwigni dołączył do szumu wzmagającej się ulewy. Przemoknięty do suchej nitki Guillem ponownie stanął przed wysoko umieszczonymi drzwiami i czekał. Fasada wieży zdrzała i wielkie, z pozoru idealnie dopasowane kamienne płyty zaczęły się dzielić na nieco mniejsze bloki, a te jeden po drugim wysuwały się na zewnątrz. Pod niedostępnymi drzwiami tworzyły się w ten sposób kolejne wąskie stopnie, z których

ostatni zawisł około trzydziestu centymetrów nad ziemią. Później drzenie ustało i budowla na powrót pograżyła się w ciszy.

Wspiąwszy się po stromych schodach, Guillem wszedł do wieży. Otwory strzelnicze przepuszczały do wnętrza tylko odrobinę słabego, szarawego światła, musiał więc chwilę odczekać, aby jego oczy przywykły do panującego tu półmroku. Pomieszczenie było całkiem puste. Jedyne przy północnej ścianie, tam gdzie wieża łączyła się z litą skałą, wznosił się ogromny kominek. Guillem zbliżył się do paleniska. Zwęglone resztki dawno wygaszonego ognia świadczyły o tym, że długo nikt tu nie zaglądał, ale młodzieniec pamiętał doskonale, że Bernard po mistrzowsku opanował sztukę starannego zacierania najdrobniejszych śladów swej obecności. Wyjął z torby niewielką pochodnię oraz wszystko, czego potrzebował do jej zapalenia, i już po chwili jaskrawe czerwone światło zalało komnatę, rozjaśniając zniemacka jej wysokie ściany. Guillem wszedł do kominka i uniośł rękę, odnajdując łańcuch, za który gwałtownym ruchem pociągnął. Ciężka płyta w głębi uniosła się powoli i niemal bezgłośnie, ukazując dobrze widoczne w świetle pochodni wąskie, wykute w skale schody. Młody templariusz odetchnął kilka razy głęboko, jak gdyby usiłował nabrać w płuca jak najwięcej powietrza, a potem rozpoczął wędrówkę ku górze. Dwieście pięćdziesiąt dwa stopnie. Dwa plus pięć plus dwa równa się dziewięć. „Jeśli czujesz się przygnębiony, pomyśl o cyfrze dziewięć, wyrysuj ją sobie w powietrzu, skoncentruj na niej umysł” - radził niegdyś Bernard, miłośnik kabały. Dziewięć dni, dziewięć godzin z Timbors, dziewięć bluźnierstw na twoją cześć, mistrzu.

Stanął, aby odpocząć. Przysiadł na zimnym schodku, spoglądając w niezmierną ciemność otwierającą się jeszcze przed nim i w tę, która zamknęła się już za jego plecami. Nieco później, zupełnie wyczerpany, wypchnął grzbietem drewnianą klapę i upadł na ziemię, oddychając z trudem i zachłannie wciągając do płuc docierające tu czyste i mroźne

powietrze. Leżał tak przez dłuższy czas, z otwartymi ustami, niczym ryba wyrzucona na brzeg. Wreszcie podniósł się i postąpił kilka kroków po chropowatej skale, która kończyła się nagle ogromną niecką, wielką jaskinią otwierającą się niby rana w sercu góry smaganej teraz wiatrem i ulewą. Z boku, kilkadziesiąt metrów niżej, ukazywał się oczom Guillem rozległy krajobraz z majaczącą w dole, spokornia-łą nagle wieżą, zagubioną wśród otaczających ją wyniosłych szczytów.

Usiadł, wspominając zdumienie, które zalało go, kiedy prowadzony przez Bernarda ujrzał to wszystko po raz pierwszy, i niedowierzenie, jakie wywołał w nim widok tego dzieła natury. Przyszło mu do głowy, że za każdą tutaj wizytą odczuwał zupełnie co innego, jak gdyby zakątek ten zmieniał się nieustannie, aby ciągle go zaskakiwać. Olbrzymia grota przypominała kształtem wydłużoną łzę. Najwyższy jej punkt stanowiło naturalne przejście prowadzące na zewnątrz, do owej drewnianej kJapy, którą kończyły się wiodące przez wiiętrze skały schody. Dalej jaskinia rozpościerała się wzdłuż i wszerz, kryjąc się przed ludzkim okiem w sercu góry, oświetlana promieniami przenikającymi przez szczeliny w sklepieniu.

Z drugiej strony, tam gdzie ła najbardziej się wybrzuszała, dokładnie naprzeciwko kamienia, na którym siedział Guillem, stał prosty, niewielki budynek, uczepiony samej krawędzi gładkiej, opadającej tu pionowo w dół skały. San-ktuarium-Macierz niewiele się różniło od gniazd uwitych przez orły na szczycie tej samej góry.

Guillem pamiętał, jakie legendy o tym miejscu opowiadał mu kiedyś Bernard. Schody wewnątrz góry, dwieście pięćdziesiąt dwa stopnie cierpliwie wyciosane w litej skale, zostały odkryte przez robotników zatrudnionych przy wznoszeniu wieży obronnej na fundamentach jakiejś pogańskiej budowli. Nikt nie wiedział, kim byli jej zagubieni w labiryntach czasu budowniczyowie ani jakim zapomnianym a potężnym

bogom oddawano tu cześć. Bernard twierdził, że samą wieżę skonstruowano głównie po to, aby strzegła ukrytej i niedostępnej jaskini. Ponieważ nikt nie wiedział, jak nazywało się to miejsce, Bernard postanowił je nazwać San-ktuarium-Macierzą, najświętszym spośród wszystkich, gdzie rzeczy miały swój początek i koniec. Wedle innych opowieści w głębi ziemi istniało wiele tuneli, częściowo zasypanych lub zniszczonych, prowadzących nie wiadomo dokąd. Legendy te mocno działały na wyobraźnię młodziutkiego Guillem, który drżał ze strachu, słuchając, jak urodzony bazarz

Bernard głuchym głosem snuje historie o duchach i pogańskich bogach. Młodzieniec uśmiechnął się ciepło na to wspomnienie i wstał, rozprostowując zdrętwiałe nogi. Zdążył prawie zapomnieć, po co tu właściwie przyjechał.

Powędrował więc ku maleńkiemu, zamkniętemu w jaskini kościółkowi i już z daleka dostrzegł wyrzeźbiony nad jego wejściem krzyż templariuszy. Wnętrze świątyni, rozjaśniane światłem wpadającym przez niezwykle prostą w kształcie rozetę, porażało nagością. Samo centrum pomieszczenia zajmował grobowiec z marmuru, stanowiący punkt ciężkości, od którego zdawała się zależeć stabilność całej góry. Guillem podszedł do niego i odsunawszy z wysiłkiem przykrywającą go ciężką płytę, zajrzał w głąb. Po chwili wyjął stamtąd starannie zapakowaną paczuszkę, którą położył u stóp grobowca, nie spuszczając z niej pełnego respektu spojrzenia. Kolejny rzut oka do środka najwyraźniej go zaskoczył: na marmurowych płytach spoczywał jeszcze jeden pakunek. Przycisnąwszy go do piersi, Guillem zostawił na posadzce pierwszą paczuszkę, jak gdyby kontakt z nią groził jakąś dziwną zarazą, po czym wyszedł ze świątyni i usiadł pod jedną z jej ścian, niemal nie ważąc się oddychać. Mimo panującego w jaskini chłodu czoło młodzieńca pokryło się potem, kiedy rozerwał sznurek i ujrzał piękny miecz, który zsunął się z jego kolan, wywołując pod kamiennym

sklepieniem tysiące metalicznych ech. Leżał teraz na ziemi, błyskając nagim ostrzem pod zahipnotyzowanym wzrokiem Guillema. Pozostała część pakunku wysunęła się z rąk młodego templariusza, pozwalając dojrzeć kilka sztuk odzieży i biel zakonnego płaszcza, który spłynął łagodnie na kamienie, kładąc się na nich nieruchomymi fałdami. W powietrzu, kołyszany silniejszym powiewem, unosił się przez moment skrawek papieru, który w końcu opadł do rąk Guillema. *„Twój biały płaszcz i moje żelazo. Niczego więcej nie będziesz potrzebował. Bernard”*.

Guillem zastygł w zamyśleniu, nic zważając na poniewierającą się u jego stóp odzież, z oczami utkwionymi w rękojeści miecza. Połyskujący purpurą kamień osadzony między rozszerzającymi się ramionami krzyża cierpliwie czekał, aż nadejdzie pora.

Obudził się zlany zimnym potem i gwałtownie usiadł na łożu. Długo nie potrafił się otrząsnąć z sennego koszmaru wypełnionego śmiercią i szkarłatem. Dłonie w czarnych rękawiczkach za nic nie chciały zniknąć sprzed jego oczu, kołyszając się na krwawej fali w rytm niesłyszalnej melodii. Wstał z posłania w nadziei, że zmiana pozycji pomoże mu odegnać prześladowające go upiory, i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że się klei, a ręce ma czerwone i wilgotne. Powłókł się ku przeciwległej ścianie i oparł o nią całym ciężarem. Na łożku ktoś leżał, jakieś ciało częściowo przykryte prześcieradłem, czerwone, czerwone, czerwone... D'Arles wrzasnął w panice. Żądny zemsty monsignore ścigał go aż tutaj i najwyraźniej zamierzał pociągnąć za sobą w zaświaty. Nie pozwoli mu jednak na to, o nie, w razie konieczności zabije go jeszcze sto, a nawet tysiąc razy! Metr dalej, na podłodze, leżał ociekający krwią sztylet. D'Arles przesunął się ostrożnie wzdłuż ściany i dopadł ostrza, zanim zakryta postać zdążyła się poruszyć. Tym razem musi się udać, monsignore umrze ostatecznie i uwolni go wreszcie od swojej przeklętej obecności. Gwałtownym ruchem ściągnął prześcieradło, kurczowo za-

ciskając dłoń na przygotowanym sztylcie. Długie czarne włosy zakrywały twarz postaci na łóżku, a jej ciało, zamienione w bezkształtną krwawą masę ze sterczącymi tu i ówdzie kośćmi, nie przypominało już niczego. D'Arles stanął jak wryty. To coś nie wyglądało jak monsignore, dłonie były zbyt małe, bez śladu rękawiczek. Prawie się uśmiechnął. Czyżby jego najdroższy nauczyciel nie potrafił się jednak wydostać z piekła? Wtem przypomniał sobie szczupłą prostytutkę, której tak bardzo pochlebiło jego zainteresowanie. Głupie chuchro z wytrzeszczonymi oczami. D'Arlesem wstrząsnął spazmatyczny, bezgłośny śmiech. Monsignore, parszywy łajdak, usiłował wprawdzie zawładnąć jego snami, zamknąć go w niekończącym się koszmarze, nie zdołał jednak, przegrał z silniejszym od siebie. Przykrzyło mu się samemu w podróży, a może bał się stanąć w pojedynkę przed piekielnymi bramami, psi syn! Ale cóż, będzie sobie musiał jakoś poradzić, bo d'Arles nie da mu więcej okazji, po prostu nie zmrzy już oka! Wciąż się śmiejąc, Cień podszedł do dzbana z wodą i umył się. Zdjąwszy zakrwawioną koszulę, kontemplował przez chwilę doskonale linie swego nagiego torsu. Zniknie z tego przekłętego miasta, już wkrótce znajdzie się na statku. Musi tylko poczekać na nocne ciemności, by osłoniły ucieczkę, która na zawsze skryje go przed wzrokiem prześladowców. Legendarny Robert d'Arles, zwany Cieniem, zwyczajnie rozpułynie się we mgle. Ubrał się powoli i z wyjątkowym staraniem, od czasu do czasu wyglądając niespokojnie przez zalepione brudem okno. Doskonale stąd widoczny statek, którym zamierzał odpłynąć, już czekał, łagodnie kołysząc się na fali. Twarz d'Arlesa zachmurzyła się znienacka na wspomnienie Bernarda Guilsa, kolejnego z prześladowających go zawzięcie widm. Bo nikim innym, niż nędznym i mściwym widmem, templariusz być już zwyczajnie nie mógł. Zabił go przecież, nikt nie przeżyłby po wypiciu tamtego napoju. Dlaczego z Guilsem miałoby się nie udać? Tamci chcieli tylko, aby się przeraził. On, Cień! Banda głupców! Znowu wybuchnął bezgłośnym, tłumionym śmiechem, zakrywając usta

obiema dłońmi. Zacznie od nowa, wciąż jeszcze może to zrobić, kto wie, czy nie dałoby się nawet wrócić na służbę do Karola. Właściwie dlaczego nie? Należy jedynie wymyślić jakąś zgrabną bajeczkę i wszyscy znowu legną u jego stóp. Zawsze tak było i nie widział powodu, aby coś się miało zmienić.

Przyjrzał się uważniej widocznej na plaży postaci. Ktoś stał tuż nad wodą, całkiem nieruchomo, przesłaniając mu fragment zbawczego statku. Któż to, u licha, mógł być? Wkrótce należało wychodzić, noc nagłym mrokiem powlekła już znaczną część nieba. Pora była spokojna, leniwa... Przekonanie właściciela statku, aby zechciał wyruszyć akurat o tej godzinie, kosztowało fortunę. D'Arles wyteżył wzrok. Księżyc świecił jeszcze dość słabo, w otoczeniu gęstych chmur, które groziły, że za chwilę zakryją go zupełnie. Coś błysnęło, coś jakby biały płaszcz templariusza. Postać na plaży zaczęła się przechadzać w tę i z powrotem. Blade księżycowe światło mieniło się tysiącem odcieni na jej rozwiewanej bryzą pelerynie. D'Arles powinien się zbierać do wyjścia, zamiast tego stał jednak przy oknie jak sparaliżowany i wciąż się wahał. Zdecydowany krok człowieka na plaży coś mu przypominał. Potem pojawili się jeszcze dwaj. Patrzyli w stronę jego okna, jak gdyby mogli go wyraźnie widzieć.

D'Arles poczuł, jak dreszcz strachu pełźnie mu po plecach. Musiał już iść, nie mógł tracić czasu na rozmyślanie o piekielnych zjawach. Pomyślał, że wyobraźnia pląta mu złośliwego figla, i odsunął się od okna, oddychając z trudem. Nikogo tam nie było, oni nie żyli, żaden z nich. Wyrzał raz jeszcze: plaża wyglądała na opustoszałą. A więc wszystko to głupie przywidzenia, skutek pobudzonej wyobraźni, fatamorgana, zupełnie jak na palestyńskiej pustyni. Najwyraźniej monsignore znowu przyzywał go ze swych czeluści, próbując zmaćć jego

umysł. Nie uda mu się jednak, nikt nie zdoła zatrzymać Cienia, nikt spośród żywych, a tym bardziej rozwścieczony, żądny zemsty duch.

- Jesteś martwy, psi synu! Martwy! - D'Arles naciągnął płaszcz na ramiona, zakrywając twarz kapturem, i wyszedł z pokoju, nie oglądając się już ani razu.

Plaża była pusta, nie czekała też jeszcze na niego żadna łódź. Podążył jednak na umówione miejsce, skąd ktoś miał go zabrać na statek. Gnane wiatrem ogromne chmury przysłaniały księżyc i światło zdawało się zamierać. Wtem go zobaczył: Bernard Guils szedł ku niemu z lewej strony, spowity niewyraźną jasnością, trzymając w dłoni nagi miecz. D'Arles rzucił się w przeciwnym kierunku dokładnie w chwili, kiedy łódź zaczęła się zbliżać do brzegu. Wytrwale brnął przez piach, który więził jego stopy i utrudniał bieg. Nagle kilka metrów przed nim w ciszy rozległ się głos:

- Robert d'Arles! Wreszcie udało nam się spotkać! - Jacques Bretończyk odcinał mu odwrót. Obok stał Dalmau.

D'Arles z krzykiem wydobył miecz. Trzej mężczyźni byli coraz bliżej, otaczali go. Jego umysł, rozgorączkowany niczym ranne zwierzę, usilnie próbował znaleźć jakieś wyjście. Cień odwrócił się i wybierając spotkanie z duchem, popędził na Guilsa. Mijając go z bardzo bliska, usłyszał suchy świst opadającego miecza, nie przystanął jednak, biegł dalej jak szalony, czując dziwną lekkość w okolicach prawego ramienia, aż zorientował się z przerażeniem, że jego prawa ręka znikła wraz z dzierzoną w niej bronią. Z rany niepowstrzymanie tryskał obfity strumień lepkiej cieczy. D'Arles zawył, obracając się w miejscu i czując, że zawodzą go nogi. Ci trzej byli coraz bliżej, chyba coś krzyczeli, być może złorzeczyli. Zebrał wszystkie siły; przy odrobinie szczęścia miał jeszcze szansę, aby dotrzeć do łodzi. Obrócił się po raz kolejny i

stał, sparaliżowany zabobonnym strachem: przez plażę galopował ku niemu biały koń. Wierzchowiec wyłonił się wprost z morskiej piany i pędził z grzywą rozwianą na wietrze, ślepy na wszystko wokół, oszalały, nie do zatrzymania. D'Arles osunął się na kolana, prosto w piasek, z otwartymi ustami, na których zamarł krzyk... Miał tylko tyle czasu, aby obrzucić spojrzeniem swoich prześladowców, tak samo jak on sparaliżowanych i zagubionych wśród ruchomych piasków pamięci. Koń nie wystraszył się przeszkody. Uderzenie odrzuciło wciąż przytomnego d'Aiiesa na brzeg morza. Leżał twarzą do ziemi i próbował podeprzeć się jedynym pozostałym mu ramieniem., czując w panice, jak unoszą się nad nim bezlitosne kopyta. Przerażliwe rżenie, od którego omal nie pękły mu bębenki, było ostatnim, co zdołał usłyszeć. Na przybrzeżnych falach tańczyły dwie dłonie w rękawiczkach, przybliżając się stopniowo, łagodnie głaszcząc rozbitą, zalewaną wodą głowę, i zgodnie z rytmem odpływaj pociągając ku sobie martwe ciało.

Guillem powoli schodził z wieży. Niewiele pozostało z młodzieńca, który nieco wcześniej wspinał się po wykutych w skale stopniach. Templariusz, który pojawił się zamiast niego, podszedł do zaśnieżonej płyty i nacisnąwszy ją, obserwował, jak kamienna ściana z wolna połyka tajemne schody. Kiedy wyłonił się zza załomu wieży, ujrzał, że czeka go niespodzianka.

- Nie kazałeś na siebie długo czekać - odezwał się, zapominając o pozdrowieniu.

- To ja mam czekać. Tyle, ile będzie trzeba. Tak kazał Bernard, a ja zawsze spełniam jego polecenia. Jedno twoje słowo i zniknę tam, skąd przyszedłem.

- Bernard nie żyje, Mauro.

- E tam... Wszyscy żyjemy i umieramy po trochu. Nie ja wybrałem tę chwilę, chłopcze, ja tylko wypełniam rozkazy.

- Rozkazy umarłego? - spytał Guillem, zafascynowany nieugiętą lojalnością starca.

- To takie powierzchowne, rozczarowujesz mnie, doprawdy. Pozwól sobie powiedzieć, że znam zmarłych, którzy są zdecydowanie bardziej żywi niż wielu spośród tych, którzy jeszcze oddychają. Popatrz na mnie! Jak sądzisz, żyję czy umarłem? Jesteś zły, Bernard uprzedzał, że będziesz.

- No proszę! Ciekawostka, jak ten Bernard potrafił przewidzieć absolutnie wszystkie moje reakcje! - Guillem naprawdę zaczynał ogarniać fatalny humor.

- Właśnie. Z twoich zakonnych szat wnoszę, że powinienem cię zabrać tam, gdzie kazał.

- Bernard, Bernard, Bernard! Skończ już z tą nudną litanią, Mauro!

Guillem odszedł na bok, położył sakwy na ziemi i usiadł. Wyjąwszy kawałek czerstwego chleba z serem, zaczął jeść. Mauro zbliżył się powoli, obserwując młodzieńca z uwagą.

- Ten miecz, który nosisz, podarowałem Bernardowi, kiedy był mniej więcej w twoim wieku... - Zaśmiał się cienko i sucho. - Opowiedziałem mu wówczas niesłychaną, a jednak prawdziwą historię o tym, jak zna-

lażem tę broń w grobowcu barbarzyńskiego króla i jak wyjąłem ją z jego zetłanych palców. I wiesz co? Bernard mi nie uwierzył, myślał, że wmawiam mu jakieś głupoty. No i zdenerwował się, zupełnie jak ty teraz.

- I co z tego, Mauro? Dlaczego nie możesz mnie zostawić w spokoju?

- Złościł się przez bite dwa dni i dwie noce. Trzeciego dnia zrozumiał, że się pomylił. Zrozumiał, że historia była prawdziwa, że grób, o którym mówiłem, to ten na górze, i że choć teraz jest pusty, kiedyś musiało w nim spoczywać jakieś ciało. Ja zaś pojąłem, że właśnie wyrósł z wieku cieleącego i może iść własną drogą.

- Nie mam nastroju na podobne opowieści, Mauro.

- Domyślam się. Decyzja, którą masz podjąć, nie należy do łatwych.

- A cóż ty, u licha, możesz wiedzieć o moich decyzjach? - wybuchnął Guillem.

- Wiem sporo o decyzjach, wątpliwościach i cierpieniach Bernarda.

- Mauro odszedł nieco dalej i zaszył się w pobliżu koni.

Guillem pogrążył się w milczeniu. W jego wnętrzu trwała właśnie zjadła i bolesna walka. Bernard nie powinien rzucać na jego barki tak ogromnej odpowiedzialności, nie powinien równie łatwo zawierzać jego osądowi. To wszystko było nie do zniesienia. Skąd miał wiedzieć, czy decyzja, którą podejmie, okaże się trafna? I co mógł o tym wiedzieć Mauro? Spojrzał na starca, który siedział z pochyloną głową i wydawał się całkowicie pochłonięty skubaniem źdźbeł trawy.

- Byłeś nauczycielem Bernarda.

- Byłem, dopóki uczeń nie przerósł mistrza.

- Mogłeś mi pomóc już wcześniej, właściwie od samego początku...
Możliwe nawet, że nie straciłbym wtedy tak dużo czasu.

- Nie tak mi nakazano. A co do czasu: on należy do ciebie i jeśli sądzisz, że go straciłeś, wielu rzeczy nie rozumiesz. Przykro mi z tego powodu. Według mnie czasu nie sposób stracić. Poza tym tylko ty uważasz, że jeszcze nie jesteś gotowy. Ani Bernard, ani ja nie podzielały twoich obaw. Dlatego tak się złościsz. Jak przestaniesz, może wreszcie uświadomisz sobie, co powinieneś zrobić.

Guillem westchnął głęboko i podszedłszy do starca, położył mu dłoń na ramieniu.

-Z przykrością przyznaję, że masz rację, Mauro. Będąc na górze, pojąłem, co należy uczynić, ale nie chciałem tego przyjąć do wiadomości.

- Mam cię zostawić? - spytał Mauro spokojnie.

-Nie. Masz mnie prowadzić, Mauro. Wspólnie zamkniemy ten krąg.
Tak jak chciał Bernard.

ROZDZIAŁ XIV

TAJEMNICA

Ecce quam bonum et jucundum habitare fratrem .*

- Naprawdę dobrze się czujesz? - Arnau był poważnie zmartwiony. Uderzająca bladość i mocno podkrążone oczy Abrahama nie wróżyły nic dobrego.

- To zmęczenie, przyjacielu, nic więcej. Kilka godzin snu dobrze mi robi.

W końcu znaleźli się na miejscu. Gospoda wyglądała na czystą i wygodną, i Arnau cieszył się, że wbrew jego obawom Abrahamowi starczyło sił, aby dotrzeć aż tutaj. Podczas drogi zdążył już nieraz pożałować, że w ogóle rozpoczęli tę podróż. Powinni byli poczekać u Camposinesa albo wrócić do klasztoru; wszelkie inne poczynania wiązały się ze zbyt dużym ryzykiem. Pomógł przyjacielowi zsiąść z konia i poprowadził go ku wejściu. Miał nadzieję, że dostaną jakieś przyzwoite pokoje, choć doświadczenie podpowiadało, że w oberżach przy trakcie panowały najczęściej igraszkowe zwyczaje: żeby za byle szopę kazać sobie płacić jak za królewskie komnaty!

- Przestań zrzędzić, Arnau, przecież nic jeszcze nie wiemy o tej gospodzie. Poza tym mówiłem ci już, żebyś się

** Ecce **quam bonum et jucundum habitare fratres** (łac.) - oto jak dobrze i miło mieszkać braciom (przyp. tłum.).*

o mnie nie martwił, kilka godzin snu i będę jak nowo narodzony - odezwał się Abraham ku nieopisanemu zdumieniu zielarza.

- Ależ ja nawet słowa nie powiedziałem!
- Twoje myśli słysząc na kilometr, Arnau.

Weszli do obszernej sali. Zielarz pośpiesznie podsunął staremu Żydowi krzesło, proponując jednocześnie, że pójdzie się rozejrzeć i od razu wybada sytuację. Ruszył w kierunku pomieszczenia, które, sądząc po dobiegającym stamtąd kuszącym zapachu pieczeni, mogło okazać się kuchnią. Zastał w nim potężnego mężczyznę w skupieniu pochyłego nad paleniskiem. Przyjemnie zaskoczony niezwykłą uprzejmością kucharza, bez zwłoki wyłożył swe żądania i rychło wyzbył się żywionych jeszcze niedawno obaw. Wolne pokoje? Oczywiście, że są. Coś do jedzenia i picia? W tej sekundzie! A co do chorego przyjaciela, miejscowe niezrównane potrawy doprawdy czynią cuda i sam ich smak przepędził już niejedną uporczywą dolegliwość. Przy tych słowach oberżysta wybuchnął gromkim śmiechem, od którego wciąż trzęsły się ściany, kiedy Arnau wychodził z kuchni z rozanielonym wyrazem twarzy. Jego żołądek, pobudzony smakowitymi woniami, hałaśliwie dopominał się realizacji kuszących obietnic. Zbliżywszy się jednak do stołu, przy którym zostawił Abrahama, zielarz przeraził się nie na żarty: Żyd zniknął.

- Arnau, Arnau! Nie uwierzysz, co za zbieg okoliczności! - dobiegło gdzieś z boku wołanie Abrahama. Starzec siedział teraz w głębi sali, żywo rozmawiając z dwoma mężczyznami, z których jeden nosił szaty templariusza.

- Na wszystkie świętości, Abrahamie, nigdy tego nie rób! Nie znikaj mi z oczu bez ostrzeżenia! Serce tak mi wali, że pewnie je słychać po drugiej stronie Pirenejów. Za stary jestem na podobne niespodzianki... - Na twarzy brata Arnau, jeszcze zanim skończył mówić, odmalowało się ogromne zdumienie. - Guillem? Guillem de Montclar?

Młody templariusz porwał się z miejsca i, nie mniej zaskoczony niż Arnau, rzucił się ścisnąć zielarza.

- Mój dobry Arnau! Przyjacielu!

- Ale jak to możliwe? Co ty tu robisz, chłopcze? Nie rozpoznałem cię w tym ubraniu, no, no, prawdziwy z ciebie teraz templariusz! Myślałem, że twoja profesja...

- Z tego, co widzę, wolicie mnie w przebraniu. I to kiedy raz jeden wolno mi pokazać światu, kim naprawdę jestem¹. - śmiał się Guillem, rozradowany, że widzi starych przyjaciół w dobrym zdrowiu. - Dalej, siadajcie, Arnau. Obaj macie mi wiele do opowiedzenia. Abraham w stroju templariusza? Przyznaję, że to odrobinę zaskakujące. No i przede wszystkim: co się działo w Barcelonie?

- Ale Abraham musi odpocząć, powinien się choć na krótko położyć.

- Mowy nie ma, Arnau! Na widok tego chłopca duch we mnie ożył. Nie zamierzam pozbawiać się chwili przyjemności. - Oblicze starca jaśniało, a jego zmęczenie istotnie zniknęło bez śladu, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Już dobrze, dobrze! Może nawet lepiej, żebyś coś zjadł przed snem. Mauro, to naprawdę ty? - Arnau zdumiał się ponownie, spoglądając na człowieka, który wyłonił się nagle zza pleców Guillema.

- We własnej osobie, stary druhu. Tylko oszczędź mi, proszę, pytania, od jak dawna nie żyję. To pomału staje się dość męczące.

- Ależ mój drogi, niebywałą historię twojej śmierci usłyszałem z ust samego Bernarda, więc...

- Wiem, wiem. Co poradzę, że Bernard zawsze mnie bardziej potrzebował martwego niż żywego?...

- Ale, jak się o tym na własne oczy mogłeś przekonać, wciąż nie opuściłem tego padolu. Miło cię znowu widzieć, Arnau. Uśmiechnięty od ucha do ucha gospodarz zbliżał się właśnie, niosąc cztery dymiące misy. Wszyscy natychmiast rzucili się na pieczeń, podśmiewając się wzajemnie ze swej żarłoczności. Kiedy nasyciwszy głód, zabrali się do osuszania ogromnych dzbanów z przednim winem, Abraham przeprosił zebranych:

- Moi drodzy, tak wyborny posiłek, do tego w waszym towarzystwie, to doprawdy rzadka przyjemność, teraz jednak już was opuszczę. Muszę się trochę przespać, bo inaczej Arnau nie będzie miał ze mnie jutro żadnego pożytku.

Po krótkiej, acz burzliwej dyskusji z bratem Arnau, który upierał się, aby go odprowadzić na górę, dyskusji zakończonej solenną obietnicą, że na pewno nie zapomni wziąć lekarstw, starzec wycofał się do swojego pokoju. Trzech jego towarzyszy siedziało przez chwilę w milczeniu. Zadowoleni ze spotkania, niespiesznie sączyli wino.

- No dobrze, Arnau, może mi coś wreszcie opowiecie - poprosił w końcu Guillem.

Muszę cię rozczarować, Guillemie - odparł zielarz. - Nie mam pojęcia, jak stoją sprawy w Barcelonie. Opuściliśmy miasto już przed kilku dniami. Bo widzisz, zanim zdążyliśmy się przenieść do wieży, do kom-

nat brata Dalmau, zjawił się kupiec Camposines i nalegał, że musi natychmiast zobaczyć się z Abrahamem. Początkowo udawałem, że Abrahama nie ma w domu zakonnym, bo zważywszy na okoliczności, nie byłem wówczas skłonny ufać nawet własnej matce. Tyle że Abraham, osioł przeklęty, uparł się, aby go przyjąć. Okazało się, że córeczka Camposinesa ciężko zachorowała, więc przyszedł prosić o pomoc. Nie dało się przekonać Abrahama, że to wszystko grozi nieobliczalnymi konsekwencjami... No, sam przyznaj, wychodzić w takiej sytuacji na zewnątrz! Zresztą co będę gadał po próżnicy... Jakoś się przedostaliśmy, częściowo podziemiami, i Abraham zdołał uratować tę dziewczynkę. Przyszło mi wtedy do głowy, że najlepiej będzie skorzystać z sytuacji i wyjechać z miasta, tym bardziej że Abraham czuł się całkiem nieźle... Ale popełniłem błąd. Podróż źle na niego wpływa.

- A dokąd zamierzałeś jechać? - spytał Guillem.

- Do Mas-Deu, tak jak planowałem na samym początku. Mam tam dobrych przyjaciół.

- To dopiero zbieg okoliczności! I my zdążamy w tamtym kierunku, Arnau! - wykrzyknął Mauro ku niemałemu zdumieniu Guillema.

- Nie do wiary! Abraham bardzo się ucieszy z waszego towarzystwa. Poza tym mamy mały problem. Nic ci o nim nie mówiliśmy, Guillemie, bo i tak spadło na ciebie dużo kłopotów, więc nie chcieliśmy dodawać jeszcze i tego.

- Co dokładnie oznacza ten „mały problem”? - Guillem nie przestał się wpatrywać w starego Maura, który nie zająknął się wcześniej ani słowem, dokąd właściwie zmierzają. Starzec jednak zdawał się nie zwracać uwagi na jego rozdrażnienie. ,

- To bardzo delikatna sprawa, chłopcze, może przysporzyć ci wielu kłopotów. Maurowi zresztą też.

- Och, doprawdy, o to się nie martw, Arnau! Wszelkiego rodzaju kłopoty i konflikty to ostatnio nasza specjalność, czyż nie mam racji, Mauro? - Guillem nie potrafił powściągnąć sarkazmu.

- Cóż, nie wiem nawet, od czego zacząć... mówi wam coś imię Nahmanides?

- Bonastruc z Porty - szybko odpowiedział Mauro. – Jak moglibyśmy o nim nie słyszeć, Arnau?

- Więc chodzi o niego i o Abrahama... - Arnau zniżył głos, co zmusiło jego towarzyszy do nachylenia ku niemu głów. - Bo widzicie, Abraham udał się do Palestyny właśnie po to, aby odwiedzić Nahmanidesa. Ściślej mówiąc, chciał się z nim pożegnać, wydaje się bowiem mało prawdopodobne, aby mieli się jeszcze za życia spotkać. I Nahmanides oddał mu coś pod opiekę.

- Sądziłem, że etap ciągłych sekretów mamy już za sobą, ale najwyraźniej się myliłem, wciąż jeszcze wszystko przed nami. - Guillem spoglądał na zielarza z uwagą. Arnau zamilkł na chwilę.

- Masz słuszość. Nie powinienem cię dodatkowo obciążać naszymi problemami, Guillemie, popełniłem błąd i proszę o wybaczenie - odezwał się w końcu.

- Nie, to wy mi wybaczcie, Arnau. - Guillem natychmiast pożałował swojej ironii. - Nie powinienem był odzywać się w ten sposób. Jestem wyczerpany i zniechęcony i zwyczajnie się na was wyżywam, to niesprawiedliwe. Zapomnijmy o tym, błagam. Mówcie dalej.

- Nieważne. I tak muszę się poradzić Abrahama. Głupio zrobiłem, zaczynając teraz ten temat i... - Arnau podniósł się, wyraźnie zasmucony i dotknięty. Mauro chwycił go za rękę, nakłaniając, aby z powrotem usiadł.

- Chłopak szczerze przeprosił, Arnau, więc nie miej mu dłużej za złe jego słów. Złości się bez przerwy. Może po prostu znudził się obwinianiem o wszystko wyłącznie mnie i uznał, że świetnie się nadasz na zastępcę. Proszę, opowiadaj dalej i pozwól nam sobie pomóc.

-Abraham i ja musimy coś ukryć w bezpiecznym miejscu... -Arnau nie sprawiał wrażenia przekonanego. Spoglądał na obu swych rozmówców spod oka i nie spieszył się z dalszymi wyjaśnieniami.

- To zupełnie tak jak my - wyznał Mauro.

-No, Arnau, nie każcie się prosić, wszyscy mamy problemy, dlaczego więc akurat moje miałyby być najważniejsze? - Guillem próbował zatrzeć złe wrażenie. - Mauro ma rację, od jakiegoś czasu dałem się owładnąć złym przeczuciom, ale mój fatalny humor niczego nie załatwi. Wybaczcie mi więc i zapomnijcie, co powiedziałem. Powinniśmy odbyć tę podróż razem. Myślę, że nie spotkaliśmy się tutaj przez przypadek, to raczej znak zesłany nam wszystkim, nie uważacie? Zaraz po śmierci Bernarda przyszedłem właśnie do was, jakby ktoś kierował moimi krokami. Razem z Abrahamem okazaliście mi przyjaźń, udzieliliście pomocy i rady. Nie wydaje wam się, że spotkanie akurat w tej chwili to znak od niebios?

Z oczu Guillema wyczierała szczerłość. Młodzieniec nie kłamał; co więcej, wyglądał na prawdziwie zmartwionego własnym zachowaniem. Kto wie, czy nie zrzuciliśmy na jego barki ciężaru ponad siły - pomyślał Arnau. Poza tym chłopak miał słuszość, to niespodziewane spotkanie rzeczywiście zakrawało na cud. Być może Pan wejrzał na

swoje sługi i uznawszy, że obaj z Abrahamem są nieco za starzy na przygody, zesłał im pomoc.

- A twoja misja, Guillemie? Już zakończona? - spytał łagodnie.

- Prawie, bracie Arnau, prawie. Zakończymy ją wspólnie, tak samo jak rozpoczęliśmy.

Zielarz w zamyśleniu pokiwał głową.

-Później, jak sądzę, nie będziemy już nigdy o tej podróży rozmawiać. Nie tylko ze względu na Nahmanidesa i na to, co chce ukryć i ocalić Abraham. Także z powodu tego, co chcesz ukryć ty sam. Odnalazłeś to już?

- Nie mylicie się, przyjacielu, o tej wyprawie nikt nigdy nie może się dowiedzieć - rzekł Guillem, po czym skinął lekko głową w odpowiedzi na ostatnie pytanie.

Wszyscy trzej zmilkli i pogrążyli się w zadumie, jak gdyby słowa straciły na znaczeniu i tylko cisza mogła pomóc w zebraniu myśli i opanowaniu niepokoju. W głębi duszy wiedzieli jednak doskonale, że niepokój i wątpliwości nigdy już ich nie opuszczą. Po chwili wstali z miejsc i uściskawszy się serdecznie, udali do swych pokoi, snując plany na następny dzień.

W obszernej sali znajdującej się na piętrze zakonnej wieży Dalmau i Jacques Bretończyk wpełzli na fotelach, obaj brudni i przemoczeni.

- Chyba nigdy tego nie zapomnę - odezwał się pobladły Dalmau.

- Wierzę, Dalmau, wierzę. Ale to już za nami, najgorsze za nami.

- I ten biały koń! Jacques, przecież to wyglądało, jakby Bernard...

- Wystarczy, Dalmau, przestań się zadreczać. Tamten człowiek wszystko wyjaśnił, zwierzęta powariowały, nie potrafił ich zatrzymać i tyle. Koniec historii.

- Ale przyznasz, że tkwi w tym coś niesamowitego, Jacques. Sam właściciel powiedział, że była tylko jedna biała klacz, jedna jedyna wśród trzydziestu koni! Rasowa, arabskiej krwi! I nabył ją zaledwie przed kilku dniami! - Dalmau nie mógł się uspokoić.

- Po co to sobie robisz, Dalmau? Poza tym nawet gdybyś miał słusność, co to zmieni? Robert d'Arles nie żyje, a jeśli Bernard chciał nam pomóc się z nim rozprawić, choćby i z tamtego świata, tym lepiej.

Nie rozumiem cię, Jacques. Zachowujesz się, jakbyś nie widział w tym nic przerażającego.

- Mylisz się. Problem polega na tym, że ty za bardzo się przejmujesz, wypadłeś z rytmu, Dalmau, zakopałeś się wśród tych swoich wekśli i wypadłeś z rytmu. To, co się stało na plaży, mnie nie przeraża... rzeczy niesamowite czasem się po prostu zdarzają. Nie wszystko da się logicznie wytłumaczyć, tyle że nie należy od razu mieszać w to diabła. Nie wierzę, aby dzisiejszej nocy zadziałały jakieś moce piekielne czy inne duchy. Komuś uciekły konie, zwyczajna sprawa, a jeden z nich zabląkał się aż na plażę. No tak, to był biały arab, taki sam jak klacz Bernarda. I co z tego? Zwierzę oszalało ze strachu, wpadło na wykrwawiającego się już d'Arlesa i dobiło go kopytami. Co tu jeszcze można dodać, Dalmau? Że to duch Bernarda przybył z zaświatów? Więc znakomicie, mój drogi, bardzo się cieszę, jeśli tak właśnie było. D'Arles zasłużył na śmierć, gorszą nawet niż ta, która go spotkała, i jeśli Guils, gdziekolwiek się znajduje, mógł się na chwilę stamtąd wyrwać i skończyć z łajdakiem, tym lepiej.

- Giovanni wypadł świetnie, naprawdę wyglądał jak Bernard. Nie przypuszczałem, że zechce nam pomóc aż do tego stopnia. - Dalmau wciąż przeżywał ostatnie wydarzenia.

- Ani ty, ani ja nie znamy Giovanniego tak dobrze, jak znał go Guils. Przyznaję jednak, że jego zachowanie bardzo mnie zaskoczyło. Że nie wspomnę o cenie, jakiej zażądał za współpracę. Myślę, że nienawidził d'Arlesa nie mniej niż my. Niech Bóg nam wszystkim wybacz!

- Zamurowało mnie, Jacques, naprawdę mnie zamurowało, kiedy ten potwór biegł wprost na niego, jak wariat wyrzaskując imię Guilsa, a Giovanni stał niby wrośnięty w ziemię, ze wzniesionym mieczem... - Dalmau aż się wzdrygnął na to wspomnienie.

- Mnie też wtedy zupełnie sparaliżowało. Cały czas byłem pewien, że d'Arles rzuci się na nas, że przestraszy się widma. Ciągłe nie rozumiem, dlaczego ruszył na Giovanniego? To znaczy jeśli myślał, że to Bernard?

- Obawiam się, że nigdy nie zrozumiemy, co nim kierowało. Dobrze chociaż, że miał się na bacności. Nieźle uderzył. Do końca życia będzie mi się śniła ta ręka z mieczem, lecąca w powietrzu. Boże święty!

- I co teraz zamierzasz, Dalmau? - zainteresował się zniecka Bretończyk.

Pytanie najwyraźniej zaskoczyło brata Dalmau. Zemsta pochłaniała wszystkie jego myśli od tak dawna, że poczuł się nagle zupełnie pusty w środku, wydrążony, jak gdyby odebrano mu coś niezwykle ważnego, stanowiącego o samej jego istocie. Zalała go fala dziwnego osamotnienia.

- Wrócę do swojej pracy - odparł krótko.

- Udało ci się zdobyć to, o co prosiłem? - spytał Jacques nieśmiało.

Dalmau popatrzył na przyjaciela z przygnębieniem, a potem podniósł się ciężko i skierował ku wielkiej szkrzyni zajmującej cały kąt pokoju. Zdjąwszy z szyi łańcuch, na którym wisiało wiele kluczy, znalazł odpowiedni i otworzył nim kufer. Po chwili trzymał w dłoniach szkatułkę z rzeźbionego drewna, którą zaraz podał Bretończykowi.

- Wiele mnie to kosztowało, Jacques, masę złamanych zakazów plus nieczyste sumienie z powodu profanacji grobu. Ale kto wie, może masz rację. Obaj z Bernardem zawsze wyznawaliście dziwne zasady.

- Dziękuję, Dalmau - powiedział Jacques, ujmując szkatułkę. - Zadbasz, aby Giovanni dostał to, o co prosił?

- Bądź spokojny, nic mu nie grozi. Tak swoją drogą, po powrocie zastałem dwie wiadomości. Jedną od brata Arnau, który informuje, że udają się wraz z Abrahamem do Mas-Deu, że mają się dobrze i że napiszą później.

- Dzięki Bogu! Abraham ucieszy się na wieść, że może już bezpiecznie wrócić do domu - wykrzyknął Jacques.

- Druga wiadomość jest od Guillema - kontynuował Dalmau. - Chłopak donosi, że ślad, którym podążał, okazał się fałszywy, i sugeruje, że ktoś mógł zniszczyć pergaminy. Podobno sprawdził kilka tropów, ale wszystkie kończą się ślepych zaułkiem. Prosi też o trochę czasu do namysłu, choć podejrzewam, że uznał moje pozwolenie za rzecz drugorzędną, bo nawet się nie zająknął na temat miejsca swojego obecnego pobytu.

- Pozwól mu odetchnąć, Dalmau, zasłużył sobie na to. Niech oswoi się wreszcie z myślą o śmierci Bernarda. Ty potrzebowałeś przecież wielu lat, żeby pogodzić się ze stratą brata, a ja...

- Sam dobrze wiem, na co zasłużył Guillem! Nie o to chodzi, po prostu odnoszę wrażenie, że dzieciak coś przed nami ukrywa, Jacques. No, ale to tylko intuicja, nic jeszcze nie wiem na pewno.

- Daj spokój, Dalmau! Twoja intuicja sprawdza się może w interesach, nie przeczę, ale co do innych spraw... Pamiętaj, że jako jedyny z nas uwierzyłeś przed laty w rzekomy płaszcz Marii Dziewicy.

- Bardzo śmieszne! To już cios poniżej pasa.

- W porządku, masz słuszość, to nie było może w najlepszym guście, zwłaszcza teraz. Przepraszam... No, wybacz. Ale zostaw chłopaka na jakiś czas w spokoju, nie naciskaj. Niech i „oni” trochę poczekają. O nic więcej nie proszę, Dalmau.

- W liście jest jeden dość enigmatyczny fragment, najwyraźniej skierowany do ciebie - oznajmił Dalmau, a w jego głosie dało się wyczuć nutkę nieufności. - Brzmi dokładnie tak: „Przypuszczam, że ci się udało. Twoje modlitwy zostały chyba wysłuchane, a i ja się do nich dołączam”. Co to znaczy? Może jednak wiesz, gdzie się podziewa Guillem?

- Enigmatyczny fragment? Daj spokój, Dalmau, chodzi pewnie o d'Arlesa.

- Wolałbym, żebyś mnie nie traktował jak głupca, Jacques! To, że jestem niezrównany w interesach, nie oznacza jeszcze, że do niczego innego się nie nadaję! Nie przeczę, że Bernard był bez wątpienia doskonałym nauczycielem, obawiam się jednak, że Guillem, tak jak ty i jak sam Guils, nie liczy się zupełnie z podstawowymi zasadami. Obawiam się też, że podobnie jak wy zbyt często zapominasz, że jesteśmy w końcu zakonnikami, na których ciąży szczególna odpowiedzialność.

- Wystarczy, Dalmau, wystarczy! Jak możesz w ten sposób mówić? Czyżbyś zapomniał, do czego nas wyszkolono?

- Podjęliśmy się brudnej roboty, ty też, zanim zmieniłeś zdanie. Już nie pamiętasz? Jeszcze niedawno byłeś gotów zabić bliźniego, cóż, że skończonego łajdaka. Nie zawahałeś się przed dokonaniem zemsty. I co? Czy kiedykolwiek ośmieliłem się wydawać sądy na temat twoich przekonań lub moralności? Wiesz, że to wszystko jest bardzo skomplikowane, wiesz o tym równie dobrze jak ja. I owszem, nie pomyliłeś się, wiadomość Guillema nie dotyczy d'Aiiesa. Najzwyczajniej w świecie nie chcieliśmy więcej zakłócać twojego spokoju.

Dalmau ukrył twarz w dłoniach, targany sprzecznymi uczuciami. Jacques, wbrew ostrej wymowie swych słów, spoglądał na niego z sympatią.

- Dalmau, przestań się wreszcie torturować... - Zbliżył się i poklepał przyjaciela po plecach. - Nikt cię nie uważa za głupca, przecież o tym nie wątpisz. Chcieliśmy ci tylko oszczędzić dalszych rozterek. Nie od dziś wiadomo, czym jest dla ciebie ta praca, Dalmau. Okazałeś się po prostu zbyt dobrym człowiekiem jak na szpiega. Szarpiesz się niepotrzebnie i zadręczasz. Bernard i ja nieodmiennie wychodziliśmy przy tobie na zwierzęta, mój drogi, nie przeszkadzało nam, że czasem trzeba się unurzać w błocie, wręcz przeciwnie, robiliśmy to z niekłamaną przyjemnością. Ale ty jesteś inny. Tylko nie zacznij się znowu martwić. Dopóki ktoś taki jak ty modli się za nas, nic naprawdę poważnego nie może nas spotkać. Przypomnij sobie, co zawsze powtarzał Guils: że jesteś ocaleniem dla naszych dusz.

-Zabierzesz go do Palestyny? To znaczy jego prochy? - spytał zasmucony nagle Dalmau, spoglądając na drewnianą szkatułkę, którą Jacques ciągle trzymał w dłoniach.

-Wiesz, że tak, takie było jego życzenie. Jedyne z tego powodu poprosiłem cię o coś, co wymagało złamania wszelkich zasad, Dalmau.

Przykro mi, że w ten sposób raz jeszcze naraziłem cię na rozterki. Ale nikomu poza tobą by się to nie udało.

Dalmau westchnął głęboko. Zazdrościł Jacques'owi pewności siebie, w jakimś sensie zazdrościł mu nawet braku skrupułów. Czasem odnosił wrażenie, że Bretończyk ucieleśnia wszystkie cechy, których jemu brakuje, a które nierzadko by się mu przydały, zupełnie jakby stanowił zagubioną część jego duszy. Widać dlatego ich przyjaźń przetrwała tak długo; byli niczym fragmenty całości, która objawiała się jedynie wtedy, gdy przebywali razem. Jak dwa elementy tej samej układanki.

-Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałbym ci towarzyszyć, Jacques - szepnął ze smutkiem.

-Wiem. Ale w pewien sposób będziesz tam ze mną. I kiedy wiatr rozwieje po pustyni prochy Bernarda, też tam będziesz. Zawsze byłeś.

Niewielki orszak wolno postępował drogą wśród lasów. Poranek był cudowny, bez jednej chmurki na niebie, i przepiękające już o tej wczesnej godzinie słońce wkrótce zmusiło podróżnych do pozbycia się kilku warstw odzieży. Abraham trzymał się w siodle prosto, jego biały płaszcz powiewał na wietrze, toteż nikt nie odgadłby w tym dumnym templariuszu chorego starca. Ruch wyraźnie mu służył, widoczne jeszcze w gospodzie głębokie cienie pod jego małymi jasnymi oczami znikły, ujawniając tysiące drobniutkich zmarszczek uwydatniających się przy każdym uśmiechu.

Arnau zaniechał wreszcie nieustannej nad nim kontroli, przyjąwszy z pokorą połajankę, jakiej zniecierpliwiony jego nadmierną troskliwością przyjaciel udzielił mu niedługo po wyruszeniu z gospody. „Jak nie przestaniesz mnie z takim napięciem obserwować - rzekł Abraham - to

na pewno zaraz mi się pogorszy". Arnau szybko pojął trafność tych słów: przesadna opieka nie przynosiła pozytywnych rezultatów, mogła tylko rozdrażnić. Ponadto w owym czasie znacznie bardziej niepokoił go Guillem. Młodzieniec wydawał się pogrążony w głębokich rozmyślaniach, z nikim jednak nie dzielił się swoimi rozterkami. Zadumany i milczący jechał tuż koło zielarza, odpowiadając monosylabami na jakiegokolwiek próby nawiązania rozmowy. Arnau był przekonany, że Guillem trapią poważne zmartwienia, i choć skrytość młodzieńca jedynie potwierdzała jego spostrzeżenie, nie wiedział, co zrobić, aby mu pomóc.

Jadący z tyłu Mauro i Abraham bardzo się zaprzyjaźnili i wielce ucieszeni wciąż odkrywali kolejnych wspólnych znajomych. Stary Mauro... - zastanawiał się Arnau. - Ileż on może mieć lat? Doprawdy, to tajemnica na miarę zmartwychwstania naszego Pana Jezusa Chrystusa, niech mi Bóg wybaczy bluźnierstwo! Z nudów nie przestawał wszakże szukać punktu zaczepienia, który pozwoliłby mu oszacować wiek towarzysza podróży. Mauro był z pewnością od niego starszy, uczył kiedyś Guilsa, i kiedy Arnau wstąpił do zakonu, on musiał już do niego należeć. A może nie? Zielarz wytężył pamięć, próbując sobie przypomnieć, kiedy spotkał Maura po raz pierwszy. W Palestynie?

Dotarli do rozstaju dróg. Po lewej stronie samotny kamienny krzyż zdawał się wyznaczać granicę czyjegoś terytorium. Mauro wskazał wiodącą obok niego ścieżkę, po czym wraz z Abrahamem ulokował się na czele grupy. Dwaj starcy otwierali teraz pochód, jak gdyby dzierżąc niewidzialny babsz-sant, biało-czarną chorągiew zakonu, wokół której grupowali się zazwyczaj rycerze w czasie walki. Arnau uśmiechnął się. Ci dwaj lepiej niż ktokolwiek inny symbolizowali przesłanie czerni i bieli, teoria przeciwieństw przybierała w ich ciałach realny kształt: oto stary szpieg zakonu, którego wszyscy uważali za zmarłego, jechał

strzemie w strzemie ze starym Żydem, który żył jeszcze chyba tylko za sprawą cudu.

Dróżka zagłębiła się w piękny dębowy las, zwiężając się i wijąc kapryśnie pośród drzew, gdzieniegdzie rozświetlana ciepłymi promieniami słońca przedzierającymi się przez zielony ruchliwy strop. Pół godziny później skręcili ponownie, obierając zapomniany skrót, niemal zarośnięty gęstwą splątanych chaszczy. Musieli teraz jechać gęsiego: na przedzie Mauro, za nim Abraham, później Arnau i zamykający pochód melancholijny Guillem.

Ścieżynka urwała się nagle, dochodząc do płaskiego szczytu, z którego rozciągał się widok na łańcuch niskich zielonych pagórków usianych tu i ówdzie złotymi refleksami. Zachwyceni krajobrazem podróźni przystanęli, z czego nie omieszkał skorzystać Abraham, natychmiast zsiadając z konia w poszukiwaniu leczniczych ziół.

- Chodź, Arnau! Spójrz, co za cudo! Założę się, że od dawna nie widziałeś tej odmiany.

Zarażony entuzjazmem przyjaciela zielarz przyłączył się do oględzin, podczas gdy reszta kompanii gotowała się do krótkiego odpoczynku. Mauro, korzystając z nadarzającej się niespodzianie okazji, zarządził bowiem postój. Na stole z przysposobionego naprędcę płaskiego kamienia rychło pojawiła się pieczeń, w którą zaopatrzył ich na drogę gościnnie oberżysta. Rozprawivszy się z nią, ruszyli w dół łagodnym zboczem, w kierunku rozsianych niżej złotych blasków. Po godzinie Arnau odkrył ze zdumieniem, że owe refleksy nie były niczym innym, tylko stawami, szeregiem stawów, stworzonych najwyraźniej przez człowieka i ułożonych nieznaną ręką w dziwaczny wzór.

Zielarz znał biegłość, jaką osiągnęli templariusze w dziedzinie budowy stawów, wykorzystywanych później do najrozmaitszych celów:

hodowli ryb, nawadniania czy gromadzenia zapasu wody na czas suszy... Teraz zmierzali najwyraźniej ku jednemu z ich bardziej udanych dzieł.

Wkrótce Mauro kazał im się zatrzymać i zsiąść z koni, ponieważ, jak wyjaśnił, resztę drogi mieli odbyć na piechotę. Raz jeszcze weszli w las, aby po chwili dotrzeć do pierwszego ze stawów, otoczonego drzewami i bujną roślinnością.

Przejrzystą wodę zamykały ze wszystkich stron idealnie przycięte skalne bloki. Minęli zbiornik, podobnie jak pięć następnych. Stanęli dopiero przy siódmym, gdzie Mauro powiadomił towarzyszy, że oto są na miejscu. Słyszac to, zdumiony Guillem niepewnie rozejrzył się po okolicy.

-To tutaj? Dlaczego akurat ten, a nie któryś z pozostałych? Doprawdy tego właśnie szukałeś, Mauro? Stawu?

- Jeśli coś mnie w młodych ludziach naprawdę denerwuje, to ich skłonność do zadawania masy bezsensownych pytań naraz - odpań stary templariusz.

- Ten staw różni się od innych, Guillemie - zauważył Abraham. - Ma na środku coś w rodzaju kamiennej wyspy. Jestem pewien, że pozostałe niczego podobnego nie miały.

- Różni się też kształtem, chłopcze. Jest okrągły, podczas gdy reszta była prostokątna lub kwadratowa - dorzucił Arnau, z uwagą przyglądając się zbiornikowi.

- Już dobrze, dobrze, poddaję się. Podeszły wiek nie umniejszył waszej przenikliwości, przyjaciele. Powiedzcie mi więc, czcigodni mędracy, co niby powinniśmy teraz zrobić?

- Nie podobało mi się to o podeszłym wieku, chłopcze - odrzekł Mauro. - Poza tym zdaje się, że to ty powinienesz wiedzieć, co robić, a nie my.

Trzej starcy wpatrzyli się w Guillemę z ciekawością, odrobinę rozbawieni jego zakłopotaniem.

- Oczywiście nic nie stoi na przeszkodzie, abyś się znowu pogрузzył w swojej melancholii i rozdrażnieniu, Guillemie. Gdybyś jednak zdecydował się nam powiedzieć, co trzeba robić, być może my... - Abraham spoglądał na młodzieńca z sympatią i troską.

- Co ci powiedział Bernard? - wtrącił Mauro.

- Niech to szlag, Mauro! Bernard nie żyje, więc nic mi nie mógł powiedzieć!

- Mylisz się, wszak przesłał ci list. Sam zadbałem, abyś go dostał. Przesłał ci też coś jeszcze.

- A gdybyś nam jednak o tym opowiedział, Guillemie? Może byśmy potrafili ci pomóc. Ufasz nam chyba, prawda? - przekonywał zielarz.

- Niczego się nie nauczyłeś tam na górze, w Sanktuarium, Guillemie? - surowo zapytał Mauro. - Co za różnica: żywy czy martwy? Bernard napisał do ciebie, chłopcze, dał ci wskazówki. Wszystko to zrobił żywy człowiek, a ty, zamiast o tym pomyśleć, zapiekasz się w swoim bólu i osamotnieniu. Bernard żyje, gdziekolwiek teraz jest, wciąż do ciebie mówi, i dopóki nie zdołasz go usłyszeć, będziesz się błąkał w ciemności. Jest tutaj z nami. Dlaczego ja czuję jego obecność, a ty nie?

Guillem usiadł tuż nad wodą i spoglądając w głębinę, zaczął nieoczekiwanie mówić o Timbors i o jej śmierci, o liście Bernarda i o Sanktuarium Macierzy. Trzej przyjaciele otoczyli go kołem, nie wtrącając ani słowa, słuchając z uwagą i zrozumieniem dla jego smutku.

- To wszystko. Nie mogę wam jedynie nic powiedzieć o pergaminach. Tą odpowiedzialnością Bernard obarczył wyłącznie mnie.

- Biedny chłopcze! Co za nieszczęsny koniec! Dla tej panienki śmierć była wyzwoleniem, ale ileż bólu musiało to kosztować ciebie! - W oczach zielarza zabłyśły łzy.

- Guillemie, Guils ci ufał, wiedział, że nie ugniesz się pod ciężarem odpowiedzialności. Ale pomogę ci trochę, chłopcze, i wezmę na siebie jej połowę. - Mauro delikatnie dotknął ramienia młodzieńca, patrząc nań ze smutkiem, znacząco.

Guillem zdał sobie nagle sprawę, że Mauro zna prawdę, zna treść pergaminów. Dostrzegłszy w spojrzeniu starca to samo cierpienie, które drążyło jego samego, pojął, że Bernard zwrócił się do swego dawnego mistrza z prośbą o radę i że radę tę otrzymał. Teraz Mauro ofiarował swą pomoc jemu, nie próbując jednak wpływać na jego decyzje i z pełnym zaufaniem pozostawiając mu całkowitą wolność. Tak, stary Mauro miał słuszność: ból zupełnie go zaślepił. Bernard wciąż był obok, bardziej żywy niż kiedykolwiek, wyciągając pomocną dłoń, czekając tylko, aby on podał mu swoją.

Klasztorny szpital mieścił się w jasnej, wychodzącej na ogród wazrywny sali. Wpadające przez okna światło zalewało trzy łóżka, ustawione w regularnych odstępach przy przeciwległej ścianie. Na jednym z nich leżał brat Pere de Tever z nogą usztywnioną przez bandaż.

- Wdzięczny wam jestem za odwiedziny, bracie Dalmau, to bardzo uprzejme z waszej strony.

- Chciałem was uspokoić i opowiedzieć, co się ostatnio działo. - Dalmau siedział na krześle koło chorego.

- Staruszek Abraham ma się dobrze? - Spojrzenie brata Pere rozbłysło żywym zainteresowaniem.

- Możecie odpoczywać w spokoju, drogi młodzieńcze, Abraham ma się wyśmienicie i nic mu już nie zagraża.

- A tamten człowiek, ten francuski rycerz?...

- Nie żyje, bracie Pere, nikomu więcej nie zaszkodzi. Powiedzcie mi teraz wreszcie, jak się czujecie.

- Dużo lepiej, ale brat pielęgniarz życzy sobie, abym pozostał tu jeszcze kilka dni i nie ruszał nogą. To strasznie nudne. Bracie Dalmau, co się stało z biednym bratem Berenguerem? Nikt mi nie chce niczego powiedzieć.

- Obawiam się, że brat Berenguer wpadł w poważne tarapaty - odparł Dalmau.

- Boże święty, wszystko przeze mnie! - Oczy młodego mnicha napełniły się łzami.

- Nie, bracie Pere, wy nie ponosicie tu żadnej winy, na waszego brata ściągnęła nieszczęście jego własna chora ambicja. Rozmawiałem z waszym przeorem: brat Berenguer został wykorzystany przez złych ludzi, którzy posłużyli się jego wybujałą pychą. Ale to jedyny jego grzech, młodzieńcze. Zasłużył oczywiście na karę, ale raczej nie na tę,

którą dla niego wcześniej przewidziano, dlatego sędzę, że już wkrótce wyjdzie z lochu, w którym się obecnie znajduje. Kara będzie odpowiedzialnością do winy. Słyszałem, choć mogą to być jedynie plotki, że przełożeni zamierzają go wysłać do jakiegoś odległego klasztoru, tak odległego, że prawie nikt nie zna jego nazwy.

- Biedny brat Berenguer! - zawołał brat Pere.

- Wasze współczucie przynosi wam chlubę. Mam jednak nadzieję, że brat Berenguer wyjdzie z lochu odrobinę utem-perowany i zdecydowanie mniej pyszny, co, jak sędzę, należy uważać za dobrą wiadomość.

- Chciałbym was prosić o przysługę, bracie Dalmau. Pragnąłbym, abyście w moim imieniu podziękowali templariuszowi, który uratował mi życie w krypcie. Gdyby nie on, nie wyszedłbym z tego labiryntu. Przekażcie mu ode mnie, że będę się za niego modlił do samej śmierci.

- Templariusz ocalił wam życie? Kiedy?

Brat Pere de Tever, nie szczędząc detali, opowiedział mu zatem o wędrówce przez podziemia nowego kościoła. Dalmau słuchał uważnie, zaskoczony kolejnym wątkiem w tej i tak już skomplikowanej historii. Giovanni udający templariusza? Tracący czas na poszukiwania jakiegoś wyrostka? Dokładny opis przedstawiony przez brata Pere nie pozostawiał bowiem miejsca na wątpliwości: chodziło o Giovanniego. Nieodgadnione są ścieżki Pana - pomyślał Dalmau.

- Nie martwcie się. Przekażę bratu Giovanniemu wasze podziękowania. Wiecie już, co zrobicie, gdy wydobrzejecie?

Wróć do macierzystego klasztoru, bracie Dalmau. Lubię swoją pracę i zaczynam też powoli tęsknić za braćmi. Wczoraj złożyli mi wizytę, wyobrażacie sobie? Odbyli tak długą podróż tylko po to, aby zobaczyć, jak się miewam, i zapewnić o swoim przywiązaniu

Zadumany Dalmau opuścił klasztor. Zachowania ludzkie zawsze wydawały mu się trudną do rozwikłania zagadką.

Uśmiechnął się na samą myśl o wytrawnym papieskim szpiegu Giovannim, który, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, ugania! się po podziemiach w poszukiwaniu zagubionego dominikanina. Giovanni, którego jedynym warunkiem była możliwość zostania templariuszem. Giovanni, przemieniony w żadnego zemsty Bernarda... Na rany!... W ostatniej chwili powstrzymał się od bluźnierstwa. Jacques zaraził go najwyraźniej upodobaniem do przekleństw i kto wie czym jeszcze. Dalmau westchnął z zadowoleniem. Uświadomił sobie nagle, że już następnego dnia wstanie raniutko, jak zwykle, i wdychając głęboko rześkie powietrze świtu, powędruje niespiesznie ku halom targowym, a tam zasiądzie wreszcie przy swoim stole, porządkując papiery i bacząc na poczynania konkurencji. Błogosławiona rutyna, tak pomocna przy zwalczaniu pokus! Jacques miał rację, ktoś musi się zajmować brudną robotą, ktoś dostatecznie odporny, aby przez to nie cierpieć. Ale czy wydając rozkazy, jak on sam czynił to wielokrotnie, można zachować czyste ręce? Bernard radził mu już przed wielu laty: „Zostaw to, Dalmau, ta robota zżera cię od środka, zajmij się lepiej czymś innym. Mógłbyś na przykład organizować naszą pracę, ale z daleka. Planuj, myśl, ale wykonanie zostaw raczej nam”. I posłuchał go, choć potem ciągle tęsknił. Tęsknił za ogłuszającym śmiechem Bretończyka, tęsknił za beczelnymi, a czasem i sprośnymi żartami Bernarda. Tak, każdy powinien robić, co umie, a Bóg wejrzy na wszystkich, bez różnicy. Różnice to specjalność ludzi.

Po raz pierwszy od śmierci Bernarda czuł się zadowolony, jego serce było spokojnie, bez nagłych przyspieszeń. Tylko co, do diabła, ma powiedzieć „im”, jak zwykł mawiać Jacques? Coś wymyśli, trzeba dać Guillemowi trochę czasu. A pergaminy? Ze niby znikły? „Oni” nie zadowolą się takim wyjaśnieniem, najlepiej zatem pozostać przy

prawdzie. Po prostu nikt ich dotąd nie odnalazł, ani d'Arles, ani monsignore. Oni sami też nie. Więcej nie wiadomo. A Guillem? Nikt nie uwierzy, że Bernard pozwolił, aby zaginęła rzecz o podobnej wartości. Każdy, ale nie Bernard Guils. Może więc ukrył dokumenty i umarł, nie zdążywszy nikomu przekazać swej tajemnicy? Znakomita hipoteza, doprawdy, na razie powinna wystarczyć. Dalmau zdawał sobie sprawę, że jego zwierzchnicy łatwo nie zrezygnują, że będą szukać bez końca. On jednak zdoła tymczasem dać Guillemowi chwilę na złapanie oddechu, jeśli już inaczej nie może mu pomóc.

- Krzyż doprowadzi cię do prawdy! - wykrzyknął Mauro.

- Ale co to znaczy? - zapytał Arnau.

Guillem kończył właśnie zapoznawać przyjaciół z treścią listu Bernarda, pokazując im jednocześnie metalowy krzyż, który Abraham ujął w dłonie i uważnie ze wszystkich stron obejrzał.

- W liście nic poza tym nie było. Myślałem, że Mauro powie mi, co robić, że zna skrytkę, czy ja wiem zresztą co... - Wszystko wskazywało na to, że Guillem czuje się lepiej. Oczyszczył duszę, wyrzucając z siebie większość trapiących go wspomnień, i to pozwoliło mu odzyskać równowagę. Mówiąc, słyszał wyraźnie swój własny głos i miał wrażenie, że słucha nieznajomego, którego problemy potrafi doskonale zrozumieć.

- Klucz! To jest klucz! - zawołał nagle Abraham.

- O czym ty mówisz, mój drogi? - Zielarz z zaskoczeniem patrzył na ożywionego przyjaciela.

- Mówię, że ten krzyż jest kluczem! Widziałem już przed laty coś podobnego, ale zupełnie mi to wyleciało z pamięci.

- Klucz do czego? - Guillem znacząco popatrzył wokół.

- Musimy szukać krzyża. Jeśli Bernard mówi, że krzyż doprowadzi nas do prawdy, trzeba znaleźć krzyż, który pasowałby do tego. - Mauro odszedł kawałek dalej, uważnie oglądając każdy z głazów składających się na umocniony brzeg stawu, ścigany wzrokiem Guillema, który wciąż nie mógł się przyzwyczaić do czasu teraźniejszego, nieodmiennie przezeń używanego w wypowiedziach dotyczących Guilsa.

Abraham i Arnau poszli w ślady Maura i wkrótce wszyscy trzej obchodzili staw dookoła, dzieląc się swymi pomysłami i sprawdzając każdy rowek i każdą szczelinę. Guillem przyglądał się temu z rozbawieniem, próbując jednocześnie uporządkować myśli. Nagle znieruchomiał, porażony jedną z nich jak piorunem. Kamienna wyspa. Nie zastanawiając się długo, skoczył do wody. Nie wyczul stopami dna; staw okazał się dość głęboki, a woda zdecydowanie mniej przejrzysta niż w poprzednich zbiornikach. Guillem aż do tej chwili nie zwrócił na to uwagi, ale istotnie: krystalicznie czysta woda wypełniająca pozostałe stawy pozwalała dojrzeć dno, w tym zaś była tak ciemna, że o podobnej możliwości nie dało się nawet pomarzyć. Popłynął powoli, ścigany okrzykami swych towarzyszy.

- Uważaj, chłopcze! Tu mogą być węże!

- Węże wodne nie są specjalnie groźne, Arnau.

- Naprawdę myślicie, że mogą tu być? Nienawidzę węży, są takie obrzydliwe.

- Nie wygłupiaj się, Mauro! Słyszałeś, co powiedział Abraham, że nic ci nie zrobią.

Guillem dopłynął do wyspy, będącej czymś w rodzaju ogromnego trójkątnego głazu. Stopy Guillema dotknęły czegoś twardego. Głaz

spoczywał na kamiennej podstawie, w której wyłobiono wiodące na dno stopnie. Stanąwszy na nich, młodzieniec wynurzył się z wody i zaczął uważnie przypatrywać się skale.

- Jest tutaj! Jest! Znalazłem krzyż! Chodźcie do mnie, lepiej, żebyśmy trzymali się teraz razem.

- Jego propozycja spotkała się początkowo z niezbyt przychylną reakcją; pozostali na brzegu starcy nie wydawali się bowiem zachwyceni czekającą ich przeprawą, w końcu jednak ciekawość zwyciężyła strach. Abraham ruszył pierwszy.

Zdjął swój obszerny płaszcz i zanurzywszy się w stawie, z trudnością popłynął. Arnau i Mauro poszli za jego przykładem, przemieszczając się wszelako znacznie szybciej, jako że niechęć do wodnych stworzeń nadspodziewanie dodała im sił. Dotarłszy do Guillega, zastosowali się do jego poleceń i ustawili na kamiennej podstawie, uczepleni głazu. Guillem ujął klucz w dłoń i próbował go wepchnąć w otwór umieszczony tuż pod znakiem krzyża o rozszerzających się ramionach. Bez powodzenia. Abraham, radząc spróbować ponownie, oczyścił zaśniedziały klucz, który tym razem zagłębił się bez trudu. Wszyscy czterej zamarli w oczekiwaniu na coś, co nie nastąpiło. Popatrzyli po sobie niepewnie.

- I co teraz? - Arnau trzął się z zimna.

- To przecież klucz, Guillemie, porusz nim, obróć go jakoś - zaproponował Abraham.

- Ale jak? W którą stronę? To może się zresztą okazać niebezpieczne, przyjaciele, takie tajemne miejsca bywają najeżone pułapkami.

- Guillem nie potrafił się zdobyć na żaden krok.

- Może zgodnie z ruchem wskazówki zegara? - podsunął Mauro.

- Albo odwrotnie! Spróbuj, chłopcze, tylko ostrożnie! Klucz, pchnięty przez Guillemę w stronę przeciwną do ruchu wskazówki zegara, ustąpił. Wstrzymując oddech, młodzieniec obrócił go do końca. Czterej uczeplieni głazu mężczyźni zamarli w ciszy, nie ważąc się poruszyć. Po chwili ku ich przerażeniu skałą wstrząsnęło pierwsze drgnienie. Kilka następnych zmusiło zmartwiałych przyjaciół do działań ratunkowych, ponieważ Abraham ześlizgnął się i w przerażeniu wymachiwał rękoma. Za plecami brata Arnau dał się słyszeć szum płynącej wody, który szybko przeszedł w ogłuszający ryk wodospadu. Trzymając się kurczowo skały i siebie nawzajem, z zamkniętymi ze strachu oczami, wszyscy czterej zgodnie wrzasnęli. Wśród potwornego hałasu każdemu przemknęła przez głowę myśl, że oto rozpoczęła się któraś z odsłon Sądu Ostatecznego oraz ze wszystkimi jego konsekwencjami. Okrzyk Maura wybawił ich od tych pośępnych przypuszczeń. - Opada! Woda opada.'

- Mauro miał rację, poziom wody obniżał się szybko, odsłaniając stopniowo strome schodki wykute w kamiennej podstawie, na której umieszczono trójkątny głaz. Łoskot umilkł nagle i czterej przyjaciele przytomniej spojrzeli na dwadzieścia jeden stopni wiodących na smolście czarne, błyszczące dno stawoi. Przemoczeni i drżący z zimna zeszli po nich ostrożnie, wciąż nie mogąc się nadziwić temu, co oglądali chwilę wcześniej. Całkiem pusty staw przypominał ogromną studnię. Guillem, dając przykład towarzyszący, ruszył przed siebie i rychło zauważył płytę różniącą się od innych tylko odcieniem czerni: była prawie matowa, bez połysku, ze srebrnym pierścieniem umocowanym przy jednym z końców. Podnieśli ją wspólnymi siłami, odsłaniając ciemne wejście: w głębi dał się dostrzec zarys wąskich schodów.

- Zostawiliśmy na brzegu sakwy z pochodniami. - Mauro, który nie przepadał za mrokiem, wyglądał na zatroskanego.

- Musimy zaryzykować. Może ten, kto to skonstruował, przewidział naszą bezmyślność - odparł Guillem, schodząc bez wahania.

Trzej starcy stali bez ruchu, nie mogąc zdecydować, kto pójdzie jako drugi. Dochodzący z dołu głos Guillem'a rozproszył wszelkie wątpliwości.

- Jest tu wszystko, czego potrzeba do rozniecenia ognia, schodźcie wreszcie.

Nie zwlekając więcej, po kolei znikli pod dnem stawu. Kilka metrów niżej schody rozszerzały się i kończyły niezbyt dużym pomieszczeniem. Guillem czekał na przyjaciół z zapaloną już głównią i trzema gotowymi do użycia. Pośrodku jednej ze ścian otwierał się dość przestronny korytarz, w który się zagłębili, każdy dzierżąc swoją własną pochodnię. Postępowali w ciszy, wciąż pod silnym wrażeniem. Na końcu korytarza natknęli się na trzy schodki prowadzące bezpośrednio do kolejnego, tym razem dużego pomieszczenia. Posadzka miała tu ten sam odcień czerni co matowa płyta przykrywająca wejście. W ścianach wykuto mnóstwo idealnie równych wnęk, w których spoczywały dokładnie zawinięte paczuszki.

- Grota Tajemnic! - szepnął Mauro.

- Nie będziemy niczego dotykać ani na nic patrzeć. Zrobimy tylko to, po co tu przyszliśmy - rzekł Guillem tonem rozkazu.

Wyjął spod koszuli starannie obwiązany i pokryty ochronną warstwą dziegiu pakunek, a następnie wyciągnął dłoń do Abrahama. Stary Żyd poszperał wśród fałd odzieży i podał przyjacielowi rękopis Nahmanide-sa owinięty w kilka warstw twardej skóry. Guillem rozejrzał się wokół,

napotykając wzrokiem brata Arnau, który odgadł jego intencję i podawał mu właśnie białą chustę z wyhaftowanym na czerwono krzyżem templariuszy oraz kilka złotych sznureczków. W odpowiedzi na pytające spojrzenie zielarz wskazał jedną z nisz, pełną troskliwie złożonych białych chust i złotych sznureczków, które zdawały się śnić w oczekiwaniu na dzień, kiedy wreszcie się komuś przydadzą. Guillem wybrał jedną z pustych wnęk, po czym oparł się o ścianę i zawinął delikatnie oba nagle zbratane wspólną tajemnicą przedmioty: manuskrypt Nahmanidesa i pergaminy Guilsa. Mocno obwiązawszy chustę sznureczkami, złożył paczuszkę w niszy i cofnął się o kilka kroków.

Abraham podszedł i ucałował zawiniątko.

- Szczęścia, przyjacielu, tu będziesz bezpieczny - powiedział cicho i łagodnie.

Wszyscy czterej postali jeszcze chwilę w milczeniu, przyglądając się efektowi swych wysiłków. Później opuścili frotę, wyszli na dno stawu, ułożyli czarną matową płytę na dawnym miejscu, wspięli się po dwudziestu jeden stopniach i ponownie uchwycili głazu, który wkrótce miał samotnie górować nad wodą. Wywołany przekręceniem klucza hałas tym razem ich nie przestraszył. Woda podniosła się tak samo szybko, jak wcześniej opadła, znowu mocząc im ubrania i jeszcze bardziej wyziębiając ciała. Kiedy dopłynęli do brzegu, legli wyczerpani na trawie, próbując złapać oddech.

Guillem ścisnął w dłoni klucz i obserwował, jak powierzchnia stawu wygładza się, marszczona jedynie delikatnym powiewem.

Na plaży w pobliżu Marsylii, na opuszczonym pomoście, siedziało trzech mężczyzn wpatrzonych w płonące nieco dalej ognisko. Na zaimprovizowanym pospiesznie stole leżały winogrona, ser i chleb. Nie żałowano sobie wina. Nagle Jacques Bretończyk dźwignął się z desek i

usadowił na piasku, bliżej ognia. Dotkliwy chłód przenikał nie tylko jego ciało, ale i duszę. Skulony Mauro zdawał się drzemać z kubkiem niepewnie opartym o kolana. Guillem nie przerywał opowieści:

- Wtedy znalazłem pergaminy Guilsa, w Sanktuarium Macierzy, tam gdzie je ukrył.

W rzeczywistości były to trzy dokumenty, dwa bardzo stare, jeden po aramejsku, drugi po grecku, a trzeci sprzed sześćdziesięciu siedmiu lat, spisany po łacinie, z pieczęcią zakonu. Ten ostatni zawierał szczegółowe sprawozdanie z wykopalisk w świątyni jerozolimskiej, podczas których dokonano pewnego interesującego odkrycia. Odnaleziono bowiem królewski grobowiec, zbudowany z kamienia przypominającego marmur i zachowany w doskonałym stanie. Jego wymiary zostały w sprawozdaniu precyzyjnie podane. Z wrytych na nim aramejskich inskrypcji wynikało, że ekshumowane zwłoki należą do niejakiego Joszui Bar Abby, znanego nam lepiej jako Jezus Syn Ojca, z królewskiego rodu Dawida. Ciało nosiło ślady ukrzyżowania i miało połamane kości nóg. W grobowcu natknięto się także na pergaminy. Tekst aramejski był skróconym przez pisarza Sanhedrynu na użytek kapłanów sprawozdaniem z sądu przeprowadzonego przez Rzymian. Jozuę Bar Abbę oskarżono o bunt i powstanie przeciwko Rzymowi, podżeganie do licznych zamieszek wymierzonych w imperium, pobieranie dziesięcin i innych podatków, a także o przewożenie oddziałom dokonującym zbrojnego rozboju na drogach. Oskarżonego wraz z dwoma pomocnikami skazano na śmierć przez ukrzyżowanie. Na prośbę najwyższego kapłana pisarz Sanhedrynu dodał do tego kilka faktów, wspominając o dwóch atakach na świątynię w Jerozolimie i napaściach na kupców i pielgrzymów, których dopuścić się miał również rzeczony Jozua Bar Abba wraz ze swoimi ludźmi. Tekst grecki był dokładnym tłumaczeniem aramejskiego. Późniejszy dopisek do zdającego sprawę z wykopalisk dokumentu łacińskiego zapewniał, że wszystkie znaleziska

pozostawiono na dawnym miejscu, zamykając komorę grzebalną i wykuwając przejście prowadzące od grobowca wprost do składu zboża znajdującego się przy placu świątynnym, w pobliżu stajni. Grób na powrót zamknięto. Kolejna krótka notatka powiadamiała, że na rok przed ponownym zajęciem Jerozolimy przez niewiernych grobowiec przeniesiono w wielkiej tajemnicy do Akki „w oczekiwaniu, aż Rada podejmie jakąś decyzję”, jak dosłownie formułował to dokument. Żadnych podpisów ani imion, jedynie pieczęć zakonu, nic więcej.

Jacques nawet się nie poruszył. Słuchał, nie odrywając wzroku od ognia. Przed wielu laty krążyły pogłoski... - wyszeptał prawie niedostrzecznie.

- Chcesz powiedzieć, że coś o tym wszystkim wiedziałeś, Jacques?

- Chcę powiedzieć to, co powiedziałem, chłopcze. Krążyły pogłoski, że jest jakaś tajemnica, coś bardzo niebezpiecznego, co mogłoby ocalić albo wręcz przeciwnie zniszczyć nasz zakon.

- I sądzisz, że to prawda, że nie chodzi o kolejną mistyfikację, tylko o autentyczne dokumenty? - Guillem zdawał się w napięciu oczekiwać wyroku Bretończyka.

- Odpowiem dwojako, a ty możesz sobie wybrać wersję, która bardziej ci się spodoba. Wiele lat temu pewien bardzo mądry człowiek, na którego natknąłem się w Aleksandrii, opowiedział mi, że w czwartym wieku po Chrystusie przedstawiciele Kościoła rozkazali wykonać mnóstwo kopii tekstów uznawanych za święte, a potem zniszczyć oryginały. To im jednak nie wystarczyło, polecili więc przepisać i podretuszować także dzieła historyczne i filozoficzne. Ów mędrzec z Aleksandrii utrzymywał, że w ten sposób Kościół od nowa spisał dzieje, naginając je do własnych celów. Z czasem sprzeczności i zafałszowania tak się namnożyły, że nawet ich twórcy zapomnieli,

gdzie kończy się kłamstwo, a zaczyna prawda. Człowiek, o którym mówię, uważał, że władza potrzebuje kłamstwa, aby zachować swoje przywileje, i że cała ta sprawa nie jest niczym więcej niż tylko drobnym ziarenkiem piasku w powszechnej historii nikczemności.

- Czyli sądzisz, że te pergaminy są autentyczne?

- Moja druga odpowiedź, chłopcze - kontynuował spokojnie Jacques - brzmi: jestem prostym sługą zakonu i nie obchodzą mnie ani prawda, ani kłamstwo, tym bardziej że zostały wymieszane do tego stopnia, że stały się identyczne mimo sprzeczności. Jestem stary, Guillemie, nauczyłem się więc znosić kłamstwa możliwych. Ale znosić nie znaczy wierzyć.

- Zdajesz sobie sprawę, co oznacza tamto odkrycie, Jacques? Cała potęga Rzymu, cała potęga Kościoła opiera się na zmartwychwstaniu Chrystusa, na wiedzy pierwszych dwunastu apostołów, którym dane było dzielić z nim tajemnicę.

- Zostaw to, chłopcze, bo zwariujesz, jak nie przestaniesz - uciął Jacques, krzywiąc się z niezadowoleniem. Jedyne dwunastu apostołów znało prawdę i z ich wiedzy wzięła się władza Rzymu i papieża. Pierwszym świadkiem zmartwychwstania był przecież Piotr. A co, jeśli skłámali? - Guillem, nie zważając na reakcję Bretończyka, rozmyślał gorączkowo.

- Nie rozumiesz, Jacques? Zmartwychwstanie obdarzyło grupę wybrańców niepodważalnym autorytetem. Aż po dziś dzień nikt nie może zbliżyć się do Chrystusa bez ich pośrednictwa.

- A cóż to ma za znaczenie, chłopcze? Co to, do wszystkich diabłów, teraz zmieni? Czy naprawdę takie ważne jest, kto skłámał? Bo ktoś uczynił to bez wątplenia. A zresztą może oni mówili w sensie symbo-

licznym, nie dosłownym, może chodziło im o śmierć jako chwilę zmartwychwstania duchowego, iluminacji?

- I tylko ktoś się tym posłużył dla zyskania władzy - odpowiedział Guillem, marszcząc czoło.

- I co, Guillemie? Co komu przyjdzie z tej teorii? Świat napędzają kolejne kłamstwa, tak było od zarania dziejów i tak będzie do końca. Władza zawsze pozostanie osią, wokół której wszyscy się kręcimy, chłopcze, więc przestań się wreszcie zadręczać!

- Żadna z twoich odpowiedzi mnie nie zadowala, Jacques.

- W porządku, rozumiem, ale nie mam ich więcej w zanadru. Sam będziesz musiał jakąś wymyślić, Guillemie, a potem zgodnie z nią działać.

Guillem zamilkł, pogrążony w zadumie. Władza papieża wywodzi się bezpośrednio od Piotra, a Kościołowi z pierwszych wieków chrześcijaństwa, wstrząsanemu poważnymi konfliktami wewnętrznymi, pasowała wersja o zmartwychwstaniu Chrystusa w sensie jak najbardziej dosłownym. Płynęły z tego niezmierne korzyści: nadnaturalna, absolutna władza nad masą wierzących. Władza dla nielicznych wybrańców...

- A Bernard? Wierzył w to wszystko? - Młody templariusz poczuł nagle potrzebę, aby wesprzeć się autorytetem mistrza.

- Bernard wierzył w moc życia i niepodważalne istnienie papieskich szpiegów - zaśmiał się Jacques. - Zostaw to, chłopcze, nic w ten sposób nie osiągniesz. A jeśli już musisz szukać odpowiedzi, szukaj ich raczej w swoim sercu.

- Bernard bardzo jest z ciebie dumny, Guillemie... Przekonani, że Mauro zasnął, obaj podskoczyli na dźwięk jego głosu.

- Abraham i Arnau pewnie wrócili już do Barcelony - mruknął Guillem, ponownie napełniając swój kubek.

Szczelniej owinał się ciemnym płaszczem. Wino rozgrzewało przyjemnie, rozpraszając lodowaty chłód, który zawładnął jego wnętrzem. Ciepło pełzło w dół przetyku, błękitny blask powoli obejmował umysł. Guillem bez wysiłku unosił się w powietrzu. Skulony przy ogniu Bretończyk wyglądał z góry jak pokurczona staruszka, nieśmiertelny Mauro drzemał z otwartymi oczami, a w szkatułce z rzeźbionego drewna spały prochy Bernarda Guilsa. Chłód zniknął i zamiast niego ogamęła-Giullema słodka, rozkołysana senność. Otoczona obłokiem różanych płatków, pochylała się nad nim jakaś twarz. Timbors? Timbors...